

KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE

1980-1981

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1982

MIESIĄCE (1980-1981)

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 357

Wydanie drugie fotooffsetowe

ISBN 2-7168-0010-3

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE

1980-1981

INSTITUT
PARYŻ



LITERACKI
1985

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECE « KULTURY »

Nierzeczywistość, 1978 (wyczerpane)

Miesiące 1978-1979, 1981

© COPYRIGHT POUR LA LANGUE POLONAISE
INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., PARIS, 1982

kwiecień 1980

W pierwszym dniu kalendarzowej wiosny, przed trzema tygodniami, wysłałem list do Zarządu Głównego Związku Literatów. Przepisuję z zachowanej kopii.

„Szanowni Koledzy, pragnę zawiadomić Zarząd Główny o następujących faktach.

Latem 1977 złożyłem w wydawnictwie 'Czytelnik', zgodnie z zawartą umową, maszynopis mojej nowej powieści pt. 'Rondo'. Książka została przychylnie oceniona w Wydawnictwie, nie budząc merytorycznych zastrzeżeń. Wkrótce jednak powiadomiono mnie, że 'Czytelnik' nie będzie mógł przystąpić do druku z uwagi na sprzeciw czynników nadrzędnych, których opinia jest dla wydawnictwa wiążąca. Sprzeciw nie dotyczył treści książki, lecz — co dano mi do zrozumienia — samej możliwości publikacji mego tomu w państwowym wydawnictwie. Po czym Sp. Wyd. 'Czytelnik' w ciągu niemal 3 lat od złożenia przeze mnie maszynopisu nie skierowała go do druku, a od 2 lat nie uznaje za konieczne przekazywać mi wiadomości w tej sprawie.

W końcu lutego 1980 roku złożyłem w Komendzie Stołecznej MO podanie o paszport zagraniczny do Francji. 20 marca udzielono mi odpowiedzi odmownej, nie informując o przyczynach odmowy. Odwołałem się od tej decyzji na piśmie, z uzasadnieniem, iż moje stosunki i kontakty ze środowiskami artystyczno-intelektualnymi na Zachodzie są pozytywne dla kultury polskiej, przyczyniając się do jej rozpowszechnienia poza granicami kraju, o czym świadczą choćby liczne recenzje z przekładów moich książek, zamieszczane w prasie zagranicznej. Czekam obecnie na odpowiedź Biura Paszportów.

Pozwalam sobie zwrócić uwagę Szanownych Kolegów na to, że obydwa przytoczone tu fakty stanowią ograniczenie moich praw pisarskich i obywatelskich, oraz na to, iż obie decyzje są sprzeczne z zasadami prawnymi obowiązującymi w Polsce. Stwierdzam zresztą, że niejednokrotnie pisarzom wyrażającym poglądy podobne do tych, jakie ja wypowiadam i drukujących utwory w tych samych co ja wydawnictwach i pismach nie zakazuje się publikacji w kraju ani wyjazdu za granicę. A więc żadne prawomocne sankcje nie wchodzą tu w grę, wobec czego muszę uznać obie powyższe decyzje jedynie za szykany w stosunku do mojej osoby. Identyczne szykany, jak wiadomo, użyte zostały przeciw paru innym naszym kolegom.

Sądzę, że Szanownym Kolegom nie będą te sprawy obojętne, dotyczą bowiem nie tylko mnie osobiście, lecz w swych konsekwencjach godzą w interesy każdego członka Związku Literatów. Jestem głęboko przeświadczony o tym, że dyskryminacja stosowana wobec autorów, których pozbawia się uprawnień pisarskich i obywatelskich, prowadzi w rezultacie do umniejszenia wartości literatury publikowanej, nie podlegającej zakazom — do zdewaluowania jej w oczach czytelników. Tworzenie się takich podobiałów wyrządza szkodę całej naszej literaturze.

Powyższe względy skłaniają mnie do przekazania tych paru faktów i refleksji Zarządowi Głównemu ZLP.

Łączę wyrazy szacunku”.

Odpowiedzi nie otrzymałem.

Powinienem wspomnieć, że na odmowę w sprawie paszportu byłem przygotowany i zgłaszając się w wyznaczonym dniu po odpowiedź na ulicę Kruczą miałem przy sobie odwołanie na piśmie. Kiedy weszliśmy z M. do pokoju nr 12 i wymieniliśmy nazwiska, urzędnik poszperał w przegródkach, po czym oświadczył, że musi się w tej sprawie rozmówić przez telefon. Poprosił nas o opuszczenie pokoju i zapewnił, że za chwilę nas wezwie. Drzwi otworzyły się po kilku minutach. Urzędnik zawiadomił M., że otrzymała paszport. — Na pana podanie jest odmowa. — Gdy M. wyjaśniła, że nie zamierza wyjechać beze mnie, przerwałem jej pytając urzędnika, komu mam złożyć odwołanie. Urzędnik odesłał mnie do okienka, gdzie składano formularze z podaniami o paszporty. Za zgodą interesantów moje odwołanie przyjęto poza kolejką i poinformowano, że odpowiedź nadejdzie drogą pocztową w ciągu trzech tygodni. Termin minął wczoraj, odpowiedź jeszcze nie nadeszła.

Na to również byłem przygotowany, nie mnie pierwszego to

spotyka. W takich przypadkach można podobno zażądać rozmowy z naczelnikiem. Nie pociąga mnie taka możliwość. Jakkolwiek nie należę do ludzi gwałtownych, w pewnych sytuacjach tracę panowanie nad sobą. Niedawno powtórzono mi przebieg rozmowy, jaką odbył z naczelnikiem mój znajomy, pisarz, człowiek o najwyższej kulturze literackiej i osobistej, którego odwołanie, podobnie jak moje, pozostawiono bez odpowiedzi. Kiedy zgłosił się na tę rozmowę, naczelnik go pouczył: — Zamiast wyjeżdżać za granicę, lepiej pilnowałby pan córki. — Córka mego znajomego jest działaczką Studenckiego Komitetu Solidarności.

Przewidywałem niniejszy obrót rzeczy i byłoby nie na miejscu przybierać z tego powodu minę cierpiętnika. Paszportu odmawia się dziś wielu osobom, i to bez podania motywów. Znam ludzi, którzy zachodzą w głowę, czemu i za co ich to spotkało. Ja przynajmniej wiem za co: za książki wydane za granicą i udział w zespole redagującym ZAPIS. Jedna połowa mojej świadomości mówi mi: wszystko, co robiłeś i pisałeś, nie jest zakazane przez prawa w twoim kraju, to odmowa wydania paszportu łamie praworządność. A jednocześnie moja druga świadomość szepcze, że gdybym za życia Józefa Stalina wygłosił jedno zdanie z książki, którą niedawno opublikowałem, gnąłbym przez lata w kryminalne. Nad tymi dwiema świadomościami unosi się trzecia, która mi powiada, że człowiek żyjący w owej podwójnej skali, z dwiema zachodzącymi na siebie miarami rzeczywistości, człowiek, który odczuwa bezkrwawą samowolę władzy jako rodzaj tolerancji przez porównanie z ludożerstwem, a zarazem nie może jej uznać za prawo, bowiem poczucie prawa ma wyniesione z kultury — że taki człowiek nie jest istotą pełnowartościową.

Mam tę trzecią świadomość, dlatego w chwili gdy spokojnie wysłuchuję odmowy zakomunikowanej mi przez urzędnika i posłusznie składam odwołanie w okienku, i później, kiedy wychodząc mówię do M., że tego się właśnie spodziewałem, bo w takim systemie żyjemy, widzę w tych kilku scenach siebie w sposób nieprzyjemny, w mojej reakcji jest coś podejrzanego. M. natomiast reaguje zdrowo: — Małpia złośliwość! — woła po wyjściu z pokoju. Na co odpowiadam, że znałem cenę, jaką teraz płacę, i byłem na nią przygotowany. Ale gdyby to samo powiedział kto inny o mnie, byłbym wściekły i nazwałbym to mentalnością niewolnika.

Od dwóch tygodni (nowiny rozchodzą się szybko) podobne słowa czytam w kilku spojrzeniach. „Czego oczekiwałeś, prezentu? a może liczyłeś, że zabawa w opozycję ujdzie ci na sucho?

Wiesz, w jakiej rzeczywistości żyjemy. Myśmy wyciągnęli z tego wnioski”.

Gdybym im powiedział, że takimi słowami współtworzą rzeczywistość, poczuliby się dotknięci. Lecz gdyby cudownym zrządzeniem wypadków „zabawa w opozycję” odniosła trwały sukces polityczny, uznaliby to za swoje zwycięstwo. To nie są ludzie podli ani głupi, o wielu rzeczach myślą podobnie jak ja. To są ludzie, którzy nie chcą brać udziału we własnej najważniejszej sprawie, ponieważ uwierzyli, że ta sprawa jest na zawsze przegrana.

Mieliśmy pojechać do Francji, potem zatrzymać się w Berlinie Zachodnim, gdzie wciąż czeka na mnie stypendium Akademii Sztuki. Teraz pobędziemy w Warszawie. Nadeszła paczka z różnokolorowymi jajeczkami wielkanocnymi, na paczce przyklepiona kartka z wymienniem zawartości (*les œufs de Pâques*) oraz pieczętka z nadrukiem: „poddane kontroli celnej”. Niemal jednocześnie przychodzi widokówka od Piotrów Słonimskich z Tunisu. Byli tam przez święta.

W numerze *Le Monde* przeczytałem niedawno obszernie sprawozdanie o ważnym odkryciu naukowym dokonany przez Piotra. Wytłumaczono mi, że jest to rzecz doniosła, wielki krok na drodze do regulacji procesów genetycznych. Będąc w Gif często się zastanawiałem, o czym rozmyśla Piotr, gdy w trakcie ożywionej rozmowy nagle zapada w odrętwienie, nieruchomiejąc z fajką w ręku i nogami w skarpetkach opartymi o stolik przy fotelu. Bałem się go trochę w tych momentach. Po przeczytaniu artykułu w *Mond'zie* rzecz mi się wyjaśniła. Teraz rozumiem, że mój przyjaciel myślał o tym, jak wyprodukować sztucznego człowieka. Niepotrzebnie się bałem.

Trzy lata temu w Boże Narodzenie, kiedy byliśmy w Gif-sur-Yvette, Piotr wziął mnie ze sobą po kolacji do laboratorium CNRS, którego jest dyrektorem. Kompleks budynków należących do Centre National des Recherches Scientifiques ciągnie się o kilkaset metrów od domu Piotrów. Puste dziedzińce oświetlone jarzeniówkami, wewnątrz długie korytarze z szeregami metalowych drzwi, sale z niepojętymi dla mnie przyrządami, które same funkcjonowały w bezludnej ciszy, na ścianach plansze z wykresami, jakieś mrugające światełka, szmery i tykania aparatów, wnętrza nagie, białosine w poświacie jarzeniowej — nigdzie ani śladu człowieka. Przez cały czas zdawało mi się, że jesteśmy pod ziemią, idąc za Piotrem z niepewną miną czułem się tak, jakbym w noc Bożego Narodzenia wylądował w cywilizacji Ufoi-

dów. Kiedy w jednej z salek na biurku spostrzegłem bukietek mimozy wetknięty w wazonik, odetchnąłem z ulgą. Nareszcie coś zrozumiałego, bliskiego: jakaś dziewczyna z Ziemi dostała kwiatki od chłopca! Piotr znalazł w swojej szufladzie papiery, których szukał. Zapalając gasnącą fajkę spytał, czy się nie za bardzo znudziłem. Odpowiedziałem, że nie, skądże, tylko miałem wrażenie, jak gdybym zwiedzał podziemny kościół, którego religii i obrządków nie znam, wyczuwam w nim jednak obecność ukrytej Tajemnicy. I zadałem mu pytanie laika, profana: gdybym cię poprosił, abyś mi wyjaśnił, czemu to wszystko służy, nad czym pracują te komputery, po co zapalają się i gasną światełka, żebyś mi pokazał tę rzecz najważniejszą, dla której wzniesiono budynki za miliony franków i o której tak usilnie rozmyślasz z nogami na stole, czy byłoby możliwe, abym tę rzecz zobaczył? — Wtedy mój przyjaciel kiwnął głową z poczciwie chytrym uśmiechem. Minęliśmy trzy korytarze, przeszliśmy przez cztery puste salki. Skręciliśmy na lewo, potem w prawo. Jeszcze raz w lewo i znowu na prawo. Wreszcie Piotr wprowadził mnie do niewielkiego pomieszczenia, gdzie przy ścianie stał metalowy pojemnik, przypominający kasę pancerną. Wyciągnął pęk kluczy. Po chwili ujrzałem wewnątrz pojemnika. Był w nim umieszczony tylko jeden przedmiot: okrągła puszka podobna do pudełka konserw. Piotr odemknął wieczko. — To właśnie jest rzecz, o którą chodzi.

Co zobaczyłem? Garstkę wilgotnej, ciemnej ziemi. Widniało na niej kilka białych plamek nie większych od ziarenek ryżu.

List do Zarządu Głównego wysłałem bez wiary w jego skuteczność, pisałem go z pewną niechęcią. Zazwyczaj takie listy Zarząd przekazuje Komisji Interwencyjnej. Przewodniczącym komisji jest partyjny urzędnik literacki, daleki od pragnienia, aby cokolwiek mi w życiu ułatwić. Mimo to postanowiłem list napisać i wystać. Narzucając sobie ów przymus, kierowałem się przekonaniem, że brak reakcji na bezprawie oznacza przyzwolenie. Jeżeli przemilczę te dwa fakty, utwierdzę i pogłębię społeczną bierność, z jaką przyjmuje się nadużycia władzy. Często używamy słowa sowietyzacja, mając na myśli brak towarów, tępy autokratyzm urzędów i splugawienie codziennego bytu. Wymawiając to słowo ze wstrętem i pogardą, odnosimy je do rzeczywistości zewnętrznej: sowietyzuje się sklepy, związki zawodowe, uczelnie i gazety, ale my pozostaliśmy wewnętrznie nietknięci, o czym świadczy nasza pogarda i wstręt.

Obawiam się, że jest inaczej. „Sowietyzm” budzi odrazę

jako zjawisko duchowe; to nie tylko machina produkująca masę, to przede wszystkim nasza ludzka utrata pamięci o sobie samych, o tym, kim chcieliśmy być. W naszych głowach trwają jeszcze — postrzępione i wiotkie — pojęcia godności i sprawiedliwości, lecz jeśli spotka nas niesprawiedliwość, lub gdy poniża się nasza godność, czy doprawdy wstępuje w nas święty gniew? Czy nie myślimy wówczas: trudno, w takim ustroju żyjemy, taka jest rzeczywistość... Ta myśl stanowi nasz udział w systemie, a zarazem tymi myślami sowietyzujemy się indywidualnie, od wewnątrz. Na takie nasze myśli system liczy, one go cementują. My sami milionami podobnych reakcji codziennie umacniamy piramidę, która budzi naszą nienawiść, i w końcu zatrze się granica dzieląca nas od tego, czego nienawidzimy. Być może nie spostrzeżemy, że ów moment nastąpił, i nadal będziemy twierdzić, że hitleryzm tkwił w duszy niemieckiej, a Rosjanie rodzą się niewolnikami. Potrafimy jeszcze się pocieszać lepszą połową naszej świadomości, opatrując słowem o n i absurd, który w nas wrasta, dopóki pewnego dnia nie zrozumiemy, że o n i są już nami, a my jesteśmy n i m i. Nie wiem, czy wtedy dalej się nienawidzi. Nie mam pojęcia, co dzisiaj się dzieje w duszy człowieka, który dał się wszystkiemu pozbawić, człowieka ze stotalizowaną głową. Czy taki człowiek ma jeszcze własne odruchy i poglądy. Wnosząc z moich ubiegłych doświadczeń sądzę, że ma, ale się z nimi nie zgadza.

Można by mi odpowiedzieć: to żarty. Minęły lata, dawna choroba już nie grozi. Nie jestem tego pewien. Po trzydziestu latach choroba, nazwana przez poetę „zniewoleniem umysłu”, dziś występuje w mniej gwałtownych objawach, lecz rozprzestrzenia się szerzej. W nieostrej, złagodzonej postaci zaraza większą ilość ludzi. Znam także pacjentów, którzy przeżywają jej ukryty nawrót. Obserwując różne sceny z życia i rozglądając się wokół, widzę niejednokrotnie przecieranie się w ludziach psychospołecznej materii, zwątlenie przegród między odczuciami dobra i zła. Mówiłem tu o naszych zwiotczących strzępach idei i pojęć, które ludzkość nazywała wolnością, szczęściem, braterstwem. Zapewne są jej pięknymi fikcjami, jej „muzyką sfer” — odbłaskiem niebiańskiej harmonii. Bez takich złudzeń świat musiałby skamienieć, stać się minerałem i mimo iż nie potrafi przekształcać ich w życie, nie chce ich utracić. Inaczej żyć nie umie. Odarty ze swoich wyobrażeń, zaczyna chorować. Nadchodzą wtedy „ciemne wieki”. Historycy nazwali tak okres między V a VIII stuleciem naszej ery. Czym była owa ciemność, czyżby ludzie tej epoki byli psychicznie chorzy, nie, ale w każdym czło-

wieku upadł Rzym i zgasły światła Uniwersum. Nie będzie grą słów, jeśli powiemy, że dekadenski Zachód sam się stoczył pod nogi barbarzyńców. Longobardowie i Goci wtargnęli przez zawalone ściany pojęć, które runęły w ludziach.

Christopher Dawson w swojej książce („Religia i powstanie kultury zachodniej”) zadaje sobie pytanie: „Jak to się stało, że spośród wszystkich cywilizacji świata jedynie Europa nieustannie była wstrząsana i przekształcana przez jakąś energię, która ma swe źródło w duchowym niepokoju i której nie zadowala niezmiennie prawo tradycji społecznej rządzącej kulturami Wschodu? Dzieje się tak dlatego, iż ideałem religijnym Europy nie jest oddawanie czci ponadczasowej i niezmiennej doskonałości, lecz duch, który usiłuje się wcielić w ludzkość i przeobrazić świat”.

W trakcie lektury Dawsona przeczytałem wywiad Andrieja Siniawskiego, udzielony francuskim dziennikarzom (mamy go drukować w ZAPIS-ie). Siniawski mówi o zdumiewającej trwałości, jaka go uderzyła w strukturze życia zachodniej Europy: „Zrozumiałem ją zwłaszcza na przykładzie Włoch, które przed dwoma laty zostały przez wszystkich pogrzebane, a żyją nadal mimo terroryzmu, mimo strajków. Nagle odkryłem kulturę pracy, zainteresowanie, jakie się pracy poświęca. Z tego punktu widzenia Europa Zachodnia jest dużo bliższa Średniowieczu, cechowości, przekazywania zawodu z ojca na syna, niż dzisiejsza Rosja. Ma się rozumieć, wszyscy są tu niezadowoleni, ale podstawy są trwałe, nie tak jak w Rosji, gdzie robotnik pracuje tylko po to, by dostać pensję lub wspiąć się o parę biurokracyjnych stopni. System zachodni zbudowany jest jak ul: jego plastry miodu wydają się lekkie i kruche, lecz stawiają opór dzięki swej dobrej konstrukcji. (...) Struktura społeczeństwa sowieckiego jest jak worek z piaskiem, który stoi tylko dlatego, że jest mocno zawiązany. Gdy się go przedziurawi — wszystko upadnie, obróci się w proch”.

Pomyślałem, że te dwa cytaty przenikają się ze sobą, jakby drugi stanowił dopełnienie pierwszego. Ale który z nich mówi o nas? Czym jesteśmy: wcielaniem się ducha, czy pracowitą konstrukcją ula, czy skrzepowanym workiem piasku? Czy łączą nas jeszcze resztki dawnego spoiwa, czy też rozsypalibyśmy się, gdyby nie supeł, który nas dusi od wierzchu?

Doszły mnie wprawdzie odgłosy po fragmentach „Miesiący” wydrukowanych w ZAPIS-ie — ogółem biorąc pokrępiające — ale nad ranem budzę się nieraz z myślą, którą sam wykląłem: jak długo to jeszcze potrwa? ZAPIS, Niezależna Oficyna, dru-

karenki powielające nasze książki, w ilu... w dwóch czy pięciu tysiącach egzemplarzy, wszystko wisi na cieniutkim włosie. Wieczorem dowiaduję się przez podsłuchiwany telefon o aresztowaniu kogoś z organizatorów NOW-ej, a rano zbieram siły, żeby tę wiadomość odpędzić od siebie przed godziną pisania. Mam na to jeden tylko sposób: wciąż przywoływać ulatniającą się pewność, że nawet jeśli wszystko się rozpadnie, dalej będę pisał i sam wystukam na maszynie tekst z trzema kopiami. Cztery egzemplarze przeczyta kilkadziesiąt osób, jeden czy dwa ktoś przechowa. Kiedy skończyłem „Nierzeczywistość”, nic jeszcze nie istniało, nie było ZAPIS-u i innych wydawnictw, maszynopis wypożyczałem na tydzień znajomym. W sumie pięćdziesięciu czytelników. Taka myśl podtrzymuje siły do pisania. Wczoraj dzwonił Marian i zawiadomił mnie, że pewna znana mu osobiście czytelniczka ZAPIS-u po przeczytaniu „Miesiący” złożyła na jego ręce tysiąc złotych — dla mnie. Prawdopodobnie doszła do wniosku, że jako pisarz obłożony zakazem publikacji muszę popaść w kłopoty materialne. Nigdy dotąd nie spotkałem się z tak prostym i ładnym gestem w stosunku do autora. O nie, z nikim bym się nie zamienił na wydanie masowe.

B., gdy twierdził ktoś przy nim, że lata obecne w porównaniu z okresem stalinowskich więzień stworzyły byt społeczny, który opozycja swoją działalnością może zaprzepaścić, powiedział: — Tak, to nie jest więzienie, to latryna. Ale nie wszyscy przyjęli tę alternatywę.

Więc nie na Zachód pojechaliśmy wiosną, lecz w kierunku wschodnio-południowym: do Obór. Znowu do Obór, jak co roku, kiedy w Warszawie nie mogę pracować, bo pod moimi oknami zaczynają grać katarynki i przeciągać grupy turystyczne; kiedy z ulicy dochodzą śpiewy Szwedów i Holendrów, a sprzed *boutique*'u wrzask pijanych mołojców z Kobyłki. Mieszkamy na rogu Siczy i Saint-Germain, przyszło mi kiedyś na myśl i powiedziałem to M.

Wiosna zimna, podszyta wiatrem, drzewa jeszcze gołe i czarne. W jadalni pustawo, sporo osób odwołało pobyty wskutek chłódów i deszczów. Codziennie po kolacji zbieramy się przed telewizorem, żeby posłuchać wiadomości dziennika, a po obiedzie wyruszamy do pobliskiej Jeziornoj po gazetę. Nad światem kłębią się furie. Szaleje ponury czarownik w Iranie, któremu się opiera filigranowy prezydent Stanów Zjednoczonych, drobny mężczyzna o coraz smutniej uśmiechającej się twarzy. Gdy kilka lat temu po raz pierwszy zobaczyłem jego zdjęcie, pomyślałem niespokoj-

nie, że nowy kandydat na prezydenta USA wygląda jak skrzyżowanie babci z wnuczką, i ogarnęła mnie troska, czy ów mały prezydent udźwignie na swoich ramionach odpowiedzialność za dwie półkule rozsadzane nienawiścią i czy uda mu się powstrzymać świat przed orgazmem samozniszczenia.

Trzy razy dziennie łapię komunikaty zagranicznych radiostacji o losach amerykańskich zakładników uwięzionych w Teheranie i zapowiedzianym bojkocie Olimpiady w Moskwie. Około 3-ej do kiosku w Jeziornie przywożą *Express*, który czyta M. Na pół godziny wcześniej przed kioskiem ustawia się ogonek. O tej samej porze kolejki po *Express* można także zobaczyć w Warszawie. Ograniczenie nakładów prasy i książek oficjalnie tłumaczy się brakiem papieru, chociaż papieru nie brakuje na drukowanie broszur propagandowych, lokalnych dzienników o fikcyjnym żywocie, piemek wydawanych przez instytucje i liczne rozgałęzienia aparatu, periodyków, których nikt nie czyta. Ale *Express* się czyta. Przez lata patrzę na ogonki ustawiające się przed kioskami po gazetę, w której nie ma prawdziwych informacji o tym, co się dzieje w kraju i na świecie. Z *Expressu* można się dowiedzieć, że w zagranicznym ZOO przyszło na świat pięć małych kangurów. Poza tym wszystko jest w nim tak samo zakłamanie, jak w całej rządowej prasie.

W Jeziornie ogonek po *Express* wygląda bardziej przygnębioniej niż w Warszawie. Trzeba znać Jeziornę i miejsce, w którym znajduje się kiosk. W sobotę czekałem tam na M. stojącą w czterdziestuosobowej kolejce. Dokoła brzydkie, źle otynkowane bloki na zaśmieconych klepiskach-projektach trawników, naprzeciw parterowa buda o nieumytych szybach, gdzie kupuje się jarzyny i owoce, z tyłu sklepy z artykułami pierwszej potrzeby. Samoobsługowa spółdzielnia o ciemnym brudnym wnętrzu robi wrażenie kantyny w koszarach, na zewnątrz u wejścia stoją blaszanki z pustymi butelkami po piwie. Pijani mężczyźni chwiją się nad asfaltem ze zwisłymi głowami albo przegięci do tyłu. Po rogach grupki młodych ludzi w kurteczkach i swetrach, którzy na coś wyczekują z nieprzyjaznym znużeniem. To jest nowa Jeziorna. Stara Jeziorna ciągnie się nieco dalej wzdłuż asfaltowej szosy w kierunku Warszawy.

W sobotę autobusik z gazetami długo nie przyjeżdżał. W ogonku przybywało ludzi, siąpił deszcz. Czekałem w odległości dwudziestu kroków, widziałem M. wciśniętą między kobiety z torbą wypchaną kartoflami a mężczyzną bez nogi; za nim stał reżyser filmowy Rybkowski, który zapewne przyszedł z Konstancina.

Tego dnia wskutek wilgoci dokuczał mi ból w kręgosłupie. Patrząc na ogonek nasiąkający deszczem, pomyślałem, dlaczego tym ludziom oplota się czekać na gazetę z jałowymi lub przekabacnymi informacjami i dlaczego nie mogą jej kupić w przejściu, od ręki, tak jak się kupuje gazetę w normalnie urządzonym kraju. Wytłumaczyłem sobie, że chcą przeczytać *Express*, bo przyzwyczaili się do popołudniówki redagowanej w żywszy sposób niż inne dzienniki i nie przeładowanej materiałami ze Zjazdów czy komentarzami do uchwał sejmowych (*Express* drukuje je często w skrócie). Przyzwyczaili się również do czekania. Nie przyjdzie im do głowy, że czekanie przed kioskiem jest czymś niedorzecznym, nawykli już do codzienności złożonej z drobnych, żmudnych uciemiężeń. Ale dlaczego muszą czekać — dlaczego *Express* nie ukazuje się w większym nakładzie?

Dlatego że ogromna część papieru idzie na druk prasy, której się nie czyta. Po co? Po to, żeby w kraju mogło istnieć jak najwięcej redakcji zatrudniających posłusznych dziennikarzy. Bo kim są dziennikarze nie czytanej prasy, *Trybun Mazowieckich* i *Głosów Pocztownica*? Są aktywem wykonującym propagandowe instrukcje w terenie, są funkcjonariuszami wojewódzkiego aparatu. Ma być mniej prasy centralnej, bo trzeba więcej papieru dla propagandowych kadr lokalnych; wobec czego do kiosków ustawiają się ogonki po *Express*, żeby się dowiedzieć o pięciu kangurkach w budapeszteńskim ZOO.

Prasa centralna i prowincjonalna oparta jest na tym samym założeniu — naginania rzeczywistości do kłamstwa, a po to, by owo założenie fachowo wypełniać, potrzebni są zawodowcy. I to są od lat ci sami ludzie albo ich odmłodzone reprodukcje. Nie żadne wielkie lucyfery. To są małe, pospolite kozodoje przysane do wymion. Zmieniają się hasła, linie polityczne, ekipy kierownicze, ale oni są zawsze obecni, z ozorami wysmarowanymi tłuszcem, gotowi do usług nowym szefom pod aktualnymi hasłami. Przymydlają się do narodu, do klasy robotniczej, do patriotyzmu, antysyjonizmu i internacjonalizmu, do martyrologii, do posad i akcji policyjnych. Zawsze na posterunku, w prasie, w telewizji... „Kłamię jak telewizor!” — krzyknęła niedawno Ewa R. opowiadając o kimś ze wzburzeniem. To już zabrzmiało jak przysłowie (dawniej: „Łże jak najęty”). Tak: byli, są, będą, muszą być.

Gdy sobie to uświadomiłem, kolejka przed kioskiem w Jeziorni nagle wydała mi się czymś rozpaczliwym, upokarzającym. Podbiegłem i zacząłem wyciągać z niej M. krzycząc, że to ohyda, bezsens. M. przestraszona wołała: — Przecież dziś będzie pro-

gram telewizyjny na cały tydzień! — a ja wykrzykiwałem, że muszę jej bronić przed sowietyzacją. Ogonek wytrzeszczył na mnie oczy z przerażeniem, jak na człowieka ukąszonego przez żmiję. I wtedy właśnie nadjechał autobusik z *Expressem*.

Och, zachowałem się głupio!

Ale —

Przedwczoraj urwałem na początku zdania i dziś nie mogę już sobie odtworzyć dalszego ciągu myśli. Zacząłem od nowego wiersza, napisałem: *Ale*, gdy ktoś zastukał do pokoju z wiadomością o nieudanym desancie amerykańskim w Iranie. Akcja, która miała uwolnić pięćdziesięciu Amerykanów więzionych w gmachu ambasady USA, skończyła się fiaskiem. Komandosi nie dotarli do Teheranu. Odlecieli zostawiając na pustyni swoich ośmiu zabitych i szczątki dwóch maszyn, które zderzyły się ze sobą w chwili startu do powrotnego lotu. Nie ma jeszcze szczegółowych wyjaśnień, dlaczego akcja się nie powiodła. Wiadomo tylko, że nastąpił defekt trzech helikopterów. Podobno plan operacji był przygotowywany od kilku miesięcy.

W telewizji ukazały się zdjęcia filmowe z Teheranu. Zwłoki amerykańskich *marines* wystawiono na widok publiczny. W zamian za ich wydanie rząd domaga się zwrotu irańskich dolarów zablokowanych w bankach USA. Zwolnienia zakładników nadal się odmawia, żądając ekstradycji zdetronizowanego szacha. Szach rządził okrutnie, jego policja stosowała tortury. Krew za krew.

Od dwóch dni radiostacje całego świata nadają wiadomości i komentarze o próbie odbicia zakładników. Będąc wczoraj w Warszawie usłyszałem od paru znajomych jednobrzmiące związanie: przyjęli tę wieść ze ściśniętym sercem, tak jak w 1940 komunikat o upadku Paryża.

Trudno się oprzeć przygnębieniu na wieść, że wskutek niepomyślnego przebiegu wypadków akcja podjęta w sprawiedliwym celu zakończyła się porażką. Wymęczeni latami nikczemności, mieliśmy prawo do chwilowego zadośćuczynienia, przynajmniej tym razem należała się nam dobra nowina. Zdawałoby się, że tak jaskrawego triumfu zła Opatrzność nie poprze. Stało się inaczej. Burza piaskowa, nieprecyzyjne przygotowanie, może czyjeś niedbalstwo, a może po prostu nieobliczalny przypadek. I oto wyjący tłum złorzecząc potrząsa kijami, by pohańbić ciała zabitych. „Jak mogli je zostawić i odlecieć, nie zabrać ich ze sobą?”. Nie wiem, co się do tego przyczyniło, że zostawiono na pustyni nie pogrzebane trupy żołnierzy. Nie umiem też odpo-

wiedzieć na wiele innych pytań. Krążą domysły o sabotażu (z ośmiu helikopterów trzy uległy awarii?), mówi się o niedo-
łębstwie amerykańskiego dowództwa i słabości amerykańskiej de-
mokracji wobec czelnego chamstwa totalizmów. Przemawia teraz
gorycz rozczarowania po klęsce. Podobnie wyklina się reprezen-
tacyjną jedenastkę piłkarzy, która przegrała mecz o puchar.
Gdyby wygrali, obrzucono by ich kwiatami na lotnisku, teraz
obciąża się ich winą za porażkę. Nie lubimy rozwianych mitów,
czujemy się wówczas oszukani. A jednak to my je tworzymy.

Amerykańska cywilizacja... amerykańska technika... amerykań-
ska wynalazczość. To są rzeczy stwierdzone. Naturalnie, można
mieć wątpliwości, czy cywilizacja amerykańska jest społecznym
ideałem. Można zastanawiać się nad tym, jaka w ogóle powinna
być cywilizacja. Zapamiętałem pogląd wyrażony przez Baude-
laire'a. Sądził, że oznaką prawdziwej cywilizacji nie jest para-
ni elektryczność, lecz zmniejszanie skutków grzechu pierworod-
nego. Zapewne autor „Kwiatów zła”, gdyby żył dzisiaj, czułby
niechęć do technotronicznej cywilizacji, jaką stworzyli Ameryka-
nie. Europejski Zachód korzysta z niej i zarazem dostrzega jej
niebezpieczeństwa. Ale w Polsce, i to jest z wielu przyczyn
zrozumiałe, z perspektywy zagonionej polskiej biedy nabiera ona
kształtu doskonałości. Idealizuje się ją poprzez oddalenie i oczę-
kiwanie. Czym się różni życie ludzi na Zachodzie od naszego
życia — tysiącem rzeczy. Lecz przede wszystkim jedną: że
oni nie żyją w czekaniu, że swego życia nie przeżywają w poczu-
ciu istnienia za oceanem innej, lepszej rzeczywistości, która może
kiedyś do nich przyjdzie. Oni po prostu żyją. Mają swoje ży-
ciowe cele i kłopoty, światopoglądy i religie, jeżdżą za granicę
nie dlatego, żeby zobaczyć jak wygląda prawdziwe ludzkie życie,
tylko w interesach albo jako turyści. Pracują, zarabiają, kupują.
Tak żyją na codzień. Nie w oczekiwaniu: w egzystencji. Pamię-
tam, że kiedy Janusz Minkiewicz wkrótce po wojnie wrócił
z kilkutygodniowej podróży na Zachód i w Warszawie zarucono
go pytaniami, jak t a m jest, odpowiedział: — Tam jest nor-
malnie. — Wtedy jeszcze nie rozumiałem, jaka mądra była to
odpowiedź.

Przyzwyczałem się, chyba od dzieciństwa, cywilizację ame-
rykańską uważać za precyzyjną maszynę, która nie robi błędów.
Częścią tej maszynerii jest armia. Mimo przegranej wojny w
Wietnamie zdawało mi się, że ekspedycja w celu odbicia zakład-
ników, wyposażona w najnowocześniejszy sprzęt techniczny i
opracowana przez wojskowych naukowców, jeśli nastąpi, nie
może się nie udać. Dlaczego tak sądziłem? Czytałem przecież

pamiętniki z drugiej wojny światowej, których autorzy widzieli
armię USA z bliska w czasie wielkich operacji i desantów na
Sycylii, w Tunisie, w Normandii. Przedstawiają tę armię jak
ogromną, racjonalnie zorganizowaną fabrykę ognia, najpotężniej-
sze przedsięwzięcie techniczno-transportowe. Ofensywę rozpo-
czynali dopiero przy dziesięciokrotnej przewadze materiału i pa-
liw. Nie mając jej, cofali się natychmiast. Prawie nie ponosili
strat w ludziach. — Piechota amerykańska — tłumaczył mi
stary dowódca wojskowy z dwoma krzyżkami Virtuti u klapy
tweedowej marynarki — kiedy szła naprzód, nie miała już nic do
roboty. Wchodziła w nieżywy teren, wszystko było przedtem
załatwione przez koncentrację artylerii i bombowców. Widzi
pan, to nie była armia wyczynowa. Zwyciężyły tony wypro-
kowanej stali i skuteczność organizacyjna.

Chciałem dobrej nowiny, potwierdzenia mojej ufności w
gwiazdzysty sztandar Ameryki Północnej, w armię boy-scoutów
lądującą na brzegu naszej półkuli, aby nas ocalić z potopu,
w Amerykanów, którzy na swoją półkulę od dwóch stuleci przy-
mują ludzi z naszej ziemi, uciekających przed nędzą i strachem.
Ameryka. Amerykanie. Do dzisiaj jeszcze wymawiając te słowa
widzę je spowite w romantyczną mgiełkę. Barki desantowe, które
przybijały do normandzkich plaż także widzę w mgle świtu, i tych
biegnących chłopców w hełmach. Wydaje mi się, że w upate-
tycznieniu pojęcia, wizji Stanów Zjednoczonych jestem podobny
do wielu ludzi w Polsce. Łączą z tym krajem wzniosłe przeświad-
czenia, mimo iż zachowali pamięć, że ten sam kraj przed trzy-
dziestu pięciu laty zdecydował o oddaniu Polaków pod domi-
nację rosyjską. Mimo to.

Bo w duszy polskiej, nie tylko w rosyjskiej, współżyją cechy
sprzeczne, jakkolwiek nie jest to dusza opętana przez demony,
a swoich rozdwojeń przeważnie bywa nieświadoma. Gdy Wilek
Mach wrócił z USA po dwóch miesiącach spędzonych w Detroit
u siostr, chłopskich emigrantek z Rzeszowszczyzny, kiedy przy-
jechał do Warszawy i opowiadał kręcąc dużą głową, że nie mógł-
by tam żyć, Słonimski zgromił go wzrokiem. Uznał to za przejaw
komunistycznej propagandy. Nie rozumiał, że Wilek przeraził
się napięcia wytwarzanego przez nowoczesną cywilizację i nie
zniósł psychicznie wyprzedzenia w czasie; poczuł się w Metropolis
ze *science fiction* i pod koniec pobytu bał się wychodzić z domu.
Dobrze czuł się w Indiach.

Antoni nie wybaczył mu tych słów, które godziły w jego
kodeks zasad. Był racjonalistą, walczącym liberałem, tępił wszel-
kie skrzywienia umysłowe i fałszywe wbijane do głów przez tota-

lizm. Nie odstępował od swego kodeksu. Wady miał osobiste, ale zalety publiczne. Różnił się od Iwaszkiewicza, który potrzeby takiego kodeksu w ogóle nie odczuwał, zwłaszcza w swoim przyrodniczym, jak mówiono „prawosławnym” stosunku do władzy. Przypuszczam, że tu leżało źródło ich skłócenia, tak zacieklego i nieprzejednanego. Do śmierci nie pogodzili się ze sobą, tworząc jedną z antagonistycznych par (może nie ostatnią) w polskiej literaturze, po Mickiewiczu i Słowackim, Prusie i Sienkiewicz.

Czego nie mógł wybaczyć Machowi? Krytycznych słów, braku entuzjazmu dla cywilizacji amerykańskiej. Odtąd już nie chciał o nim słyszeć. Nie chciał też słyszeć, kiedy mówiono o dyskryminowaniu Murzynów w USA, lub o tym, że prezydenta Kennedy'ego nie zamordował szaleniec Oswald, lecz zabil go Amerykanie. On, Antoni, który napisał piękny wiersz o polskim Prezydencie zamordowanym przez Polaków.

Rozmawiałem z nim o śmierci Kennedy'ego po moim powrocie ze Stanów w 1966. Będąc w Dallas chodziłem pięć razy na miejsce zamachu, między tunelem a budynkiem księżnicy. Miejsce przypominało odcinek trasy W-Z między Hipoteką i wiaduktem. Opowiadałem Antoniemu, jak nieznamomi przechodnie, mieszkańcy Dallas, wskazywali mi zieleniec za żywopłotem, twierdząc, że stamtąd padły strzały, nie z okna księżnicy, w którym podobno widziano Oswalda. — Złotko — przerwał mi — to są brednie rozsiewane z Moskwy. Przeczytaj w *New York Times* raport komisji Warrena. — Zrozumiałem, że naruszam zwartą całość jego przekonań, budowlę niewzruszoną, w której pewność, że demokracja amerykańska nie ma ciemnych szczelin, jest elementem konstrukcyjnym.

Pamiętam, że wtedy przez chwilę ogarnęło mnie zniecierpliwienie. Więc tak ma już być, zawsze w Warszawie trzeba wierzyć w doskonałość Zachodu, który o nas nie myśli, i przeczyć temu, o czym myśli naprawdę? Jak długo można dawać się oszukać przez siebie samego?

A jednak... równocześnie gdzieś pod spodem rozumu ja także wierzyłem. No tak, wierzymy głupio, że w społeczeństwie amerykańskim przetrwały kwakerskie zasady, które czuwają nad światem i co kilkadziesiąt lat ratują go od stoczenia się w otchłań. Ich usymbolizowaniem są postacie szlachetnych, marzycielskich prezydentów. Taką postacią był Woodrow Wilson, takim prezydentem jest Jimmy Carter.

W dzienniku telewizyjnym pokazano go, kiedy przemawiał w Kongresie. Miał zmartwioną, postarzałą twarz. Jutro wyjeź-

dza do Texasu, by odwiedzić w szpitalu swoich żołnierzy, rannych w zderzeniu samolotów. Sekretarz stanu, jeden z jego głównych doradców, przeciwny akcji odbicia zakładników, podał się do dymisji. Przyglądając się twarzy prezydenta na ekranie TV pomyślałem, że musi być człowiekiem prawym i trochę naiwnym. Tacy Amerykanie, synowie purytańskich kaznodziej i farmerów, mają głęboko wpojone przeświadczenie o zdrowej naturze człowieka i wynikających z niej cnotach społecznych. Stając się politykami i mężami stanu sądzą, że ich antagoniści lub partnerzy na drugim końcu świata są do nich podobni w tym względzie. Po czym doznają szoku w zetknięciu z ich moralnym nihilizmem. Dla nas to jest naiwność. Myślmy wówczas: nic nie rozumieją, bo nie mają naszych doświadczeń, nie wiedzą, czym jest człowiek, bo oszczędzone im były najcięższe próby, jakim go poddawano. W głębi duszy czujemy wyższość i uważamy ich za głupszych od nas, nie uświadamiając sobie, że powinniśmy tę naszą nieszczęsną wyższość czym prędzej usunąć z myśli. To oni mają wyższość nad nami, właśnie dlatego, że nie przeżyli naszych piekieł. Być może są lepsi od nas, bo nie poznali zła, któremu my podlegamy. U nich dla udowodnienia prawdy wystarczą świadkowie, u nas, by udowodnić prawdę, trzeba ofiar. Oni żyją od wieków w demokracji. Demokracja znaczy między innymi to, że oszczędza się człowiekowi najokrutniejszych prób. Słusznie zakładając, iż są one ludziom niepotrzebne, a wiedza o nich byłby na nie wystawiony. Póki nie zatriumfuje cynizm barbarzyńców.

Pod jednym względem mamy bądź co bądź przewagę nad nimi. Oni u siebie zdobyli tyle wolności (nie wiedzą o tym!), że mogą ją zamienić jedynie na niewolę. My natomiast, nam wolność zawsze prześwituje w marzeniach, my jej pragniemy, czekamy na nią, i w tym nasze górowanie, i może tylko to czyni nas lepszymi od nich. Nie uświadamiamy sobie tego — ani oni, ani my.

Patrzę w telewizor i zastanawiam się, czy ten prezydent o małych stopach i chłopięcym uśmiechu będzie w historii USA dobrym prezydentem. Pocięszam się: z pewnością nie otacza go grono złych współpracowników. Któryś z dawnych myślicieli napisał przed wiekami: „Lepszy zły władca otoczony przez dobrych współpracowników, niż dobry otoczony przez złych. Dobrzy współpracownicy mogą uczynić złego władcę dobrym. Zli — dobrego mogą uczynić złym”.

Ale kto to napisał, gdzie i kiedy? Cytat znalazłem na luźnej

kartce między stronicami brulionu. Macchiavelli...? Tacyt...?
Nie zanotowałem.

Wczorajszej nocy sen, że Jarosław po śmierci żyje w Nieborowie, w parku, gdzie kazano mu być jedną z tamtejszych „bab” kamiennych, przywiezionych z Ukrainy. We śnie Nieborów był poplątany ze Stawiskiem.

m a j

Piątek. Dziewiąty maja. Trzecia zbiorowa głódówka. W Leśnej Podkowie, w kościele, na znak solidarności z głodującym w więzieniu mokotowskim założycielem NOW-ej Mirosławem Chojckim i — w więzieniu gdańskim — Dariuszem Kobzdejem, ciężko pobitym przez milicję. Głoduje trzynaście osób, w tym członkowie KOR-u i Ruchu Obrony Praw.

Przed dwiema godzinami podała tę wiadomość radiostacja WE. Jest 10-ta rano. Trzydzieści pięć lat temu skończyła się wojna.

Co robiłem, co się działo przez sto pięć dni, odkąd ukończyłem pierwszy tom „Miesiący” — nie wszystko zapisywałem. Wymieniam od końca:

25 marca. Aresztowanie Chojckiego. Przed tygodniem omawiał ze mną sprawę wydania „Miesiący”. Spokojny, z uśmiechniętą czujnością w oczach. Okolona płowym zarostem twarz, mizerna, znękana. „Za sześć tygodni prześlemy panu maszynopis do korekty”. Niewiarygodna uprzejmość i elegancja człowieka szczonego od lat przez policję. Zaniedbany wygląd, ręce poplamione jakby farbą.

19 marca. Ekstrakcja siedmiu zębów w przychodni stomatologicznej na Freta. Bez zastrzyku. Wyrwano mi je o 8-ej. O 12-ej zwrócono co do jednego, prawie identyczne. Dentystka: „Dzielnny pacjent”. Mądre niebieskie oczy i palce delikatne, silne.

Marzec, bez daty. Przedśmiertny dziennik Stachury w *Twórczości*. To co o Stachurze wcześniej pisałem w „Miesiącach” — jeżeli z pobłażaniem czy lekceważeniem — cofam wszystko. W pokorze i strachu, lewą ręką kreślił ołówkiem swoje zapiski przed drugim samobójstwem. I w nich pełen miłości obraz cudowny jego matki, pisany z taką skruchą. Chory ptak boży, męczennik. Czyta się te kartki jakby łamiąc dyskrecję, nakaz

milczenia w obliczu śmierci. Miałem uczucie, że podsłuchuje spowiedź umierającego.

12 marca. Podpisałem list grona pisarzy do Akademii w Sztokholmie, wysuwający kandydaturę Czesława Miłosza do nagrody Nobla.

1-10 marca. Lektura „Dziennika” Gide’a. O starości napisał: „Trudniej podnieść szklankę do ust, ale też ma się mniejsze pragnienie”. A nieco dalej opisuje swoją noc miłosną z piętnastoletnim Arabem. Miał wtedy 70 lat.

2 marca. Telefon od Andrzeja Kijowskiego z wiadomością o śmierci Jarosława. Na dzień przedtem, leżąc w nowej, złocistej piżamie, powiedział do córki: „Ładny będzie ze mnie aniołek, prawda tak?”.

Luty. „The Fifth Business” Robertsona Daviesa. Jedna z ostatnich prawdziwych powieści. Przysłał mi ją Hilary Korprowski z Filadelfii, mój kolega szkolny, biolog, pianista, współwynalazca szczepionki przeciw chorobie polio. W gimnazjum tłumaczył Rilkego. Powieść Daviesa ukazała się podobno kilka lat temu w polskim wydaniu, recenzji prawie jej nie dostrzegłem. W tym samym czasie: „Kościół wczesnego średniowiecza” Daniela-Ropsa, gdzie autor przytacza słowa św. Augustyna: „*Noverim me, noverim te*”. („Jeśli poznam siebie, poznam ciebie”). Półtora tysiąca lat temu rozumiano już etyczno-poznawcze znaczenie samoświadomości. A mnie się roiło, że dopiero ja w sobie je odkrywam. Często o tym mówiłem i pisałem.

Także w lutym. Powiedzenie taksówkarza urągającego na rząd, kiedy jechałem na ulicę Bema: „Proszę pana, Hitler mordował, zabijał, ale dawał życie”. Gdybym na własne uszy nie posłyszał, wziąłbym to za makabryczną anegdotkę.

W sobotę (luty, nie pamiętam dnia) na przyjęciu u Wiktorów z recytacjami Haliny poznałem wnuczkę Piłsudskiego.

Styczeń. Ponowny wysiłek przeczytania „Ulissesa” Joyce’a. Nie przebrnąłem. Czy kiedyś się nie okaże, że ten arcynowotwór jest dziełem powstałym z wynaturzeń zachodniej kultury, wielkim literackim polipem? Smakosze kulinarni uwielbiają polipy. Przeczytałem także „Dziennik” Anaïs Nin, wraz z entuzjastyczną przedmową Zbigniewa Bieńkowskiego. Nie pojmuję. Jak to się dzieje, że egocentryczkę o wysztuczonych krygach *précieuse’y* inteligentni ludzie stawiają w rzędzie klasyków literatury.

20 stycznia. Całkowicie pewna informacja dotycząca sprowadzenia zwłok Witkacego ze wsi Jeziory, obecnie na terytorium ZSSR. Iwaskiewiczowi po wielokrotnych staraniach zakomunikowano kategorię *niet* sowieckiej ambasady. Opowia-

dał o tym mojej informatorce. Chodzi przypuszczalnie o datę śmierci: Witkacy podciął sobie żyły nazajutrz po 17 września 1939. Przekazałem wiadomość Gustawowi Cz., który prosił mnie o to jeszcze przed nowym rokiem będąc w Warszawie.

Styczeń, początek miesiąca. Cytat z Szekspira: „*Hardness ever of hardness is mother*”. Można by to przełożyć: „Surowość jest matką dzielności”. Wolałbym jednak: „Odważa matka odwagi”.

Powinienem jeszcze się cofnąć z powrotem do lutego. Nie umiem sobie przypomnieć ściślej daty, ale chyba pod koniec lutego odbył się mój wieczór literacki w Towarzystwie Kursów Naukowych. Odbył się w sposób niebanalny. Przez wiele lat unikałem spotkań z czytelnikami w Klubach Prasy i Książki lub Domach Kultury (teraz już mnie nie zapraszają), tych spotkań organizowanych, będących w istocie formą zastępczą, namiastką prawdziwej dyskusji między społeczeństwem a pisarzem. Z góry można wszystko przewidzieć: zagajenie, treść pytań i wiązanek goździków wręczoną przez kulturalną i oświatową panią. Ale mój wieczór na Latającym Uniwersytecie odbiegł od zwykłego rytuału.

Już rano, kiedy wyszedłem z domu, od razu poczułem na sobie wzrok moich czytelników. Poczułem go na plecach. Szli za mną przeciwnie chodnikiem trzymając się blisko ukraińskiej wycieczki, zwiedzającej najstarszą dzielnicę Warszawy. Kiedy zwolniłem kroku, oni także zaczęli iść wolniej. Było ich trzech, jeden, w pikowanej fufajce, z wesoło zadartym nosem, uśmiechał się do mnie. Przystanąłem, oni też przystanęli. Oglądali witrynę sklepu z pamiątkami, rzucając mi porozumiewawcze, życzliwe spojrzenia. Zrozumiałem, że chcą, abym ich spostrzegł i że mam się domyślić, po co za mną idą. Mój wieczór był wyznaczony na godzinę 17-tą. Powinienem od rana mieć pewność, że moi czytelnicy są o nim uprzedzeni i przyjdą niezawodnie.

M. była w sklepie na rogu Długiej. Wstąpiłem po nią, mieliśmy przed południem jeszcze pojechać na Żoliborz. W pobliżu Świętojerskiej obejrzałem się nieznacznie za siebie. Moich czytelników było teraz pięciu. Zerkając na mnie szli tuż za kołchozową wycieczką. W swych kurtkach i paletkach, z gołymi głowami (jeden długowłosa, z dzinsową torbą na ekler), odróżniali się wyglądem od krótkonogich radzieckich chłopów w ogromnych futrzanych czapach. Kiedy M. skrzyła w Bonifraterską do „Delikatesów” po zakupy, a ja zostałem czekając na rogu,

moja piątka rozdzieliła się. Dwóch poszło za M., trzech przystało niedaleko mnie po drugiej stronie jezdni.

W kwadrans później wsiedliśmy do samochodu. Nikt nie pojechał za nami.

Wieczór miał się odbyć w mieszkaniu państwa B. na ulicy Bednarskiej, w dole, przy rynku Mariensztackim. M. postanowiła mi towarzyszyć. Denerwowała się o mnie: — Jeżeli cię zatrzymają, wolę być przy tym. — Jest wpół do 5-ej. Idziemy, trzymam w ręku zwinięte w rulon kartki. Dwóch czytelników oczekuje nas przy schodach, pod spisem lokatorów. Na nasz widok zaczynają głośno rozmawiać o czyjejs kuzynce. Wychożą za nami. Nie oglądam się, idziemy Piwną, później Krakowskim Przedmieściem koło św. Anny i Res Sacra Miser. Ruch po godzinach biurowych, dużo ludzi na przystankach, tłok w sklepach. Opowiadam M. o Anaïs Nin i jej dziwacznych związkach z pisarzem Henry Millerem. Skręcamy w Bednarską. Przed bramą, za okazałym budynkiem dawnego zamtu, gromadka mężczyzn o wyglądzie bokserów wytacza się na chodnik bluzgając świństwami. Wśród nich krępy, pałakowaty blondyn, twarz cała w szramach i krostach, jakby czerwonoskóry, z alzackim owczarkiem na smyczy. Trzeba ich obejść jezdnią.

Z odległości stu kroków widzę w dole ulicy narożny dom, obstawiony przez wielbicieli mojego talentu. Przyjechali. Trzy osobowe Fiaty i Nysa z białym znakiem MO. Przed domem stoją młodzi ludzie z nadawczo-odbiorczymi radijkami, chyba podchorążowie służby bezpieczeństwa, ubrani w konfekcję z „Juniora”, między nimi kręcą się ukosmetykowane dziewczyny w czapeczkach zsuniętych na oczy. Zbliżyliśmy się powoli. Spostrzegam profesorów Amsterdamskiego i Geremka, idących ku nam od placyku. Dowiaduję się od nich, że u państwa B. jest milicja. Równocześnie nadchodzi Wiktor z Ryszardem Krynickim. Wiktor w berecie, pobladły ze wzburzenia. Woła do mnie: — My jesteśmy już *po!* w mieszkaniu rewizja! — Przybywa jeszcze małżeństwo naukowców, państwo Sławińscy, i Jacek Bocheński z nieśmiałym poetą Andrzejem Szmidtem, który o moim wieczorze dowiedział się na obiedzie w Klubie. Pojawia się też długi, wąski historyk w okularach, docent Jedlicki.

Decydujemy, iż mimo wszystko pójść trzeba. Jest za parę minut 5-ta. Dwie osoby zostają, by ostrzec i zawrócić studentów. Przechodzimy obok policyjnych samochodów, młodzi ludzie nas nie zatrzymują. Idziemy całą grupką. Na schodach M. wzięła ode mnie rękopis i schowała do torby.

Na gorze u państwa B. dowody osobiste zbierał od nas trzy-

dziesięcioletni cywil o szczupłych rękach z meszkiem (granatowy golf pod dobrze skrojoną popielatą marynarką), z walejańską smugą puchu wokół twarzy i jasnoszarymi oczami, nieco skośnie osadzonymi blisko nosa. Miał zawieszony u boku radioaparat z antenką. Poruszał się cicho, sprawnie. Obserwując go przypomniałem sobie opis męskiej postaci „z twarzą lisa, który zdradził swój gatunek i poluje z ludźmi”.

Rewizja — w języku Urzędu przeszukanie — trwała już w sąsiednim pokoju. Nas trzymano w większym, podobnym do obszernej mansardy. Ładne stare meble, pod ścianą stół owalny, teraz zasłany papierami. Przy nim urzędniczka Rady Narodowej spisująca personalia. Miejsce pracy, zawód. W odpowiedzi padają nazwy uczelni i instytucji: Uniwersytet Warszawski, Akademia Nauk, Instytut Badań Literackich, oraz stopnie naukowe: profesor, docent, adiunkt. Dwie kobiety z tytułami profesorów, wylegitymowane przed naszym przybyciem, funkcjonariusz kierujący akcją prosi o opuszczenie lokalu. Gospodarze, dwoje niemłodych ludzi z dawnej inteligencji, odprowadzają je do drzwi, przy których stoi milicjant w czapce z rzymskim pod brodą. Ktoś pyta, czy można zatelefonować. Nie, to niedozwolone. Gospodarz, siwiejący pan, głęboko zażenowany, częstuje nas papierosami z domowej szkatułki. Co jakiś czas w radioodbiorniczkach brzęczą głosy nadawane przez obstawę z dołu.

Mężczyźnie z radioaparatem u boku wręczamy oboje nasze dowody. Przy stole chwila wahania, jak gdyby namysłu. Kierownik akcji podchodzi do mnie. Oznajmia, iż przeszukanie lokalu zarządzono z nakazu prokuratora i jeśli życzą sobie, mogą być nadal obecni w charakterze świadka. Wtedy odzywa się protokółująca urzędniczka, wskazując na kogoś z wąsami, siedzącego pod ścianą za stołem: świadkiem zgodził się być sąsiad państwa B. Pytam, czy można się zapoznać z uzasadnieniem i celem rewizji. Na co kierownik, oficer Komendy Stołecznej MO (tak mi się przedstawił), oświadcza, że nie jest to możliwe. Mówiąc spogląda na mnie uważnie, z niejaką ciekawością i leciutkim pół- a może ćwierć-uśmiechem w ostrobłękitnych tęczówkach. Nie mógłbym go określić jako człowieka odpychającego. — Skoro przybyli tu państwo z wizytą towarzyską, możecie państwo wrócić po zakończeniu przeszukania. — To mnie zdziwiło. Pytam, czy dobrze zrozumiałem. — No, to są żarciki... — mruknął stojący obok mnie profesor Geremek.

Zwrócono nam dowody, wychodzimy. W przedpokoju żegnają nas gospodarze, pan i pani B.

Przez cały czas tych formalności czułem wpity we mnie wzrok milicjanta postawionego koło drzwi. Był to zupełnie młodzieńki milicjant. Wyglądał na wiejskiego chłopca: cienki, wysoki, mocno rumiane policzki i ciemne oczka jakby znieruchomiałe w wysiłku rozumienia. Nie spuszczał ich ze mnie. Opowiedziano mi później, że dr Sławińska, wychodząc przed nami po zapisaniu jej danych personalnych, spytała go, czy wie, że miał się tutaj odbyć mój wieczór literacki i czy zna moje książki. Wtedy milicjant jeszcze bardziej spłoszył: — A pani myśli, że milicja nie czyta? Na szkole było mówione o książkach pana Brandysa. — No i widzi pan, przeszkodziliście mi dziś w spotkaniu z czytelnikami... — Proszę pani — zdenerwował się milicjant — ja tu jestem służbowo z dzielnicy. A musi pani przyznać, że zachowuję się grzecznie.

Na dole obstawa nas przepuszcza markując całkowitą obojętność. Również tu burczą głosy w odbiorniczkach. Czekamy na placyku, aż zwolnią innych po wylegitymowaniu. Nadchodzi Jacek Bocheński, za nim Andrzej Celiński z rady programowej TKN-u, wreszcie ironicznie skrzywiony dr Jedlicki. Brak jeszcze doktora Geremka. Wyłania się po dłuższej chwili zza milicyjnej Nysy, krocząc lekko, z jasną bródką wysuniętą do przodu. Miał ze sobą oficjalny skrypt uniwersytecki, nie zgodził się go okazać, chciano go poddać osobistej rewizji. Kiedy zażądał sporządzenia oddzielnego protokołu, urzędniczka krzyknęła z rozpaczą: — Panie profesorze, ile będę miała pisaniny! Niechże pan da spokój, bardzo proszę! — Wtedy profesor Geremek ulitował się i okazał skrypt.

Wracamy o zmroku Krakowskim. Zapalają się światła autobusów. Fala pieszego ruchu zdąża w stronę kawiarni i kin. W „Warsie” idzie francuski dramat psychologiczny, na Starym Mieście przeblyskują czerwone wnętrza knajpek. Dopiero teraz poczułem zmęczenie. Po drodze M. wyciągnęła mój rękopis z torebki. — Masz, chyba się nie pogniotł.

W domu wypijamy z Jackiem po dwa koniaki i rozmowa o tym, co się nam przydarzyło. Można by nawet użyć epitetu „jeszcze jedna z naszych wspólnych przygód”. Mówię, że zapadł mi w pamięć milicjancik stojący przy drzwiach, ten z oczkami utkwionymi w nas jak para gwoździ. Musiał przeżywać trudne chwile, bo ujrzał rzecz niepojętą: ludzi, którzy wiedząc, że dom obstawili Bezpieczeństwo, a w mieszkaniu odbywa się rewizja, weszli zamiast się cofnąć. Pewnie strasznie go zdumiało to anormalne zachowanie się docentów i profesorów. (Nazajutrz

dowiedziałem się, że identycznie postąpiły spóźnione o pół godziny profesor Janion i Żmigrodzka: weszły na górę).

Zastanawiam się: co on teraz myśli, albo co jutro pomyśli ten chłopak w sztywnej czapce, który tak usilnie wbił w nas spojrzenie. Tak, wbił w nas spojrzenie, ale w niego wbił instrukcje na odprawie. Ile lat był „na szkole”? Rok, dwa? Dwa lata wbijania policyjnej nowomowy w mózg.

Nowomowa...

Rozważając działalność TKN-u, a właściwie jej dławienie i paraliżowanie, opowiadam o zeszłorocznym konwersatorium TKN, z ciekawą dyskusją, którą później opublikowano — konwersatorium czy seminarium w dwupokojowym mieszkanku profesorskim, gdzieś w blokach na dalekim osiedlu, dokąd zawiózł mnie Andrzej Kijowski w zimny, mokry wieczór. Dwadzieścia kilka osób i magnetofon obsługiwany przez studenta przykucniętego ze słuchawkami na uszach. Tematem był *język propagandy*. Nie zabrałem wtedy głosu, czułem się do dyskusji słabo przygotowany — wolałem słuchać niż przemawiać. Ale teraz, kiedy streszczam ją M. i Jackowi, dopiero teraz sobie uświadamiam, dlaczego nie wziąłem w niej udziału.

Dyskusja była interesująca, chwilami, jak piszą dziennikarze, błyskotliwa, lecz poszła w jednym kierunku: analizy lingwistycznej. Naturalnie, z odgałęzieniami w stronę polityki i socjologii; np. któryś z mówców przytoczył zdanie Szestowa, że komunizm jest „władztwem” słów. Niektórzy z przemawiających usiłowali wyjaśnić związki pomiędzy *nowomową* a myśleniem i odpowiedzieć sobie na pytanie, czym jest w istocie ów język urzędów, działaczy partyjnych, środków masowego przekazu: językiem władzy? żargonem totalizmów? powielanym zboczeniem umysłowym? Dyskusję ubarwiły absurdalne cytaty z gazet i przemówień, często też brzmiał w niej pogłos lektur „Języka Trzeciej Rzeszy” Klemperera.

Czego mi w niej zabrakło, refleksji historycznej? Powiedzmy inaczej: próby diagnozy porównawczej w celu ustalenia, czym jest nie tylko ów język, lecz system, który go wytwarza. Twierdząc, że jest częścią systemu imperium, i przedstawiam mój pogląd, według którego imperia militarne dzielą się na teokracje oraz biurokracje. Proszę, by obydwa wyrazy umieścić w cudzysłowie i wyłączyć z mojego poddziału Stany Zjednoczone czy dawną Wielką Brytanię, jako imperia cywilne (także w cudzysłowie). Teokracją był Egipt faraonów, Islam Średniowiecza, Cesarstwo Bizantyńskie. Biurokracjami — Rzym Cezarów, monarchia Habsburgów czy Francja Ludwika XIV. Trzecia Rzesza Hitlera, Chiny

Mao-Tse Tunga i leninowsko-stalinowskie imperium sowieckie były według mnie teokracjami. Każda z owych machin imperialnych, mówię, posługiwała się swoim językiem władzy, umownym, zrutynizowanym. Jakkolwiek dla nas dzisiaj pozbawione sensu lub niekomunikatywne, wszystkie te „staro- i nowomowy” były oparte na jakimś sakralnym pojęciu: Boga, Dynastii, Rasy, Proletariatu... Warto by więc sobie przypomnieć, w jakim stylu pisane były orędzia do wiernych narodów Cesarsko-Królewskiej Austrii, przewertować, jeżeli istnieją, teksty archiwalne Zakonu Braci Krzyżowych, lub — o ile przetrwały — dokumenty rzymskich kancelarii cezariańskich. I zbadać ich język, porównać go z matrycami dzisiejszej „nowomowy”. Warto w końcu powiedzieć sobie, czym jest obecne imperium sowieckie, któremu podlegamy, jak kraj żydowski za Herodów podlegał Rzymowi, czym więc jest ZSSR Leonida Breżniewa i jego politbiura, supermocarstwo, którego językiem urzędowym przemawiają ministrowie, prasa i telewizja w Polsce. Teokracją na pewno już nie jest. Upieram się, że odpowiedź na takie pytanie byłaby rzeczą ważną, bo po pierwsze zawsze lepiej wiedzieć, gdzie się żyje, a po drugie — i tu rozwijam mój pogląd — owe dwa rodzaje imperiów wstrząsane są odmiennymi katastrofami i każde w inny sposób upada. W moim przekonaniu teokracje powala cios zadany z zewnątrz, biurokracje zaś umierają z wewnętrznego gnicia. Warto by więc, powtarzam, zasiać do językowych badań porównawczych, albowiem —

Tak rozmawiamy. Niestety, przede wszystkim pamiętam to, o czym sam mówiłem. Wpadłem zresztą w monolog, widocznie moje spotkanie z czytelnikami ożywiło mnie intelektualnie. Około 9-ej dzwoniły na Bednarską. Telefon przyjęła gospodyni, pani B. Właśnie przed chwilą zakończono rewizję. Oczywiście rewizja była tylko pretekstem.

Co do tego żadnych wątpliwości. Rewizję zarządzono po to, aby nie dopuścić do sesji Latającego Uniwersytetu. Kolejne posunięcie w celu udaremnienia pracy samokształceniowej TKN. „Skoro przyszli tu państwo z wizytą towarzyską...”. To że mój wieczór miał się odbyć i kiedy, dzień, miejsce, godzina, wszystko było wiadome, mówiło się o tym na Uniwersytecie, w IBL i w Klubie. Nowa metoda utrzymuje pozory praworządności i obraca przeciw TKN zasadę jego działania, jawność. Metoda, przynajmniej, ofiarna. Zmobilizowano spory oddział ludzi, samochody, wyposażenie techniczne, więcej — operację z pewnością musiano przemyśleć. Komenda Stołeczna, Prokuratura, Rada Narodowa... Ile godzin, kosztów i energii zużyto, by stawić czoła

gustie naukowców i studentów. Kiedy przeprowadzano u mnie rewizję przed wojną, był tylko jeden tajniak i jeden policjant plus dozorca. Nie tylko my zdobywamy doświadczenia i uczymy się nowych sposobów życia. Nasza policja także.

W kwadrans po wyjściu Jacka krótki dzwonek u drzwi do mieszkania. Oboje zrywamy się od stołu. — To ciekawe — mówię idąc otworzyć.

W sieni przed drzwiami stoi wysoki chłopak. Wymienia moje nazwisko. Czarnymi oczami przygląda mi się pilnie i raptem widzę: ależ to mój milicjancik z Bednarskiej, przebrał się w kozuszek i dzinsy! Dopiero gdy mi podał owinięte w celofan kwiaty, zwątpiłem, czy tamten potrafiłby się uśmiechnąć z tak inteligentnym błyskiem w oku. Ale naprawdę byli niezwykle podobni. Student historii — może jeden z ostrzeżonych przed wejściem na górę. Do celofanu przypięte trzy wizytówki od trojga wykładowców. Irysy, gerbery i kilka skreślonych słów: „Na pamiętkę niedoszedłego wieczoru...”.

Opisuję wstecz, z opóźnieniem dwóch i pół miesięcy. Gdybym był pisał na żywo, w trakcie jak się działo, pewnie krócej był wyszło.

Z kwietniowego pobytu w Oborach najlepiej zapamiętałem popołudnie, kiedy odwiedzili nas Iza i Bohdan Tomaszewscy z dwoma Minkiewiczami, Januszem i Władkiem. A zwłaszcza opowiadanie o wagarach na procesie brzeskim.

Była to swobodna, zupełnie odprężona rozmowa w naszym dużym pokoju, przy otwartych oknach pełnych światła, jak gdyby luźna tkanina, w której splatały się wątki Dwudziestolecia, wojny i pierwszych lat po wojnie. Twarze młodych kobiet, dzisiaj umarłych albo dożywających starości gdzieś za Oceanem, i kolegów szkolnych, którzy zginęli lub stali się uczonymi, politykami, managerami zagranicznych koncernów, nazwy przedwojennych kawiarni, ulic, sklepów, i letnie przedpołudnia na basenie „Legii” — wszystko nagle i razem wyłoniło się z zaświatów pamięci. Obaj Minkiewicz, bracia stryjeczni, byli uczniami gimnazjum Ziemi Mazowieckiej na ulicy Klonowej. — Pamiętasz — mówi Władek — jak urwaliśmy się z klasy na proces brzeski? Zobaczył nas Rataj, przyszedł zeznawać z obronie postów, jako marszałek Sejmu. Wieczorem zatelefonował do twojego ojca: „A tak, widziałem obydwóch. Wagarowicze! Siedzieli sobie wśród publiczności i na mój widok zasłonili się *Tajnym Detektywem!*”.

Ja także ich zobaczyłem: dwóch krótko ostrzyżonych szóstkolistów z przedziałkiem i niebieskimi patkami na klapach ma-

rynarki, pochylających głowy za płachtą *Tajnego Detektywa*, żeby ich nie rozpoznał przyjaciel stryja i ojca. Szczególne, dlaczego akurat ten epizod nabrał dla mnie tyle powietrza i barwy, że poprzez niego zobaczyłem wszystkie tamte lata, ich nastrój, światło, zapach? Zaden film w technicolorze nie zdołałby tego osiągnąć. Niekiedy bywa podobnie z płótnami starych mistrzów. Jakaś scenka w głębi, drobny szczegół tła, mówią najwięcej, oddają prawdę czasu — tworzą obraz.

W tej dwugodzinnej rozmowie sprawiało mi przyjemność coś jeszcze, co uświadomiłem sobie dopiero nazajutrz. Sposób mówienia, dykcja. Był to inny od dzisiejszego rodzaj akcentacji i wymawiania głosek. Tę fonetykę polszczyzny ubiegłych epok zachowała dziś tylko część inteligencji. Cechuje ją chyba staranniejszy dotyk języka do podniebienia i zębów przy spółgłoskach. Różnice między *cz*, *sz*, *ż* a *ć*, *ś*, *ź* nie są zacierane, podobnie jak między głoskami *i* – *y* oraz *l* – *ł*. Ktoś użył na to określenia „luźniejszy munsztuk”, określenie aktorskie. Ale ma się rozumieć wchodzi też w grę odmienna melodyka, głębiej umieszczone źródło głosu, a prócz tego bogatszy zasób słów i rozbudowana składnia.

W sobotę wypuszczono z aresztu Chojeckiego. Nastąpiło to w kilka dni po walnym zebraniu warszawskim Związku Literatów, na którym większość mówców domagała się jego uwolnienia. Stu kilkunastu pisarzy skierowało list do Zarządu Głównego z żądaniem niezwłocznego wszczęcia kroków u władz. Prezydium Zarządu na mocy jednomyślnej uchwały takie kroki podjęło. Zwolnienie Chojeckiego było niewątpliwie bezpośrednim skutkiem listu, zebrania oraz narastającej fali protestów w innych środowiskach. W sobotę przedpołudniem do Obór przyjechał młody filozof z wiadomością o dwustu kilkudziesięciu podpisach złożonych pod protestem naukowców w sprawie Chojeckiego. Zgodziłem się, w wypadku gdyby nie znalaziono lepszego kandydata, opatrzyć ich tekst tzw. listem przewodnim i wysłać do Sejmu, Rady Państwa oraz Prokuratury Generalnej. Po godzinie w czasie kolacji wzywają mnie do telefonu. Słyszę głos filozofa, który dzwoni już z miasta: — Sprawa nieaktualna, chłopak jest w domu.

Ale dotychczas nie wypuszczono innych, którzy siedzą w Warszawie i Gdańsku. W Podkowie Leśnej liczba głodujących w kościele powiększyła się do 24 osób. Wraz z innymi dołączył się krytyk literacki Tomasz Burek i Ryszard Krynicki, poeta. Burka widziałem ostatnio pod koniec zeszłego miesiąca w Klubie

przy szatni (na nowo zapuścił długie włosy), a Krynickiego w lutym, przed moim występem na Bednarskiej. W małym kościele głodują przy dźwiękach gitar i śpiewów — „nabożne tanga”, jak mówi Halina Mikołajska — z chóru śpiewa im pieśni uczestniczka głodówki, Róża Woźniakowska, córka pisarza.

Cztery, pięć lat temu dziennikarze zagraniczni stawiali mi nieodmienne pytanie: jaki program i cel i jakie szanse ma ruch wolnościowy w Polsce, do czego politycznie zmierza? Nie syciły ich moje odpowiedzi. To było wkrótce po założeniu KOR-u, w dniach zbierania składek dla rodzin więzionych i bitych robotników z Ursusa i Radomia. Nie istniały jeszcze Studenckie Komitety Solidarności, TKN ani NOW-a. Przypominam sobie, że jakiś czas przedtem w mieszkaniu prof. Lipińskiego zeszło się kilkanaście osób. Radzono, co czynić dalej. Nie byłem zwolennikiem utworzenia stałego komitetu. Sądziłem, że bardziej skuteczne będą akcje inicjowane doraźnie, zależnie od zmiennych sytuacji, działania o charakterze niejako partyzanckim. Tak jak prowadzono je dotąd w środowisku literackim. Natrafiłem jednak na opór paru młodych ludzi, wśród nich Chojeckiego. Pierwszy raz go widziałem. Profesor Edward Lipiński od lat jest kolekcjonerem zabytków i starych dzieł sztuki. W pokoju wypełnionym antycznymi meblami, pucharami, szyszakami Chojecki uzasadniał swój sprzeciw. Obstawał przy stworzeniu ciała organizacyjnego, twierdził, że apele i podpisy nie wystarczą. Dlaczego — zapytałem. Wstał i wytłumaczył. Zony i matki aresztowanych robotników boją się przyjmować zasiłki z niewiadomych źródeł, ich nieufność można by jednak rozproszyć powołaniem się na założony w tym celu komitet społeczny, z nazwą, z pieczętą. Nie przekonał mnie wówczas. Ale zjednał. Tym mianowicie, że przeciwstawiając się mojej opinii (podzielało ją zresztą więcej osób, Andrzejewski, Kijowski), że występując zdecydowanie i twardo, przez cały czas patrzył na mnie żartobliwym spojrzeniem, jakby nieco figlarnie, i mówił ściszym, miłym głosem, z pewnego rodzaju kurtuazją. W trzy dni później dowiedziałem się, że powstał KOR.

Jakiej odpowiedzi mogłem lub powinienem był udzielić norweskim i angielskim dziennikarzom? Program, cel polityczny... szanse. W ogóle nie miałem takich odpowiedzi w głowie. Słusznie byłoby wzruszyć ramionami — podobnie jak zareagował Jerzy Andrzejewski — albo wyjaśnić, że studenci uganiający się za pieniędzmi dla rodzin aresztowanych, ci chłopcy, którym milicja groziła skrytobójstwem, że właśnie oni stanowią naszą szansę. Nie, nie miałem żadnego programu. Widziałem jednak,

co się dzieje w mojej dziedzinie, jak ją utrupia cenzura i administracja. Czułem, że nie potrafię być głępszym od siebie, pisać i myśleć połową świadomości, tą dozwoloną przez Urząd Kontroli. A to już znaczyło należeć do opozycji. Zdaje się, że nazwę „dysydenci” wymyślili paryscy dziennikarze. Byłem więc dysydem i chcąc nie chcąc dowiadywałem się, jak dysydemtom się żyje.

Były to pierwsze miesiące po powstaniu KOR-u, okres anonimów i pogroźek. Tajniacy i konfidenci zabrali się do roboty. U Marianów nie ustawały telefony: „Podobno pani Mikołajskiej płacą w dolarach, chętnie bym odkupił...”. Wsypywano metalowe opiłki do zamków u drzwi, przez okno do pokoju Mariana wrzucono zgniłe jajka, a któregoś dnia wtargnęła do mieszkania gromada mężczyzn, podających się za delegację klasy robotniczej; stojąc nad łóżkiem wygrażali Halinie, chorej tego dnia.

Metody były nader urozmaicone. Prezerwatywa w przesyłce pocztowej nadanej na adres starej, czcigodnej pani, anonimy z obscenicznymi rysunkami, zarobaczone łachy w paczce z wtkniętym świstkiem: „odzież dla rodzin z Ursusa”; życzliwy list od pułkownika z Warszawy, który — pełen uznania dla moich książek — przekonywał mnie, iż nie powinienem ufać agentom pokroju Adama Michnika, uciekającym na Zachód po to, aby bezcześcić imię Polski. Nadejście listu zbiegło się w czasie z powrotem Michnika, który przyleciał z Paryża wiedząc, że grozi mu aresztowanie. Lotnisko było pełne służby bezpieczeństwa, aresztowano go niedługo później. I jeszcze inny list, z Sosnowca: „Panie Brandys, u nas pod Sosnowcem w 1942 roku polski policjant zastrzelił niejakiego żydka Icka Brandysa. To może był pana krewny?”.

Tak opracowywano mi program. Przyszłą, że moje zdumienie było wielkie. Widocznie mimo wszystko, pomimo marcowych doświadczeń 68, wciąż jeszcze nie domyślałem się, ile plugastwa i gnoju leży pod spodem gmachu budowanego przez trzydzieści lat. Nie sądziłem. To co od progu stulecia wieszczą intelektualności na Zachodzie, moralna samodegradacja, niszczenie ludzkich wartości, zerwanie umowy społecznej, i co chętniej odnosiłem do ich części świata, znowu sprawdzało mi się w naszej. Na szczęście nie byłem sam. Ale gdyby nie garstka ludzi, którzy wtedy, nie czekając na mnie, założyli KOR, i ci, którzy dzisiaj głodują w więzieniach i kościołach, gdyby nie oni, nadal tkwiłbym w beznadziei jak w lochu.

Program działania... szanse... Zachodni korespondenci nie rozumieją, co to jest polskie „być albo nie być”. Nie wiedzą,

czym jest kraj, w którym sto lat temu sprawą narodowej wolności zajmowało się czynnie nie więcej niż kilkaset osób, z niezbyt jasnymi programami i bez praktycznych szans. Nazwano to walką o niepodległość. Z opowiadań mojego brata pamiętam jego wspomnienie o rozmowie z francuskim majorem, arystokratą, którego poznał w oflagu Hammerstein. Francuz wychwalał Pétain, mówił o nim jak o zbawcy ojczyzny. Mój brat zachnął się i wymienił Polskę, gdzie Niemcom nie udało się znaleźć ani jednego kolaboracjonisty na miarę państwową. — Tak, ale między Francją a Polską — uśmiechnął się Francuz — jest różnica. Po przegranej wojnie Polska przestaje istnieć, a Francja istnieje dalej. — Tego, w jaki sposób Polska mimo przegranej wojny również dalej istnieje, z pewnością ani rusz nie umiałby pojąć. Doprawdy trudno zrozumieć dzieje narodu, który przez niemal 300 lat do dni obecnych (liczę skromnie od Piotra Wielkiego) znajduje się w położeniu bez wyjścia, kiedy jedyną szansą jest upór ludzi ratujących go od duchowej śmierci.

Mówiąc lub pisząc o podobnych sprawach łatwo wpaść w egzaltację i patos, a to zawsze grozi śmiesznością. No więc ryzykuję, że komuś wydam się śmieszny. Niech będzie. Niech wyda się śmieszne, że w dzisiejszym świecie można jeszcze uwierzyć w czyjąś prawdość. Czy nie mówiono mi: znów dajesz się nabierać, jeden raz nie wystarczy? Na co także nie miałem odpowiedzi. Mogłem najwyżej zapewnić, że nikt mnie nie agituje i do niczego nie namawia. W tych sceptycznych pytaniach wyczuwałem jednak niepokój. Nie tak dawno ktoś dobrze mi znany i bliski powiedział o kimś innym, nie mniej bliskim: „Nawet jeśli grozi jej więzienie, ona wie, że w ten sposób opłaca sobie wejście do historii”. Zauważyłem, że taki osąd nie wydaje mi się sprawiedliwy, bo wejście do historii jest dla każdego otwarte, jakkolwiek wygórowana byłaby cena wstępu. W oczach mojego rozmówcy drgnął wtedy ów znajomy niepokój i przyszło mi na myśl, że to jest zaniepokojenie sobą, najgłębszy, ukryty lęk przed wyjściem z obszaru cienia w smugę światła.

Niemal każdy przeżył chwilę takiego niepokoj. Kto go nie zna? Może tylko policja. Ale, jak mówię, policja ma swoją antropologię i ugruntowaną wiarę w mroczne cienie duszy. My natomiast, mniej pewni triumfu ciemności, stale żyjemy w zagrożeniu światłem.

Nowy premier spotkał się w filmowcami. W trakcie rozmowy wypowiedział następującą myśl: „Nie znam się na historii, nie jestem specjalistą w tej dziedzinie. Ale czytam książki histo-

ryczne. Niedawno przeczytałem w jednej z nich, że w okresie poprzedzającym rozbiory spadła w Polsce produkcja zboża i liczba pogłowia...”.

Po czym, nawiązując do obecnej sytuacji gospodarczej, premier oświadczył, że naród powinien się skupić w solidarnym wysiłku i pracy dla dobra socjalistycznej Ojczyzny.

Druga połowa maja. Wciąż chłodno mimo słońca, wiosny w tym roku już nie będzie, lada dzień pewnie buchną upały. W Oborach karmiłem ptaki rano po śniadaniu. Wysypywałem na parapet okruchy chleba i sera, resztki wędlin. Przylatywały kosi, wróble, sikorki, czasem dzięcioł. Chleb jedzą tylko rozmoczony w mleku. Ptaki w Oborach nie boją się ludzi. Niedawno w wąwozie o parę kroków przede mną wzlatywał spacerkiem mały szczygieł, podobny do kanarka w prążki, a w zeszłym tygodniu mąż pewnej literatki znalazł pod poduszką dzięciołakowalika, który szukał ciepła w jego łóżku.

Karmiłem ptaszki w dniach lepszego samopoczucia. W gorszych nie mogłem się na to zdobyć, po śniadaniu wystawiałem tacę na korytarz. Wróble i kosi stukały dziobkami w parapet zdumione: co się stało? Odwracałem od nich wzrok jak kapryśna opatrność i chwilami snuła mi się po głowie myśl, że moje losy także zależą od zmiennych nastrojów istoty niepojętej i nieobliczalnej. Raz smaczny kasek, a innym razem zimna blacha. Nie ma rady, trzeba wierzyć, że gdzieś czy kiedyś wszystko się wyjaśni i nabierze sensu.

Lecz z innych okien sypią się okruszki. Od lat istnieje tu współżycie między ptakami i ludźmi. Dziwne miejsce te Obory, na które się wyrzeka i skąd często odjeżdża się z ulgą, by wrócić z tęsknotą po trzech miesiącach. „Wie mama, w jakim domu ja pracuję? — pochwaliła się oborska kucharka — tam są tacy uprzejmi ludzie, że człowiek nie zdąży pierwszy się uklonąć”. Mniej więcej co dziesięć dni przepala się motor w sąsiedniej stacji doświadczalnej. Nie ma wtenczas światła i wody. Potem z kranów leci rdzawa ciecz. I mniej więcej co dwa tygodnie przychodzi dzień, kiedy postanawiam spacerować naokoło klombu tylko po ciemku, żeby nie widzieć ciągle tych samych twarzy, którym trzeba uprzejmie się kłaniać. A po dwóch, trzech dniach znowu się do nich uśmiecham, bo znów ich potrzebuję. Bardzo szczególnie miejsce.

Wracałem w słoneczny dzień Aleją Sobieskiego. Mijając Stegny lubię się przyglądać szaropiaskowym budynkom z zielcami i rzędami zaparkowanych samochodów. Przypomina to wy-

lot z Paryża w kierunku Saclay i Rambouillet, tam są podobne osiedla wybudowane po wojnie. Tym razem uprzytomniłem sobie, że nie mogę wyjechać, bo odmówiono mi paszportu. Po moim odwołaniu nadeszła powtórna odmowa. Nie przejąłem się wprawdzie, dość łatwo usunąłem z głowy tego ćwieka, ale teraz nagle poczułem zacisk serca. Przez chwilę tylko. Akurat M. opowiadała o czyjejs chorobie. Andrzej Nowicki, jeden z naszych przyjaciół najdawniejszych i bliskich, leży w szpitalu, ma się poddać ciężkiej operacji. Przepuszczalnie tętniak na aorcie.

I nieoczekiwanie wybucha sprzeczka. Przerywam, mówię, że nie chcę dalej słuchać, i nie dlatego żeby mi było obojętne, odwrotnie, jest mi nieobojętne tak dalece, że proszę, aby mnie nie wtajemniczać w szczegóły. Tętniak, aorta, na litość Boską, czy muszę wiedzieć aż tak dokładnie, przecież to niedyskrecja w stosunku do cudzych wnętrzości!

Jedna z owych kłótni eksplodujących przez jakieś słowo czy zdanie, które trafiło w złą chwilę i powoduje odpowiedź źle ustawionym głosem. Można by jeszcze jej zapobiec, ale nie, za późno, trzeba było liczyć do dziesięciu. Celujemy, chcąc się nawzajem zranić, jak najboleśniej, w prawdziwym gniewie. — Nie chodzi ci o dyskrecję, to sublimacja twoich lęków przed śmiercią, dlatego nie lubisz słuchać o chorobach. — Na co wołam: bzdura, każdy ma prawo nie wiedzieć o tym, co może go spotkać i w jaki sposób go dopadnie! czy muszę znać cały przebieg, pełny rejestr możliwości i objawów, skoro i tak wiem, że się nie wymigam? Ale właśnie wtedy nie życzylibym sobie, żeby znajomi babrali się w moich trzewiach.

Słyszę mój za wysoki, natężony głos, przez co wpadam w jeszcze silniejsze rozdrażnienie. — Uważaj — mówi M. — masz czerwone światło. — Hamuję, stoję na pasach. Po chwili znowu się odzywam: — Od dwóch lat interesuje cię wyłącznie to, że ktoś umarł albo zachorował.

Wypowiadam tę nieprawdę, aby nawiązać do moich dawnych posądzeń: hipochondria. Hipochondria według mnie polega na tym, że widzi się i nieustannie bada swój organizm, hipochondrycy to niedoszli lekarze z powołania. Zamiast historii sztuki trzeba było studiować medycynę. Wiem, że strzał jest chybiony. Za sekundę usłyszę, że kiedy chorowałem na tarczycę, ona naprowadziła lekarzy na właściwą diagnozę, może właśnie dzięki owemu interesowaniu się ludzkim organizmem, które ja nazywam hipochondrią. Posłyszę jeszcze: gdzie jest twoja filozofia, ile razy mówiłeś i pisałeś, że człowieka trzeba wychowywać „od końca”, z perspektywy śmierci, zamiast go uczyć, że życie jest

drogą od urodzenia do szczęścia, i przemilczać śmierć. — To zupełnie inny temat — odpowiadam — uderzasz poniżej pasa. — Chcę jeszcze dorzucić, że w Krakowie Ewa Otwinowska każe swoim znajomym płacić 20 złotych kary za skierowanie rozmowy na nowotwory i zawały. Oboje jesteśmy bladzi, widzę kątem oka jej profil z brwią ściągniętą nad krótkim nosem i włosami zakrywającymi bliźnię na lewej skroni.

Wtedy milknę. Myślę o chorobach, jakie przechodziła od dzieciństwa, o tyfusie, z którego ledwie wyszła z życiem będąc małą dziewczynką (w kresowym mieście odprawiano modły za jej wyzdrowienie w kościele, synagodze i cerkwi), o bliźnie na skroni po operacji w czasie wojny, kiedy profesor Meissner czterokrotnie krajał jej twarz i gdy dawała nałożyć sobie maskę pod warunkiem, że będę trzymał ją za rękę do chwili usnięcia, po czym wyrzucano mnie na korytarz: „Narzeczony, proszę opuścić salę operacyjną!”. Przypominam sobie jej niedawne choroby w Paryżu i Berlinie. Teraz już chciałbym cofnąć wszystko, co powiedziałem. W gruncie chodziło mi o rzecz inną, której wolałbym nie tłumaczyć. Z pewnych chorób zdrowieje się przez zapomnienie, należy o nich nie myśleć, uznać je za niebyłe. Pamięć i lęk mogą je przywołać i tylko wyjście z ich psychicznego kręgu jest skuteczną metodą leczniczą. O tym jednak nie powinienem jej mówić, mogę zresztą przewidzieć odpowiedź, że właśnie lęk jest znanym objawem choroby serca.

Scena małżeńska w samochodzie. Nie jesteśmy parą wyjątkową. — Powinien pan napisać książkę o małżeństwie, temat nie ruszony w naszej literaturze — powiedział mi ktoś po przeczytaniu fragmentów „Miesiący”. Odpowiedziałem, że się zastanowię. I zastanowiłem się. Doszedłem do wniosku, że takiej książki nie napiszę, bo nie ma uniwersalnego małżeństwa, każde jest wypadkiem pojedynczym, nawet jeśli nie można go uznać za wyjątek. Mógłbym napisać powieść o nas dwojgu — o naszym wychowaniu, rodzinach, domach, tak niepodobnych do siebie. U źródła wszystkich naszych sporów i konfliktów leży przeszłość, która nas wyhodowała. Kiedy pierwszy raz zetknąłem się z jej rodzinnym otoczeniem, wpadłem w popłoch. Nie śniło mi się, że tak dziwacznicy ludzie istnieją na świecie.

Jak to — dopytywałem się — więc naprawdę twój ojciec może spać tylko przy zapalonym świetle, leżąc owinięty kocem i przepasany w nogach rzemieniem? I to prawda, że jak przychodziły do ciebie koleżanki szkolne, twoi rodzice kazali im w przedpokoju myć ręczki spirytusem, zanim się z tobą przywitają? A te ukosmetykowane staruszki, które u was spotykam,

te zaciągające z rosyjska i wspominające bale dworskie w Petersburgu, skąd one się wzięły i dlaczego wszystkiemu się dziwią?

Z początku nic nie pojmowałem. Najtrudniej było mi rozwiązać jedną zagadkę: w jaki sposób doszło w tej rodzinie do oczywistego pomylenia czasów, miejsc i obyczajów. Żyli jak gdyby nie wiedząc, co się stało, jakby nie dostrzegając przemiany własnej egzystencji. Było w tym zdziennienie i nieświadoma pańskość gestu. Ojciec M. chodził do pracy na biurowej posadzce jak na polowanie — w zielonej myśliwskiej kurcie; niepotrzebne już samochodowe rękawice sprzedawało się, żeby pójść do teatru. Zachowano wszelkie konwenanse i rytuały z przeszłości, traktując jej ruiny jako rzecz naturalną, a nawet humorystyczną. Nigdy ani słowa o genealogiach. Wspominano czasem „babunię” niezwykle małego wzrostu i źle mówiącą po polsku, ale dopiero w kilka lat później, przy okazji odwiedzin rodzinnego grobu na Powązkach, odkryłem, że babcia Osten-Sacken miała panięskie nazwisko de Rohan. Chętniej i częściej mówiono o Chaimie Czarnomordziku, który zawiadywał interesami w cegielni, kiedy ojciec M. budował strażnicę KOP-u na Wołyniu.

Było to jeszcze w latach dwudziestych, przed kryzysem. Zastój gospodarczy pochłonął resztki dawnej zamożności. Zenowiczowie po powrocie do Warszawy przeprowadzali się do coraz ciasniejszych mieszkań. Sześciopokojowe w Alei Szucha, pięciopokojowe na Raszynskiej, później Topolowa — już tylko trzy pokoje, wreszcie Ordynacka róg Nowego Świata — sublokatorskie dwupokojowe pomieszczenie u właścicieli mydlarni, nad trzeciorzędą restauracją. Nie zauważali pogarszających się warunków, nigdy słowo o tym nie padło, nawet między mną a M., pomimo zupełnej szczerości naszych rozmów. Odgadywałem, że gdybym o to spytał lub wyraził zaniepokojenie, popełniłbym ciężką niezręczność. Co się zmieniło? W istocie nic. Brzydsze tapety, węższe schody? Wdrapywałem się po nich z kwiatami, M. śmiejąc się otwierała mi drzwi i przechodziłem przez ciemny korytarzyk do pokoju, gdzie prócz jej rodziców siedzieli goście, ci sami, co dawniej: staruszka o uczernionych brwiach, z córką i pekińczykiem, który umiał śpiewać romanse cygańskie, czasami też pułkownik, były zagończyk kresowy, podobny do rosyjskiego aktora Mozzuchina. Panie witały mnie okrzykami i nieodmiennym: „Kochaneczku, jaki dziś bledziutki!”, a ojciec M. wstawał z fotela i podchodził do mnie. Następowало powitanie.

Nikt już tak się nie wita. Kilkakrotny skłon z usztywnionym karkiem, lewą ręką na piersi i zsuniętymi stopami, ze

spojrzeniem o wyrazie niemal bolesnej serdeczności i uwagi, zatopionym głęboko w oczach witanego gościa, którego dłonią porząsa się około minuty, przytrzymując ją i ponawiając uścisk, przy czym głowa witającego jest nieco odgięta w bok, a witany powinien swoją również lekko odgiąć, lecz w drugą stronę, jak odbicie w lustrze.

Pozostało mi w pamięci wiele takich scen, z mądrą, wysoką panną stojącą pośrodku w zarzuconym na ramiona serdaku i z papierosem w ręku. Wymienialiśmy ze sobą spojrzenia, jak dwoje ludzi dorosłych, którzy muszą побыć chwilę w dziecięcym pokoju. Byliśmy już starsi o lata, które dopiero miały nadejść. Sądzę, że mieliśmy instynkty i wyobraźnię lepiej przygotowane do epoki. Zaledwie spadły pierwsze bomby, od razu wzięliśmy na siebie wszystkie decyzje i odpowiedzialność. Tak się stało z dnia na dzień. Mimo iż nasi rodzice przeżyli swoją wojnę i swoją rewolucję („Wacia bolszewicy na Kaukazie trzy razy stawiali pod ścianą” — wspominała nie bez rozrzewnienia piękna i otyła matka M.), my wiedzieliśmy więcej o tym, czym będzie wojna w naszym życiu i co po niej nastąpi. A oni, jak gdyby pojmując nieprzystatność własnych doświadczeń, słuchali nas bez sprzeciwu. Co najwyżej z drobnymi poprawkami. Kiedy w czasie Powstania wywieziono nas do obozu w Pruszkowie, gdzie rozdzielano ludność według wieku i płci — zanim nastęczyła mi się okazja sfałszowania przepustki z podpisem Stabsarza, wpadłem na pomysł, który miał nam ułatwić odnalezienie się po wojnie: każde z nas, jeśli przeżyje i wróci do Warszawy, będzie codziennie o godzinie 2-giej po południu czekało przed domem Zenowiczów. Zaproponowałem to w pustoszejącej hali obozowej, z której Niemcy wygarniali ludzi do transportów, siedzieliśmy z tobołkami na drewnianej pryczy. — Przednia myśl! — uścisnął mi dłoń pan Waław Zenowicz — tylko... pozwoli pan, panie Kazimierzu, może o wpół do 3-ej?

W kwadrans później zdobyłem przepustkę lekarską, wpisałem nasze cztery nazwiska i wyszliśmy przez wachę z grupką chorych, konwojowani przez pracowników Czerwonego Krzyża. Kiedy przechodziliśmy obok baraków, w których trzymano kobiety przeznaczone do wywózki, rozległo się wołanie zza drutów. Na walizce siedziała staruszka o uczernionych brwiach, przy niej stała córka w męskim kapeluszu. Machały do nas rączkami, wykrzykując nasze zdrobniałe imiona. Zatrzymaliśmy się, by wysłuchać opowieści o pekińczyku Kiangu, który został na Mokotowie pod opieką niemieckiego oficera. — Jak nam kazali z matką wyjść z domu, Kiang usiadł przed nim i zaśpiewał. To

świetnie wychowany człowiek, urodził się w Dorpacie i był w tym samym gimnazjum, co nasz Olik!

Do dzisiaj nie wiem, dokąd je wywieźli i co się z nimi stało.

W sobotę na MDM scena uliczna, dwoje kłócących się, przeklinających ludzi. Chyba małżeństwo alkoholików. Ona o ładnych jeszcze rysach, zniszczonych przez wódkę, obrzękła, z tłustymi pasmami włosów. Mężczyzna drobny, w letnim paletku na rozchełstanej koszuli, widać było gołą pierś. Kobieta wyła, puchła z krzyku, on odchodził bluzgając wymysłami, ale nie mógł odejść, trzymało go coś przy niej. Ludzie się przyglądali. — Ty skurwysynu! — Ty kurwo! — Naraz przestawali sobie wymyślać, ona mówiła cicho do niego, mężczyzna potakiwał. Potem znowu ją odpychał, przeklinał i odchodził. Nieszczęśliwi, pełni nienawiści i połączeni ze sobą, szarpiący się w swoim nierozzerwalnym związku.

Staliśmy na chodniku, patrzyliśmy jak zahipnotyzowani.

c z e r w i e c

Psychiczne trzęsawiska z wyskakującymi bąbelkami otuchy (przeważnie wieczorem), kilkakrotne zmiany samopoczucia w ciągu dnia. Czasem bez uchwytnej przyczyny — może skoki ciśnienia — ale na ogół w związku z przypływem lub odpływem treści i możliwości pisania. Falująca, chybotliwa racja egzystencji. Wraz z jej histeriami zmienia się widzenie siebie samego, własnej przeszłości, sensu lat przeżytych i pozostałych do przeżycia. Chwilami całkowity upadek wiary, świadomość przestonięta niską, gęstą chmurą, wtedy robi się zimno i ciemno. Samobójcze porównania na swoją niekorzyść, a równocześnie zapadnięcie się podstawowej wiedzy o sobie i wykopywanie najgorszych mniemań, wątpliwności, podejrzeń. Wszystko to sprawia nieustanną męczarnię i powoduje myśli bez godności: nie wstać z barłogu, nie golić się, przeleżeć do końca... Do końca! A co z jedzeniem? Nie spotkałem nikogo, kto by ogłosił głodówkę protestacyjną przeciw sobie. Co za udręka.

Przebudziłem się w środku nocy i zacząłem po ciemku sporządzać mój bilans wewnętrzny. Pałac papierosa stawiałem sobie pytania, których nie chciałem od nikogo usłyszeć. Czuję ożywione skupienie, jakie daje ruch umysłu w ciemności.

Dążyłem do formuły ogólnej, która by wyjaśniła źródło moich upośledzeń spowodowanych przeze mnie samego i nieko-

niecznie zawartych w ludzkiej kondycji powszechnej. A więc nie myśl o śmierci lub groza istnienia. Nie o tym. Pytałem: co zrobisz ze sobą?

W ciemności odpowiedź była jasna: zamieniłem życie na pisanie.

Od kiedy? Od pierwszych napisanych zdań. A chyba nawet przed nimi. To nie do wiary, jak wcześnie zacząłem płacić wyreczeniem się naturalnej codzienności w zamian za pół stronicę rękopisu. Płaciłem tę cenę bezwiednie, jak gdyby z nakazu organizmu, i płaciłem ją zanim jeszcze zdecydowałem się pisać. Wszystko, co w późniejszych latach nabierało cech literackiej egzystencji, z jej dziwactwami i maniami, co odgradzało mnie od ludzi, by strzec mojego sam na sam ze sobą, i co drażniło we mnie najbliższych przyjaciół, było gotowe na długo przed pierwszą napisaną linijką prozy.

Powołanie... Właściwie rodzaj próżni wewnętrznej, psychologicznej dziury, miejsce bez przeznaczenia. Byłem studentem prawa, czytelnikiem powieści, działaczem antyfaszystowskim, kochałem się, byłem zazdrosny, ale jednocześnie we mnie i ze mną żył jakiś niewypełniony kształt, z którym współistniałem w sennym, trochę bezmyślnym zagapieniu. Ciągnęło mnie do niego. Każdą nowopoznaną twarz, rozmowę, wszelki fakt zawsze przeżywałem dopiero wstecz i z opóźnieniem, w chwilach gdy nareszcie mogłem wyłączyć się z życia. Leżąc na wznak wpatrywałem się w kontur owej niewyraźnej istoty, która, o czym nie wiedziałem jeszcze, wkrótce mną zawładnie i będzie moim losem. Do dzisiaj nie lubię oddalać się od niej i zawracam w połowie spaceru, kiedy wydaje mi się, że odległość między nami jest niebezpiecznie duża, bo zapuściłem się za daleko w krajobraz i mogę nie trafić z powrotem do miejsca będącego moim prawdziwym istnieniem, życiem zamienionym w rękopis. „Dlaczego wciąż leżysz na tapczanie — dziwiła się Agnieszka Słonimska — życie to jest ruch! ruch!”. Odpowiedziałem jej, że niemal wszystko, co w życiu zrobiłem, wynikało z leżenia na tapczanie albo z siedzenia w fotelu, a ruch, o to jestem spokojny, w ruch tak czy owak mnie wpędzą, choćbym nie wiem jak się bronił.

Więc tak czy siak, w ruchu czy bezruchu, nadzwyczaj wcześniej poczułem, że jestem winien — nie w znaczeniu winy, lecz długu, to jest zobowiązany i skłonny do zapłaty, bądź wypełnienia niejasnej powinności. Człowiek uprawiający sztukę pisania („piękną sztuką pisania” nazwał ją Adolf Rudnicki zanim

odfrunął w symbolikę uniwersalną), czy taki człowiek może nie czuć się dłużnikiem ludzi? Ależ zaciągnął swój dług właśnie po to, aby się zobowiązać do spłacania, do uiszczania się z niego, taki wybrał sposób na życie, lub taki sposób życia mu wybrano.

Na wierzyciela z pewnością nie byłem stworzony. Ludzie zajmujący się sztuką pisania nie są ofiarnikami, ale też nigdy nie mieli despotycznych roszczeń w stosunku do świata. Ci zaś, co uważają, że świat powinien się wobec nich uiszczać, być może pracują ciężiej niż ja, na ogół jednak w innym materiale, pisanie jest dla nich zajęciem pobocznym. Nie jest tak, jak nieraz mi zarzucano, że zbyt wiele żądam, za mało dając z siebie. Daję o tyle mniej, ilc wkładam w moje książki, ściśle o tyle mniej. Konfabulanci, fikcjonerzy i bazarze spłacają swoje zadłużenia pośrednio, nie wprost. Ileż razy muszą odmówić drobnych posług żażyłości, by ofiarować się na kartce papieru ludziom zupełnie nieznanym. Nie mogą liczyć na zrozumienie przyjaciela, sami nie będąc zawsze i w pełni gotowi do przyjaźni. A jednak wywiązują się z niej. Okólną drogą, poprzez swoją egocentryczną samotność. Jak można posądzać mnie o obojętność, broniłem się, skoro nie jestem obojętny w tym, co piszę? Zamiast śledzić wyraz mojej twarzy, niech przeczytają moje książki.

Więc tym się bronię. Książkami. W książkach — mówię — nadrabiam moje codzienne zaniedbania. Wiele miejsca poświęcam w nich ludziom i mówmy szczerze: moje fikcyjne postacie nie są nacechowane beznadziejną mizérią, ani wyszydzane jako istoty upadłe, ani hipnotyzowane koszmarami bezsensu, ani... Nie jestem awangardowym niszczycielem, ani pionierem końca świata, ani wachaczem śmietników, nie jestem też odkrywcą intelektualnym ani wynalazcą nowych technik. Ani... Zwierzęcość? biologia? To także nie jest przedmiotem moich zastanowień. To są prawa gatunku, prawa gatunku dyktowane przez naturę. W człowieku, twierdzą, prawdziwie obchodzi mnie jego zdolność do wznoszenia się powyżej naturalnych praw gatunku, ludzkie biografie przejmują mnie najsilniej wtedy, gdy sięgają do punktów wyostrzonych i spotęgowanych w porównaniu z życiową przeciętną czy średnią — kiedy uzyskują wymiar losu. To chyba wolno mi pomyśleć: że wiem, czym chcę płacić. Ponadto sądzę, że moje zmyślone figury również świadczą o zobowiązaniu.

Brawo, znakomicie — dopowiadał po ciemku drugi głos — zobowiązanie, ale wobec kogo i czego? Czy aby nie w stosunku do siebie, do swoich ambicji i miłości własnej?

W takich chwilach tracę równowagę. O czymkolwiek po-

myśleć, wszystko staje się kuliste, nie wiadomo gdzie spód, a gdzie wierzch!

A jednak zobowiązanie. Nie tylko w stosunku do siebie. Powiedziałbym, że czuję się zadłużony na sumę zła, jakiego nie doznałem, na liczbę przypadków, które mnie ocaliły, i ludzkich spojrzeń, które mnie dostrzegły. Rewanżuję się magicznej cyfrze mojego przeznaczenia, muszę jej się wywdzięczać za to, że oszczędziła mi prób najstraszniejszych, jakie innym nie były oszczędzone. I za to, że nigdy nie przestałem w nią wierzyć. Skąd wzięła się we mnie ta nierozumna wiara, dlaczego od początku miałem pewność, że przetrwam, nawet wówczas, gdy chwytały mnie zęby wielkich ludożerców, dwóch monstrów, co niemal połknęły trzecią część mego życia? Dzięki czemu, jakim zmysłem wiedziałem, że nie dam się pożreć obłąkanemu klaunowi z doklejonym wąsikiem, ani duchowo unicestwić górskiemu mordercy, który mnie zwiódł swoją maską dialektycznego myśliciela?

Najpewniej dzięki moim pojęciom o człowieku, wyobrażeniom przekazanym mi równocześnie z pierwszymi słowami, z obrazem nieba i ziemi i rozróżnieniem między prawdą a kłamstwem. Później znajdowałem ich odbicia w książkach, w legendach, jeszcze później w ludzkich życiorysach, na kartach historii. Otrzymałem je od ludzi, którzy byli moimi rodzicami i nauczycielami, od poetów i od bohaterów powieści, także stworzonych przez ludzi na ludzkie podobieństwo. Wszystko, co mam i czym jestem, powstało z ludzi. Razem z dążeniami, ambicjami, myśleniem i gramatyką i miłością własną, którą tak nałogowo i usilnie nasycam pisaniem, że gdy nie zaspokajam jej przez tydzień, jęczę skarżąc się na niezasłużoną karę boską.

A czy nie odgrażałem się, że wydam tom prozy z białą obwolutą, gdzie nazwisko autora i tytuł będą identyczne? „Kazimierz Brandys: KAZIMIERZ BRANDYS”. Cóż za nieopamiętane pragnienia.

Stąd twoje diabły, mój kochany — mówiło do mnie po ciemku — te, które w domowym języku nazywasz ocmą, smuchem, przygnębą. Ale pociesz się, jesteś pisarzem szczególnym w twoich czasach, nieskłonnych do wiary w człowieczeństwo, i również w twoim kraju, bo darzysz go miłością ironiczną, co na tej ziemi jest rzadkie niesłychanie. Polacy będą cię czytali.

Z taką krzepiącą myślą rozgniotłem w popielniczce tytoniowy węgielek żarzący się w ciemności, gdyż mój wewnętrzny obrachunek nie trwał dłużej niż wypalenie papierosa.

Owszem, Sopot. Jak zawsze w czerwcu. W kilka dni po nas przyjechał tu profesor Edward Lipiński i kiedy zapytałem go na schodach o zdrowie, wykrzyknął: — Fatalnie! Czuję się na 92 lata!

Ma dokładnie tyle. W zeszłym tygodniu przyleciał samolotem z Paryża, przepakował w Warszawie neser i wsiadł w samolot do Gdańska. Rano okazało się, że profesor ma gorączkę, źle wyglądał i kaszlał. Zatelefonowaliśmy do lekarki, dr Wojeńskiej. Przyszła wieczorem, przepisała rądomycynę, zalecając spokój i dłuższe leżenie rano. Podobno nic groźnego, bronchit po oskrzelowej infekcji przebytej w Paryżu. Profesor trochę się buntował, od lat przywykł do codziennych dwunastokilometrowych spacerów nad morzem, i to właśnie w czerwcu w Sopotcie. Po wizycie lekarki odwiedziłem go z Janką Zakrzewską. Przywitał nas zaczepnie: — Nie chcę teraz umrzeć, bo pokrzyżowałoby mi to moje plany! — O umieraniu nie ma mowy — zapewnilem — tylko przez parę dni będzie profesor mniej hulał po świecie. — Profesor się uśmiechnął, fałdki powiek i kąciki ust podwinęły się w górę, co na chwilę zrobiło go podobnym do siwego mandaryna z ksiąg mądrości. Zaządał gazet i słodczy. Nazajutrz gorączka opadła, Janka przyniosła *Literaturę*, keks, *Życie Warszawy* i numer *Monde'a*, ale profesorowi nie smakowały pierożki na obiad. — Pacjent jest wybredny kulinarnie — martwiła się Janka. — Jak to? — zdziwił się profesor — ja lubię najprostsze potrawy. Łososia z wody, polędwicę z rusztu, a na przekąskę zwykły szary kawior!

Wieczorem telefonował z recepcji stojąc w przeciagu między szeroko otwartymi drzwiami, a w kwadrans później zobaczyłem go w salce telewizyjnej. Podczas dziennika kilkakrotnie wybiegał i wracał lekkim, szybkim krokiem, po czym zasiadł w pierwszym rzędzie i obejrzał godzinny odcinek amerykańskiego serialu „Pogoda dla bogaczy”.

Dziś zezwolono profesorowi na krótki spacer w parku. Przed obiadem wstąpiłem do niego z czerwcowym zeszytem *Time'a*, ofiarowanym mi przez J. St., który przybył z Wenezueli i zamieszkał w hotelu „Posejdon” ze swą angielską żoną Patrycją. Profesora zastałem w fotelu przy oknie nad numerem *Literatury*, z długopisem w rękę, którym gęsto podkreślał fragmenty wywiadu z niedawno zmarłym Sartrem. — Straszne osłabienie — oznajmił, wyraźnie zagniewany — co to jest, zupełnie jak w ciężkiej chorobie! — No jednak, profesorze, była wirusowa infekcja, przecież nawet po zwyczajnej grypie człowiek jest bardzo osłabiony... — Co pan mówi? — zainteresował się profesor

— to ciekawe. Ale ja dotychczas ani razu nie chorowałem, miałem tylko hiszpankę w 1918 roku! — Przeszedłem do spraw krajowych. Reprezentant amerykańskich banków, który przebywał w Warszawie dla zapoznania się z polską ekonomiką, po powrocie do USA oświadczył dziennikarzom, że stan naszej gospodarki jest krytyczny. — Ma rację — kiwnął głową profesor — nie tylko gospodarka, wszystko gnije. — Zacząłem rozważać sposoby wydobycia się z katastrofy: czy zdaniem profesora istnieją możliwości naprawy, jakichś rozsądnych zarządzeń, które doprowadziłyby do polepszenia. Profesor, jak mi się wydało, znudzony, przestał słuchać i chyba zapadł w drzemkę. Powiedziałem jeszcze, że system komunistyczny stanął przed koniecznością zmian. A kto wie, dorzuciłem, czy poniekąd już się nie zmienia. — Im bardziej się zmienia, tym bardziej jest taki sam! — huknął drzemiący senior KOR-u. Fałdy i kąciki nagle zagięły się w dół, spod powiek strzelił wojowniczy błysk. W jednej chwili przedzierzgnął się w samuraja!

Strach mnie bierze, kiedy sobie uświadamiam jednostajne obroty mojego bytowania, tę nudną powtarzalność i nieodmienność rytmu. Myślę, czy się na mnie nie zemści mój reprodukcją się co roku kalendarz. Podobne daty w tych samych miejscach, te same trasy. Dwa, trzy krajobrazy i jedno miasto. Jak długo taką egzystencję można przerabiać na pisanie.

Z roku na rok konfiskują mi jakąś cząstkę życia. Po kawałku: wznowienia dawnych książek, od „Miasta Niepokonanego” począwszy, potem odgłosy krytyki, później współpracę z filmem, wreszcie prawo do druku, a teraz dokument zezwalający na przekroczenie granicy. W końcu co pozostanie oprócz widoku z okna i powieści wypożyczonej z biblioteki? Chwilami mam uczucie, że codziennie się zmniejszam i kurczę, jakby ubywało mi tkanki. Na tym poletku wysychają fikcje.

W ciągu dwudziestu pięciu lat przebyłem dystans od „Obywateli” do „Miesiący”, zostawiając po drodze zdarte z siebie kawałki nieprawdziwej skóry. Między rokiem 1954 a 1966 porzucałem kolejno: funkcję przewodniczącego w stołecznym Komitecie Frontu Jedności Narodu, następnie członka komitetu warszawskiego PZPR (byłem nim na krótko przed i po październiku 56) i egzekutywy partyjnej w Związku Literatów. W tym samym czasie nie udzieliłem zgody na proponowaną mi przez wydawnictwo masową reedycję „Obywateli”, odmówiłem udziału w jury nagród państwowych i w komisji ideologicznej przy KC, wejścia do prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Pokoju oraz

złożenia podpisu pod jego apelem. Również odmownie przyjąłem życzenie jednego z sekretarzy KC, abym wycofał moją powieść „Matka Królów” z firm wydawniczych na Zachodzie. Na dwóch kolejnych zjazdach ZLP i rozszerzonym plenum zarządu głównego ostrzegałem przed nawrotem administracyjnych presji w stosunku do kultury. Trzykrotnie byłem wzywany do Komitetu Centralnego pod zarzutem antypartyjnej działalności, w tym raz telefonicznie przez członka biura politycznego (twarz, na której uśmiech wydawał się czymś tak nienaturalnym, jak trel słowika dobywający się z gardzieli sępa). W rok później zwróciłem legitymację partyjną.

Nie wszystko przyszło mi łatwo i nie zawsze myślałem konsekwentnie. Sądziłem jeszcze, że partia zdoła się oczyścić, wierzyłem w możliwość odkupienia zbrodni. Wiosną 56 w górskim uzdrowisku spotkałem generała z niewykonanym wyrokiem śmierci i publicystę o wykreconych stawach. Pierwszy z więzienia powrócił do armii, drugi po wyjściu z celi zażądał zwrotu legitymacji partyjnej, odebranej mu przy aresztowaniu. Obydwaj nie poskąpili mi wspomnień o swoich przeżyciach. Dalej jednak, wraz z publicystą o przetrąconych kościach, ufałem, że partia wydobędzie się z błota i krwi. Kiedy mówiono przy mnie, że nie mogą naprawiać maszyny ci, którzy ją popsuli, dowodziłem, że właśnie ci, co maszynę zbudowali, powinni ją naprawić. Równocześnie pewne zjawiska widziałem za ostro. Nowe męty wylażyły na wierzch. W irytacji ogłosiłem wtedy niewyszukaną fraszkę prozą o dwóch łąkach leżących na skraju jezdni, z których jedno mówi do drugiego: „Czujesz? Odwilż. Teraz dopiero będziemy mogły śmierdzić”. Fraszka wywołała oburzenie. Była w niej część racji, którą czas potwierdził; zasadnicza racja była jednak inna. Pisane przeze mnie w tych latach opowiadania, takie jak „Hotel Rzymski” czy „Nim będzie zapomniany”, stanowiły mieszaninę wstrząśniętej świadomości i resztek dawnych przekonań; oceniałem też niesprawiedliwie ludzi, którzy dostrzegli zło wcześniej niż ja i wyciągnęli śmielsze wnioski.

W końcu, gdy uczyniłem ostatni, decydujący krok, poczułem ulgę. Byłem wolny. Tym bardziej wolny, że nie miałem złudzeń co do rozkoszy płynących z tej wolności. Zdążyłem się przygotować na milczenie wokół moich książek, drukowanych odtąd w skromnych nakładach, na usunięcie z lektur szkolnych i pomijanie mego nazwiska w prasie, audycjach radiowych czy telewizyjnych. Później uczyłem się znosić napaści recenzentów. Wytrzymywałem to raz gorzej, raz lepiej. Po roku 1970 wyszły dwie moje powieści. Wkrótce jednak zaczęło mnie niepokoić odsuwanie się

moich fikcji od teraźniejszości. Oporniej i trudniej konstruowałem fabuły, jak gdyby coraz dalsze od doświadczeń, i wreszcie nadszedł czas, aby się zastanowić, czy fabuła dziejąca się wokół mnie nie jest ciekawsza niż moje myślenia. Pewnego dnia urwałem w pół zdania nową powieść.

Widzenia są zmienne. Cały świat dzisiejszy wydaje mi się nieraz pustym brzegiem, od którego odpłynęła wielka fala życia, unosząc ze sobą idee, bohaterów i dzieła wyobraźni. W mule pozostał brud i szczątki rozumnych form. Kiedy indziej zaś nędza i ogołocenie zdają mi się pozorne, w obrazie martwego brzegu widzę zarysy kształtów i połączeń. Wtedy myślę, że z tego błota znowu powstaje życie.

Od paru lat nie tworzę fabuły, ale może nigdy dotąd nie czułem tak wyraźnie, że jestem w fabule. I może nie zacząłbym pisać „Miesiące”, gdybym nie był się znalazł w toku akcji układanej z prawdziwych zdarzeń i postaci, gdybym tak silnie nie dał się w nią wciągnąć. Teraz jednak — myślę — znowu czas zadać sobie pytanie, czy sam porzuciłem moje fikcje, by kiedyś jeszcze do nich wrócić, czy też bezpowrotnie zostałem przez nie opuszczony.

A jednak przy opisie Zenowiczów utknąłem, bo zaczął mi powieściowo okrągleć. Tę scenę za drutami w Pruszkowie troszkę obrobiłem. Wychodząc spotkaliśmy tylko córkę uszmkowaną staruszki, Wandeczkę. I nie była w męskim kapeluszu, miała chustkę na głowie. Historię z pekińczykiem i niemieckim oficerem chyba upiększyłem dla efektu. Pekińczyk śpiewał istotnie, ale czy romanse cygańskie...? i czy naprawdę usiadł przed Niemcem, żeby mu zaśpiewać...? Zdaje się, że należał do pani Kazi Szwejcer, nie zaś do matki z córką, które się nazywały Wieliczko-Wielickie. Ponadto u Zenowiczów nie bywali wyłącznie kresowi dziwacy i dawne frejliny dworu, lecz również ludzie z prawdziwego zdarzenia, jak choćby mecenas Adam Landy i sędzia wojskowy Roman Sumowski, jak Wacław Koźniewski, ojciec Kazimierza, lub Witold Gerulewicz, dowódca pułku ułanów w Suwałkach, czy wreszcie polityk i mistyk Ryszard Świętochowski. Tak, często chwytam się na tym, że wątlejącą materię teraźniejszego życia chcę zastąpić zbeletryzowaną przeszłością. I wtenczas bezwiednie wchodzę w rytm starego zegara: tykam, kukam, gawędzę. Wydzwaniam pointy.

Ale „Miesiące” mają być czymś innym. Gdyby porównać realistyczną powieść do zegara z cyferblatem, wskazówkami, sprężynami i wahadłem, to chciałbym go rozmontować, wyjąć sprę-

żyzny, wahadło, cyferblat, wskazówki, położyć je rzędem obok siebie, i żeby zegar chodził, żeby wybijał godziny.

Więc tak: dekompozycja zakomponowana albo zdekomponowana kompozycja. Z uwzględnieniem osoby zegarmistrza i poszanowaniem miary czasu. Która godzina? Jedenasta.

W czwartek o 11-ej wieczór do naszego pokoju zastukała Julia. Lekko wsunawszy przez drzwi swą twarz białej Annamitki powiadomiła nas o wyrokach, jakie zapadły w warszawskim procesie NOW-ej. Chojecki: półtora roku, Grzesiak: półtora roku; inni po roku, wszyscy z trzyletnim zawieszeniem. Wiadomość przetelefonował Artur po powrocie z sądu, gdzie spędził kilka godzin.

W piątek radio WE nadało w wieczornej audycji przemówienie Chojeckiego wygłoszone na procesie. Tekst pełen godności, właściwie orędzie o stanie moralnym społeczeństwa. Występując z taką deklaracją musiał się liczyć z najwyższym wymiarem kary. Przed miesiącem głodował jeszcze w więzieniu Mokotowskim, od warszawskiego zebrania Związku Literatów minęło zaledwie pięć tygodni. W kilka dni po zebraniu Chojeckiego wypuszczono z aresztu, na procesie bronił się z wolnej stopy. W odczuciu publicznym było to widomym następstwem wygłoszonych przemówień oraz listu podpisanego przez stu szesnastu członków Związku. Po zwolnieniu Chojecki podziękował sygnatariuszom w rozesłanych stu szesnastu listach, prosząc w nich o pomoc dla Bogdana Grzesiaka, nadal trzymanego w areszcie.

Jeśli listopadowy wieczór w PEN-Klubie półtora roku temu był oczekiwaniem na cud, to 5 maja w sali ZAIKS-u spodziewano się próby sił z prowokacją włącznie. Dla milczącej większości literackiej istnienie ruchu wolnościowego w Polsce jest zagadką. Władza przymyka oczy, ale gdyby tylko zechciała? Zagadki niepokoją: dlaczego przymyka oczy, skoro mogłaby w jeden dzień zamknąć całą opozycję. Dwie trzecie literackich X-ów od pięciu lat zadaje sobie to pytanie.

Odpowiedzi nazbyt skrupulatne i złożone nużą pytających, rozpraszaając ich uwagę zanim cokolwiek wyjaśnią. Lepiej wtedy użyć przykładu, utartego pojęcia, faktu z życia, a nawet sloganu. Nauczył mnie tego pewien mój czytelnik, były duchowny katolicki. Często go pytano, jakie przyczyny sprawiły, że porzucił stan kapłański. Ilekroć sumiennie tłumaczył moralne komplikacje wynikające z obowiązków posłuszeństwa i podporządkowania się hierarchii, słuchano go z niedowierzającym rozartagnieniem. Ktoregoś dnia postanowił odpowiedzieć inaczej: „W moim życiu

pojawiła się kobieta, chciałem założyć rodzinę”. I natychmiast w oczach pytającego dostrzegł błysk zrozumienia: „A, naturalnie, to jasne...”. Otóż na pytanie, dlaczego władza toleruje opozycję, skoro może ją wyaresztować, byłoby lepiej, zamiast roztrząsać zawiłe okoliczności gospodarcze, wewnętrzne i międzynarodowe, lepiej i słuszniej byłoby odpowiedzieć: „Może, ale widocznie ma powody, by tego nie robić. Podobnie Ameryka może w jeden dzień zająć Kubę, lecz również ma powody, aby tego nie robić”. Taka odpowiedź nie znudzi pytającego, odwrotnie, wywoła w nim żywe refleksje.

Jestem pewien, że są pytania, których zadawać sobie nie trzeba i nie warto. Wątpię, czy Dawid stojąc naprzeciw Goliata obliczał dzielącą ich różnicę wzrostu. Myślał o tym, żeby dobrze wycelować procę. Wycelował i trafił go w oko. Zbiorowa pamięć do dzisiaj podziwia śmiałego młodzieńca, który nie zadawał sobie zbędnych pytań.

Zebranie literatów odbyło się w tej samej sali ZAIKS-u, gdzie dwanaście lat temu pisarze uchwalili rezolucję potępiającą zawieszenie „Dziadów” w Teatrze Narodowym. W ciągu dwunastu lat zaszło sporo wydarzeń, przybyło też wielu literatów. Dopiero nazajutrz uprzytomniłem sobie, że nie znam połowy obecnych. Sala była szczerze wypełniona. Ile: czterysta, trzysta, sześćset osób? Nie potrafię odróżnić wzrokowo trzystu osób od sześciuset, myślę jednak, że pięćset było na pewno. Zanim wszedłem do budynku, idąc od strony Nike natknąłem się na grupkę młodych ludzi z Niezależnej Oficyny. Adam Michnik z daleka pomachał mi ręką, obok stał Konrad Bieliński z nieznaną ładną brunetką i ogromnym brodaczem. Wręczyli mi folder NOW-ej podobny na oko do reklamy zagranicznych lekarstw. W teście zdjęcie Chojeckiego. — Trzymajcie się — umacniał mnie Michnik. Miał na sobie wiatrówkę, a pod nią czerwoną koszulkę z nadrukowanym *n*, znakiem NOWE-ej. Może dlatego tak dokładnie pamiętam tę scenę, że wydali mi się osamotnieni i poczułem niepokój, czy lada chwila nie zgarną ich tajniacy. A może po prostu dlatego, że stali w słońcu.

Sala, gremium... Kilkaset osób, które można rozmaicie sortować, choćby według roczników urodzenia. Odczytano listę zmarłych, bardzo długą. Z pisarzy urodzonych przed rokiem 1900 nie został prawie nikt. Lata przed 1914 i 1918 mogą wspominać już tylko nieliczni.

W każdej sali zebrania jest pewna liczba obecnych, którą zazwyczaj określa się terminem „milcząca większość”. To nie są działacze ani mówcy, w ciągu zebrania nie wpływają czynnie

na jego przebieg. Ale decydują o jego wyniku. W warszawskim środowisku literackim milcząca większość niejednokrotnie ratowała godność całego Związku. Czasem w okolicznościach dramatycznych, jak na zebraniu nadzwyczajnym w lutym 1968. Ostre potępienie zdjęcia „Dziadów” ze sceny warszawskiej zostało uchwalone dzięki jej głosom.

Na majowym zebraniu w sali ZAIKS-u list w sprawie Chojeckiego był głównym tematem obrad. Czułem, że większość jest znerwicowana i obawia się momentu, w którym będzie zmuszona do jawnego zajęcia stanowiska. Dwieście, trzysta osób, każda ze swoim lękiem i uzależnieniem. Nauczyłem się nie gardzić ludzkim strachem, widzieć w nim jedno z cierpień zasługujących na poszanowanie. Bohaterowie i tchórze, takim podziałom nie zanadto ufam. Nie znoszę też dzielenia ludzi na tych, którzy podpisują zbiorowe protesty, i na tych, co nie podpisują. Zwrócono się kiedyś o podpis do dwóch intelektualistów, naukowca i reżysera. Jeden odmówił: „Nie mogę podpisać, mam syna”. Drugi odchrząknął: „Muszę podpisać, bo mam syna”. Te dwie odpowiedzi wyraziły w skrócie starą alternatywę, dwa wątki snujące się przez dzieje wielu kultur. Koncepcja przetrwania — nakaz buntu. Chronienie egzystencji — dziedzictwo honoru. Myślę, że na warszawskich zebraniach literackich dwie trzecie obecnych nieraz przeżywało tę alternatywę. W końcu jednak każdy musi sam zdecydować, czego się więcej boi: życia czy siebie. Każdy może się bać utraty pracy i każdy ma powody, by się obawiać utraty wewnętrznego spokoju. Można przeklinać takie sytuacje, ale one są banalnie odwieczne.

Kiedyś znałem tę salę lepiej. Dzisiaj najczęściej rozpoznaję twarze starsze i kłaniam się osobom, które spotykam na obiadach w Klubie. Ale o wielu z nich także nie wiem, kim są i co myślą. Czasami popełniam omyłki. Ukłoniłem się jaskrawo ubraną pani biorąc ją za pisarkę, która przecież nie tak dawno mówiła do mnie w kawiarni: „Wie pan, ta piehwsza wojna była jakoś bahdziej euhopejska...”. W chwilę później zorientowałem się, że mój ukłon przeznaczony był dla osoby nieżyjącej, pisarka kilka lat temu umarła.

Rzadko ostatnio uczestniczę w zebraniach i zjazdach, nie potrafiłbym dziś określić tej sali, przewidzieć jej reakcji i odczuć. Zastanawiałem się, jak nowa większość literacka osądza list wystosowany do zarządu Związku, aresztowanie Chojeckiego, kolejne przemówienia. Przemówienia... było ich chyba kilkanaście, może więcej. Przemówienia trzeźwe, przemówienia piękne, przemówienia śmiałe. Niemal wszystkie w obronie Chojeckiego.

Mówcy jeden po drugim schodzili z trybuny wśród oklasków. Co prawda nie bez wyjątków. W trakcie pewnego wystąpienia zaczęto opuszczać salę, w innym przyłapano mówcę na fałszu. Pamiętam Jacka Bocheńskiego na trybunie z numerem *Zapisu* w ręku, a później rozumny, wzruszający głos Mariana. Sala klasła. Coraz wyraźniej czułem, jak rozgrzewa się nastrój. Gdyby ułożono projekt rezolucji i gdyby przyszło głosować za lub *przeciw*, większość obecnych w tej sali poparłaby dobrą sprawę. Milcząca większość zawsze popierała dobrą sprawę w tajnym głosowaniu.

W końcu — co obiecywał socjalizm oprócz dobrobytu i wolności? Oświatę i kulturę. Książki! Ta sala ma gnębiącą świadomość niszczącego kultury. Książki? Wydrukowanie tomu prozy trwa dzisiaj nieraz trzy lata, w witrynach księgarni piętrzą się cegły współczesnych klasyków reżymu, po czym idą na przedział. Sala zdaje sobie jasno sprawę z tego, że wyobraźnia i twórczość, że osobowość społeczeństwa jest niepotrzebna rządzącym. Masa towarowa i ludzka, to jest potrzebne. Literatura? Przykra dysfunkcja zawadzająca w produkcji. Wystarczy utrzymać pozory lub szczątki jej istnienia i dobrze płacić za piosenki żołnierskie. Sprawdziło się, pamiętam. Kiedy w łódzkiej „Kuźnicy” zabawialiśmy się socjologicznymi konstrukcjami losu i markszizowaniem intelektualnym w klubie „Pickwick”, Stefan Żółkiewski — miłośnik Dickensa, wielki, cudowny mister Pickwick w krainie ideologii — wracał z Warszawy po rozmowach w KC i grzmiał znad redaktorskiego biurka: — Mówię im, tłumaczę, że socjalizmu nie da się robić bez kultury! — Wtedy już bał się o nas.

Sprawdziło się! Pokazali, jak łatwo się robi socjalizm bez kultury. Ta sala wszystko rozumie. Czuje się ponizona. W istocie przeżywa uczucia klasowe. Czyż nie jest reprezentacją polskiej inteligencji, która stała się klasą wyzyskiwaną (i zgodnie z nauką marksowsko-leninowską wyłoniła swój bojowy oddział), czy nie jest proletariatem w totalizmie? Ta sala chce się bronić. Wspaniała sala. Chwilami mogło się przysnąć, że w budynku ZAIKS-u obraduje literacka konstytuanta Polski niepodległej.

Wyszedłem na papierosa i przystanąłem obok grupki rozmawiających. Wymieniano wrażenia, ktoś powiedział: — Tu wieje historią... — Kiedy wróciłem na salę, w drzwiach doszły mnie słowa wygłaszane z trybuny przez jednego z mówców: — Władza toleruje istnienie opozycji nie dlatego, że jest silna. Władza jest słaba i dlatego musi tolerować opozycję!

Władza jest słaba... Jest dostatecznie silna, by puścić w ruch

swoje pałki. Takie zdania budzą niepokój sali. Sala wie po czyjej stronie jest racja, lecz również wie, co jej grozi ze strony, która tę rację dławi. Większość zebranych w sali niechętnie słucha takich zdań. Większość przyszła tu w sprawie człowieka więzionego pod fałszywym zarzutem, gotowa jest ująć się za nim, ale do politycznej rozgrywki, do generalnej bitwy z władzą nie jest gotowa. Jeśli by ją pchać w tym kierunku, przerazi się. Zrzuci z siebie odpowiedzialność. Obarczy nią tych, o których racji nie wątpi, na nich właśnie przerzuci odpowiedzialność za swój strach i z niespokojnym sumieniem będzie szukać argumentów, żeby się usprawiedliwić przed sobą.

W sali ZAIKS-u nie siedziałem w rzędach, lecz pod ścianą, obok pań profesor Janion i Żmigrodzkiej. Trzy krzeselka były zestawione między oknami wzdłuż przejścia, tak że mogłem obserwować salę. Blisko mnie, w jednym ze środkowych rzędów siedział mężczyzna o gęstej białej czuprynie, który, jak mi się zdawało, nie słuchał przemówień. Z ociężałą pochyloną głową i przymkniętymi oczami najwidoczniej posypiał. Profil chyba znajomy, widywany... ale kiedy i gdzie? Może na filmie: przypominał amerykańskich senatorów z Midwestu, starych, krzepkich farmerów i hodowców bydła; wygląd, chciałoby się rzec, sportowo-chłopski. Przez cały czas nie odemknął torebkowatych powiek. W jednej tylko chwili drgnął i podniósł głowę. Któryś z przemawiających informując o głodówce Chojeckiego powiedział, że władze więzienne poddają go sztucznemu odżywianiu za pomocą sondy. Złapałem wówczas to drgnięcie, na pewno znane myśliwym, szybki, czujny ruch głowy. Pan z białą czupryną wychylił się z krzesła i nadstawił uszu: słuchał. Wtedy go poznałem. Pamiętam jak opowiadał, że po sześciu tygodniach głodówki, gdy wciąż uparcie wypluwał zapuszczaną sondę, raz płyn oblał sukienkę pielęgniarki, która się rozpłakała. „Co pan zrobił, w czym ja teraz pójde na randkę z moim chłopcem?”. Przyjrzał jej się, pomyślał, że zepsuł ładnej dziewczynie letnie popołudnie w Łazienkach czy nad Wisłą, i wzruszył ramionami. Zgodził się przerwać głodówkę. Był to generał z niewykonanym wyrokiem śmierci, którego spotkałem w górskim uzdrowisku wiosną 56. Niedawno wydał tom wspomnień, przyjęto go do Związku Literatów.

Bodaj ostatnim na liście mówców był Jan Józef Lipski. Lipski, w okularach, z przedziałkiem blisko ucha i odgarniętymi na bok włosami, zwykle przywodzi mi na myśl pewnego chłopca w naszym gimnazjum, który, mimo iż o klasę niżej, budził moją cichą i pełną respektu sympatię. Podobnie się czesał, także nosił

okulary i często widywałem go w bluzie z krzyżem harcerskim. Czasami, kiedy Lipski pojawia się w Klubie na Krakowskim, ma z tyłu za przedziałkiem koguta i wtedy się wzruszam, bo tamten chłopiec przychodził rano do szkoły z takim samym przyspanym kogutkiem na ciemieniu. Jana Józefa Lipskiego znałem z widzenia jako studenta pierwszego roku polonistyki, później spotykaliśmy się w Klubie Krzywego Koła. Niekiedy ze mną polemizował, zawsze uczciwie i lojalnie, czym również przypominał mego kolegę-harcera z młodszej klasy. Raz po dłuższej przerwie zobaczyłem go idącego ulicą Miodową i zdumiałem się: był szpakowaty. W ZAIKS-ie, kiedy wszedł na mównicę, znowu się zdziwiłem, bo jego włosy z przedziałkiem miały tę samą biel, co czupryna generała. Ja też jestem siwy. Nie do pojęcia, jak płynące lata upodobniły do siebie nasze głowy.

Otóż Lipski, współzałożyciel KOR-u, w swym krótkim przemówieniu zwrócił uwagę zebranych na to, że nie jest jeszcze za późno, by ująć się za niewinnie oskarżonym człowiekiem. Chciał ostrzec salę przed milczeniem; protestować należy już teraz, póki nie jest za późno. — Bo proszę państwa — powiedział — może znów nadejść czas, gdy ludzie będą się bali mówić. — Po czym dodał: — ... i kiedy ja także będę milczał.

Z całego zebrania ten moment najsilniej utkwiał mi w pamięci.

Przeżyłem również inny epizod, nie mający związku z dyskusją. Siedząc w przejściu nie mogłem uniknąć zetknięcia z osobami, których widoku nie pożądam. Kiedy pewien działacz, eks-minister, stanął przede mną z wyciągniętą ręką, odczułem nagły wstręt. W swoich wspominkach rozdrukowywanych w prasie wypisuje rzeczy tak odrażające, że było mi trudno się przemóc, aby ucisnąć tę dłoń. Dość długo patrzyłem w powietrze ponad jego ramieniem. Wreszcie, kiedy zapytał, czy nie chcę podać mu ręki, odpowiedziałem: — Nie. — Wtedy odszedł. Ale taka chwila nie jest łatwa i zostawia po sobie wątpliwość, czy nie istnieją mniej brutalne sposoby zerwania znajomości. Zapewne mógłby wnieść sprawę przed sąd koleżeński. Nie robi jednak tego, będzie się lękał ośmieszenia. Nie jest to człowiek wyzbyty zmysłu humoru. Wie, że przypominałoby to proces o zgwałcenie wytoczony przez sędziwą prostytutkę. Siedzące obok mnie prof. Janion i Żmigrodzką przeprosiłem za ten incydent.

„Sto szesnaście podpisów — mówił ktoś po zebraniu — to dużo i mało. To więcej niż liczba delegatów, których oddział warszawski wybiera na Walny Zjazd, a jednocześnie to tylko pięć procent wszystkich członków Związku”.

Zebrań trwał sześć godzin. Po wyjściu z budynku, chcąc się przedostać do Starego Miasta, zgubiłem się w ciemnościach placu koło Nike i Andrzej Braun, z którym wyszedłem, prowadził mnie pod rękę jak ślepego. Po ciemku źle widzę od dawna, podczas okupacji w godzinach zaciemnienia włączyłem na ludzi, konie i latarnie. Dwanaście lat temu, kiedy opuszczaliśmy gmach ZAIKS-u, także było ciemno. Pod koniec zebrania w sprawie „Dziadów” nagle rozeszła się wiadomość, że budy są w drodze, warszawski aktyw miał pałkami nauczyć rozumu literatów. Wychodziłem razem z kilkunastu osobami, był wśród nich Paweł Jasienica. W progę zawahaliśmy się przed ciemnością, budy mogły już czekać. Wyszliśmy, placyk był pusty. Aktywny partyjny wykonał swoje zadanie dopiero w dziesięć dni później, gdy na Uniwersytecie Warszawskim pałkami uczono studentów. Jednym z nich był Chojecki.

Wtorek. Artur opowiadał po przyjeździe, że w czasie rozprawy, kiedy wprowadzano oskarżonych, Adam Michnik nagle przyskoczył do zakutego w kajdanki Grzesiaka i pocałował go. Milicjant się oburzył: — Uprzedzałem, żeby z oskarżonymi nie nawiązywać kontaktów! — A... ale o tym nie było mowy! — zajaknął się Michnik w najwyższym stopniu podenerwowany.

W tutejszej bibliotece pani wypożyczająca książki zwróciła mi dowód osobisty mówiąc: — Od pana nie weźmiemy kaucji. — Uśmiechnęła się do mnie. Proszę, co to znaczy być u siebie. I pomyśleć, gdyby mi dali paszport, wyjechałbym za granicę. Gdzież by mi się przydarzyła taka ciepła chwila. Być u siebie... Na Starym Mieście poznają mnie nawet pijacy: „Dzień dobry, panie B.!” Wracając z biblioteki przypomniałem sobie ostatni wyjazd, kiedy na dworcu zegnali nas Kijowscy, Artur i Wajdowie. M. w szarej pelerynie i głębokiej futrzanej czapie, pod którą schowała włosy jakoś z francuska po tatarsku, ja z parasolem, w nowym, sztywnym kapeluszu ze Szpitalnej (sklep w podwórzu) i z niedoleczoną tarczycą. W nocy dostałem ataku klaustrofobii. Obudziłem się w ciemnym pudle sypialnym i zacząłem krzyczeć, że jadę w trumnie. Nazajutrz Agnieszka z Joelem zapakowali nas z walizkami, parasolami i kożuchami do samochodu przed Gare de l'Est i kiedy weszliśmy do Piotrów w Gif, Hania zawołała: — Wyglądają jak z Tołstoja!

Tutaj nie wyglądamy jak z Tołstoja. Koło Grand Hotelu młodzi waluciarze w ciemnych okularach przemawiają do mnie w języku Buddenbrooków. Tłumaczę się, że mam tylko złotówki.

Wczoraj zapisałem na kartce wszystko, co snuło mi się po głowie w czasie godzinnego spaceru wzdłuż plaży. Notowałem, w skrótach, na ławce przy samym morzu, mając jeszcze świeżo w pamięci ciąg następujących po sobie tematów. To się rzadko udaje.

Na kartce zaznaczyłem tylko skrótowe hasła. Każde z nich przenoszę tu w cudzysłowie, to zaś, co wyjaśniam i rozwijam między nimi, jest omówieniem, względnie streszczeniem (nie: odrzuceniem) moich przemyśleń w czasie spaceru. Podaję kolejno:

„Willys. Nauka angielskiego”.

Idąc przyłapałem się na tym, że układam angielskie zdania. Chyba ślad po wizycie J. St. z żoną, kiedy musieliśmy rozmawiać w jej języku. Potem zacząłem myśleć o Stephenie Willysie, moim nauczycielu angielskiego w czasie okupacji, rozstrzelanym przez Niemców w 1943. Przypuszczalnie był z pochodzenia Żydem. Myślałem, w jaki sposób Willyś mógł się uratować. Zginął dlatego, że nie żył w ukryciu. Musiał zarabiać lekcjami, ogłaszał się w gazecie. Miał jedno wyjście: zwrócić się o pomoc do kogoś ze swych uczennic, były wśród nich młode osoby spokrewnione z ziemiaństwem. Gdyby dobrze wybrał, przesiedziałyby wojnę w jakimś majątku. Uczylby panienki angielskiego. Ale czy wtedy mógł wiedzieć, że oprócz cudownego przypadku nie miał innych sposobów ocalenia? Spośród ukrywających się wpadali przede wszystkim ci, co musieli zarabiać. Mnie uratowała biżuteria matki. No i pieniądze, które ojciec w samym początku okupacji dał bez pokwitowania Balaremu na założenie firmy biżuterniarskiej... Balary do końca wojny uczciwie je spłacał. To ojciec wyczytał w gazecie ogłoszenie Willysa. Chciał, żebym się nauczył angielskiego, po wojnie miałem jeździć do Londynu w interesach firmy. Właściwie wszystko mu się sprawdziło, tylko inaczej niż przewidywał. On pierwszy namawiał mnie do pisania. Dzięki niemu tak niezasłużenie łatwo przeżyłem wojnę. Był potężną częścią mojej opatrności.

Przez kilka sekund widziałem nadzwyczaj dokładnie smutnego, nerwowego Stephena Willysa i jego matkę, którą zastrzelono razem z nim. Później zaczęły mnie napastować poszczególne zwroty z rękopisu „Miesiący”, napisane poprzedniego dnia. Zdaje się, że poprawiałem je w pamięci do chwili, kiedy zobaczyłem M. z ręką wyciągniętą ku foksterierkowi w rybackiej łodzi.

„Kamea foksterier”.

Spostrzegłem pierścionek z kameą na jej palcu. Ten sam, co zgubił się w piasku podczas naszych studenckich wakacji w Orłowie trzy lata przed wojną. Znalazła go przypadkiem, kiedy już zrezygnowałem z przesypywania plaży. Teraz nosi go razem z obrączką, pierścionek nie może zsunąć się z palca. Obliczyłem na oko wiek foksterierka. Cztery, pięć miesięcy. Stał w łodzi zakotwiczonej przy brzegu, obwąchując zwinięte liny. M. przemawiała do niego, foksterierek mrużył ślepki. Nie był rasowy. Kiedy dotknęła blaszki wiszącej u obroży, warknął obnażając zębki z podejrzliwą nieufnością plebejusza. Musiał go ktoś nauczyć, żeby nie dał tknąć blaszki. Przypomniat mi się nasz olbrzym, bokser Albin. Pewnego dnia wrócił bez obroży i leżał na derce zawstydzony. M. mówiła: „Głupku, powiedzieli ci: wyskakuj pan z pałta, a ty usłuchałeś?”. Ona tworzy życie z takiego zagadywania do psów i do ludzi. Raz, kiedy jechaliśmy taksówką, zaczęła rozmawiać z szoferem. Denerwowałem się, że tak go wypytuje, o pracę, o żonę i dzieci. Odpowiadał jakby niechętnie, z pewnością był zmęczony. Potem, gdy wysiadaliśmy, obrócił się ku niej: „Z panią to się przyjemnie jeździ. Inni pasażerowie albo przeważnie się kłócą, albo nic nie mówią. Tak jak ten pan”. Ze swoich gubionych i odnajdywanych pierścionków, z tysiąca nieuważnych gestów, słów, uśmiechów ona tworzy wokół siebie życie, to są jej sposoby zaklinalnia losu. A w istocie jest bardziej strwożona i mniej skłonna do złudzeń niż ja.

Potem znów ulepszałem w myśli kilka zdań rękopisu. Mijałimy kosze i opalających się ludzi.

„Szczęśliwi nieszczęśliwi”.

Chodziło mi o kobiety i mężczyzn w plażowych koszach. Krótco przed wyjazdem do Sopotu ktoś w jakiejś rozmowie dowodził, że nowa masa w Polsce czuje się szczęśliwa. Ma świadomość klasowego zwycięstwa i zbiera jego owoce. Powiedziałem na to: ale równocześnie ma świadomość choroby społecznej i nie uważa swego życia za normalne. Szczęśliwi - nieszczęśliwi? O tym, jak się czuje poszczególny człowiek, rozstrzyga także zbiorowe odczucie rzutu na indywidualną kondycję. Odczucie normalności albo nienormalności życia ogółu doznawane przez ogół. Robotnik grzejący się na plaży w Sopocie, tak, być może przeżywa klasową satysfakcję. Ale pamięta też o tym, czego się boi i czego nienawidzi. Boi się i nienawidzi tego samego, co ja. Od sprasowanych ogonków w sklepach bez powietrza do prywaty i publicznie głoszonej nieprawdy. („Kto pani dziś powie prawdę — mówił przy mnie zataczający się człowieczek do właś-

cicielki wagi ulicznej — pijany albo Cyganka!”). Górnicy, chłopci, włókniarze. Lud prostaczy Żeromskiego na plaży przed Grand Hotelem. Klasa wyzwolona z jarzma wyzysku i upewniana przez rząd, że lubi żyć w marksizmie-leninizmie. Myślę: „kaczka lubi być upieczona z jabłkami”. I zaraz się koryguję: „awans, społeczne wyrównanie... postęp”. Postęp! To chyba w Szwecji do XVII wieku nie wolno było poddawać torturom osób ze stanu szlacheckiego. W wieku XVII zniesiono ów niesłuszny przywilej i odtąd wszyscy obywatele bez wyjątku mogli być torturowani. Zgodnie z postępem.

Myślałem jeszcze o tym, że wiara w postęp nie rodzi się w głowach filozofów. To że ja piszę a inni budują domki również wynika z wiary w postęp. Wszyscy jesteśmy utopistami. Ci, którzy płodzą dzieci, i ci, co wynaleźli gilotynę.

„Dwa anioły”.

Przelotna myśl o książce JMRA i o Słowackim, który zobaczył na ramionach Towiańskiego siedzące dwa anioły, Miłości i Prawdy (tak zapamiętałem). Przystąpienie do sekty w języku mistycyzmu tłumaczyło się angelologicznie. A jaki krzyk i śmiech dzisiaj by się podniósł, gdybym oświadczył, że na ramionach Stalina widziałem siedzące anioły Historii i Postępu...

„Wdowa”.

Mówiłem półgłosem: „*De Gaulle est mort... La France est veuve*”... Zdanie z przemówienia Pompidou po śmierci de Gaulle'a. Dosłownie tłumaczyłoby się: „De Gaulle umarł. Francja jest wdową”. Takiej metafory polski język by nie zniósł. Dałoby się napisać: „Piłsudski nie żyje. Polska okryła się żałobą (względnie została osierocona)”. W Polsce bohatera albo głowę państwa można porównać do syna, z biedą do ojca narodu, w żadnym razie do małżonka. Naród jako wdowa, nie, to wykluczone. Nasza literatura miała do wdów stosunek krotochwilny. I to na długo przed Fredrą, a z pewnością jeszcze długo po nim. Sienkiewicz: kosmopolityczna wdówka, pani Elzenowa (z noweli „Na Jasnym Brzegu”, po której przestałem czytać „Trylogię”). Prus był nieco łaskawszy, pikantna wdówka pani Wąsowska ma przynajmniej sympatyczne cechy. A czy Telimena także nie była wdówką? Bo na to mi wygląda. Cóż to — myślę — za dziwna kultura z tak schematycznie zaklepanym stosunkiem do kobiecości. Albo święte dziewice, albo puchy marne. Po cichu klasycy pisali obsceniczne fraszki. To, że romantycy nie stworzyli uczłowieczonej postaci kobiecej (czyżby Idalia w „Fantazym”?), to w końcu można by pojąć. Obchodziły ich całkiem inne sprawy. Ale później, później! Ani rozumny, zacny Prus,

ani męska i odważna Zapolska. Panna Łęcka, pani Latter, pani Dulaska, hm, trochę to mało w porównaniu z kobietami Stendhala, Flauberta, Tolstoja, Strindberga, Dostojewskiego, Czechowa... A prawda: Żeromski. Wkrótce jednak przyszyły literackie panie Dwudziestolecia i zaczęły podglądać psychologię przez feministyczną dziurkę. Subtelnie, a niekiedy z talentem — trzeba im to przyznać — dziergały swoje powieści o kobietach niezrozumianych. Szanuję. Podziwiam. Ale nie został już podjęty wielki i poroniony zamysł nieotamowanej wyobraźni autora „Dziejów grzechu”: ukazania kobiecości absolutnej. Pocięsam się, że nie tylko w polskiej, w całej literaturze naszego stulecia.

Dalej zanotowałem: „Sypanie piaskiem”.

Idąc brzegiem spostrzegłem dwóch małych chłopców. Uklękli jeden naprzeciw drugiego i obsypywali się piaskiem wyrzucając go rękami spod siebie. Tumany, słupy piasku wzbijały się jak fontanna. Przystanąłem, bo nagle mnie olśniło. Przecież tym samym piaskiem dokładnie w taki sam sposób obsypywaliśmy się z Marianem podczas wakacji nad morzem. Tutaj, w Sopocie. Jak mogłem o tym nie pamiętać przez tyle lat. Teraz przypomniałem sobie w jednej sekundzie wszystko. Rozgrzana skóra pokryta kłującymi ziarenkami, zgrzytanie w zębach, słone wargi i piasek zalepiający oczy. A potem wilgotna, szorstka dłoń Mariana, kiedy mnie ciągnął za rękę do wody. Ile lat minęło? Zaraz, to było w trzy czy cztery lata po... po Verdun! Przez ten czas dorośli wymyślili sporo nowych zabaw. Tylko chłopcy na plażach wciąż lepią takie same fortece z mułu i kłęcząc naprzeciw siebie dalej obsypują się piaskiem. Bez zmian. Ileż spokoju w tym widoku —

„Twarz naniesiona na zatokę”.

Zacząłem bez powodu myśleć o kimś, kogo od dawna nie widuję. Obraz wyraźny, utrwalony w matowych kolorach. Jasno blond, rozsypujące się włosy, biała, wysoka szyja z małą głową odgiętą lekko w tył. I oczy spoglądające gdzieś poza mnie, jak na fotografii, którą zachowałem. Przez dłuższą chwilę twarz utrzymywała się w powietrzu ponad horyzontem, między pasemkiem orłowskiego mola a sylwetkami dwóch okrętów na redzie. Takie wyobrażone ucieleśnienia podobne są do surrealistycznych kompozycji. Nie zasłaniają krajobrazu. Widać czyjaś twarz, a poprzez nią daleki żagiel i linię morza. Przy okazji uświadomiłem sobie, że myślę przede wszystkim twarzami. Na przykład myśląc o literaturze, z reguły widzę twarze (co zresztą naturalne: autorzy, postacie). Ale także każde pomyślane słowo najpierw widzę graficznie, a równocześnie czy w chwilę później ono mi

się prze-twarza. Nawet stół ma twarz. W snach to jest zupełnie oczywiste. I nie chodzi tu o podobieństwo rzeczy do człowieka. Raczej o wygląd słów. Można by to nazwać językową fizjognomistyką myślenia.

Ostatnie hasło zanotowałem u dołu kartki. Wpadł mi do głowy tytuł książki o małżeństwie, której nie napiszę. Ale gdybym miał ją napisać, dałbym jej właśnie taki tytuł:

„Poważna różnica płci”.

W środę, kiedy szedłem przez Monte Cassino do biblioteki na Wybickiego, po drugiej stronie ulicy rozległ się krzyk i wrzawa. W długim ogonku przed sklepem mięsnym nagle wzbuchł tumult. Ludzie wrzasnęli, zbili się ze sobą napierając na drzwi, zobaczyłem poczerwieniałe twarze, otwarte usta, wytrzeszczone oczy. Przyszło mi na myśl, że coś się zawaliło czy eksplodowało. Ale nie. Ogonek spostrzegł tylko nadjeżdżający furgon. To była chwila dowiezienia mięsa.

Niedawno opowiadała Ewa Fiszer, że wracając o 2-iej w nocy z brydza u przyjaciół na Mokotowie doszła wreszcie do postoju taksówek. Postój znajdował się przed sklepem mięsnym. W przyłej bramie siedziało już dwadzieścia parę osób na składanych krzeselkach i poduszkach. Zaproszono ją do bramy, upewniając, że na taksówkę długo przyjdzie czekać. Były różne gatunki alkoholu, ponadto kanapki i ciasteczka. Ewa F., poetka, a przy tym towarzyska i dobrze wychowana pani, zaproszenie przyjęła. Spędziła pół godziny w gościnnej, rozmownej atmosferze przy smacznym poczęstunku. — Pełnia życia.. — wspominała nie bez rozmarzenia.

Podejrzanie o nadużycia i oszukańcze machinacje najwidoczniej mam w korze mózgowej. Wsiadłem na przystanku do zatłoczonego autobusu. Od razu wydało mi się dziwne, że przy wejściu siedzi konduktor i żąda ode mnie opłaty za przejazd. Miałem dziesięciotówkę, daję mu ją, a on zamiast wręczyć mi bilet i resztę, wsuwa ukradkiem monetę któremuś ze stojących pasażerów, ten zaś zrećnie przesyła ją dalej do kierowcy autobusu. Powtarza się to na następnym przystanku, gdy wsiadają inni. Myślę: gang, klika... Na trzecim przystanku, widząc tę samą kombinację, rzucam się do przodu, roztrącam pasażerów i łapię kierowcę za rękę, w której schował pieniądze. Kierowca wyrwa mi się i w biegu wyskakuje z autobusu. Wóz nabiera prędkości, jesteśmy na spadku, za chwilę roztrzaskamy się. W strachu siadam za kierownicą, próbuję hamować, ale nie sięgam nogą do pedału. Autobus coraz bardziej się rozpędza, jeszcze

sekunda i koniec. Na zegarze przy kierownicy widzę godzinę: wpół do 6-ej... Wykonuję rozpaczliwy manewr, z wysiłkiem obracam koła skośnie w stronę chodnika, tak aby zaczęły się ocierać o krawężnik oponami. W ten sposób chcę zahamować. Udało się! Czuję, jak zlał mnie zimny pot. Kiedy się obudziłem z łomoczącym sercem, mój zegarek na nocnym stoliku wskazywał dokładnie godzinę wpół do 6-ej.

lipiec

Z Sopotu wracałem cztery i pół godziny, około 3-ej byliśmy w Warszawie. Miałem przepustkę uprawniającą do wjazdu na Stare Miasto, by wyładować bagaż z samochodu. Taką przepustkę z datą i godziną załatwiam od dziesięciu lat w wydziale komunikacji Urzędu Dzielnicowego, na Żurawiej 43, przed każdą podróżą z większym obciążeniem. Bez przepustki nie wolno dojechać pod dom na Nowomiejskiej.

W niedzielę między Rynkiem a Barbakanem odbywa się rodzaj kiermaszu czy odpustu połączonego z promenadą. Jezdni zapełniają tłum spacerowiczów, na chodnikach artyści-malarze wystawiają swoje zachody słońca, przed którymi tłoczą się wycieczki. Trudno się przecisnąć. Jechałem bardzo powoli na pierwszym biegu, hamując co pół metra i nie używając klaksonu. Spacerowicze rozstępowali się niechętnie, słyszałem wokół urągania, że łamię zakaz wjazdu. Grupa wycieczkowa z przewodnikiem zastawiła mi drogę, musiałem wyłączyć silnik, bo rozległy się utyskiwania, że truję spalinami i przejeżdżam ludzi. Opuściłem szybko pokazując przepustkę. Wyjaśniłem, że chcę dojechać z bagażem przed bramę domu o kilkanaście metrów dalej. W tym samym momencie tuż przed maską wozu stanął okazały mężczyzna w jasnym garniturze i kapeluszu z rudej słomki, bardzo wysoki, o gęstych brwiach. Wskazując palcem na mój samochód zawołał: — *Verboten!* — Niemiecki turysta, z pewnością po sznapsie w „Bazyliuszku”. Machnąłem ręką. Ale zanim się odsunął, dośłyszałem to, co mruknął w odpowiedzi na mój gest. Szarpnąłem klamkę i łokciem pchnąłem drzwiczki, żeby się wydobyć z samochodu. M. usiłowała mnie zatrzymać, podobno zbladłem. Niemiecki turysta był już przy Barbakanie. Dogoniłem go i złapałem za ramię. Krzyknąłem po niemiecku: — *Was haben Sie gesagt?! Wiederholen!* — Miał różową koszulę z popielatą muszką w niebieskie paseczki. Żądałem, aby powtórzył to, co przed chwilą powiedział. Gdyby powtórzył — nie wiem, rzuciłbym się na

niego, zerwałbym mu kapelusz, może plunął w twarz. Ale nie powtórzył, oniemiał. Policzki mu zwisły jak u doga. Widząc, że ludzie zatrzymują się wokół, cofnął się o krok, po czym szybko odszedł.

Scena zaciekała przechodniów, wiele osób przystało. — Czy on coś panu ukraść? — zagadnęło małżeństwo z dzieckiem w wózku. Grupka żołnierzy-lotników także się zatrzymała. Pytali, czy to był Niemiec. Szli za mną, kiedy wracałem do samochodu. — Warto by przyłożyć szkopowi... — Wiadomość się rozniosła. Starsza pani w tlenionej peruce podeszła do mnie mówiąc, że w Zgorzelcu jakiś Niemiec nazwał jej siostrę „*polnisches Schwein*”. Artyści-malarze przyglądali się z chodnika, jak wynosiłem rzeczy z samochodu. Jeden, siedzący na składanym krzeselku, obserwował mnie przysłaniając sobie ręką oko. Jego kolega z twarzą podobną do Grottgera, szczupły brunecik w spodniach z teksasu, przeszedł do mnie na drugą stronę jezdni. — Ten Niemiec obraził Polaków? — Tak. — Wstawiałem do sieni walizki, torby, paczki z książkami i maszynę do pisania. M. weszła na górę z płaszczami. Grottgerek wypytywał mnie o stan silnika. — Przepraszam, że mimo konfliktu zadam nietypowe pytanie: czy pan płacił w dolarach? — Byłem zdyszany i spocony, nie mogłem go się pozbyć. Ciągłe przystawali jacyś ludzie patrząc na mnie i informując się nawzajem, że niemiecki turysta złżył Polaków od świni.

Miałem w oczach tę idiotyczną scenę: siebie w wygniecionych spodniach i rozchełstanej koszuli, biegnącego za wysokim Niemcem... jego kapelusz, rękaw, za który go złapałem, muszkę i wodniste oczy pod grubymi brwiami... — Może trzeba było doprowadzić na komisariat — mówił ktoś za mną. Grottgerek lustrował opony. — Kupiłbym od pana ten wózek, mam książeczkę na Fiata 125. — Artysta-malarz siedzący naprzeciw pod ścianą wciąż przyglądał mi się przez rozsunięte palce.

Dlaczego nie powiedziałem im prawdy — wiem dlaczego. Prawdy nie powiedziałbym również, gdyby mi się to samo zdarzyło w Paryżu albo w Nowym Jorku. Bałbym się, że usłyszę śmiech. Bałbym się też obojętności i milczenia. Nie wiem, czy potrafiłbym je znieść i jak bym się wtedy zachował.

Kiedy wtaszczyłem rzeczy do pokoju i ściągnąłem z siebie pomiętą koszulę, M. wyszła z łazienki. Leżąc na tapczanie z papierosem gapilem się w sufit. Myślałem: człowiek o siwych potarganych włosach gonił kogoś i wywołał uliczne zbiegowisko. M. patrzyła na mnie zaszępniona: — Ale właściwie co on takiego powiedział, że w jednej chwili zbladłeś?

Nie odezwałem się, byłem zanadto zmęczony. M. poszła do kuchni nalać herbatę. Kiedy podała mi filiżankę, zgasilem papieroś. — Wiesz, co powiedział? Powiedział: *verfluchte Juden*.

Mszę za dusze Antoniego i Janki Słonimskich odprawiono u św. Krzyża, w bocznej kaplicy. Od śmierci Antoniego upłynęły cztery lata. Janka umarła na rok przed nim, w czerwcu. W czerwcu 1975 telefonowałem z Sopotu do Artura M. dowiedzieć się o zdrowie Janki, które przed naszym wyjazdem miało się nieco polepszyć. Artur przez chwilę jakby coś przełykał, a potem szybko odpowiedział: — Wiesz, Janka nie żyje. — Rano wsiadliśmy w samochód. Na pogrzebie w Laskach, kiedy trumnę pokrywano ziemią i Antoni został sam na ławeczce koło grobu, staliśmy za nim trochę niepewni, co robić. Zapytałem wtedy stojącego przy mnie Adama Michnika, jego sekretarza, jak sądzi, czy Antoniemu nie sprawiłoby przykrości, gdyby do niego teraz podejść. — Koniecznie... — szepnął Adaś — właśnie teraz. — Podszedłem pierwszy i uściskałem Antoniego. Obejmując go wyczułem ptasią kruchość i lekkość jego ramienia. Powiedział: — Dziękuję ci, złotko. — Zapach „*after shaving*” Williamsa i kosteczki ptaka. Nabożeństwo żałobne odprawił wówczas ksiądz Jan Twardowski, poeta, mój kolega z „*Kuźni Młodych*”.

Teraz kropił deszcz. Po pięciu latach w bocznej kaplicy zgromadziło się około stu osób. Widziałem Lipskich, Tomasza Burka (z krótko ostrzyżonymi włosami) i aktorkę Maję Komorowską w jasnej nieprzemakalnej pelerynie. Burek przyszedł z ojcem, również pisarzem. Dużo starszych ludzi zajęło miejsca w ławkach. Zjawił się pan Adam Nagórski o lasce, nisko przygarbiony, z piękną srebrną głową. Kiedyś w Nałęczowie pokazał mi fotografię zrobioną w willi Nagórskich przed rokiem 1914, przedstawiającą grupę kobiet i mężczyzn. Nałkowska, Osterwina, Żeromski, Nowaczyński... Po bokach dwaj wytworni ciemnowłosi chłopcy w sztywnych kołnierzykach. — To jest Władzio Tatarkiewicz, a to ja. — Na ścianie kaplicy widniały prostokątne tabliczki pamiątkowych z nazwiskami ich rówieśników, zmarłych generałów, dowódców w kampanii wrześniowej. W kościelnych wnętrzach starość, śmierć i historia tworzą naturalny związek, mają tylko miejsca osobne — ławkę, katafalk lub ścianę. Mszę odprawiał nieznajomy ksiądz. W chwili gdy wezwał zgromadzonych: — Pomódlmy się za dusze Janiny i Antoniego! — z głównej nawy dobiegły radosne dźwięki marsza weselnego Mendelssohna. Na twarzach starców dostrzegłem ożywienie, siwi panowie rozejrzeli się, ciekawie nadśluchując,

i wydało mi się, że stojący nieopodal pan Roman Jasiński zerknął ku mnie porozumiewawczo zza okularów w czarnej oprawie. Rozumie się, to Antoni wymyślił swój najnowszy kawał! M. rzuciła mi szeptem: — Oni z Janką brali przed wojną ślub w tej samej kaplicy...

Kiedy umarł Antoni, byliśmy w Gif u Piotrów Słonimskich. Piotr był przywiązany do stryja, Antoni był dumny z Piotra. Lubił opowiadać o jego pracach naukowych. W pierwszym okresie po wojnie, będąc w Polsce — jeszcze z wizytą tylko, jako gość z Londynu — dzięki swym wpływom dopomógł w zwolnieniu Piotra, który siedział na Montelupich w Krakowie, aresztowany za udział w AK. Pewnego dnia z celi przywieziono go do Urzędu Bezpieczeństwa, w pokoju zobaczył szczupłego pana z białą chusteczką w kieszonce. — Co za ładność! Słłyj Antoni! — ucieszył się Piotr. Po czym wyraził życzenie, by pójść do cukierni „*Maurizia*”. Zjadł sześć ciastek z kremem.

We Francji byliśmy wtedy parę tygodni, załatwiałem sprawy wydawnicze. Po kolacji u przyjaciół wróciliśmy późno do Gif. Piotrowie nie przyjechali jeszcze ze swojej farmy w Chante-Mêlé. Podniosłem słuchawkę, kiedy zadzwonił telefon. Artur z początku nie poznał mojego głosu, wziął mnie za Piotra. Po chwili zaczął mówić o wypadku samochodowym, jakiemu Antoni uległ na drodze do Obór. — Czy jest ranny? — pytałem — jak się teraz czuje? — Artur zastanowił się przez moment, po czym odezwał się stłumionym głosem: — Słuchaj, Antoni nie żyje.

Nocowaliśmy w Kassel, do Warszawy przyjechałem nocą. Nabożeństwo żałobne odbyło się w głównej nawie kościoła św. Krzyża. Z plafonu nad trumną Antoniego zwieszał się biało-czerwony sztandar. Po mszy cały kościół odśpiewał „*Boże, coś Polskę*”. Kiedy wynosiliśmy trumnę środkiem nawy, po obu stronach stał zbity tłum ludzi, milicja wstrzymała ruch przed kościołem. Dwukrotnie niosłem czyjąś trumnę. Przed jedenastu laty na Powązkach nieśliśmy Wilka Macha. Teraz z Arturem, Andrzejem Kijowskim, Michnikiem, Lipskim i innymi dźwigałmy ciężką trumnę Antoniego. Dosłyszałem, jak powiedział ktoś na ulicy przy schodach kościoła: — To Słonimskiego niosą...

Po wypadku na asfalcie w Jeziornie, kiedy wezwano Pogotowie, Antoni sam wsiadł do karetki. W lecznicy poprosił o aparacik do golenia, który mu zaraz przywieziono z domu. Dopiero w parę godzin później rzekł z łóżka do Artura: — Zdaje się, że umieram. — Opowiadał któryś ze znajomych, że przed wieczorem jadąc taksówką przez Hożą zobaczył Artura stojącego na rogu. Trzymał w ręku kapelusz. Znajomy mówił: było wi-

doczne, że to nie jest jego kapelusz. Wtedy jeszcze nie wiadano o wypadku.

Antoni spoczął na cmentarzu w Laskach obok Janki. Po przyjeździe do Warszawy Piotrowie rozdzielili wśród przyjaciół drobne pamiątki. Ja dostałem trzy krawaty i parasol Antoniego.

W piątek siedzę w fotelu nad pustą kartką i szukam w myśli pierwszego zdania. Pusta kartka straszy bardziej niż zwykle po dziewiętnastu pustych dniach. Otóż nie, to nie były puste dni. Widywałem się z ludźmi, chodziłem do kina, czytałem. Ale nie były to dni czyste. Czyste dni przeżywam w czasie pisania. Lepiej może powiedzieć: czyste stany. Odgrodzenie się od wszystkiego, co zbędne, obmycie się z trwóg i podejrzeń nanoszonych przez siebie i innych (mój inwentarz żywy) i z tego, co nazywam inwentarzem martwym, czyli z rzeczy, które posiadam i których zużywanie się, niszczenie, naprawianie zabiera mi sporą część życia. Przed miesiącem wskutek pęknięcia rury rozlał się zaciek na ścianie w mniejszym pokoju. Naprawiając rurę odkuto tynk do cegły, przez co w ścianie powstał rodzaj małej pieczary. Umówiony malarz nie przyszedł. Szczerbaty wyłom w żółtawej otoczce po zacieku był trochę przerażający. Umieściłem w nim zdjęcie kolorowe wykonane parę lat temu podczas spaceru w Oborach. Kropka Minkiewiczowa i M. pod parasolem z małą Klarą i Wawrzkiem Rymkiewiczem idą od pałacu w stronę bramy. Wyschnięte plamki wilgoci na ścianie tworzą iluzję deszczowego dnia.

Inwentarz martwy... Martwy? Ale on żyje, przepuszcza przez siebie czas i jest nieustającą miarą mojego czasu. Moja skóra zmienia się razem z obiciami mebli, dywanami, powierzchnią sekretery. Z obiciami! ba, a co się dzieje wewnątrz, czy w materacu włosie także nie siwieje? To się kiedyś okaże. Tymczasem siedzę w fotelu z wytartą poręczą, wytartą dniami i godzinami pracy, „Wariacjami pocztowymi”, „Pomysłem”, „Nierzezywistością” — i czekam aż przyjdą mi na myśl pierwsze słowa, którymi odgrodzę się od rozkutej ściany, przecierających się obić, i od czasu, który mnie zbliża do —

Nie: o starości nie zamierzam pisać, to sobie przyrzekłem. Wyznania dotyczące wieku podeszłego nudzą mnie we wszystkich pamiętnikach. Zawsze opuszczam rozwlekłe opisy stygnięcia pragnień i oddalania się od świata; wydają mi się jałowe. Starość wymyka się opisowi — jest pointą. O tej niespodziance da się tylko powiedzieć, że napełnia zdumieniem. Ale opisać, przeanalizować, nie, to bezowocne. Tu trzeba skrótu. Przypominam

sobie pobyt w domu starych aktorów w Skolimowie, gdzie moje okno wychodziło na werandę o piętro niżej i o zmroku słyszałem rozmowy prowadzone przez bezżębne solistki warszawskiej opery ze zgrzybiałymi gwiazdami „Rozmaitości”. Pewnego dnia zaczęły wspominać. Opowiadały o swych dawnych triumfach, o wyprzęganych powozach, brylantach, koszach kwiatów. Mówiły jedna przez drugą, tylko drobniutka staruszka w fotelu na kółkach przez cały czas milczała, zamyślona i półuśmiechnięta. Gdy zęczyły się wreszcie i ucichły, ona właśnie, ta dotychczas milcząca, rzekła kresowym akcentem: — A ja pochowałam w życiu siedemnaście psów... — O tak, to było celne, to rozumiem. Właściwy skrót. W odpowiedniej chwili wyraziła cechę starości, zjawiska, które odbywa się nie w nas, lecz na zewnątrz nas. To nie my odchodzimy, to wzdłuż naszego życia trwa ruch w przeciwnym kierunku.

Ale nie o tym chciałem mówić. Chciałem dziś pisać o moim inwentarzu żywym, o niespokojnych myślach, które obskoczyły mnie ze wszystkich stron, jakby wypuszczone z klatek. Osaczają mnie, nawołują się złymi głosami. Trzeba się położyć pośrodku tego stada.

listopad-grudzień

Berlin.

Do J. St. w Wenezueli.

„Mój Kochany, po naszym czerwcowym spotkaniu nad morzem zaszły w Polsce wypadki, o których czytałeś w gazetach. Z pewnością uderzyło Cię, że pierwszy wielki wybuch nastąpił tak niedaleko od miejsca, w którym piliśmy kawę z naszymi żonami. Nie wiedzieliśmy, że wśród ludzi spacerujących tuż obok nas po molo (pamiętam, jak mówiłeś, że ubiorem i wyglądem przypominają Ci tłum uliczny na Zachodzie) są przyszli organizatorzy i przywódcy strajków. Twierdziłem wtedy, że masa społeczna w Polsce jest bierna i grozi jej sowietyzacja. Myliłem się, nie doceniałem ukrytych w niej rezerw. Obudziliśmy się z dnia na dzień w nowym społeczeństwie. Co do mnie, nagle otworzyła mi się możliwość wyjazdu. Dostałem paszport. Od dwóch tygodni jesteśmy w Berlinie Zachodnim. Wyjeżdżałem nie bez oporu, Polska jest dziś chyba najciekawszym krajem na kuli ziemskiej. Mając od półtora miesiąca paszport w kieszeni wciąż

odwlekałem wyjazd. W końcu jednak zdecydowaliśmy się na podróż. Nie wiem, jak długo tutaj pobędziemy. Do maja włącz nie mam stypendium. Jak myślisz, czy się zobaczymy? Chcę tu popracować, nie mam ochoty na dalsze podróżowanie. Ale może będziesz mógł w tym czasie przyjechać do Berlina. Chętnie bym jeszcze raz posłuchał o Twoim zestrzeleniu nad Francją i skoku ze spadochronem, i o tym jak zaszytowałeś w lesie wichystowskiego żandarma. A także o tym jak po zawieszeniu broni wykradłeś z hangaru samolot RAF-u i poleciałeś do obozu Mauthausen po Michała, który tam konał na gruźlicę. Umiesz opowiadać, zawsze z przyjemnością Cię słucham. Ten list do Ciebie to pierwsze słowa, jakie napisałem od czterech miesięcy. Za dużo się działo, nie mogłem pisać”.

Jaś Stein, lotnik RAF-u podczas wojny, był moim pierwszym kolegą szkolnym. Na pierwszą lekcję do łódzkiego gimnazjum w roku 1924 przyszedliśmy razem i usiedliśmy z tornistrami w ławce przed nauczycielską katedrą. Jego brat, Olek, o pięć lat starszy od nas, był w jednej klasie z Marianem. Najstarszy z braci, Michał, kończył wtedy niemieckie gimnazjum w Alei Kościuszki.

Dlaczego nie wysłałem tego listu? Nie wiem. Dotychczas leży w szufladzie. Nie wysłałem tylu innych listów, układanych w myśli do ludzi, którym nie umiałem okazać przyjaźni w słowach, przy bezpośrednim zetknięciu, lub od których oddaliła mnie przestrzeń, zapomnienie czy lenistwo. Mało jest miejsca i czasu na ujawnienie ciepłego ośrodka serca, gdzie przechowuje się uczucie braterstwa. Sami skąpimy innym siebie. Co za głupota i wstyd.

Nie ma na niego kary, mówili prości ludzie z okolic Jeziorny, tylko zakopać żywcem. Prości ludzie, kobiety o bladoszarych oczach, mężczyźni o obojętnym raczej niż gniewnym wyrazie twarzy. Kara! Zemsta! W ogonkach na Starym Mieście zapawało milczenie ciężkie od grozy. Bogacił się. Kradł i pozwalał kraść. Oszukiwał naród. Polska? Pomożecie? Kłamstwo! Zostawił po sobie kupę świństw na ruinie kraju.

Człowiek w szpitalnym szlafroku, wychudzony i niepewnie stąpający po przebytym zawale serca, przechadzając się w ogrodzie Instytutu Kardiologii powtarzał jedno zdanie każdemu, kto miał jeszcze chęć lub odwagę podejść i spytać go o zdrowie. — Ale rąk we krwi unurzanych nie mam... — Tym się przede wszystkim odróżnił od swego poprzednika, którego także można

dziś spotkać na przechadzce. W lesie pod Konstancinem. Na przechadzce z psem. Wygląda krzepko mimo swych 75 czy 76 lat. Z ludźmi, którzy mu się kłaniają, chętnie nawiązuje pogawędkę. „Porozumienia? W Szczecinie? W Gdańsku? To nie są żadne porozumienia, to rewolwer przyłożony do skroni!”. Jego także zna z twarzy okoliczna ludność. Nikt jednak nie mówi, aby go żywcem zakopać. Przebaczyli, zapomnieli? Nie. Czują się tylko mniej przez niego okłamani. Nie oszukiwał, nie uśmiechał się i nie łudził. Od początku warczał, a później zdzierał gardło. Ten się nie zbogacił. Chciał Polski bez samobodów, ze wspólnymi klozetami na piętrach, trzymał kraj w biedzie, dusił, ale oszczędzał. Wiedzą, że zostawił trzysta milionów w kasie państwa. Wiedzą też, że pozwolił strzelać na Wybrzeżu w 1970 i że podobno prosił o rosyjskie wojska. Takich się nie kocha. Ale w swoim czasie stał twardo, siedział za Stalina, krzyczał na Chruszczowa. To wszystko od początku w nim było. Takich się nie zakopuje. Ma się ich tylko na zawsze dosyć.

Znajomy trzydziestolatek, który dogonił mnie na Podwalu, w ogóle nie mówił o zakopywaniu. — Wie pan, co teraz jest najbardziej potrzebne? Wielka fabryka taczek! Żeby ich wywozić za okienka w barach mlecznych i urzędach pocztowych. Niech pan pomyśli: idzie pan na pocztę z listem poleconym, albo do baru za Barbakan na roztrzepaniec z gryczaną kaszą, a tam wicepremier od planowania wydaje panu kwitek. Miły sen?

W Polsce zadośćuczynieniem najczęściej bywa żart. Rozwiązując strajk w Gdańsku Wałęsa powiedział do stoczniovców: „A teraz każdy wraca do domu, zobaczyć czy coś nie ubyło albo nie przybyło, i do łózczcza”.

Te słowa pewnie nie przejdą do historii. A powinny. Jest w nich ładna, domowa polskość ze wzruszeniem schowanym w dowcipie. Nie znam drugiego kraju, gdzie przywódca klasy robotniczej po wielkim zwycięskim strajku rzuca tysiącom swych współbojowników słowa: „do łózczcza”.

Zamieszkaliśmy w Ravenna Haus. Wieczór i rano M. nie odchodzi od radia. W środę tutejsza telewizja nadała korespondencję z Warszawy. Ukazała się wielka sala zebrania w „Ursusie” wypełniona ludźmi. Zbliżenia: transparent z napisem *Natychmiast zwolnić Janka Narozniaka*, orzeł i narodowe sztandary, stół przydzielony. Za stołem rząd młodych działaczy „Solidarności”. Kilku z nich poznałem, Bujak, Onyszczewicz, jeszcze czyjaś znajoma twarz i ktoś z samego skraju, kogo widziałem chyba

na żoliborskim wieczorze NOW-ej. Ekran jest mały, białoczarny, zza głosu niemieckiego dziennikarza wypływa chwilami polski język i szmerze jak znajoma rzeka. Potem młodzi mężczyźni w kaskach na tle bramy z olbrzymim napisem STRAJK. Szczupły ciemny chłopak uśmiecha się z ekranu. Jan Narożniak, doktorant matematyki i współpracownik NOW-ej, wypuszczony rano z aresztu. Między niemieckimi słowami słychać głos: „Ciesz się, że...”.

Ze zbiorowych scen dobywa się nieodczuwalne dla obcych wzruszenie i powaga. Przepony mamy pod gardłem, tak jak wtedy, gdy wąsaty człowiek na ekranie zamachnął się ogromnym długopisem sygnując porozumienie w Gdańsku. Kamera uchwyciła wówczas młodzieńckiego robotnika w okularach, który stojąc z jakimś kablem czy przyrządem w ręku drżał i płakał. To wtedy M. zawołała: — Jesteś synem dwóch narodów wybranych!

Wyłonili się nagle, jak spod ziemi, ludzie o których nie wiedzieliśmy przez lata, sądząc że jesteśmy samotną inteligencją wysepką w obojętniejącym społeczeństwie. Czy wiesz — mówiono mi — skąd idzie ruch związkowy w teatrach? Z tapicerni, z pracowni kostiumowych, od szwerców i krawców. Aktorzy, owszem, także. Aktorzy zawsze żyją w scenach i geście. Ale prąd, ale główny ośrodek działania to oni: teatralne rzemieślnicy, warsztaty, stolarze i technicy od światła. I jacyś socjologowie z bródkami, co debatuje z nimi w korytarzach, właśnie, eksperci, naukowcy...

Ekspert i konsultanci pojechali w sierpniu na stocznie. Po zakończeniu strajków przemawiali na konferencjach sprawozdawczych w Warszawie. Można ich było rozpoznać po wyrazie oczu, intonacji i czymś jeszcze, co Kijowski nazwał „zapatrzeniem”. Profesor Geremek przemawiając stał przed słuchaczami lekko odchylony do tyłu, ze wzrokiem utkwionym gdzieś ponad głowami publiczności, jakby chcąc odnaleźć światło i barwę dni przeżytych na Stocznicy. Wracali — opowiadał ktoś z KiK-u — jak od ołtarza po przyjęciu komunii.

Tego się tutaj nie rozumie. Na Zachodzie, a w Niemczech zwłaszcza, ludzie się boją. Nagłówki w liberalnych gazetach straszą koncentracją trzydziestu sowieckich dywizji nad granicą. Tłuste, czarne litery: „GEFECHTSFERTIGKEIT. Pancerny pierścień rosyjski zaciska się wokół Polski”.

Boją się o nas. Tak twierdzi *Frankfurter Allgemeine* i pani von Doenhoff z *Die Zeit*, nasi niemieccy przyjaciele. Jeden z dzienników bawarskich oznajmił, że atmosfera i wypadki na-

rastające w Polsce przypominają okres anarchii szlacheckiej, epokę liberum veto. Straszą nas niemieccy przyjaciele. Straszą nas osiemnastym wiekiem. W Monachium i Frankfurcie ostrzega się Polaków przed drażnieniem Rosji i naruszaniem zasad ustroju, który niesie im jedyną wolność, na jaką ich stać. Niemcy na Wschodzie piszą dobitniej: kontrrewolucja finansowana z zewnątrz i wieczne *polnische Wirtschaft*. Myślę prywatnie, że po obu stronach budzi się stara wściekłość na Polskę.

Posępnie groteskowe jest to, że do koncertu geopolitycznych przepowiedni i ostrzeżeń przyłączyły się głosy w kraju. Członkowie partii, publicyści, od lat opiewający bratnią przyjaźń Polski i ZSRR, dziś wróżą zbrojną interwencję ze Wschodu, podsuwają arcyprzejrzyste analogie do zaborczej polityki rosyjskiej, do rozbiorów. Zastanawiam się, czy wiedzą, co mówią i co to oznacza. Oznacza jedno: że w Związku Radzieckim widzą Rosję carską, strażniczkę walącego się ustroju Rzeczypospolitej chorej i zmurszałej — opiekunkę Targowicy. Niesamowity paradoks. Kościuszkowie znowu jest wykorzystany, ale w odwrotnym sensie. Trzydzieści sześć lat temu Kościuszkowcy przyszedli nad Wisłę z hasłami Uniwersału Połanieckiego. Teraz wysuwa się Maciejowice: jak niegdyś reformy Sejmu Czteroletniego, jak Konstytucja 3 Maja i Uniwersał Połaniecki, tak dzisiejsze mrzonki wolnościowe spowodują wkroczenie wojsk naszej zaniepokojonej Przyjaciółki...

Na zjeździe filmowców koledzy perswadowali reżyserowi P.: „Przestań już czekać na te czołgi radzieckie, weźże się do roboty, nakręć film”.

Mówiąc „siły antysocjalistyczne” publicyści zawieszają głos na chwilę przed wypowiedzeniem słów „obcy agenci”. Skoro jednak znają historię i tak skwapliwie powołują się na tragiczną przeszłość, wiedzieć powinni, że stronnicy reform za Sejmu Czteroletniego nazywani byli przez koterię Ambasady pruskimi agentami. Przez dwieście lat zwolennicy Pospolitej uległej wskazywali palcem na polskie ruchy niepodległościowe jako na robotę zagranicznych agentur. Pruskich, francusko-jakobińskich, masonskich. Agentami zwano Kołłątaja, Dąbrowskiego, Czartoryskiego, Piłsudskiego. Legiony były agenturą austriacką, Armia Krajowa — londyńska. Skąd czerpie fundusze „Solidarność”, kto wspiera z zagranicy KOR? Publicyści zasilani ze źródeł ojczystych na razie jeszcze zawieszają głos. Przed dwunastu laty ich głosy brzmiały śmielej. Dwanaście lat temu studenci na Uniwersytecie Warszawskim rozpowszechniali dwa hasła: „Prasa kłamie” i „Nie ma chleba bez wolności”. Z ust telewizyjnych gawędziarzy

i partyjnych redaktorów dowiedzieli się wówczas, kim są: agentami międzynarodowego syjonizmu.

Na tydzień przed moim wyjazdem w Klubie po obiedzie zjawił się Adolf Rudnicki w długim czarnym płaszczu i usiadł koło mnie przy stoliku. Siedziałem sam nad filiżanką kawy. Adolf zajął rui w oczy: — Wyjeżdżasz?... — Tak, Adolfie, dostałem paszport, wyjeżdżam na parę miesięcy. — Adolf, który wie, że go lubię nawet wtedy, gdy mam mu coś za złe, zajął mi w oczy jeszcze głębiej. Zapytał cicho, szeptem starotestamentowym, płynącym jakby z wnętrza księgi cierpień: — A czy myślałeś o tym, że to może być podróż, z której nie będziesz mógł wrócić? — Uśmiechnąłem się, rozłożyłem ręce. Owszem, myślałem o tym. Ale nie o wszystkim mówię, o czym myślę. Adolfie, pół roku spędzasz w Paryżu, a później w Warszawie pytasz o nasze myśli. Są pytania, których się tutaj nie zadaje. Od wielu lat nie mówimy wszystkiego, nie wypowiadamy głośno naszych obaw. Jest to rodzaj dyskrecji, konwensu, zachowywać złe myśli dla siebie i szanować czyjeś milczenie. Nie jesteśmy naiwni ani lekkomyślni. Musieliśmy się tylko nauczyć sposobu bycia ludzi dobrze wychowanych, ludzi ze społecznego towarzystwa. Pora jest niebezpieczna, listopad, może się zdarzyć wiele złego. Polska jesień, Adolfie. Lepiej porozmawiajmy o pogodzie.

Czego się więcej bać: tego że nie wypuszczą, czy że nie wpuszczą z powrotem? że nie można będzie wyjechać, czy że nie można będzie wrócić? Czego się bać najbardziej, co jest gorsze?

Wyjechałem 11 listopada. Paszport przyznano mi we wrześniu. Wypełniłem druczek: „Proszę o ponowne rozpatrzenie mojego podania ze względu na zachodzącą możliwość decyzji omyłkowej”. Po dziesięciu dniach zadzwonił telefon, w słuchawce rozległ się ciepły męski głos, zawiadamiający mnie, że mogę odebrać *paszporcik*. — Czy żonczka jedzie z panem? — Tak — potwierdziłem — wyjeżdżamy razem. — Więc proszę wziąć ze sobą jej paszporcik, przedłużymy w nim datę ważności. — M. miała paszport od kwietnia, z ważnością półroczną. Pojechałem na Kruczą. Wychodząc czułem na piersi dwa paszporty. Nie były nowe, służyły nam we wcześniejszych podróżach. Tym razem ważne są do końca czerwca 1981. Do Warszawy wrócę przed upływem terminu, berlińskie stypendium kończy mi się w maju.

Po marcu 1968 byłem w Warszawie jeszcze półtora roku.

Nie należałem do pisarzy jawnie prześladowanych, raczej — jak mówiono — do duszonych pod stołem. W prasie literackiej moje nazwisko pojawiało się rzadko, w radio i telewizji nigdy. Nie byłem jednak piętnowany, jak inni, publicznie. Trochę mnie to dziwiło. Zwłaszcza że na zebraniu nadzwyczajnym ZLP, zwołanym przeciw administracyjnej sekwestracji „Dziadów”, poparłem wniosek Pawła Jasienicy o zarządzenie tajnego głosowania w punkcie zasadniczym, tj. rezolucji potępiającej decyzję ministerstwa. Myślałem: zapomnieli, przeoczyli. Albo... zależy im jeszcze na nazwisku reprezentującym bądź co bądź dwóch znanych autorów. Tadeusz Konwicki powiedział mi wtedy na Wiejskiej: — Dostałeś się pod parasol Mariana.

Nie było trudności z paszportem, jechaliśmy przez Brno i Wiedeń w kierunku Mediolanu. Miałem tam bliskich przyjaciół i wydawcę, olbrzyma z czarnymi wąsami. Na moje tablice rejestracyjne ze znakiem PL w czeskich miasteczkach patrzono spode łba, pamięć o udziale polskich czołgów w zdławieniu Wiosny Praskiej była świeża. W Brnie nocowaliśmy w wielkim nowoczesnym hotelu, niemal pustym. Dewizowa kurewka, zabawiająca w cocktail-barze turystów z NRD, zerkała na mnie z zachętą; na tym tle można było mnie wziąć za gościa z Zachodu.

Do Polski przylgnęła w owym czasie opinia kraju antysemitckiego. Dzienniki zachodnioeuropejskie cytowały pogromowe hasła, rzucane w prasie łódzkiej i warszawskiej. Do Danii, Szwecji, Francji i Niemiec napłynęła fala nowej emigracji, polskich obywateli pochodzenia żydowskiego. Jednych od marca 68 usuwano ze stanowisk państwowych i katedr uniwersyteckich, inni opuszczali kraj, w którym, po wymordowaniu 3 milionów Żydów w hitlerowskich obozach, teraz uznano ocalałą garstkę za narośl obcą tej ziemi. Jerzy Andrzejewski tłumaczył mi: — Przecież to nie ma nic wspólnego z tobą, w ogóle cię nie dotyczy. — Wypowiedział te słowa pocieszająco i serdecznie, lubimy się. Nie potrafiłem mu wyjaśnić, dlaczego *to* dotyczyło nas wszystkich, jego i mnie. Później w Mediolanie przypomniała mi się nasza rozmowa. W Mediolanie odbywała się wówczas tłumna manifestacja młodzieży lewicowej. Udało mi się zaparkować samochód na jednej z ulic przyległych do Piazza del Duomo, wypełnionego ogromną masą ludzi z transparentami i sztandarami. Wróciłem po godzinie. Mój samochód ze znakiem PL stał na dawnym miejscu w długim podwójnym rzędzie wozów. Prawe drzwiczki i błotnik były porysowane zygzakowatą krechą, głęboko, do surowej blachy. Spośród wszystkich samochodów wybrano ten jeden, za wycieraczkę ktoś zatknął wydartą z zeszytu

kartkę z nabazgranym słowem: FASCISTA! Więc jednak mnie dotyczyło, również mnie.

To co działo się w Polsce, a mam na myśli okres przed i po roku 1968, łączono z wpływami człowieka, którego nazwisko stało się synonimem mafijności, policyjnych metod i ciemnej barwy politycznej. O człowieku tym jego zwolennicy mówili: generał. Generałów jest i było wielu, będzie jeszcze więcej, ale kiedy mówiono „generał”, nikt już nie pytał o nazwisko. Wiadomo było, że mowa o tym jednym, który nie nosi munduru. W owym czasie zaprzyjaźniona ze mną młoda kobieta widziała go w restauracji „Budapeszt” na obiedzie. Nazajutrz mówiła nie bez ciepła: dziwne, on ma cierpiące oczy... Odpowiedziałem: — To jest cierpienie wilka. Wilk ma podobnie cierpiące oczy. W dniach mojego pobytu w Mediolanie władza tego człowieka była potężna, sięgała wysoko i szeroko. Wiązano z nim żywe nadzieje w kraju i poza krajem. Rozbudzał namiętności. Posiadał nadto umiejętność, o której pisał Dostojewski. Umiał „puszczać dreszcze”. Ponieważ te dreszcze wywoływały we mnie obrzydzenie, postanowiłem nie wracać do Warszawy. Pokierowanym samochodem udałem się do Francji. W kilka miesięcy później zaproponowano mi objęcie wykładów na Uniwersytecie Paryskim. Pamiętam pierwszy wykład. Mówiłem o temacie choroby w literaturze i oparłem wywód na przykładzie trzech różnych dzieł literackich: „Sali numer 6” Czechowa, „Czarodziejskiej góry” Manna i „Pawilonu rakowatych” Sołżenicyna. Moi francuscy studenci nie znali żadnego z tych utworów.

W dwumilionowej fasolce wlepionej w bunkier wschodni wczoraj o dwa piętra wyżej u moich przyjaciół wysłuchałem komunikatu o zmianach w Biurze Politycznym. Niemiecka telewizja pokazała fotografie dwóch nowych członków najwyższej instancji partyjnej w Polsce. Jedną z dwóch twarzy znałem. Generał był uśmiechnięty na zdjęciu, zapewne sfotografowano go w chwilę po wyborze.

Jerzy Lipman opuścił kraj w okresie mojego pobytu w Mediolanie. Nie podjął przyznanej mu nagrody państwowej, zostawił w Warszawie meble, rzeczy, książki, wyjechał z żoną i synem do Londynu. W Polsce był operatorem filmowym, współtwórcą „polskiej szkoły”. Dzisiaj jest znanym filmowcem na Zachodzie, pracuje w Niemczech, Anglii i Austrii. Spędzają z żoną część roku w Berlinie Zachodnim. Nie wzięli obywatelstwa niemieckiego, domek kupili w Londynie. Mam ich teraz nad sobą, na czwartym piętrze w Ravenna Haus. Lipmanowie są nieraz roz-

targnieni. Kiedy mój przyjaciel ma sprawę na Kurfürstendam-
mie, żona mu przypomina: — Musisz dziś być na Piotrkowskiej.
— Wtedy Jerzy wzrusza ramionami: — Na jakiej Piotrkowskiej?
Na Marszałkowskiej! — Przez pierwsze lata po wojnie mieszkali
w Łodzi, a później w Warszawie.

Na początkowych stronicach „Miesiący” pisałem o Berlinie wstecz, z półtorarocznej perspektywy czasu i choroby. Jak pisać teraz. Czasami na ulicy z jakiegoś wnętrza rozchodzi się woń kawy i cygar, zapach niemieckich miast, stary zapach. Wtedy czuję, gdzie jestem. Tutaj w roku 1909 na wyścigach konnych mój ojciec został przedstawiony dwudziestodwuletniej pannie, mojej matce. Miasta i kraje mają swoje zapachy, południe Francji czy Włochy pachną smażoną oliwą i krabami, a Polska... Nie wiem, jaki zapach ma Polska, nie zna się zapachu własnej skóry. Przywoziłem ze sobą tylko pamięć, a raczej widzenie kilku obrazów miejskich, nieruchomych jak przezroczka. Czytając tu nagłówki prasowe oznajmiające, iż rosyjskie czołgi wkroczą do Polski wraz z mrozami, gdy stwardnieje śnieg, widzę biały plac z kolumną, pusty ośnieżony plac i czarne ślady stóp, pozostawione przez ludzi, którzy ukryli się w domach.

Ale kiedy wyjeżdżaliśmy z Warszawy, nie było jeszcze śniegu, asfalt połyskiwał w jesiennym słońcu. Poprzedniego dnia przemawiałem na warszawskim zebraniu wyborczym Związku Literatów, mówiłem o KOR-ze i powracających upiorach marcowych, a dwa tygodnie wcześniej w mieszkaniu na Żoliborzu podpisywałem świeżo wydrukowane egzemplarze „Miesiący”. NOW-a urządziła wieczór dla uczczenia swych stu pozycji wydawniczych, „Miesiące” ukazały się pod banderolą z liczbą 100. Siedziałem w tłoku na krzeselku przypartym do ściany, ktoś ze znajomych pożyczył mi długopis. Nie było stolika, więc przystawiono mi drugie krzesło. Podchodziły młode dziewczyny, studenci, anonimowi drukarze i kolporterzy NOW-ej. Pisałem: „dla Hanki i Zdzicha”, „dla pani Anny Walentynowicz” i „dla NSZZ Solidarność w Białymstoku ze słowami otuchy”. W starym żoliborskim mieszkaniu zebrało się wówczas ponad dwieście osób, kilka pokoleń, dolną od górnej granicy wieku dzieliło siedemdziesiąt lat. Po części konferencyjnej wystąpili dwaj młodzi pieśniarze z gitarami. Wokół nich na podłodze usiedli chłopcy i dziewczyny, my, starsi i bez bród, utworzyliśmy drugi, stojący krąg. Gitarzyści śpiewali pieśń, której nie znałem, w tekście powtarzał się refren: „runie mur, runie mur... łańcuch zakołysz się u wrót”. Podejmowano chórem ów refren.

W dwa tygodnie później, kiedy przemawiałem na zebraniu Związku Literatów, przytoczyłem cytaty z „Warszawianki”, słowa, które Wyspiański włożył w usta jednej z postaci, bodaj że Chłopickiego, dotyczące młodych oficerów powstańców: „...marszałkowskie laski rozchwytaliby może na usługach Francji, w Polsce nie będzie z nich nic, jako zwykle”. Twierdziłem, że tak być nie musi i że tak się nie stanie.

Taumentzenstrasse... Trautenausstrasse... Mylą mi się nazwy berlińskich ulic. Traunsteinerstrasse... W kiosku kupuję francuską gazetę. Sprzedawczyni się dziwi: — Woli pan o dzień spóźnione wiadomości? — Spóźnione — przyznaję — ale tak samo dobre. — W gazecie wiadomość o samobójstwie pisarza Romain Gary’ego.

Dla ludzi, którzy od tygodni przeżywają jedno pytanie: wejść czy nie wejść? — którzy nauczyli się żyć między zębami smoka, taka wiadomość jest niepojęta. Gary zabił się wystrzałem w skroń. W przedśmiertnym liście pozostawionym dla prasy nie tłumaczy wprost, dlaczego postanowił to uczynić. Uprzedza, aby nie wiązać jego samobójstwa ze śmiercią Jean Seberg, aktorki filmowej, z którą się był rozwiódł przed kilkunastu laty; dwa lata temu znaleziono ją o świcie na ulicy w zaparkowanym samochodzie, zmarłą po zażyciu trucizny. Gary zapewnił też, że przyczyną nie była depresja psychiczna. Na depresję cierpiał od młodości. Na chwilę przed rozstaniem się ze światem samobójca adresuje list do świata, by nie rzec do światka. Wskazuje czytelnikom poszczególne zdania swoich książek (tu, powiada, tutaj szukajcie...), cytuje siebie i pozwala się domyślać, że motywy jego czynu są egzystencjalne. Życie miał barwne. Lotnik w eskadrze Wolnych Francuzów de Gaulle’a, po wojnie dyplomata, konsul francuski w Los Angeles, laureat nagrody Goncourtów („Korzenie nieba”), autor *bestsellerów*, posiadacz willi na południu Francji. Jedną z postaci obfotografowanych, przyjacieli gwiazdorów hollywoodzkich, sylwetka z *tout Paris*. Pisał po francusku i angielsku, z pochodzenia był rosyjskim Żydem, nazywał się Kacew. Mówił też niezłe po polsku. Urodzony w Wilnie, przez krótki czas w młodych latach był uczniem gimnazjum Kreczmarza w Warszawie. Na swym wieczorze w Związku Literatów, chyba około roku 1960, wyrecytował poprawnym akcentem: „Głucho wszędzie, ciemno wszędzie. Co to będzie, co to będzie?”. Pewien bezceremonialny dziennikarz zadał mu kiedyś pytanie: — Kim się pan czuje? Francuzem, Rosjaninem czy Żydem? — Wolnym Francuzem — odparł Gary. Niemal co roku wydawał nowy tom prozy. Nad wyraz życzliwie krytyka przyjęła

ostatnią jego książkę, opublikowaną na krótko przed samobójstwem.

Trudne do pojęcia. Utrata wiary w sens życia, na pewno. Samotność, nieprzygotowanie do starości, tak częste u mężczyzn szczególnie żywotnych, przyzwyczajonych do sukcesu, może nuda, rozczarowanie człowieka, który lubił życie. Cierpienia ludzkie bogatszej części świata, luksusowi samobójcy? On jednak na samobójcę nie wyglądał, najmniej się nadawał. Jeśli w ogóle cokolwiek można o tym wiedzieć.

A ja, a we mnie myśl antypatyczna, chamska. Że gdyby mieszkał w Warszawie, nie strzeliłby sobie w łeb.

Dostojewski: „Ludzie odnajdą spokój nie dzięki postępowi umysłowemu i prawu konieczności, lecz dzięki moralnemu uznaniu wyższego piękna, będącego ideałem dla wszystkich”.

Dostojewski: „Konstantynopol jest nasz, powinien być nasz i kropka. (...) Nie jest Rosjaninem ten, kto nie uznaje konieczności zajęcia Konstantynopola”.

W grudniu 1970 byłem w Paryżu. Wykłady miałem dwa razy w tygodniu: „Dzieło literackie a historia” oraz „Literatura w krajach Europy wschodniej po drugiej wojnie światowej”. Zwłaszcza drugi wykład nastęrczał mi trudności. Mówiłem o literaturze nieznaną moim studentom, musiałem omawiać po francusku treść książek, których przekłady nie istniały. Męczarnia. Paryscy studenci to inteligentni młodzi ludzie, wygadani i bystrzy w dyskursie, ale z moich słuchaczy żaden nie wiedział, kim był Mickiewicz, a o Rzeczypospolitej Obojga Narodów dowiadawali się po raz pierwszy ode mnie. Pamiętam szmer zdziwienia, kiedy zacząłem mówić o rozbiorach. Robili notatki. Czulem, jak opornie docierają do nich zjawiska i fakty, z których świadomością my się rodzą. Polska i Litwa... Polska a Rosja... Niewola i powstania... Notowali! Rozpaczyliwy wykład, kiedy usiłowałem im streścić „Wesele”, i pełna współczującego zażenowania cisza, gdy utknąłem przy Duchach. A chciałem ujawnić źródła, z jakich płynęła choćby twórczość Witkacego, czy takich autorów jak Gombrowicz lub Mroźek. Wieczorem w domu po kolejnym wykładzie powiedziałem, że długo nie wytrzymam tych tortur i że najchętniej wymyśliłbym nieistniejących pisarzy i dzieła. Stworzyłbym fikcyjną literaturę polską i wykladałbym jej historię, racjonalną, wyzwoloną z narodowych odmętów i głębin. Moim słuchaczom byłoby z pewnością wszystkim jedno, a ja mniej bym się szarpał. W gruncie rzeczy robiłbym to, co robię zazwyczaj,

układałbym fabułę. Nie przeczuwałem, że zarysował mi się wtedy pomysł opowiadania, które napiszę w Warszawie po dwóch latach i tak też zatytułuję: „Pomysł”.

Później wybuchły manifestacje i tumulty studenckie, przez jakiś czas wykłady były zawieszane. Po przerwie, kiedy wszedłem do sali wykładowej, moi studenci wstali. Kędzierzawy Algierczyk powitał mnie uroczystym przemówieniem. Na Wybrzeżu Bałtyckim doszło do wystąpień polskiej klasy robotniczej, są zabici i ranni. Mówca złożył mi wyrazy solidarności w imieniu kolegów.

Mieszkailiśmy tuż pod Paryżem, w Bagnaux. Oprócz wykładów uniwersyteckich prowadziłem radiowy felieton kulturalny. Studio mieściło się w labiryncie gmachu ORTF, podobnego do bębna gigantycznych rozmiarów. Co tydzień błądziłem po opasujących go korytarzach. Zarobki ledwie wystarczały na życie, skromny kapitalik moich honorariów wydawniczych topniał. Zdecydowałem się podpisać umowę z niemieckim wydawcą na książkę o Polsce współczesnej. Wydawca był miłym człowiekiem, zaprosił mnie do Frankfurtu, poznałem jego żonę. Nabył ode mnie *copyright* na nie napisany jeszcze utwór, zobowiązując się do sfinansowania moich natchnień. Co miesiąc miał przekazywać do Paryża kwotę zapewniającą mi spokojną pracę literacką. Z umowy wywiązywał się sumiennie. Po drugiej racie M. spytała, kiedy myślę zasiąść do pisania. Wyjaśniłem, że do upływu terminu pozostało jeszcze sporo czasu, plan książki mam już w głowie. Prawdę mówiąc, w głowie miałem inny plan. Z Warszawy przywoziłem nie ukończony rękopis „Wariacji pocztowych”, przerwany na liście konfederata barskiego, więzionego przez Turków w klatce z małpami. Przed wyjazdem materiał mi wysechł, sądziłem, że nie skończę tej książki. Ale w Bagnaux którejś nocy zaczęły mi się układać zdania następnego listu i poczułem tęsknotę za piękną nieforemnością sarmackiej polszczyzny. U Piotrów Słonimskich znalazłem tom korespondencji Krasieńskiego, potem wpadł mi w ręce jakiś pamiętnik z Powstania Listopadowego. Wcześniej rano obudziłem M., aby się podzielić dobrą nowiną: mam już pomysł na dalszy ciąg „Wariacji pocztowych”, będzie to list oficera polskich szaserów konnych, który w czasie odwrotu spod Moskwy odrąbał i zjadł własną nogę.

Było po trzeciej racie od wydawcy z Frankfurtu. M. nieco przybladła. Powiedziała: — Zwrócimy mu pieniądze.

Cudowne dni w Bagnaux, gdy owinięty kocem snułem dziwaczny tok przygód Seweryna Zabierskiego, który upiekł swą własnoręcznie odrąbaną nogę w porzuconej wiejskiej cerkiewce.

M. parzyła mi kawę w maszynie, w mieszkaniu było cicho. Po obiedzie wstępowałem na kieliszek do bistro obok uniwersytetu. Wykłady szły mi coraz lepiej, polubiłem moich studentów.

Co pewien czas z Warszawy dochodziły wiadomości o mnie. Byłem mianowicie emigrantem, zwróciłem paszport, by żyć na Zachodzie. W Pradze jakiś literat z Warszawy ostrzegł redakcję tamtejszego czasopisma przed drukiem mojej prozy. Tekst wycofano, a przy okazji zamknięto czasopismo. Inny wystannik polskiej literatury podobnie załatwił moje sprawy na Węgrzech. Nie przejmowałem się zbytnio. Postanowiłem wrócić do Warszawy po zakończeniu semestru uniwersyteckiego i dalej pisałem „Wariacje”. Moim kolejnym bohaterem był porucznik ułanów z roku 1831, który produkował się konno i z lancą w brukselskim cyrku po upadku Powstania.

Wydawca z Frankfurtu zaniepokoił się dopiero przy czwartej racie. Doszły go informacje, że zamierzam wracać do Warszawy, w rozmowach ze znajomymi nie kryłem moich projektów. Przesłał mi list, wyrażający uprzejme życzenie. Chciał się zapoznać z rękopisem, interesowało go, jak się posuwa moja praca nad książką o współczesnej Polsce. Odpisałem, że nie jest to w moich obyczajach. Wydawca był sympatycznym człowiekiem, ale człowiekiem biznesu. Wstrzymał dalsze przekazy. W owym czasie skupiłem się na postaci zesłańca-sybiraka z roku 1863. „Wariacje” zbliżały się do XX wieku, a wykłady prowadziłem już w sali pełnej słońca, szła wiosna. Pod koniec semestru proponowałem studentom, aby wypowiedzieli się szczerze, co myślą i jak oceniają moje wykłady. Głosy były na ogół przychylnie. Z jedynym wyjątkiem. Mały okularnik, Hugues Moreau, największy erudyta wśród moich słuchaczy, zarzucił mi brak naukowej koncepcji w potraktowaniu dzieła literackiego. Wymienił dla kontrastu nazwiska swych autorytetów: Chomskiego, Foucaulta... Gdy wyjaśniłem, iż nie mam takiej koncepcji, dla mnie bowiem literatura jest przede wszystkim fabulacją, rodzajem bajki dla dorosłych, której istota tkwi w cudowności samej materii życia, mały Moreau zawołał: — To jest teoria Merleau-Ponty'ego, sformułował ją ćwierć wieku temu! — Poprosiłem, aby napisał referat krytyczny o moich wykładach. Uwinął się w tydzień. Dałem mu najwyższą notę. Kędzierzawy Algierczyk również się podjął referatu. Wypowiedział w nim ciekawą myśl, iż opera „Wesele” de Stanislas Wyspiański jest utworem poruszającym wiele problemów i zjawisk aktualnych dziś w krajach Trzeciego Świata.

Na wiosnę zawitał do Paryża pewien działacz kulturalny

z Warszawy i przez wspólnych znajomych zwrócił się do mnie z propozycją towarzyskiego spotkania, gdybym — powtórzono mi dokładnie jego słowa — uznał to za możliwe. Domyśliłem się: sonda. Wysłannik z Warszawy cieszył się opinią uczciwego człowieka, przyjąłem propozycję. Stawiłem się punktualnie wprost z wykładu i po kilku zamienionych słowach zorientowałem się, że mój rozmówca nie jest pewny, czy wróć do kraju. W czwartym zdaniu powiedział: — Towarzysze popełnili wiele błędów... — Spytałem o moich przyjaciół i wtrąciłem od niechcienia, że za dwa, trzy miesiące spodziewam się zobaczyć ich w Warszawie. Na twarzy mego interlokutora spostrzegłem jakby rozkurcz mięśni, lewa powieka przykryła mu oko, spod prawej wyrwał miękki, czuły aksamit. („Wie pan, nigdy nie piszę sprawozdań z takich rozmów — powiedział mi w kilka lat później — ale wtedy zaraz po powrocie przekazałem ministrowi relację o naszym spotkaniu”). Samochodem ze znakiem PL, napiętnowanym przez antyfaszystów, odwoziłem go wieczorem przez Concorde i łamiąc pierwszeństwo przedarłem się wśród uragań kierowców na Saint-Germain. Prowadziłem jak w zapamiętaniu, za plecami czułem rosnący strach mego pasażera. To była fata morgana, wyobraziłem sobie, że z Placu Saskiego pędzę w stronę Królewskiej, a za chwilę po ostrym skręcie w lewo zobaczę w głębi fasadę Wizytek. Działacz z Warszawy wysiadł drżący z mojego samochodu przed hotelikiem na rue de Lille.

Z Paryża wyjechaliśmy po zakończeniu roku akademickiego. Obiecałem wrócić na semestr jesienny, kierownik katedry zaprosił mnie do kontynuowania wykładów w następnych latach. Jechaliśmy znowu przez Czechosłowację, punkt graniczny przekroczyłem w Kudowie. I tam przed białoczerwonym szlabanem opadł mnie strach. Nie miałem powodu do obaw, w bagażniku wiozłem rzeczy osobistego użytku, paczkę francuskich książek i starą maszynę do pisania. Czego się więc bałem? Z czasu, z nieobecności wyrosła ta mdła trwoga? Przy szlabanie stał żołnierz w sztywnej, jakby za małej czapce z daszkiem nasuniętym na brwi i wpijał we mnie wzrok. Wysiadłem z samochodu ściskając w rękę dokumenty. Żołnierz nie spuszczał ze mnie oczu. Na miękkich nogach zbliżałem się powoli do szlabanu... I nagle żołnierz krzyknął. Przystanąłem, nie rozumiałem, co co chodzi. — Szurkowski wygrał piąty etap! — zawołał głośniejszym głosem z szlabanu. — Co pan mówi! — ryknąłem ze szczęścia — nic o tym nie wiedziałem!

Nie wiedziałem, kto to jest Szurkowski, zapomniałem o istnieniu Wyścigu Pokoju. Wymachując papierami zacząłem

wołać do M. siedzącej w samochodzie: — Szurkowski wygrał piąty etap!

Nie zrewidowano naszego bagażu. W małym budyneczku celnicy ziewieli wpatrzni w telewizor, z ekranu dyszał uwięziony Szurkowski. Komendant posterunku, nie odrywając wzroku od wizji, tłumaczył mi któredy jechać do hotelu turystycznego. Przed hotelem stały autokary. Wycieczka, gwar, biegająca, jakaś piosenka z głośnika, której nie znałem: „Daj, daj!... serce na dłoni!...”. Wewnątrz owało mnie ciepło i zapach bigosu. Spytałem niepewnie, czy jest kawa. — Od Gierka jest wszystko! — rzekła dumnie kelnerka. W kwadrans później pan Pasela, palac hotelowy, rozwarł przede mną skrzypiące wrota. Wjechałem do stodoły, kura wskoczyła na maskę samochodu. Byłem w Polsce.

Piszę o tym w Ravenna Haus na Bundesallee w Berlinie Zachodnim. Obok leży numer tygodnika *Spiegel*. Na okładce sowieckiej czołg z czerwoną gwiazdą między białego orła z rozpostartymi skrzydłami. Wiadomości coraz groźniejsze. Czterdzieści dywizji pancernych. Narada w Moskwie. Kонтrewolucja w Polsce. Alarm w zachodniej prasie.

Zdaję sobie sprawę z tego, że pisząc o swoim powrocie do kraju w roku 1971 stosuję rodzaj psychicznej autoterapii: jak gdybym zanurzał rękę w cieplej jeszcze pamięci i przykładał kompres do czoła. A przy tym w samym pisaniu, w godzinach pisania, jest osłona przed atakującą przyszłością. Pisząc nie myśli się o tym, co będzie jutro. W Bagneux podobnie odgradzałem się od przyszłości pisaniem „Wariacji pocztowych”.

W „Wariacjach” jest opis czyjejs prywatnej kolekcji pamiątek narodowych, w której znalazła się także „kula bolszewicka z roku 1920”. Cenzor te słowa skreślił. Wpisałem zamiast nich: „pocisk armatni z wojen szwedzkich”.

Było to moje ostatnie ustępowanie w stosunku do ulicy Mysiej.

Samotność: wielkie obce miasto.

Samotność: małe polskie miasto.

Od przyjazdu niemal codziennie wysyłam pocztówki i listy do Warszawy. Na razie doszła tylko jedna kartka w ciągu trzech tygodni. Telefonowałem do Mariana. Słyszę spokojne głosy: przed chwilą zjedli kolację, Marian wrócił z kina. — Ale jak się czujecie? — wołam — my tutaj nie odchodzimy od radia! — Nieźle się czują, a z nerwami jak zawsze, nie trzeba przesadzać, raz gorzej, raz lepiej. No owszem, kłopoty z żywnością.

— Po cośmy wyjeżdżali — mówię — oni nam tutaj szarpia nerwy, a w Warszawie mój brat chodzi sobie do kina.

Warszawskie paradoksy, warszawskie dziwności... codzienna i rozpaczliwa groteskowość tego pomyłonego życia. Już mi jej brak. Wczoraj zasypiając przypomniałem sobie „elastyczny pasek” i śmiałem się długo po ciemku. Na bazarze Różyckiego — ile lat temu, pewnie ze dwadzieścia — M. kupowała francuski elastyczny pasek z podwiązkami. Właścicielka straganu, ponura baba-grubas z papierosem, zgodziła się na przymierzenie. M. bez spódnicy, z na pół wciągniętym paskiem, przed nią ja trzymam lustro, baba z papierosem osłania nas od strony przejścia rozpartym kilimkiem i zachwala elastyczny towar, gdy nagle: — Klucz! Klucz pod głowę! — Tuż przed straganem, u stóp naszej grupy, jakiś człowieczek padł na ziemię w ataku epilepsji i od razu wokół nas zebrał się tłum. M. jakby nad nim w górze, z przestraszonymi oczami i jasnym kokiem, ja szamocząc się z kilimkiem, którym wrzeszcząc okrywa nas baba, a dookoła ścisk, ludzie przyglądają się epileptykowi leżącemu na wznak, z kluczem pod głową i w drgawkach.

Oni tutaj nawet w snach nie mogą oglądać podobnych fantasmagorii. Surrealizm źle skleconych form niedorzeczności, ekspresja nieczystych kolorów biedy i bezradne nieprzystawanie ludzi do rzeczy i rzeczy do ludzi — oni tego w ogóle nie znają.

Oni... Niemcy, Francuzi, Szwajcarzy, kolorowe piramidy żarcia, jasne, rozjarzone pasaże supermarketów, dziesiątki gatunków wędlin, kawy, czekolady, dżemów, ogromne, krwiste zręby połów, różowe szynki w białych otoczkach tłuszczu, ryby z mórz i rzek całego świata, ananasy, wzgórze ananasów. Oni, ich banki, gdzie panuje cisza świątyni, ich nowe modele samochodów, jak wielkie klejnoty za lustrzanym szkłem wystaw, złote połyski jesiennych salonów meblowych, stopy futer, dywanów, królewskie galerie obuwia... Natarcy ilości i jakości, żywność pożerająca człowieka, neony uwodzą, mrugają. Oni żyją w cywilizacji, my w dramacie. W wannie z czarnego marmuru znamienita intelektualistka udziela przez telefon interview o przyszłej rewolucji anarcho-troctkowskiej. Nigdy się nie porozumiemy — mówię — to są dialogi przejeźdzonego ze związanym. Konstrukcja ich czasu jest inna, spójrz na ulicę, jak oni chodzą. Oni chodzą, a my w Warszawie wlecemy się lub pędzimy.. Oni tu spacerują, a nas coś gna albo dusi. Jedyne co ich z nami łączy, a raczej o nas zahacza, to strach, żebyśmy ich nie wciągnęli w nasze wariackie podrygacje i nie zwalili im na głowę naszych pudów

otowiu, żebyśmy ich nie wtrącili w nasze piekła. Bo oni spacerują po życiu, a my się czołgamy przez historię. Tak ma być, oni to już dawno załatwili. Kiedyś w Wiedniu i kiedyś indziej w Jałcie. „Jak nieraz już bywało w przeszłości — oświadczył wczoraj komentator berlińskiej TV — Polaków z ich nieświadomości własnej sytuacji może wyrwać okrutne przebudzenie”. Rzekł to z mądrogłupią miną wujka ostrzegającego dzieci przed zabawą zapałkami.

Co, nieświadomość? nieświadomość własnej sytuacji? Wszystkiego nam brak, mięsa, cukru, kartofli nam brak, lecz świadomość własnej sytuacji mamy, na szczęście czy nieszczęście mamy, czego jak czego, ale mamy jej więcej niż Niemcy w roku 1941 i 1943. „Śmiać mi się chce, jak na nich patrzę, to przyszłe trupy” — mówił mój ojciec, kiedy wkraczali w 39. To ona właśnie rodzi w nas instynkt samozachowawczy, ów głębszy instynkt samozachowawczy duchowego samozachowania, to świadomość własnej sytuacji kształtuje nasz charakter i inteligencję, tworząc nam poczucie sensu życia przez siłę prostych marzeń. O czym marzymy: o wolności i sprawiedliwości. Czego chcemy, a czego nie chcemy: być ludźmi i nie być półludźmi. Ach, te idee naiwne, bo oczyszczone ze zwątpień, kształt naszego człowieczeństwa. Wielka jest moc owego chcenia i niechcenia.

Pisałem tu o samobójstwie francuskiego pisarza jako o rzeczy niepojętej, a mam w pamięci naszych pisarzy-samobójców. Ale oni, Witkacy, Lechoń, Wat, Borowski, Hłasko, Zawieyski, ich dopadły polskie zmyry dziejowe. Sięgnęły po nich, znalazły ich za oceanem, w kraju i obcych miastach, zabijając każdego z innych przyczyn i w niepodobnych okolicznościach. A jednak to była śmierć wspólna, ustanowiona z wyroku, i nie odróżniam jej w myśli od śmierci Boya, Pawła Jasienicy. Kto, jaki u nas pisarz zadał sobie śmierć w rozpaczy egzystencjalnej, w utracie celu istnienia? Metafizyczne samobójstwa Piętaka, Macha, Stachury, chłopskie samobójstwa, których nie rozumiem.

Dziś nadali przez radio WE pełny tekst przemówienia Anny Walentynowicz w Jastrzębiu. Współzałożycielka „Solidarności” mówiła o KOR-ze. O pomocy udzielanej przez KOR robotnikom aresztowanym w 1976 po strajkach w Ursusie i Radomiu, o akcji składek pieniężnych, kolportażu gazet i wydawnictw, wskazujących robotnikom metody samoobrony. Przytoczyła zdanie Jacka Kuronia: „Komitetów nie należy palić, komitety trzeba zakładać”. Jacek zwariował — opowiadano mi trzy lata

temu — wbił sobie do głowy jakieś samorządy czy związki robotnicze, o niczym innym nie chce mówić, chrypki z tego dostał.

W tej samej audycji WE inne sprawozdanie, o konferencji prasowej rzecznika Episkopatu, która odbyła się w Warszawie. Rzecznik w swych odpowiedziach na pytania zagranicznych dziennikarzy zarzucił KOR-owi hałaśliwą i nieodpowiedzialną działalność, wymieniając nazwisko Kuronia. Oświadczenie przedstawiciela Kościoła zbiegło się w czasie z atakami prasy wschodnioniemieckiej i czechosłowackiej na osobę Kuronia i KOR.

W pieśni Gustawa Ehrenberga: „O cześć wam, panowie magnaci” usunięto po latach, dla uszanowania hierarchii kościelnej, rymujące się słowo oryginalnego tekstu: „prałaci”. Zamiast niego śpiewano: „psubraci”. Ja również tak śpiewałem.

Nadszedł list z Paryża. 18 grudnia Miłosz w drodze powrotnej ze Sztokholmu, po wręczeniu mu nagrody Nobla, wystąpił na wieczorze literackim u księży Pallotynów na rue Surcouf. W czerwcu 1976 czytałem tam fragmenty „Nierzeczywistości”. Wieczory autorskie w Centre du Dialogue miał pod swoją pieczęć ks. Józef Sazdik, rektor domu Pallotynów, zmarły przed czterema miesiącami. W dniu jego śmierci dostałem pogodną kartkę ze Szwajcarii, w której donosił, że hoduje w górach małe pieski św. Bernarda. Ukazało się o nim wspomnienie przyjaciela, księdza-poety Janusza Pasierba. W tekście fotografia, twarz znajoma, o cierpiących oczach, mądry smutek pokory, który tylekroć w nim czułem i przekładałem na swój język: skromność osobista. Janusz Pasierb cytuje we wspomnieniu zdanie napisane przez księdza Józefa: „Plagą naszego czasu są mędrkowie, którym udało się uchwycić mechanizm bełkotu”. Więc i o tym wiedział. Wiązą się i składają ze sobą myśli ludzkie ponad epokami. W moich notatkach znalazłem taki oto cytat: „Nie ma co pisać dla was rzeczy poważnych — niczego nie zrozumiecie, a i z artystem dla was pisać nie można, trzeba to robić bez talentu i z zawijasami. Albowiem w artystycznym wyłożeniu myśl i cel ukazuje się ostro, jasno i zrozumiale. A tym, co jest jasne i zrozumiałe, tłum gardzi. Inaczej rzecz się przedstawia, gdy coś jest zawiłe i niejasne. Nie rozumiemy tego, więc musi to być głębokie”.

Kto to napisał, domyślcie się.

Z Warszawy nie mam żadnych wiadomości, jak się rozchodzą „Miesiące”, czy milicja nie położyła na nich ręki. Trzy lata temu z nakładu „Nierzeczywistości” przepadło 500 egzemplarzy, a teraz niedawno, we wrześniu, służba bezpieczeństwa prze-

jęła część nakładu „Pamiętników” Zygmunta Żuławskiego. Przed moim wyjazdem dwa fragmenty „Niereczywistości” wydrukowała *Polityka*. Potem nadszedł list od czytelnika z prowincji; pytał, kiedy ukaże się całość. Na list nie odpisałem, musiałbym tłumaczyć dlaczego całość w kraju ukazać się nie może. Dziwacznym są koleje tej mojej „Niereczywistości”. Na żoliborskim przyjęciu wydanym przez NOW-ą Chojecki wspominał w przemówieniu, jak w roku 1976 na powielaczu domowego wyrobu próbował odbijać pierwszy tekst literacki. Był to jeden z ośmiu egzemplarzy „Niereczywistości”, przepisanej przez znajomą maszynistkę.

I jeszcze jeden list do mnie, z Podkowy Leśnej: „Jestem wielbicielek Pana utworów, zarówno powieści, jak noweli i szkiców. Cisza wokół Pana twórczości trwa zbyt długo. Czy nie nastał obecnie sprzyjający okres, by znów ukazał się Pan z najnowszą twórczością na półkach księgarskich? Wiem, że nie zależy to tylko od Pana, ale obecnie łatwiej chyba walczyć o swoje! I trzeba to zrobić dla ogółu, który czeka. (...) Życzę Panu wszystkiego co dobre: szczęścia osobistego, sukcesów w pracy i należnego uznania od wszystkich”.

Więc: „walczyć o swoje”. I: „trzeba to zrobić”. Ale jak?

W małej galerii na Akazienstrasse wieczór literacki, na którym Zbigniew Herbert recytował poezję Norwida. Herbert był silnie przejęty, stremowany swoją miłością dla Norwida. Wśród słuchaczy młodzieńka dziewczyna stojąca na tle białej ściany, z delikatnym rumieńcem i miedzianymi włosami opadającymi na ramiona, wąska, długa, o wypukłym czole. Niemiecko-gotycka, jak z drzewa. Po recytacjach opowiadano mi, że Norwid w schronisku św. Kazimierza miał obyczaje szczególne. Pewnego wieczoru wrócił pijany z miasta i wylał nocnik na głowę zakonniczy. Takie sceny nie wchodziły do polskich biografii. Wytyka się je Boyowi, który jednak wiedział, co robi, dlaczego odbrażawia. Walczył z czymś większym niż ówczesna filologia polska, zwalczał jezuicką formę polskości. Chętnie bym napisał scenariusz o Mickiewiczu, pokazałbym go, jak pełni służbę w paryskiej Gwardii Narodowej, stojąc z karabinem, w mundurze i kaszkiecie przed budką wartowniczą. Tak było. I pokazałbym później, jak się szybko przebiera, wsiada w dorożkę i jedzie na wykład do Collège de France. To nie jest pomniejszanie, to jest przedstawianie ludzi żywych, z ich wielkością uplątaną w życie. W Polsce tak nie wolno. Boy jest dziś niemal wyklęty, wkrótce z powrotem będziemy nakładać to, co odkuł.

W kraju wprowadzono świąteczne kartki żywnościowe. 80 deka wędlin, pół kilograma mięsa i ćwiartka masła na osobę. Podobno całe miasta stoją w ogonkach.

16. XII. 1970 - 16. XII. 1980. *Oddali życie, abyś ty mógł żyć godnie.*

W Berlinie dziennik telewizyjny prawie codziennie rozpoczynają wiadomości o Polsce. Na ekranie ukazuje się mapa Europy. Olbrzymie cielsko ZSSR i jakby wsysany przez nie maleńki opłatek Polski. Biblijne skojarzenia narzucają się same. Goliat i Dawid. Wieloryb i Jonasz.

Nie tylko Polskę zdaje się wchłaniać monstrualnie rozrosły brzuch wschodniego imperium. Cała zachodnia Europa leży przy nim zdrobniała, niby skurczona ze strachu. Trzeba uważnie słuchać i czytać. Z ich komentarzy przebija lękliwe poczucie biologicznej słabości, oni znają swoje zmęczenie, wyczerpanie starej rasy, która musi oszczędzać własną krew. Nie chcą ginąć. Nie widzą w swoim świecie wartości, dla których należałoby poświęcić życie. Śmierć za co? Za ojczyznę, dla idei, w obronie godności? Czyjej, jakiej? Mają Wspólny Rynek i cywilizację. Nie umiera się za cywilizację.

Zachód wydaje dziś za siebie okrzyki zgrozy, intelektualści jęczą, zewsząd dobywa się świadomość niemocy. Oni już wiedzą, przygotowują się na gwałt. Chodzi jedynie o to, żeby ów gwałt nie był mordem seksualnym, tylko dokonał się spokojnie, w wygodnym francuskim łóżku. Wyszukuje się nazwy dla przyszłego stosunku. Finlandyzacja... skandynawizacja... A jeżeli czechizacja?

Francuzi są w tych przygotowaniach, jak zawsze, awangardą myśli. Nikt nie potrafi tak estetycznie rozsuwać nóg, z takim *esprit* układać się do aktu, jak francuscy klerkowie. Moje dawne podejrzenie: ile pieniędzy napływa z Ambasady do paryskich redakcji? To jest podejrzenie grube, trywialne, nie posuwajmy się w tym kierunku. Tam są jeszcze ludzie przyzwoici, którzy pieniędzy nie biorą. Jest zachodnia lewica. Lewica ze swymi skrupułami wobec pierwszego socjalistycznego kraju świata i obawami, by nie lać wody na młyn prawicy. Lewica - prawica. U nas szanujący się mózgowcy od dawna uznali ten podział za idiotyzm. W Polsce człowiek przy zdrowych zmysłach, który nie chce z kretesem się ośmieszyć, chowa takie pojęcia dla siebie. Ale na Zachodzie one jeszcze i dą. Lewica, przynależność do lewicy, solidarność z lewicą to są dla nich imponowalności, a zarazem to jest ich alibi. Nie drażnić kolosa, w barbarzyńskim

czerepie drzemie ludowa, rewolucyjna dusza. Rewolucja należy do depozytu wiary lewicy intelektualnej na Zachodzie.

Obydwie postawy mnie drażnią, jest w nich jakiś wykręt. Ale pytam, co ja naprawdę myślę i w końcu z czym zostałem. Mimo wszystko w owym rozróżnieniu przetrwał sens; podział na dwa ludzkie typy — człowieka lewicy i człowieka prawicy — jest wieczny. Jak go określić? Zachowała mi się poniższa notatka.

„Lewica: świadomość więzi międzyludzkiej, ruch myśli napędzany potrzebą sprawiedliwości, uznanie człowieczeństwa w innym.

Prawica: organizowanie bytu zbiorowego przeciw jednostce, dogmat chroniący wspólnotę interesów, porządek oparty na sile”.

Czym jest ta gigantyczna plama rozpełzła na mapie, co ona w sobie kryje oprócz nieogarnionej przestrzeni, bogactwa surowców, krajobrazów i superpotencji militarnej? Ćwierć miliarda ludzi i historię Rosji. Podzieliłem kiedyś świat na kraje mające trupa pod podłogą i inne, takie jak Francja lub Polska, które trupa do ukrycia nie mają. W historii żadnego narodu nie leży pod podłogą tyle schowanych trupów, co w dziejach Rosji. Na trupach wybudowała stolicę, utrupiła własną inteligencję. Wszystko to czyniła w imię ideału wyższego piękna, o którym pisał Dostojewski. „Kto tego nie uznaje, ten nie jest Rosjaninem”.

Mówiło się kiedyś, że w Polakach tkwi cząstka rosyjskiej duszy, a w polskości zawarty jest nostalgiczny sentyment dla Rosji. Szło to zapewne z kresów, z utraconych ziem wschodnich. Tam wraz z niewolą trwało współżycie między narodowościami i ludźmi. Tak chyba było. Podróżowano do Petersburga i Moskwy, wysyłano dzieci do szkół w Kijowie. Na zesłaniach także poznawano Rosję. Po roku 1863 w rodzinie Zenowiczów było trzech zesłańców i skonfiskowane majątki ziemskie. Otóż rosyjskie wspomnienia Zenowiczów mocno mnie zadziwiały. Rodzice M. spędzili w Moskwie lata pierwszej wojny i tam ich zastał wybuch rewolucji. Waclaw Zenowicz był inżynierem w fabryce maszyn Lanza, ewakuowanej do Rosji w 1914. Wrócili w 1919. Natychmiast po powrocie ojciec M. wraz z swymi dwoma braćmi poszedł jako ochotnik na wojnę polsko-bolszewicką. Później wspominali przy mnie moskiewskie lata, ale z jakim rozrzewnieniem! Musiała być słodycz w tym życiu rosyjskim. Po świątecznych kolacjach z „paszą” lub „kutią” na deser, gdy śpiewano w jadalni: „Więc pijmy wino, szwoleżerowie”, zawsze ktoś w końcu intonował „Oczy czornyje” albo „Za etyj pierwyj eskadron”. To już było w międzywojennym okresie, w Polsce nie-

podległej. Niejednokrotnie stykałem się z twierdzeniem, że polską gospodarkę i administrację po roku 1918 odbudowali rosyjscy Polacy, ekonomiści, bankowcy, prawnicy, budowniczy dróg i mostów. W Dwudziestoleciu żywe były reminiscencje z tamtej Rosji. Rosja porewolucyjna, odgradzona od Europy łańcuchem strażnic, szczelniejszym niż żelazna kurtyna, ta nowa Rosja wydawała się daleka i zamknięta w osobnym świecie. Działy się w niej rzeczy groźne, lecz — jak się wierzyło — Polsce nie zagrażające. Wyjątki były nader rzadkie. Silne wrażenie czyni relacja Pawła Hostowca o rozmowie z Szymonem Askenazym w czasie przechadzki po Warszawie, na kilka lat przed wrześniem 39. Askenazy oprowadzał Hostowca po mieście, którego dni, w jego przekonaniu, były policzone. Okiem historyka widział w Warszawie obce armie, które niebawem wkroczą z dwóch stron, od zachodu i wschodu. Dziwił się, jak można tego nie rozumieć.

Ale to były doprawdy wyjątki. Nigdzie nie spostrzegłem głębokich śladów bądź urazów psychicznych po zaborach i ostatnim najeździe. Trwalsza była pamięć literatury rosyjskiej. Mój ojciec w czasie niedzielnych spacerów lubił recytować Puszkina: „*Skazika diada, wieś nie darom Maskwa spalonnaja pażarom Francuzu oddana...*”. Czułem w ich języku niepokojącą pieśń i miękkość. Przemykało mi przez myśl: czy to jest prawda? W fonetyce i kadencji było ukryte melodyjne zakłamanie.

Z czasem jednak przez wschodni kordon zaczęły przenikać wiadomości. Dziwne, tajemnicze, sprzeczne. Magnitogorsk — i czystki. Samobójstwo Majakowskiego — parki kultury i wypoczynku. NEP — i kolektywizacja. Komsomoł, czystość moralna Komsomołu... Czytałem na przemian Gide'a odarty ze złudzeń „Powrót z ZSSR” i dobrodusze refleksje z podróży G. B. Shawa. Niemiecki literat Emil Ludwig rozmawiał ze Stalinem i kiedy na wypowiedzianą przezeń uwagę o wspólnych cechach łączących USA z ZSSR wykrzyknął: „Pan nawet nie podejrzewa, jak dalece ma pan rację!”, Stalin się uśmiechnął: „Kto wie, może i podejrzewam”. Jeden z moich wujków był przedstawicielem SOWPOLTORGU w Moskwie; o Związku Sowieckim mówił z pełnym zachwytem uniesieniem. W warszawskim kabarecie słuchałem wiersza Słonimskiego: „Tak, to wszystko jest prawda, towarzyszeko Zino, któżby nosił na głowie czystki kolorowe, nie kłamie film z Marleną, prawdę mówi kino...”.

I wreszcie: procesy moskiewskie. A potem: 17 września 1939 i Lwów.

Nie miałem bezpośrednich zetknięć z Rosjanami. Żadnych

doświadczeń. Przed wędrówką wrześnieją za Bug powstrzymał mnie wewnętrzny opór. M. przypomniała mi o tym niedawno. Powiedziała jej wtedy: „W okresie kataklizmów nie ucieka się na wschód”. Nie mam pojęcia, skąd wziął się we mnie ów instynkt. Podczas bombardowania Warszawy, kiedy odprawiono mnie z kwitkiem po zgłoszeniu się do Cytadeli, leżałem w łóżku z „Wojną i pokojem”, w przerwach pełniłem dyżury przeciwlotnicze na dachu. Wiadomość o wejściu armii sowieckiej przyjąłem z ciężką rezygnacją, jako nieuniknioną konsekwencję paktu Hitlera ze Stalinem. Zaledwie przed trzema tygodniami dowiedziałem się o nim przez megafon na basenie Legii i w sierpniowym upale zrobiło mi się zimno. Nie przerwano skoków w trampoliny, dalej słychać było pluski i śmiechy, a przy brydżowych stolikach nie drgnął żaden z grających. Widząc, jak spokojnie opalają się dziewczyny na leżakach, pomyślałem, że chyba przesadziłem, za łatwo wpadłem w panikę.

Nowiny ze Lwowa napływały powoli i nie były całkiem jasne. Krasnoarmiejcy z karabinami na sznurkach, żony oficerów wykupujące damskie koszule nocne jako wieczorowe suknie. Uroczystości Mickiewiczowskie, a równocześnie konfiskowanie tomów poezji narodowej w bibliotekach. Odczyty w Związku Literatów. Ale w jakim: polskim, ukraińskim, sowieckim? Razem do kupy biorąc, trudno było z tego ułożyć sensowny obraz życia. Później nadeszły wiadomości o wywózkach, uwięzieniu Broniewskiego, Wata. Tu i ówdzie mówiono, że to były akty dywersyjne ukraińskiej NKWD. Z mieszanymi uczuciami słuchałem krążących opowieści. Żył się nadzieją i oczekiwaniem wojny niemiecko-sowieckiej. Działał już mechanizm psychologiczny, który w dziesięć lat później miałem dobrze poznać. Filtry podświadomości nie przepuszczały faktów sączących zwątpienie. Przyszły dni, kiedy jedynym oparciem dla mnie, w złych myślach, w grozie, były miliony żołnierzy z czerwonymi gwiazdami na czapkach. Pierwsza armia, której udało się powstrzymać napór hitlerowski. Był tylko jeden diabeł, z trupa czaszką nad lakierowanym daszkiem. Kiedy w roku 1942 zwrócił się do mnie Leszek Raabe z propozycją wstąpienia do nowo powstałej redakcji socjalistycznego miesięcznika, przyszedłem na zebranie. Przypominam sobie wysoki, goły pokój ze stołem po środku, w dużej kamienicy koło rogu Kruczej, wejście od Alei Jerozolimskich. W programie znalazł się punkt antysowiecki. Nie zabrałem głosu, ale odmówiłem udziału w redakcji. Raabe wysłuchał w milczeniu moich argumentów. Nie zobaczyliśmy się więcej, zginął bez śladu w niedługi czas później.

Pewnego dnia na placu Trzech Krzyży widziałem pędzoną z Książęcej przez Niemców gromadę jeńców sowieckich. Szli boso i wołali do przechodniów: „U nas sapagi jest, no otniali Germancy!”. Przyglądając się wychudzonym, obdartym żołdatom, kto wtedy myślał o 17 września? Ja nie myślałem.

Więc po raz pierwszy kiedy przyszło mi do głowy, że diabeł nie jest jeden? gdzie i skąd zrodziło się we mnie podejrzenie, że ma drugiego do pary? Mogę dokładnie oznaczyć dzień i miejsce. Był taki moment w piątym czy szóstym dniu Powstania. Znowu pełniłem dyżury przeciwlotnicze. Ze strychu domu na Solcu można było obserwować wiadukt mostu Poniatowskiego. Godzinami wpijaliśmy oczy w ten wiadukt. Na piątym lub szóstym dyżurze zadałem sobie pytanie, dlaczego tak długo nie pojawia się wjeżdżający przez wiadukt czołg z czerwoną gwiazdą. Słży czołgi, ale inne. Niemieckie „Tygrysy” z białoczarnymi krzyżami. Myśl była zimna jak dotknięcie noża: potrzask... Tak, wtedy, po raz pierwszy.

Przez wszystkie te lata miałem wyobrazenie o ich człowieczeństwie. Tłumaczyłem sobie na własny język naturę i mentalność Rosjan i nie-Rosjan, tworzących moje pojęcie o socjalistycznym Kraju Rad. Widziałem prostych mężczyzn w czapkach, ludzi trochę naiwnych i retorycznie pryncypialnych, lecz po rosyjsku dobrych. Miałem pod powieką ich obraz: zelektryfikowanych Płatonów Karatajewów, deklamujących wiersze Majakowskiego na dźwigach Dnieprostroju. Zdaje się, że zbliżona klisza trwa jeszcze w pojęciach leftystów na Zachodzie. Gdyby któryś z sowieckich uczonych, lekarzy, inżynierów, zsyłanych w owych latach do obozów pod Kołem Polarnym, mógł mnie zobaczyć idącego w pochodzie 1-majowym i wznoszącego rewolucyjne hasła, na pewno śmiałyby się ze mnie bardziej gorzko, niż ja dzisiaj z antyburżuazyjnych okrzyków lewicy intelektualnej we Francji czy Włoszech. Ale z czego się śmiejemy — z nieprzekazywalności doświadczeń, która upodabnia i zarazem dzieli od siebie pokolenia, z kręgu złudzeń opasującego ludzkość ponad czasem?

W sobotę wieczór, zaproszeni przez znajomych Francuzów, pojechaliśmy na kraniec Zachodniego Berlina, do Frohnau. Frohnau położone jest w sektorze francuskim. Jedzie się tam długo przez rozmaite dzielnice berlińskie, część trasy przebiega wzdłuż muru. Jadąc śródmieściem widziałem po obu stronach oświetlone żółtymi, białymi i fioletowymi neonami magazyny, restauracje, kawiarnie, jedne obok drugich, zlewające się w różnokolorowe

tafle i pasma świetlne. Pulsowała w nich fizyczna obecność, istnienie ludzi i rzeczy. Nagle poczułem się weselej. Te światła zmniejszały samotność. W ruchu neonów i blasku witryn ustępuje wewnętrzny cień strachu, zwanego metafizycznym bądź egzystencjalnym. We Frohnau, podobnym do francuskiego miasteczka, wysiadłem z samochodu na owalnym placu obwieszonym girlandami lampek świątecznych i przez firanę za szybą piwiarni zobaczyłem czyjeś ręce rozdające karty. Druga para rąk powoli je zbierała. Na czerwonym obrusie stały dwa kufle piwa z czapami piany. Nie widziałem twarzy, tylko karty, ręce i kufle z pianą. Dużo spokoju było w tym widoku. W powolności i ciszy, w głębokim ciepłe życia. Wracając do samochodu dostrzegłem niedaleką wieżę ratuszową z zegarem. Biła ósma. Wyobraziłem sobie, że miejsce szczęśliwego bytu człowieka na ziemi tak właśnie mogłoby wyglądać. Wycisnąłem z automatu paczkę papierosów, a zanim doszedłem do samochodu minął mnie na wrotkach młody Murzyn z głową czarnego pudła. Cienki i sprężysty, w białozielonym dresie, wykonał wokół mnie na cudownie wysokich nogach taneczną ósemkę, po czym śmignął i wtopił się w ciemność za rogiem.

Kiedy umarł Dostojewski? Bodaj że dokładnie sto lat temu. Nikt nie umie mi wskazać domu, w którym mieszkał. A wiem, że przeżył długi czas w Berlinie i, jak pamiętam, tutaj urodziła się jego córeczka. Ale gdzie mieszkał, w zachodniej czy wschodniej części, moi znajomi nie potrafili ustalić. Tymi ulicami chodził do kawiarni na lekturę rosyjskich gazet, tutaj zwiedzał muzea i urządził awantury Niemcom, których miał w pogardzie. Nie przypominam sobie, co pisał w Berlinie: „Biesy”, „Idioty”?

Wypowiada się czasami takie zdania: „czytelnicy oczekują powieści o współczesnej kobiecie”; albo: „publiczność czeka na sztukę o młodym pokoleniu”. Lichy to artysta, który spełnia oczekiwania publiczności. Jeżeli spełnia oczekiwania, to znaczy, że już z nim źle. Autor nie ma spełniać niczyich oczekiwań, akurat na odwrót, niech wszystkich zaskakuje. Nigdy nie powinien spodziewać się ani nawet odczuwać potrzeby utworu, jaki napisał. Wtedy jest najlepiej, gdy wszyscy są do tego utworu nieprzygotowani, przemożnie nim zdumieni i niemal przestraszeni, wszyscy i on sam także. Kto oczekiwał wirującej, jasełkowo-halucynacyjnej rymowanki „Wesela” nieledwie współcześnie z Bałuckim, i kto oczekiwał, że z kłownady, z music-hallowej burleski mały człowieczek w meloniku i opadających spodniach uczyni wielkie dzieło artystyczne XX wieku?

Sto dwadzieścia lat temu na twórczość Dostojewskiego mało który czytelnik był przygotowany. Do dzisiaj jest dla nas zadziwiająca. Powiem, że czuje się w niej oszołomienie autora prostym odkryciem, jakiego dokonał. Tym, że w jednym człowieku dobro i zło są współobecne.

Wątpię, czy należy ufać ludziom, którzy niczemu się nie dziwią. Niczemu się nie dziwić to oznacza także nie dziwić się złu. Zdziwienie ma naturę moralną, najszczerczej zdumiewają się niewinni. Dostojewski potrafił się zdumiewać. Być może do końca życia nie ochłonął ze straszliwego zdziwienia, jakie przeżył na pietrogradzkim placu w dniu swej niedosłej egzekucji. Cała jego późniejsza twórczość zdaje się być wypełniona tą jedną chwilą bezbrzeżnej świadomości. Pogłębił ją i rozwinął kilkuletni pobyt w Domu Umarłych, na katordze.

Sam Dostojewski zapewne nie zdawał sobie sprawy z ogromu swego dzieła, a ściślej z jego sensu i następstw. Miał wprawdzie poczucie swojej siły pisarskiej, jakkolwiek twierdził, iż jego powieści nie dorównują „Nędznikom” Wiktora Hugo. Lecz istoty objawienia, jakie przekazał w swych pięciu wielkich utworach, pojąć nie mógł. A przede wszystkim jednej rzeczy nie był w stanie przeniknąć. Że tworząc genialne dzieła popełnia zabójstwo. Zabijał gatunek literacki, powieść.

Osiemnasto- i dziewiętnastowieczna powieść była wyrazicielką najgłębszych treści kultury europejskiej, jej — tak dziś by się rzekło — tożsamości. Polegała ona na walce Dobra ze Złem. Dobro i zło były od siebie rozdzielone, najkategoryczniej przeciwstawne. Nie tylko w „Żywotach Świętych”, czytanych przez pokolenia jeszcze Dostojewskiemu współczesne, ale i w „Nędznicach”, a nawet w „Komedii ludzkiej”. W myślowym i etycznym rdzeniu nie było różnic między Plutarchem a Walter Scottem (czytano ich zresztą równocześnie) lub między formą powieściową a dramatem scenicznym. Również elżbietańskim: duński król wiczy poświęca siebie, by nie dopuścić do triumfu zła. Także polska literatura, cała, od Kochanowskiego do Żeromskiego, poprzez oświecenie, romantyków i pozytywistów, przejęła ów religijny kanon. Niewola narodu, ze swą eschatologią, wyostrzeniem kontrastów moralnych, utwierdziła go i dała uczuciowe pokrycie.

Kanon przeciwstawiający dobro złu, rozdzielność między człowiekiem a bestią tworzyły duchową statykę powieści. Fiodor Dostojewski ją złamał. Splątał, powikłał dobro i zło w człowieku. Otdąd powieść nie mogła już być tym, czym była.

Napisałem, że Dostojewski zabił powieść. No więc nie zabił, ale potłukł.

Dostojewskiego unikałem przez długi czas, wiedząc, że nie znajduję dostępu do twórczości zbyt dla mnie ciemnej, piwnicznej. I jednocześnie zanadto obnażonej, albo — obnażającej. W czasie okupacji mówiłem wielbiącemu go Otwinowskiemu: — Nie mogę tego czytać, tam zawsze jakiś pijany sztabkapitan skamle pod stołem o Bogu. — Stefan chichotał. Dopiero po wojnie sięgnąłem kiedyś po „Biesy” i zapadłem w nie, jak w gorączkę. Ale co mnie z początku urzekło: humor. Cudowny, śmieszny, tragiczny stary Wierchowieniecki! To była przynęta, połknąłem haczyk.

„Biesy”, „Wspomnienia człowieka z lochu”, „Idiota”, „Bracia Karamazow”. Zanurzałem się w głębinach i wypływałem na wierzch. Właściwie kiedy zdobyłem klucz do tej literatury? Na pewno w późniejszych latach powojennych, po 1950. Trudno mi sobie uświadomić, jak i dzięki czemu. Czy dlatego, że w owym czasie miałem już klucz do Rosjan? Możliwe. Widocznie Rosja, jej cień, który się przysunął, zaczęła się niepostrzeżenie w nas wsączać. Może poprzez bizantyjsko-retoryczny język władzy, atmosferę obłudnej ideowości, pełną kajania się w samokrytyce i wszechobecnego podejrzenia. Przypuszczalnie wtedy zachwiała się pewność, poczucie jednoznaczności zła. Zaroiło się dokoła od Smerdiakowów, z nikczemną mizérią występujących w imieniu idealnego dobra, sporo też było Iwanów Karamazowych opętanych dialektyką celu i środków. I może dzięki nim zacząłem lepiej rozumieć Dostojewskiego. Opisał ich sto lat wcześniej. Ich pogmatwania, obsesje, skazy nienawiści i strachu, ich wynaturzoną cnotę. Przecież nawet Pietia Wierchowieniecki był idealistą i możemy być pewni, że wyznawał „ideał wyższego piękna”, podobnie jak dziś idealści z Czerwonych i Czarnych Brygad.

W literaturze różne linie wybiegają od Dostojewskiego. Tak, Kafka, Gide, może i Przybyszewski. Faulkner. Céline. Rozchodziły się z niego także jaśniejsze promienie, jak Camus. Po nim były jeszcze wybitne i znakomite dzieła prozy. Ale powieść z Bogiem po stronie dobra i przeciw złu miała już tylko epigonów. Kanon duchowy został podważony. I jeżeli się dłużej zatrzymamy w tym miejscu i głębiej się zastanowimy, to dojdziemy do wniosku, że stąd prowadzi droga do innego miejsca, w przyszłości, ku milionom nienajgorszych ludzi, którzy dadzą się uwieść i pójdą za Bestią.

W nocy uciekałem przez Berlinerstrasse. Nie miałem prawa

być w tym mieście. Żandarm w hełmie dogonił mnie i odbezpieczył pistolet. Krzyknąłem, żeby nie strzelał, i przysięgłem mu, że jeśli mnie puści wolno, do końca życia będę się modlił za niego i za jego dzieci.

Żandarm zawahał się. Po chwili wzruszył ramionami i powiedział, że Pan Bóg nie wysłuchuje moich modlitw. — Czy nie proszę Go, aby ocalił ci życie? A ja mam rozkaz cię zabić. Sam widzisz, nie pomagają twoje modlitwy.

Złapałem go za rękę i odparłem, że jeśli mnie nie zastrzelą, będzie to oznaczało, że Bóg wysłuchał mojej prośby i że moje modlitwy pomagają. Powtórzyłem, że jeśli mnie nie zabije i puści wolno, nigdy nie przestanę błagać Pana Boga o zdrowie dla niego, dla jego żony i synka. — Gdyby Pan Bóg — mówiłem — spełnił moją modlitwę o zachowanie życia, czemu nie miałyby spełnić następnych?

Wtedy żandarm zamyslił się i milczał. A potem schował pistolet. — Może masz rację — powiedział. — Idź, módl się za mnie i za moją rodzinę.

Szarżało, zapaliłem lampkę na nocnym stoliku, brzmiał mi jeszcze w pamięci ten dialog. Pomyślałem, że był możliwy tylko we śnie. Gdyby to samo zdarzyło się na jawie, moje słowa trafiłyby w próżnię, a nawet nie umiałbym tymi słowami przemówić. Tak się bowiem dzieje, że w podobnych chwilach wypowiada się inne słowa. Mam podejrzenie, że również w zwyczajniejszych, mniej ostatecznych sytuacjach, kiedy chce się znaleźć drogę do wnętrza drugiego człowieka, także nie przychodzą dobre argumenty. Być może z przyczyn stylistycznych. Niektórych ważnych połączeń między ludźmi współczesny język nie chce już wyrażać.

Wieczorem na Kurfürstendamie, rozjarzonym od lampek jak wielka choinka, kupiłem gazetę i przeczytałem wiadomość o samolocie irańskich linii lotniczych, który uległ awarii na wysokości dziesięciu tysięcy metrów. W czasie lotu odpadła część podwozia. Różnica ciśnień wyrwała przez otwór w pokładzie dwoje hinduskich dzieci. Prócz nich nie zginął żaden z trzystu pasażerów.

Po takiej wiadomości człowiek, który poza nauką Kościoła uporządkował w sobie pytania i odpowiedzi wiary, widzi je znów rozsypane i wpada w dawną niepewność. Dla tych dwojga dzieci, przez dziesięć kilometrów spadających na ziemię, czym był Pan Bóg?

Stałem na ulicy patrząc na ludzi idących ze świątecznymi sprawunkami. „Do kogo się modlicie, i o co, o zmiłowanie?”.

„Do Niego, o cierpliwość wobec Jego wszechmocy i wytrzymałość na ciosy, jakim nas poddaje Jego miłosierdzie, o ufność w niepojęty rozum Opatrzności”.

Nie znalazłem innej odpowiedzi.

Budzę się po ciemku, wybuchają we mnie zastygłe kratery, pulsują doznane kiedyś niesprawiedliwości i krzywdy. Moje bezsenne ja leży z otwartymi oczami. W takim samorozpamiętywaniu jest błędna męka koła, nie ma wyjścia. Tymczasem wyjście jest obok, poza mną. W pierwszej myśli o krzywdzie wyrządzonej komuś, w pamięci cudzego bólu i cierpienia, które sam zadałem, tu prześwituje światło, tędy droga.

X. budzi równocześnie współczucie i pogardę. Co wybrać?

Polacy nie umieją myśleć o Rosjanach i Rosjanie nie umieją myśleć o Polakach. Po obu stronach, zamiast myślenia, odruchy i wzajemnie uwarunkowana psychologia. Trzy wieki na nią pracowały. W obydwu literaturach od dziesiątków lat są głuche miejsca lub białe plamy, do głębszych pokładów żadna już nie sięga. Temat Polacy-Rosjanie jakby przestał istnieć. Trzeba by porozbijając psychiczne skamieliny, rozplątać stare zrosty win i krzywd. I dotrzeć do źródeł. A na to jest albo za późno, albo za wcześnie. Ostatnie czterdzieście lat cofnęło sprawę o półtora wieku. Polska świadomość pozostaje przy „Dziadach”. A rosyjska... czy przy „zdradliwych Polaczkach” Dostojewskiego?

Między nami a nimi trwa złe sąsiedztwo, ale musimy i będziemy istnieć obok siebie. Mamy przed sobą przyszłość. Jaką? Nikt nie wie, nie widać żadnej przyszłości. Nic nie widać. Po obu stronach ciemno, nie sposób rozpoznać kierunków. Szersza myśl znikąd nie wychodzi. Więc trzydzieści pięć milionów i dwieście pięćdziesiąt milionów przedzielone strachem i pogardą, tak ma być i tak pozostanie, mimo iż z obu stron na pewno żyją jeszcze ludzie, którzy nie chcą się zatruć nienawiścią. Co to będzie?

Myśle: przeklęta sprawa, nigdy z niej nie wyjdziemy. Jest źle, jest nawet gorzej niż było. W przeszłości trwały jakieś powinowactwa duchowe z rosyjską inteligencją, podziw dla rosyjskiej literatury. Byli przyjaciele Moskale, liczniejsi niż współczesna garstka dysydemtów, były uniwersytety i politechniki, w których młodzi Polacy poznawali Rosję oświeconą. Co teraz?

Przemielono mięso i kości, głowę ucięto, ogrom leży na płask. W zbitą leżącą masę wmontowano informatyczny mózg, spełniła się utopia o idealnym Metropolis-robotcie. Wszystko co myśli sowiecki robot o Polakach jest zaprogramowane, mózg przekazuje odpowiedzi według nadanych informacji.

W roku 1957 z informacją sowieckiego robota o Polakach zetknąłem się w moskiewskim lokalu „Ararat”.

Wykupiliśmy dwa miejsca w wycieczce „Orbisu”. Po zwiedzeniu muzeów i galerii M. chciała zobaczyć nocną knajpę w Moskwie. U wejścia stał brodaty portier w czerwonej liberii, wewnątrz sala restauracyjna z orkiestrą. Wskazano nam stolik, przy którym siedziała młoda para. Oboje rozumieli po polsku. Dziewczyna, śniada, czarnooka, opowiedziała nam o śmierci swego brata, który zginął wyzwalając Polskę od faszystów. Jej towarzysz płakał. Zamówili butelkę wina, nastrój był serdeczny. Młodzieniec wznosił toasty za nasze zdrowie, za polską literaturę. Często ocierał łzy. Końcowy toast wznosił przed pożegnaniem. Był naprawdę wzruszony. — Piję za wieczną przyjaźń — mówił śpiewnie — za nasze bratnie kraje, i za to, żeby już nigdy Polacy nie wbijali nam noża w plecy, jak dawniej.

Rano zatelefonowali do hotelu, chcieli pewnie coś wyjaśnić, naprawić. A może nas przekonać i na dowód przynieść podręcznik gimnazjalny, z którego uczyli się historii. Wymówiłem się od spotkania. Nazajutrz wyjeżdżaliśmy. Tak się zakończył mój trzeci i ostatni pobyt w ZSSR.

Tam są podręczniki sfałszowanej historii, a u nas wbite w świadomość daty zaborów, miejsca straceń i zsyłek. Rok temu, kiedy przechodziłem przez Barbakan, minęła mnie grupka chłopców, licealistów. Śpiewali, a raczej krzyczeli chórem: „Za Kijów-za Wilno-za Katyń-za Lwów-zapłaci-sowiecka-hołota!”. Głupie, ślepe, co z tym robić? Żaden z przechodniów nawet się nie obejrzał. Każdy ze swoją sprawą na głowie, w każdym myśl o Sowietach czy Rosji przygożdżona zbitką kilku zbiorowych pojęć i obrazów. Syberia... łagry... stalinizm. Kołchozy... egzekucje... tyrania i nędza. Taka jest Rosja w polskim doświadczeniu narodowym. Nowe doświadczenia mogłoby stworzyć Rosjanie, od nich zależy zmiana stanu rzeczy i od nich musiałaby wyjść.

Ale sowieccy Rosjanie wykazują podobną niechęć do myślenia o Polsce, jak Rosjanie carscy. Odnowione imperium po dawnemu nie znosi polskich dążeń wolnościowych, zmieniły się tylko nazwy: *zdradę słowiańszczyzny* zastąpiła *zdrada socjalizmu*. Po-

dobieństwo jest więcej. Stare moskiewskie kompleksy w stosunku do polskiej kultury, pogarda wymieszana z zazdrością, złe sumienie, które przerabia rosyjskie winy na polską niewierność. Wszystko jak za wzorcowych czasów Mikołaja. Zastanawiam się, czy sowiecki komunizm był gwałtem dokonany na Rosji, czy też przeciwnie, jest zrealizowaną formą rosyjskości. Bądź co bądź w roku 1914 wybuch wojny z Rosją powitali z zapałem nie tylko pruscy szowiniści, ale i niemieccy demokraci (z Tomaszem Mannem włącznie). Owcześnie Rosja była dla nich obszarem dzikiego autokratyzmu, więzieniem narodów. Uważali ją za kraj totalnej niewoli, już wtedy.

Czym jest zawiązany sowiecki worek, o którym mówił Siniawski? Nominalnie ideologią marksizmu-leninizmu. Marksizm-leninizm nie tworzy substancji duchowej społeczeństwa. Wprowadzony do państwowego obrządku, zredukowany do języka liturgii, przeobraził się w usymbolizowanie władzy i dla narodów ZSSR ma podobne znaczenie, jak przed rewolucją osoba Cesarza Wszechrosji. Worek jest skrępowany rosyjskim rządowym postronkiem, tylko skuteczniej zacisniętym.

Więc co w środku?

Interesuje mnie problem odpowiedzialności Rosjan. Rosjan za Rosję, obywateli sowieckich za ZSSR. Interesuje mnie, jak ta odpowiedzialność wpływa na ich świadomość i czy w ogóle tak ukształtowana świadomość w nich istnieje. Mają poczucie związku między swoją indywidualną psychologią a swoim bytem społecznym, czy nie mają? Czują się sprawcami własnej niewoli, czy nie czują, poddają jej się z wyboru czy z musu, lubią sowieckie życie, czy nie lubią? I dalej: jeśli nie lubią, jeżeli się poddają nienawidząc, to w którym miejscu pęka ogniwo łączące ich świadomość z wolą przeciwdziałania, i czy owo pęknięcie jest spowodowane jedynie i tylko strachem. Interesuje mnie, czy są obecne w ich życiu wartości tworzące nieprzymusową, bezinteresowną więź pomiędzy ludźmi i między człowiekiem a państwem.

Takie pytania stawiałbym współczesnym Rosjanom. Przypuszczam, że nie potrafiliby na nie odpowiedzieć, bo to są pytania, jakich Rosjanie sobie nie stawiają. Rosyjska samowiedza zdaje się nie sięgać poza nakreślone w ich mentalności granice, a krytycyzm Rosjan wobec siebie cofa się przed tym, co ukryte w nich samych tkwi u źródła rosyjskich zniewoleń. Widzą fizyczną przemoc władzy, która unieszczęśliwia ich i Rosję. Wątpię, czy widzą Rosję, która unieszczęśliwia inne narody. I nie sądzę, aby widzieli znamiona tej Rosji w sobie.

W roku 1831 wiersz Puszkina „Potwarcom Rosji” napiętnował wybuch powstania w Polsce.

W roku 1863 cała liberalna inteligencja rosyjska z wyjątkiem Hercena potępiła Powstanie Styczniowe.

W literaturze rosyjskiej nie potrafiłbym wymienić utworu głoszącego niepodległość państwową Litwy i Ukrainy.

Nie mam pewności, czy w roku 1918 rozległ się głos rosyjskiego poety witający odrodzoną i suwerenną Polskę.

Rosjanie nie umieli dostrzec w sobie win Rosji wobec świata. Rosyjska świadomość broni się przed samopoznaniem, nie poczuwa się do „Rosji przeklętej”. Ani w Petersburgu, ani na emigracji rosyjski poeta nie czuł się *sam pełen winy*. W tym względzie polska literatura ma więcej determinacji. Krytyka własnego narodu osiąga w niej wysoki, przenikliwy ton. Jaki pisarz rosyjski wazyłby się oskarżać Rosję po imieniu, wymyślać jej tak szyderczo, jak Słowacki Polsce i sobie? Norwid, jego słowa o skarlałym człowieczeństwie w Polaku. Ton krytycznej samowiedzy brzmi w polskiej literaturze od publicystów i kaznodziejów Złotego Wieku, znacznie wcześniej niż kazania Skargi, aż po „Niemyte dusze” i „Transatlantyk”. Występuje w pismach Brzozowskiego i listach Piłsudskiego. Jest zdesperowany, gniewny, częstokroć przekracza sprawiedliwą miarę i nie szczędzi najboleśniejszych epitetów: „pawia i papugi”, „narodu idiotów”, „polskiej niedojrzałości”. Ale jest wspaniały. Jest niezwykłym przejawem odwagi w myśleniu o sobie, brak lub umilknięcie tego głosu w kulturze polskiej zubożyłyby jej niepospolitość. Wielce zadziwia on Rosjan. S., poważny literaturoznawca sowiecki, dośłyszał go w kilku naszych współczesnych sztukach i powieściach. — *Eto istinno polskoje* — zdumiał się — *u nas etowo niet*.

U nich tego nie było. Do Rosji z ostrzeżeniami i oskarżeniami pisarze nie zwracali się imiennie i bezpośrednio. Wątpię też, czy odnosili je do siebie. Ukazywano satyrycznie pewne typy Rosjan — Obłomowa, Maniłowa; później wchodziły do języka pojęcia „obłomowszczyzny” i „maniłowszczyzny”. Z charakterem, z historią rosyjską nie rozsądano się wprost. Prócz listu Czaadajewa i inwokacji Gogola nie brzmi w rosyjskiej literaturze *istinno* polski ton wzięcia odpowiedzialności za los kraju. Czaadajewa uznano za psychicznie chorego, a Gogol w drugiej części „Martwych dusz” chciał stworzyć antytezę pierwszej.

Pewna młoda Rosjanka, sowiecka obywatelka, zawołała w przypiływie szczerości po paru kieliszkach: — Rosjanami trzeba rządzić batem, oni kochają bat! — Zdarzyło się to dziesięć lat temu w restauracji łódzkiego Grand Hotelu podczas Zjazdu Lite-

ratów. Przy następnym kieliszku zaczęła mówić o Polakach i ogień z niej buchnął. Dlaczego gardzą Rosjanami, skąd, z jakiej racji owo niczym nie uzasadnione poczucie wyższości. Obejrzała w kinie zabawną amerykańską komedię. Kiedy na ekranie wynurzyła się z morza sowiecka łódź podwodna, sala ryknęła śmiechem. Młoda kobieta mówiła dygoczącym głosem, wspominając bezmyślny polski śmiech z Rosjan. Jednego tylko nie powiedziała. Na pancerzu wynurzającej się łodzi podwodnej widniał jaskrawy czerwony napis: „*Wsiегда wpieriod!*”. Jeżeli człowiek popędzany batem wypisuje z dumą słowa „Zawsze naprzód!”, to efekt musi być komiczny. Publiczność go natychmiast wychwycała. Polacy mają zmysł humoru, a o rosyjskich związkach z batem wiedzą od pokoleń. Nie roześmieli się z łodzi podwodnej, rozśmieszył ich napis. Odczuli groteskowy stosunek między konkretem a słowami. Komizmu takich zestawień być może Rosjanie sobie nie uświadamiają i również ich nieświadomość bawi polską widownię.

Jest chyba w umyśle Rosjan bariera grożąca im dostęp do siebie samych. To nie komunizm w Rosji stworzył *władztwo słów*. Zawsze lubili słowa. O Bogu, o umiłowaniu człowieka i przyszłej idealnej ludzkości. Ale w swym bycie historycznym zdają się ogarnięci zbiorową wolą parcia naprzód, w którym zatraca się myśl o wewnętrznej przemianie i lepszym człowieczeństwie. Twierdziłem nieraz, że forma, jaką przybiera rosyjskie człowieczeństwo, to urząd i służba, i trawestowałem cytat z listu Norwida: „Rosjanin jest pan, a człowiek w Rosjaninie jest sługa”. Pewności, czy to zdanie jest całkowicie słuszne, nie mam. Czasami potwierdza je zasłyszana relacja z pobytu w ZSSR. Polski naukowiec, który studiował na moskiewskim uniwersytecie im. Łomonosowa, opisywał ciekawie obyczajowość sowieckiej młodzieży akademickiej. Podobno niewiele się ona różni od życia studentów na Zachodzie. Seks, jazz, alkohol, wytarte dżinsy i swetry, trochę anarchii i cynizmu, machnięcie ręką na urzędową oficjalność. Przemiana następuje w momencie ukończenia studiów. Młody obywatel sowiecki wchodzi do instytucji lub urzędu. Obciosuje go sowiecka zbiorowość, kierowana wolą rosyjską, i młody obywatel poddaje jej się. Mój rozmówca nazwał to *przejściem na służbę*. Zastanawiam się, czy tutaj nie pęka ogniwo. Można by określić ten punkt jako miejsce zrzucenia z siebie odpowiedzialności.

Można jeszcze inaczej powiedzieć. Narodem, w który przez trzysta lat wrastały militarne hordy mongolskie, od Piotra I zaczęły rządzić klany niemieckich urzędników, a po nich zajęli

miejsca bolszewicy, wyszkoleni umysłowo na Heglu, Feuerbachu, Marksie, i Engelsie. Cechy azjatyckich najeźdźców, niemieckich biurokratów i dialektyków kładły się na Ruś kolejno od siedmiu wieków.

Zadaję sobie jednak pytanie: Rosja, ludzie rosyjscy, czy to nie jest fenomen niemożności wytworzenia organizmu społecznego, czy oni kiedykolwiek będą zdolni wybudować żywe społeczeństwo nie na zasadzie struktury kamienia przygniatającego swym ciężarem. Skłaniałem się nieraz do poglądu, że to jest kraj z zakodowanym nieszczęściem, odradzającym się w kolejnych generacjach, poprzez cykliczną destrukcję. Głęboko w nich tkwi instynkt samozniszczenia i poczucie nicości; w istocie — bezwiednie gardzą życiem, własnym i cudzym. Ale czują to, boją się i nienawidzą siebie. Ukrywają tę skazę. Cała literatura rosyjska stąd się wzięła: z rozpacz nad skażonym rosyjskim człowieczeństwem.

(... najosobliwsze, iż zbliżoną opinię usłyszałem dziś wieczór — o Niemcach. Adwokat F-n, milioner, który przeszedł przez obozy śmierci i mówi o sobie: „jestem człowiekiem holocaustu”, wyjechał z Polski w 1950; pamięta mnie z Warszawy. Mieszkał najpierw w Niemczech, teraz w Anglii. Twierdzi, że cechy niemieckiego charakteru uniemożliwiają stworzenie normalnej wspólnoty społecznej. „Wszystko sami robią i wszystko sami zamieniają w piekło”. Słuchałem go z zaciekawieniem, bo co do tego, że Bismarck unieszczęśliwił Niemców, nie mam wątpliwości. Zjednoczył ich! Może gdyby nie ta najposępniejsza sylweta w historii XIX wieku, nie byłoby Niemiec, byłiby tylko Niemcy. Powinni żyć jak niegdyś w swoich księstewkach i landach. Zjednoczona Rzesza skumulowała ich infantylną agresję, odtąd wszystkie niemieckie cnoty zaczęły służyć złym celom).

Późną wiosną roku 1954 objechałem rozległą połąć Związku Sowieckiego z grupą polskich artystów i uczonych. Byli wśród nich muzycy — Henryk Sztompka, Tadeusz Baird, Witold Rowicki, była pani profesor Jabłońska z katedry sinologii Uniwersytetu Warszawskiego, malarz Kazimierz Tomorowicz i archeolog prof. Majewski. Był też młody, zawsze milczący historyk sztuki, Marek Rostworowski, dzisiaj dyrektor muzeum w Krakowie. Z pisarzy prócz mnie tylko Jacek Bocheński, z którym dzieliłem wspólny pokój w coraz to innym hotelu. Zwiedziliśmy Ukrainę i Krym, dwukrotnie popasaliśmy w Kijowie. Zawieziono nas także do Moskwy. Jeździliśmy pociągami i samolotami, pływalismy statkiem po Dnieprze.

Znalazłem się wtenczas po raz pierwszy we wnętrzu ZSSR,

poza stolicami. Chodziłem po śródmieściu Charkowa, poznawałem największe ośrodki sowieckiego przemysłu i rolnictwa. Obwieszono nas po kombinatach, stalowniach, kołchozach, po fabrykach ciężarówek i traktorów. Bywaliśmy nie tylko w dużych miastach, ale i w mniej znanych, takich jak Stalino czy Zaporże. Oglądaliśmy nowo zbudowane wieżowce, piece hutnicze, osiedla mieszkaniowe i gigantyczne elektrownie. Rozmawialiśmy z inżynierami i robotnikami, przysłuchiwaliśmy się lekcjom w gimnazjach i liceach. Pilotowali nas urzędnicy jakiejś instytucji typu Inturista. Do obowiązkowego programu należało również zwiedzanie muzeów: Rewolucji, Lenina i Tarasa Szewczenki. W każdym mieście powtarzały się ich dokładne kopie, wszędzie przewodnik wygłaszał identyczny tekst. Męczyło to i śmieszyło. Mógł bolać, oczy piekły. Wieczorem półżywi waliliśmy się na łóżko. Ale w pamięci utrwalał się obraz rzeczy potężnej i rosnącej, o nie wykończonym jeszcze kształcie, lecz na skalę ogromną. Myślałem: „To są podwaliny, zręby, w przyszłości z tego powstanie wielka cywilizacja. Budują miasta w stepach, sto pięćdziesiąt lat temu Ameryka Północna musiała podobnie wyglądać”. Myślałem też, że władza rządząca tak bezmiernym obszarem ziem, kultur i plemion musi je zniewalać, a siebie pchać w despotyzm, i że Rosja we własnym interesie zwróci kiedyś wolność otaczającym ją narodom, by współżyć z nimi, jak Stany Zjednoczone z Meksykiem lub Kanadą. W tym okresie miałem wiele nadziei. „Czas to rozwiąże — myślałem — bo kiedy się już pobudują, dożywią, wykształcą i ucywilizują, dopiero wtedy zrozumieją, że pętla, jaką zarzucili na sąsiednie kraje, ich samych dusi. I z czasem zaczną się przekształcać w Stany Zjednoczone Wschodu...”.

Pewności, że moje nadzieje były urojeniem, nie mam. Cenę za optymizm zapłaciłem.

Ale dla kogo o tym napisałem? Dla Polaków? dla Rosjan? Dla Polaków i Rosjan? Nie wiem, jak trzeba pisać, aby trafić do jednych i drugich równocześnie. Chciałbym, żeby moje słowa przeczytał choć jeden student w Rosji. A pewnie nie przeczyta.

Wtorek. Pisarzowi, który przyjechał tu ze wschodniego Berlina i twierdził w rozmowie ze mną, że zrównywanie stalinizmu z hitleryzmem to niewybaczalne nadużycie („das ist nicht dasselbe!”), odpowiedziałem w mojej rozpaczliwej niemczyźnie: — *Stalinismus und Hitlerismus das ist nicht dasselbe. Hitlerismus und Mussolinismus das ist auch nicht dasselbe. Aber Stalinismus, Hitlerismus und Mussolinismus zusammen das ist Faschismus.*

Po dłuższym obcowaniu z niemiecką zdawało mi się, że opanuję język, którego uczyłem się w szkole, i przez pewien czas zmuszałem się do czytania z niemiecko-polskim słownikiem, po to tylko, żeby za dwa tygodnie zniechęcić się i wrócić do francuskich gazet. A w dodatku niemiecki źle mi się składa w ustach. O wiele trudniej mi powiedzieć „*das macht nichts*”, niż „*ça ne fait rien*”. W pierwszym sprawia niewygodę podwójne *cht*, następujące po dwóch samogłoskach, jednej szeroko otwartej, drugiej wąskiej. Wolę polskie ściszone „to nic”, które można wymówić bez poruszenia wargami.

Każdy język ma także własną etykietę mimiczną, swój wyraz twarzy. Kiedyś w Marsylii urzędniczka konsulatu RFN mówiąc po niemiecku traktowała mnie oschle. Ponieważ nie mogłem wszystkiego dokładnie zrozumieć, przeszła na francuski i w jednej chwili się przeobraziła. Zmienił jej się głos. Mówiła teraz ze ślicznym uśmiechem, jakoś wyżej podciągając brwi, i eleganckim ruchem sięgnęła po mój kwestionariusz. Język narzucił jej inną konwencję gestu, dworskość francuszczyzny odjęła niemiecki dryl jej fizjonomii i wzięciu.

Z językiem sprawy nie są proste. Także z własnym. Obcojęzyczne naleciałości nie zawsze wychodzą mi na dobre, ciekawsze językowo są nieoczekiwane zbitki słów. Młodzi w ostatnich latach sporo ich wynalazła. A jednak słyszę, jak wzmacnia się językową wyrazistość zapożyczeniami. W Małopolsce o człowieku umiejącym błyskawicznie odpowiedzieć na złośliwość mówiło się, że jest *schlagfertig*, a niedawno w Lanckoronie, kiedy zabrakło wody w studni, posłyszałem jak gospodarz siedzący na ławeczce w obejściu powiedział do sąsiada: *keine Wasser*. W Polsce centralnej i wschodniej wtrącało się częściej rosyjskie słowa. Dziś na Starym Mieście słyszę jak młodzi ludzie mówią: *był haroszyj ubaw*. Trochę to irytujące i zarazem niepokoi, bo jednak psuje język. Niektóre wyrażenia, z początku używane dla dowcipu, stopniowo wchodzą w obieg i zostają. Ba, stają się polskimi zwrotami, jak choćby *aluzju poniał czy rozpasołka*. O willi poza miastem mówi się *dacza*. Nazwałbym to *rusyfikacją przez żart*.

Święta minęły, teraz wilgotna pogoda, dżdżysto. Na Wigilię zaprosili nas Wiktorowie Szacy, mieszkający w Berlinie od dziesięciu lat. Byli Herbertowie i Zagajewscy, przyjechał też Jerzy Lipman z żoną. Śpiewano kolędy, a wśród nich dwie bardzo tkli-

we, góralskie, których dotychczas nie słyszałem. Herbert, ze swoim talentem aktorskim, urzekający w poetyckich monologach i opowiadaniach. Potrafi mimochodem wsunąć obraz albo spostrzeżenie, które długo się pamięta. Opisywał przekupnia dywanów, idącego w serdaku i czapeczce przez plażę pod Dubrownikiem w czterdziestostopniowy upał, obwieszono go dywanami wśród półnagich opalających się turystów. Potem rozmawiamy o różnych ludziach, których obaj znaliśmy. Herbert lubił Aleksandra Wata, widywał go w Kalifornii. Mówiliśmy o „Moim wieku”, dwóch niezwykłych tomach opracowanych przez Miłosza na podstawie magnetofonowych nagrań jego rozmów z Watem. Czyn przyjaźni poety dla poety, zdrowego dla umierającego.

W dzień później kolacja w gronie polsko-niemiecko-francusko-ukraińskim. Pokoje pełne starych mebli, kilimów huculskich, dziwnych naczyń, na ścianie ikona i krzyż grecko-katolicki. Potrawy, jakich nigdy dotąd nie jadłem. Gospodarz współredaktor wielkiej liberalnej gazety. Pani domu — lekarka. Po wejściu Niemców do Lwowa ukrywała się w rodzinie niemieckiego architekta z Wrocławia, który później zginął na froncie wschodnim. Byli to Niemcy głęboko nienawidzący hitlerizmu, przez jedenaście lat ani razu nie wywiesili flagi ze swastyką. — Gdyby nie oni, nie żyłabym dzisiaj — opowiada mi pani doktor. Mówi, że prócz schronienia znajdowała w tym domu moralne oparcie w dniach dla niej najcięższych. — Umieeli podtrzymywać na duchu? — Deklamowali Rilkego — uśmiecha się gospodyni. Pytam o żonę i córkę architekta, czy mieszkają w Niemczech. Dr Irena milczy, a za chwilę wyjaśnia: — Po wkroczeniu Armii Czerwonej obydwie popełniły samobójstwo we Wrocławiu.

Przy kolacji naprzeciw mnie siedzi profesor D., socjo-politolog, pięćdziesięcioletni rosty Niemiec z młodą twarzą i bujną siwą czupryną. Ciężkie spojrzenie zza szkieł w złotej oprawie kładzie na mnie pytając, jak długo zamierzam pozostać na Zachodzie. Odpowiadam: do maja. — A później? — Wyjaśniam, że stale mieszkam w Warszawie. Profesor utkwił we mnie kamienne oczy: — Na pana miejscu nigdy bym nie wrócił. — Przerzywa mi machając ręką: — Tak, tak, w Polsce zdarzył się cud, ale cudy nie są prawdziwe, Rosja wam tego nie daruje. — Mówi to głośno, prawie krzycząc, po czym odwraca się do swojej sąsiadki i przestaje się mną interesować. Gospodyni tłumaczy mi na stronie, że do roku 1960 mieszkał w NRD, był na wysokim stanowisku. Jest z rodziny Bałtów niemieckich, wychował się w Rydze i rozumie trochę po polsku. Profesor usłyszał, odwrócił się od sąsiadki i znów wparł we mnie wzrok: — Ja rozumie, rozumie!

— Dodał po niemiecku, że powinienem stąd jechać do Francji, bo Francuzi kochają Polaków. Na co uśmiechnąłem się mówiąc, że Francuzi nie kochają nikogo prócz siebie, a Polacy są im najzupełniej obojętni. — *Irrtum!* — strzepnął ręką profesor — Francuzi kochają Polaków i nienawidzą Niemców! — I znowu się odwrócił, jakbym przestał istnieć. Pomyślałem, że należy do typu określanego przez psychologów jako agresywny.

Następnie wywiązuje się ogólna rozmowa o sytuacji politycznej. Gospodarz, dobry znawca europejskich spraw, twierdzi, że ZSSR znajdzie się niebawem w trudnym położeniu, albowiem ostatecznie zmiany w Polsce muszą przeniknąć do innych krajów bloku. Profesor D. nie podziela jego zdania. Woła przez stół: system sowiecki zgniecie każdą próbę reform, wszelka zmiana godzi w jego istnienie, utrzymać się może jedynie w swej centralistycznej, zuniformalizowanej postaci, a w razie potrzeby nie zawaha się przed powrotem do integralnego terroru. Pytam, czy aby jest tak na pewno i czy ZSSR, również jako imperium, doprawdy nie mógłby istnieć w oparciu o inny system. W przeszłości bywały imperia nie-totalitarne, które potrafiły doskonale załatwiać swoje interesy. I dalej ciągnę: wyłączając nadzieję z rozumowania, sami się osłabiamy, bo jeżeli nie dopuszcza się myśli o jakiegokolwiek szansie zmiany, tym samym umacnia się dotychczasowy stan rzeczy. Mówię, że na podstawie własnych doświadczeń w kraju wiem, jak dalece pesymizm sprzyja powodzeniu zła; jeżeli wszyscy będą powtarzać, że nic się nie zmieni, to z pewnością nic się nie zmieni. Wówczas profesor D. nieoczekiwanie uśmiecha się do mnie: — Kiedy pan tak mówi, ja panu wierzę, ale jak biorę do ręki numer *Prawdy*, wtedy przestaję wierzyć w najmniejszą możliwość zmian. Nie ma na nich rady. — Zabrzmiało to sympatycznie.

W tym momencie przyjeżdżają spóźnieni Francuzi. Profesor od razu zapadł się w siebie i milczał przez resztę wieczoru. Widocznie typ agresywno-depresywny. Ostatecznie zabrakło mi co do niego jednej ważnej pewności. Gdyby miał do wyboru puścić człowieka wolno, czy wykonać rozkaz, nie wiem jak by postąpił.

Po kolacji przeszliśmy do sąsiedniego pokoju słuchać polskich piosenek zarejestrowanych na taśmie. Około północy nagle wstałem z krzesła i ku zdumieniu obecnych zacząłem pokazywać, jak rosyjski aktor, grający Otella w charkowskim teatrze, dusił Desdemonę. Wszyscy się lekko wystraszyli, a niezbyt dobrze rozumiałem, co mnie raptem tknęło.

Sylwester we dwoje, z butelką wina, wśród huków wybu-

chających petard. Nocne niebo usiane różnokolorowymi błyskami podobnymi do komet, race wzlatają z sykami, by rozsypać się na drobne gwiazdki, które zaraz gasną i nikną w wysokościach. Rokrocznie wydaje się w tym celu ćwierć miliona dolarów. M. zapatrzona, nie chce odejść od okna. Po chwili z ironicznym rozmarzeniem pyta, czy obliczyłem, ile wspólnych Sylwestrów mamy już za sobą. Liczę po kolei: gimnazjalne, studenckie, okupacyjne, powojenne. Razem wypada czterdzieści sześć. M. śmieje się i przypomina mi mój pierwszy list, jaki napisałem do niej z noworocznymi życzeniami. W nagłótku po jej imieniu biegła potoczysta fraza z wykrzyknikiem: „... złotem cała wyszywana!”. Wcale nieźle, mówię, jak na siedemnastoletniego maturzystę.

Po świętach, w pierwszych dniach roku przyszło obsunięcie, które tylko w części mógłbym wytłumaczyć moją reakcją na alkohol, a tak niskie, że całe życie i świat widziałem jakby od spodu. Właściwą przyczyną były trudności w pisaniu. Święta wpadły mi w środek rozpoczętego materiału, który po przerwie zaczął stawiać opór. Zwykle odczuwam to jako swoją winę, a ona stopniowo rośnie, zamienia się w samooskarżenie, lęk oraz poczucie nieszczęścia. Potem nadciągają upiory. Na domiar złego mam widza. Jest nie tylko widzem, ale i partnerem, a także instancją odwoławczą. W duchowym załamaniu cudza obecność zarazem odciąża i obciąża. Zwała się na kogoś część bólu i to przynosi ulgę, równocześnie jednak odgrywa się przed kimś własne cierpienie, chcąc wziąć go na świadka doznawanej krzywdy, a to powiększa ekspresję, przez co z kolei wzmagają się objawy. Umiejętny partner musi się wtedy zdobyć na bezwzględność. Powinien moralnie policzkować Łazarza. Wytknąć mu nadmiar miłości własnej, egocentryzm, brak zainteresowania dla ludzi. Jedynie w taki sposób można mu dopomóc: wbrew niemu przywrócić go do pozycji stojącej. Mój partner zazwyczaj wypełnia swoją powinność.

W istocie to jest spór teologiczny. Najgorszym przewidywaniem, obrazowi bytu wyzutego z sensu od dnia stworzenia aż po dzień dzisiejszy przeciwstawia się teza o wartości przetrwania i niezbadanej prawdzie ponad nami. Obie strony trochę się zakłamuja i zgrywiają przed sobą, a tylko jedna pragnie być przekonana, wytracona z roli: ta leżąca. Chodzi o to, żeby wstała. Obydwie, razem i niejako wspólnie, dążą w owym kierunku, mimo krańcowo sprzecznych postaw. Jeżeli cel został osiągnięty, oznacza to, że partner Łazarza postępował dobrze.

W końcu, jak tyle już razy, wydobyłem się na wierzch i wpi-
sałem do brulionu notatkę:

„Wybierając kobietę, bierze się przeciwnika albo ofiarę. Inny-
mi słowy: wybiera się kobietę, w której przeczuwa się swoją
nadwartość, lepszą możliwość własnej osobowości, lub taką, która
utwierdzi możliwość gorszą, podwartość. Druga będzie ulegać
słabościom partnera, pierwsza będzie je zwalczać. Można wybrać
jedną z tych dwóch kobiet i będzie to wybór nie tylko rodzaju
życia, lecz także swojej osoby. Decyduje instynkt. Jeśli koniecz-
ny byłby naukowy termin, proponowałbym: „instynkt pośred-
niego wyboru własnej tożsamości”.

Teraz, po przeczytaniu tej notatki i w związku z nią, myślę,
jak się koniec końców wyraża moja tożsamość w rzeczach, które
piszę, i czy istotnie ona się w nich wyraża, skoro z upodobaniem
posługuję się różnymi stylami i formami, częstokroć zmieniając
język, a nawet sposób myślenia. Czy w moim pisaniu jest
wspólny mianownik, ton łączący ową niejednorodność w wewnętr-
nie związaną całość. Otóż twierdzę, że wspólny mianownik
istnieje. Określiłbym go jako pewien rodzaj sympatii do życia,
a ściślej do wartości, jaką stanowi wysiłek życia. Dodajmy —
jaką stanowi mimo wszystko. Co jest dla mnie praw-
dziwe i czego nie wymyśliłem: że warto istnieć na świecie wbrew
jego grzechom i niedoskonałościom i że temu zadaniu warto
sprostać. Stąd krok do obowiązku powiedzenia sobie, jakim
człowiekiem chce się być, względnie za jakiego przed sobą samym
pragnie się uchodzić. Wydaje mi się, że odpowiedź zawarta jest
w moich książkach, a przynajmniej można ją odgadnąć. Przy
odrobienie domyślności nietrudno w nich wyczytać, że chcę być
oraz uchodzić za człowieka, który wie, że jest podobny do innych
i że są ludzie gorsi i lepsi od niego, za człowieka, który ma
zrozumienie dla jednych i spodziewa się od drugich zrozumienia
dla siebie; któremu też jedni i drudzy są potrzebni. Jestem
przekonany, że ludzie, ci gorsi i lepsi, różnią się między sobą
nie tyle pod względem treści wewnętrznych, co ich wzajemnych
proporcji. Z natury są jednorodni, a dzielą ich różnice ilościowe,
albo lepiej powiedzieć: matematyczne. Chodzi o to, w jakim
stopniu człowiek potrafi zredukować liczbę swojego zła. Takie
jest moje pojęcie ludzkiego braterstwa, jak sądzę, zawsze w moim
pisaniu obecne. W tak pojętym braterstwie widzę źródło włas-
nej osobowości, pisarskiego tonu, czy jak by je nazwać.

I pomyśleć, że mimo owej zbożnej cechy nikt, żadna istota
ani instytucja nie zauważyła mojego 60-lecia, prócz wydawnic-

two „Volk und Welt Verlag” w NRD, które przysłało mi list
z gratulacjami.

Skarga pedanta: „Moja żona otworzyła w ciągu swego życia
setki szuflad, ale zamknęła tylko jedną, kiedy ujrzała w niej
zabę”.

Wiadomości z kraju nadchodzą rozmaitymi drogami i mimo
niejasności szczegółów co do jednego są zgodne. Mianowicie,
sytuacja gospodarcza jest nadal krytyczna, rząd zaś nie potrafi lub
nie chce jej zaradzić. O odnowie mówi się chórem, lecz nie
wprowadza się koniecznych reform. Na miejsce skompromito-
wanych dyktatorów nie weszli fachowcy. Wchodzą natomiast
ludzie z czarnym podniebieniem, ci z 1968, i nie przestaje być
na czasie moja diagnoza z pierwszych tygodni odnowy: „od dołu
październik, od góry marzec”. Prasa partyjna gwałtownie ata-
kuje opozycję, zwłaszcza Kuronia i Michnika. Przed zmianami
bronią się górne i średnie warstwy administracji, które nie chcą
utracić swej złotej wolności, zawarowanej na ruinie. A równo-
cześnie w społeczeństwie narasta świadomość, że tylko reformy
mogłyby podnieść z upadku gospodarkę.

Takie mam wiadomości z kraju. Nie ze środowisk artystycz-
nych, lecz inżynierskich, od ludzi na stanowiskach w przemyśle.

Telewizja niemiecka w relacjach przekazywanych z Polski
nadała ostatnio reportaż z kwater „Solidarności”. Wnętrza za-
pełnione młodymi ludźmi, tłoczącymi się przy stołach, na których
leżą sterty druków. Wiele twarzy z zarostami; nie dochodzą
słowa, ale wyczuwa się atmosferę dyskusji i gęsto naładowane
powietrze. Przypomniały mi się zdjęcia z Portugalii, robione w
dniach demokratycznego wybuchu po epoce rządów Salazara.
Tamci brodacze wyglądali podobnie. Obraz tak samo ostro
skontrastowany w porównaniu z wizją oficjalną, z obrazem
porządku. Rewolucja.

Dotarł tu z Warszawy numer partyjnego dziennika z prze-
mówieniem wygłoszonym na Zjeździe Literatów przez sekretarza
organizacji partyjnej ZLP. Tekst, w całości kłamliwy, odwraca-
jący prawdę do góry nogami i pełen akcentów szantażu, jest
dokumentem niegodnym. Organizacja partyjna na zjeździe po-
niosła klęskę, jej główni reprezentanci nie zostali wybrani do
zarządu, co można było przewidzieć. Ale gdy pokonany na chwilę
przed porażką przypuszcza swój ostatni atak, wówczas okazuje
się już bez osłonek, z kim miało się do czynienia. W danym

przypadku ujawniła się twarz zbiorowa, co do której od dawna nie mam złudzeń. Mówca był wyrazicielem znanej mi etyki i mentalności. Dobrze wiem, czego chcą tacy ludzie, kiedy mówią: „partia”.

Warszawska codzienność oddala się, ale codzienności tutejszej brak konkretu. Pisanie, spacer, lektury, nieliczne grono znajomych. Nie umiem wytłumaczyć, dlaczego przeżywam tutaj momenty wewnętrznego ożywienia, kiedy czuję ruch myśli jakby szerzej dopływających przez odemknięte klapki. Mówię wtedy, że odrasta mi kora mózgowia. Może to się bierze z różnicy ciśnień. Wsadzono mnie pod inny klosz, więcej transmisji ze świata, mniej lokalnych opinii i podejrzeń. W Warszawie nieraz miałem po uszy rozmów o ludziach, niekończącego się analizowania, kto jest całą świnią, a kto w trzech czwartych czy jednej trzeciej, kto i dlaczego coś napisał. Broniłem się, ale nie zawsze skutecznie. Tutaj po dwóch miesiącach nieobecności warszawski kurz opada i widać tamtą codzienność z monumentalnej perspektywy; na znajomy widoczek rzutuje nieznana przyszłość.

Równocześnie wyłaniają się z pamięci drobne zapomniane obrazki, jak na przykład dwa nierozłączne koguty, Filip i Michaś, których podwójna samotność intrygowała mnie pierwszego lata w Lanckoronie. W czasie zeszłorocznych wakacji, gdy zdziwiłem się, że po ogrodzie przechadza się tylko jeden kogut, wyjaśniono mi, że to jest Michaś, który niedawno zadziobał na śmierć Filipa w walce stoczonej pod wiatą obok drewnianego samochodu. Szczególnie, że nagle zacząłem o nich myśleć w Berlinie, o świecie, po spokojnej nocy w Ravenna Haus.

Klosz. Siedzę w nim, pokazują mi Wałęsę kłękającego przed Papieżem. Myślę: jakież to cudowne. Za pięćdziesiąt lat ktoś urodzony po naszej śmierci westchnie z podziwu dla naszego życia, które upływało wśród bajecznych scen. Kilka lat temu zwierzył mi się pewien młody aktor, że w zamian za możliwość spędzenia jednego dnia w Warszawie lat trzydziestych oddałby dziesięć lat życia. Kiedy zapytałem, jak spędziłby taki dzień, oświadczył: „Rano poszedłbym do Łazienek, a wieczorem do Adrii”. Zacząłem się śmiać: „Mogę to panu dokładnie opowiedzieć nie skracając pańskiego zyciorysu”. Trochę posmutniał, a ja pożałowałem własnych słów.

Dziwniejsze, że sam ulegam podobnym zachciankom. Znaleźć się w Łazienkach pewnej listopadowej nocy roku 1830... Dziesięciu lat bym nie oddał, może jednak dziesięć dni. A czasami przychodzi mi do głowy niezbyt rozsądne pytanie: gdyby to

było możliwe, czy chciałbym powtórnie się urodzić i żyć jeszcze raz?

Takie pytania niekiedy się zadaje. Zadała je popularna dziennikarka bardzo sławnemu pisarzowi amerykańskiemu, którego dni były policzone. Sprawa nabrała rozgłosu, dziennikarkę uznano za osobę brutalną. Pisarz, 83-letni człowiek z wątrobą przeżartą nowotworem, milczał, gdy wypytywała go o lęk odczuwany przed śmiercią i o to, jak sobie wyobraża swoje istnienie poza grobem. Na jedno tylko pytanie udzielił odpowiedzi. „Czy chciałby pan przeżyć życie po raz drugi?”. „Nie, na tym świecie nie. Jest zbyt okropny” — potrząsnął głową chory pisarz.

Wywiad ściągnął na dziennikarkę powszechne oburzenie, zarzucano jej znęcanie się nad dogorywającym starcem. Po czym sprawa ucichła. W kilka miesięcy później dziennikarka umarła. Dowiedziano się wówczas, iż rok wcześniej lekarze stwierdzili u niej raka naczyń limfatycznych. Przeprowadzając wywiad była w pełni świadoma, że pozostało jej niewiele życia. Pragnęła jednak usłyszeć odpowiedź na kilka ważnych dla niej pytań. Było to interview udzielone konającej przez umierającego.

Jeszcze raz przeżyć życie? Zgoda, ale pod jednym warunkiem. Przy podpisywaniu takiego cyrografu zażądałbym pozostawienia mi świadomości, jaką mam obecnie. A nie chodzi mi o to, że dzięki niej uniknąłbym błędów, które popełniłem w pierwszym życiu. Chodzi mi o jedną, najważniejszą świadomość, o świadomość rzeczy podstawowej. Tej, że najlepszym sposobem istnienia na świecie jest ofiarowanie się ludziom. Gdybym mógł się urodzić po raz drugi, nie wybrałbym zawodu pisarza, który do ludzi zbliża jedynie pośrednio, w praktyce skazując na odosobnienie. Wybrałbym byle jakie zajęcie, na tyle nie pobudzające osobistych ambicji, żebym miał możliwość współodczuwania cudzych cierpień i niesienia pomocy ludziom, którzy są nimi dotknięci lub sami sobie je tworzą. A po to niekoniecznie trzeba być duchownym.

Po cichu liczę na to, iż życie pozagrobowe będzie przejściem do lepszej formy bytu tak właśnie pojętej. Moja metafizyka jest ograniczona, nie umiem sobie inaczej wyobrazić zbawienia ani Królestwa Niebieskiego.

A gdyby zignorowano mój warunek i miałbym co najwyżej szansę urodzić się po raz drugi, by przeżyć swoje życie jeszcze raz tak samo, od zera, musiałbym się grubo zastanowić. Co nie jest równoznaczne z odmową. Przypuszczam, że koniec końców zdałbym się na wyższą instancję. Tak jak w sprawach paszportowych. Złożyłbym papiery.

ONZ: minus.
ZSSR: minus.
Chiny: minus.
USA: kredyt wyczerpany.
Europa Zachodnia: minus.
Papież: plus.
Wałęsa: plus.
Sacharow: plus.

W globalnym bilansie, złożonym z pozycji dodatnich i ujemnych, czyli takich, co mnie zasilają albo osłabiają, jedynie trzy stanowią żywy kapitał nadziei. Trzej ludzie. A po drugiej stronie — mocarstwa i światowe organizacje.

Cała prasa nabita relacjami o powrocie amerykańskich zakładników, więzionych przez 444 dni w Iranie. Drobnym, zatroskanym prezydentem USA, który cierpliwie wytargował ich uwolnienie, pojawił się na ekranach TV znowu uśmiechnięty. Ale przegrał wybory. Amerykanie uznali, że nie dorósł do roli męża stanu. Europa podziela ów pogląd. Były prezydent rozczarował wszystkich, dziennikarze prześcigają się w lekcważącym klepaniu po ramieniu hodowcy orzeszków ziemnych z Georgii, który przez cztery lata swych rządów upierał się, aby bronić ludzkich praw. Mam sympatię dla tego człowieka. W przyszłości może się okazać, że nie był złym prezydentem. Jego siedemdziesięcioletni następca o sztucznie odmłodzonym wyglądzie, eks-aktor, niegdyś bohater westernów, reprezentuje Amerykę pewną siebie. Kroci się film z rozmachem, western superprodukcji amerykańskiej. Na bal inauguracyjny kadencję nowy prezydent wydał szesnaście milionów dolarów. Nie moja sprawa trzymać go za kieszeń, myślę jednak, że będzie mi głupio lokować nadzieje w szeryfie, którego twarz nie budzi we mnie ufności.

Lecz skoro tyle przewidywań zawiodło...? Poczekajmy.

Brak nam biografii do naśladowania. Dwa tysiące lat temu ludzkość ułożyła swoją najpiękniejszą opowieść o człowieku i zapisała ją w księdze. Przez dwa tysiące lat nikt jej nie prześcignął, ale też nikt jej nie sprostował. Trwa nad światem cudowna opowieść o Synu Bożym, wiecznie dystansująca ludzkie możliwości i oddalona od rzeczywistych faktów. Współcześni szukają wzorów na swoją miarę. Niektórzy pragną je odnaleźć w żywotach artystów. Częstokroć mniej są złaźnieni wyobraźonych fabuły niż życiorysów ich twórców i niejedni pisarze, wiedząc o tym, zdaje się przygotowywać do druku swoje drugie, równoległe dzieło: własne życie. Być może artyści w największej mierze

syłą tę potrzebę wzoru, zwłaszcza krzyżowani i samotni męczennicy sztuki. Jednakże współczesność poszukuje nie tyle męczeństwa, co racjonalnej ctyki, zwycięstwa sensu nad chaosem, odpowiedzialności cnoty. Przeszła już czić nad-ludzi, rozgląda się za Człowiekiem. Niech będzie papieżem, prezydentem, cieślą — byle tylko dał przykład swoim życiem, jak żyć należy i warto.

Jaki jest świat: piękny czy straszny? W tej sprawie chodzę z niezdecydowaną miną. Dla amerykańskich zakładników rok temu świat na pewno był straszny, dzisiaj prawdopodobnie jest piękny. A więc jest piękny i straszny. Lecz jeżeli w ludzkim odczuciu świat może być zarazem i piękny i straszny, to znaczy, że używamy niewłaściwych przymiotników na określenie czegoś, o czym nie wiemy, jakie jest w istocie. Jest czymś innym niż nam się wydaje. Ludzie głęboko religijni, upatrujący wartość człowieczeństwa w cierpieniu, są być może najtrzeźwiejszymi racjonalistami. Nie określają bytu znakiem plus lub minus, lecz wskazują na jego tajemniczą cechę, która jedno czy plus z minusem. Dla nich jest oczywiste, że świat musi być piękny i straszny równocześnie. Często im tego zazdroścę.

Z prasowej kroniki wypadków można się nieraz dowiedzieć o rzeczach prawdziwie zastanawiających. We *France-Soir* czytałem opis wydarzenia, które zdumiało policję w jednym z większych miast francuskiej prowincji. Rano na dziedzińcu bloku mieszkalnego znaleziono ciało lokatora, który poniósł śmierć wyskoczywszy w nocy z okna ósmego piętra. Był to starszy człowiek, urzędnik na emeryturze, pozostawił żonę i dwoje dorosłych dzieci. Rodzinę znano w osiedlu z przykładowego życia. W czasie wypadku córka i syn byli na wakacjach, żona spała. Samobójstwo wytłumaczono rozstrojem nerwowym, odbył się cichy pogrzeb. W trzy miesiące później wdowa zgłosiła się na policję. Przyznała się do zabójstwa męża. Wsypała mu do jedzenia silną dawkę środka nasennego, po czym, gdy zasnął, przysunęła łóżko do okna i wtaszczyła śpiącego na parapet. Po wysłuchaniu jej oświadczenia zapytano, dlaczego to zrobiła: czy mąż znęcał się nad nią? miał kochankę? — Panie komisarzy — odpowiedziała mężobójczyni — wystarczy trzydzieści lat życia pod jednym dachem. — Komisarz zadał jej na końcu pytanie, którego nie mógł pominąć: skoro śmierć jej męża uznano za samobójstwo popełnione w depresji psychicznej, co ją skłoniło do wyjawienia prawdy? — Nie mogłam patrzeć w oczy moim dzieciom — odrzekła — chcę, aby wiedziały, co uczyniła ich matka.

Gdybym miał przytoczyć dowód na istnienie Boga, opisałbym tę historię z kroniki wypadków.

Opowiadano mi o pewnym znakomitym lekarzu, który na wiadomość o śmierci swego pacjenta odwraca się, podchodzi do okna i spoglądając przed siebie powtarza szeptem: „Bóg jest wielki. Bóg jest wielki”.

l u t y

Były złe wiadomości. W Polsce wybuchły nowe strajki. Rząd wydał oświadczenie, w którym mówi o zastosowaniu specjalnych środków w celu ochrony porządku. Strajki są protestem wobec niedotrzymania przez rząd umów społecznych zawartych na Wybrzeżu. O tym rząd nie mówi.

Również Prokuratura Generalna wydała komunikat grozący represjami. W tekście użyto słów *anarchia* i *bezprawie*. Urząd ostrzega, że za druk poza cenzurą grozi sankcja karna do roku więzienia.

Radiodbiornik włączony bez przerwy. Co godzina słucham wiadomości. W takich dniach trudno mi pisać.

Na Kurfürstendammie widziałem białą lamę. Obok niej stał długowłosy chłopak w dzinsach. Lama obwąchiwała ręce przechodniów. Nozdrza jej drżały. Łagodna i pokorna klęczała na skraju chodnika, przed nią sunął tłum. Wznosiła głowę ze stulonymi uszami, w jej szeroko rozstawionych oczach odbijał się blask neonów. Było to bowiem wieczorem, na ruchliwym i wibrującym od świateł Kurfürstendammie. Lama klęczała *vis-à-vis* największego sklepu z obuwiem. Stanowiła jedną z atrakcji rozweselających tłum. Patrząc na nią przypominałem sobie, jak pewna młoda kobieta, bardzo urocza i mądra, opowiadała, że po wyjeździe na emigrację, kiedy znalazła się w wielkim obcym mieście, przez pierwsze tygodnie codziennie chodziła do Zoo i siedząc z książką na ławce wpatrywała się w żyrafę. Była dla niej jedyną bliską istotą w tym mieście: „Ją też tutaj przywieźli z jej kraju...”. Czemu wybrała akurat żyrafę? Wystarczyło przyjrzeć się mojej znajomej. Miała spadziste ramiona, długą, smukłą szyję, na której wysoko umieszczono małą główkę z ciemnymi oczami o wyrazie neurotycznej czujności.

Chodzę po Kurfürstendammie, patrzę, słucham, objam się o ludzi, zagapiam się i trochę myślę. Czasami przystaję. Na chodniku siedzi kloszard o wyglądzie byłego apostoła, przed nim kapelusze z garścią monet. Wrzucam 50 pfennigów i jednym zerknięciem szacuję jego dzienny utarg. W przeliczeniu warszawskim około tysiąca złotych. Rozglądam się za M., lecz w tym

momencie zatrzymuje się koło mnie nieznajoma pani w futrze i okularach jak tafle wody morskiej, platynowłosa. Pyta, czy chcę jej towarzyszyć. Wyjaśniam uprzejmie, że *malheureusement* jestem z żoną. Powiedziałem to po francusku, bezwiednie, a chyba dlatego, że po raz pierwszy w życiu, bardzo dawno temu, nieznajoma pani na Nowym Świecie przemówiła do mnie w tym samym języku, o czym już pisałem w „Miesiącach”. Mówię odruchowo: — *Excusez-moi...* — A ona odpowiada: — *Pas de quoi, merci.* — Przez chwilę w Kurfürstendamm wpływa przedwojenny Nowy Świat. Po czym znowu przeliczam hipotetyczny koszt w relacji warszawskiej i wypada na oko złotych sześć tysięcy.

Ależ to jest agora, ludowe zbiegowisko, migotliwe, jaskrawe, mieniące się wszelkimi odcieniami pokus... Ludzkie mrowie jest tu zabawiane tysiącem sposobów, uciechy życia śmieją się zza kryształowych szyb, stoją na rogach, cicho mkną asfalem. Wielkie nieba, czegoż tutaj nie ma! Nagie dziewczyny zapraszają z fotosów do sexy-kabaretów, czerwone pieczary knajpek wabią ciepłym wnętrzem, kioski obwieszane pismami z całego świata, podobne do pstrych bukietów, w witrynach porusza się elektroniczna galanteria, srebrne filigranowe mobile wykonują smęcze tenisistów odbijających piłkę i finisze kolarzy pedałówujących na małych połykliwych rowerach. Obok można nabyć haszysz od chłopców w workowatych swetrach i ciemnowłosych efebów o twarzach Pankratorów z ikon, gdy nieco dalej, nad westybulami kin, przyzywają gorejące reklamy westernów. Dziewczyna w złotej przepasce na czole, z purpurową kropką między brwiami, siedzi nad rozłożonym dywanikiem sprzedając amulety, inna zaś, w rudej peruce, wznosi u wejścia do pasażu szczupłe ramię z dłonią ukrytą w filcowej lalce o wypacykowanych policzkach i zadartym nosku. A tuż za rogiem, przez szklany taras restauracji widać niemiecką rodzinę spożywającą różowego homara, podczas gdy białym pasem na skrzyżowaniu asfaltów kroczy nieogolony stary człowiek w tenisówkach, jak linoskok z rozpostartymi ramionami, obłąkany, bełkoczący, pokrzykuje ze strachu, że spadnie. Nad nim wysoko w górze, tam skąd naprawdę można spaść, lśnią ogromne rozjarzone litery *BERLIN SPIELT LOTTO*, a w ciemnym już niebie trwa nieruchomy napis *PANOPTIKUM*, jak tytuł wydrukowany nad utworem.

To jest życie, myślę, przecież to jest życie, najprawdziwsze, jakie może być ofiarowane. W tym życiu są choroby i nieszczęścia, które istniały zawsze i zawsze będą istnieć, dziś jest ich mniej niż w przeszłości. Odeszły czarne widma dżumy i głodu, bezro-

botnych utrzymuje państwo, w miastach tłum jest zrównany, może się zaopatrzyć we wszystko, czego mu trzeba. To jest życie, byt ludzki, z jego naturą złą i dobrą, istnienie przykazane. Nie naruszono tu żywego szpiku, kość nie wyszła. Czy życie było kiedyś lepsze? A może być gorsze. Wzory i prawidła są już opracowane.

Stoję przy Café Kranzler i chciałbym wołać w stronę Zachodu: „Mówicie o wyzwoleniu z piekła cywilizacji? Przyjaciele, ocknijcie się. Z czego chcecie się wyzwolić: z życia? Z życia, z jego przyrodzonymi udrami, brakami, niedosytami, ale z życia, z autentyczności. Z tego, co Pan Bóg przeznaczył człowiekowi i tak właśnie nazwał: życiem. Jeżeli takiego istnienia nie pragniecie, jeśli uwierzyliście we własną samotność i traumę, o których pouczyli was filozofowie, i doprawdy wola życia w was osłabła, to giniecie. Lecz gdybyście mimo wszystko ginąć nie mieli ochoty, to znajdę wam inne zajęcie”.

I dalej przemawiam w myślach do Europejczyków, ale już na Wittenbergplatz i trochę spokojniej.

Tłumaczą mianowicie, że brak im czegoś, co nazywam bio-społeczną wyobraźnią. Że utracili instynkt przyszłości, dar przeczuwania czy widzenia swego zbiorowego losu, tę zdolność nad-imaginacji, która jest siłą twórczą, dystansującą częstokroć racje logiczne. Mógłbym im przysiąc, że nasza przyszłość będzie wspólna. Nie unikną jej, wcześniej czy później — nie wyminą naszych doświadczeń. I jeżeli jest prawdą, że przestają im wystarczać ich miasta, te automaty produkcji, konsumpcji, psychozy i zabawy, skoro istotnie rozglądają się za nowym i nieznanym *polis*, mówię na to: więc zwróćcie się twarzą do nas, my jesteśmy nowi i nieznanymi. Jesteśmy blisko, pod boki. Nie odwracajcie się od krajów Europy sprzedanej za wasz dobrostan i spokój i wasze rosnące nadwyżki żywności. Otwórzcie się ku nam, dowiecie się rzeczy ciekawych.

Chodzę, przyglądam się. Czekam na przejście pod światłem. I znowu pytam: „Jak oni mogą nie widzieć, że nasz los przysuwa się do nich... Ich filozofowie, uczeni, artyści o czym właściwie myślą patrząc na mapę Europy podzielonej, czy mają jakiś pomysł, zarys idei współżycia między europejskim Zachodem a Środkiem? Z tego, co mówią wynikałoby, że duchem są już w socjalizmie. Tylko naszych wysiłków przemienienia socjalizmu w życie nie traktują zbyt serio. Pancerne korpusy sowieckie, opasujące środkową Europę nad Bugiem i Łabą, więc to jest dzisiaj serio zachodnich filozofów?”

Walczą o wyzwolenie kobiet, o śluby dla księży i homoseks-

sualistów, piszą o swoich cywilizacyjnych jarzmach — i równocześnie zastanawiają się: należy czy nie należy dostarczać zboża Polakom? warto czy nie warto? Bo może kraje podbite, aby odzyskać wolność, muszą sobie radzić same i zapewne poradzą sobie lepiej, kiedy ich ludność będzie głodna. I może dożywając ludność wzmacnia się system niewoli...

To marne rozumowanie. Przysyłając nam wagony ze zbożem potwierdzacie swoją moralną obecność w świecie. Tym zbożem wrastacie w nasze życie i świadomość, te wagony nas łączą, tworzą między nami ogniwa rzeczywistych związków — między nami a wami. Czujecie się niepewni, zagrożeni? My także, ale w innym sensie. Widzicie własną dekadencję, szukacie prawdziwej idei? My mamy prawdziwą ideę. Pozwólcie, że złożę wam ideową propozycję.

Zakładajcie Koła Pomocy Dla Krajów Odsprzedanych Rosji. Zawiązujcie komitety i stowarzyszenia. Kluby, związki. Twórzcie je, poszerzajcie. Wstępujcie do nich masowo. W ten sposób zrobicie sobie leczniczy zastrzyk, to was duchowo wzmocni. Zamiast przyjeżdżać do nas na tarła i rykowiska usiłujcie zrozumieć nasze kraje i wyteżajcie umysły, by tworzyć — jeśli nie wspólną egzystencję, to choćby jej koncepcję, jej wyobrażony kształt. To was podwyższy we własnych oczach. Przywróćcie światu pamięć o narodach, które walczyły wraz z wami ocalając Europę przed nazizmem, i o tych innych, wcześniej zdradzonych, oddanych Trzeciej Rzeszy pod protektoraty. Organizujcie takie Koła we wszystkich krajach Zachodu. Nie grona honorowe pod przewodnictwem respektabli. Uczynicie z nich wielki ruch społeczny. Wtedy poczujecie się lepiej, o wiele lepiej. Odkurzcicie swoje dawne słowa o braterstwie ludów. Wspomnijcie śmierć Byrona, wiarę Mazziniego, prawość Micheleta i marzenia Schillera. To wam dobrze zrobi. Pamięć was ożywi, wskrzesi waszą godność. A jeżeli dawne słowa brzmią wam dziś nierealnie, pozwólcie, że na to odpowiem: co jest realne, a co nierealne? Przed pięć laty w Polsce kilkuset młodych ludzi odkryło, że niemożliwe może być możliwym. Dokonali swego odkrycia jak gdyby po ciemku, kiedy wydawało się, że tylko szczyry widzą przyszłość. Mieli wyobraźnię, odwagę zignorowania konieczności. Kierował nimi instynkt nad-imaginacji, przemieniającej rzeczywistość. To oni po półtora wieku ściśle wypełnili program zawarty w pewnym utworze poetyckim, którego uczyłem się w szkole na pamięć. Uczono go do znudzenia. W tej nieznanym wam odzie prowincjonalnego nauczyciela wersy były naiwne: o sięganiu gdzie wzrok nie sięga i mierzeniu sił na zamiary. Ale co jest naiwne?

co jest trzeźwe? Może najmniej naiwne to pchać razem tę bryłę, półki nie skamienieje lub pęknie...

Tak rozkrzyczałem się wewnętrznie. A wiem, że w tym wrzasku do sumienia Okcydentu jest egzaltacja i przesada. Wiem, że wpadłem w kaznodziejski patos i woła przede mnie kompleks. I może za mało ich znam. Patrzę na nich z zewnątrz, w zachodnim brzuchu nie siedzę, pewnie więc nie odczuwam jego bolesnej kolki. Ale rozkrzyczałem się nie bez powodu. Tu bowiem, po raz pierwszy na żywo, zetknąłem się z zachodnią obojętnością.

Nic ich nie obchodzimy. Tak samo nie obchodzimy rewolucyjnych intelektualistów, jak gospodyń domowych i właścicieli sklepów. Więcej obchodzi Polaków Irlandia i Chile, niż ludzie na Zachodzie wypadki trwające od pół roku w Polsce. Na odczytach i zebraniach bywają tu inteligenci rozmaitych profesji i nacji; w Ravenna Haus, w poczekalniach lekarskich, w klubach i kawiarniach ociera się o nas ludność tego miasta. Rozmawiamy, kłaniamy się sobie, wymieniamy uśmiechy. Wiedzą, że jestem gościem z Polski. I przez trzy miesiące tylko jeden człowiek zapytał mnie o mój kraj — o to, jak się teraz w nim żyje i co myślę o jego przyszłości. Był to kulawy Czech, emigrant. Jeden jedyny raz. Zdarzył się ów fakt na intelektualno-artystycznym *party*, w gwarze języków pięciu kontynentów, wśród tłoczących się i rozgadanych osób, włączonych we współczesność niejako z powołania. I przedał się przez nich kuszykając do mnie ten jeden wygnany Czech, żeby zapytać o Polskę.

A z Polski, z Warszawy, pisze do nas Andrzej Kijowski w liście, który wczoraj nadszedł:

„Ciekawe, jak zmienił się w ogóle polski sposób bycia. Zniknęło gdzieś komedianctwo, dowcipnisiostwo, zgrywa, ironia. Nie ma w ogóle dowcipów!... Z drugiej strony pojawiła się cecha nowa: cierpliwość organizacyjna. Zjazd ZLP trwał do czwartej rano i do tej godziny wytrzymało na sali sto osób, i do ostatniej chwili trwała rzeczowa, pracowita, drobiazgowa dyskusja nad wnioskami. To mi zaimponowało. To samo zresztą było na walnym zebraniu naszej Solidarności — nawet maszynistki i korektorki tkwiły na swoich miejscach do zamknięcia zebrania, przez siedem godzin, dopóki wszystkiego nie wygłosowały. Zresztą wszyscy się organizują. Na ul. Waryńskiego zawiązał się Komitet Społeczny Oczekujących na Meble z Importu... To nie jest temat do humoreski, bo postępowanie takie podyktowała konieczność i zdrowy rozsądek. To już nie jest kraj ani Gogola, ani Kafki, ani Mrożka, lecz zupełnie nowych jakości moralnych

i zupełnie nowych tematów. Już ani Marek Nowakowski do tego nie pasuje, ani Iredyński. Nie wiem, co to jest, ale wiem to jedno, że po raz pierwszy w życiu czuję się w swoim żywiole społecznym. Myślę, że poczuliby się tak samo dobrze Prus, Abramowski...”.

Także wczoraj Ewa i JMR dzwonili z Warszawy. Weseli, w różnym nastroju, pocieszali mnie przez telefon, żebym się nie martwił: wszystko będzie dobrze.

Więc tak jest teraz w Polsce. Jak będzie dalej? Poradzimy sobie, przetrwamy, czy zostaniemy oddani pod but, swój albo obcy? Ciemno i głucho będzie, czy jasno i gwarnie?

Tutaj coraz częściej mówi się o grożącym nawrocie zimnej wojny. Z rzeczy, jakie mogłyby się stać, niewiele jest gorszych. Gdyby Zachód odwrócił się od nas plecami, a nas odwrócono od Zachodu, żelazna kurtyna zaciągnęłaby się nie tylko między krajami, ale i wewnątrz ludzi. Kiedy w roku 1954 po ośmiolletniej niebytności na Zachodzie znalazłem się w Amsterdamie, nie umiałem już się posługiwać słowami Europejczyków, ani oni moimi. Ja nie akceptowałem ich sposobu myślenia, a oni moich doświadczeń. Byliśmy ludźmi z odciętą połową świadomości, ludźmi okresu zimnej wojny. Pamiętam, jak stałem przed wystawą sklepu z przyrządami domowego użytku i nie potrafiłem odgadnąć do czego większość z nich służy.

Ale dzisiaj o zimnej wojnie mówi się tutaj jakby z cichą nadzieją. Czasy zimnej wojny były pomyślnym okresem dla Zachodu i dopiero otwarcie się na Wschód nadwyreżyło równowagę. Może więc wszystko powróci na swoje dawne miejsce i Europa, rozsądnie podzielona, znowu odpocznie przez dziesięć lat. Zapewne musiałaby to poprzedzić rosyjska interwencja militarna w Polsce. Nadal się o niej pisze w prasie.

Dziennikarze należą do gatunku ludzi, od których nie oczekuje się humanitarnego współczucia ani szczególnej wrażliwości sumienia. Ich zawodem jest informowanie. Niekiedy jednak krótka informacyjna notatka zawiera ładunek ekspresji, jakiego nie przekazałby opis literacki. Korespondent francuskiej gazety, rozważając perspektywę wkroczenia armii ZSSR do Polski, przeprowadził w Warszawie i Gdańsku rozmowy z przedstawicielami ruchu demokratycznego. Jeden z młodych działaczy oświadczył mu spokojnie, że nie czekałby na aresztowanie; w dniu, w którym człogi radzieckie złamałyby opór kraju, popełni samobójstwo.

Ja przeczytałem tę notatkę ze ściśniętym sercem, ale dla nich, jeśli ją dostrzegli, była wydrukowaną informacją o stanie rzeczy

co jest trzeźwe? Może najmniej naiwne to pchać razem tę bryłę, póki nie skamienieje lub pęknie...

Tak rozkrzyczałem się wewnątrz. A wiem, że w tym wrzasku do sumienia Okcydentu jest egzaltacja i przesada. Wiem, że wpadłem w kaznodziejski patos i woła przede mną kompleks. I może za mało ich znam. Patrzę na nich z zewnątrz, w zachodnim brzuchu nie siedzę, pewnie więc nie odczuwam jego bolesnej kolki. Ale rozkrzyczałem się nie bez powodu. Tu bowiem, po raz pierwszy na żywo, zetknąłem się z zachodnią obojętnością.

Nic ich nie obchodzimy. Tak samo nie obchodzimy rewolucyjnych intelektualistów, jak gospodyń domowych i właścicieli sklepów. Więcej obchodzi Polaków Irlandia i Chile, niż ludzi na Zachodzie wypadki trwające od pół roku w Polsce. Na odczytach i zebraniach bywają tu inteligenci rozmaitych profesji i nacji; w Ravenna Haus, w poczekalniach lekarskich, w klubach i kawiarniach ociera się o nas ludność tego miasta. Rozmawiamy, kłaniamy się sobie, wymieniamy uśmiechy. Wiedzą, że jestem gościem z Polski. I przez trzy miesiące tylko jeden człowiek zapytał mnie o mój kraj — o to, jak się teraz w nim żyje i co myślę o jego przyszłości. Był to kulawy Czech, emigrant. Jeden jedyny raz. Zdarzył się ów fakt na intelektualno-artystycznym *party*, w gwarze języków pięciu kontynentów, wśród tłoczących się i rozgadanych osób, włączonych we współczesność niejako z powołania. I przedarł się przez nich kuszykając do mnie ten jeden wygnany Czech, żeby zapytać o Polskę.

A z Polski, z Warszawy, pisze do nas Andrzej Kijowski w liście, który wczoraj nadszedł:

„Ciekawe, jak zmienił się w ogóle polski sposób bycia. Zniknęło gdzieś komedianstwo, dowcipnisiostwo, zgrywa, ironia. Nie ma w ogóle dowcipów!... Z drugiej strony pojawiła się cecha nowa: cierpliwość organizacyjna. Zjazd ZLP trwał do czwartej rano i do tej godziny wytrwało na sali sto osób, i do ostatniej chwili trwała rzeczowa, pracowita, drobiazgowo dyskusja nad wnioskami. To mi zaimponowało. To samo zresztą było na walnym zebraniu naszej Solidarności — nawet maszynistki i korektorki tkwiły na swoich miejscach do zamknięcia zebrania, przez siedem godzin, dopóki wszystkiego nie wygłosowały. Zresztą wszyscy się organizują. Na ul. Waryńskiego zawiązał się Komitet Społeczny Oczekujących na Meble z Importu... To nie jest temat do humoreski, bo postępowanie takie podyktowała konieczność i zdrowy rozsądek. To już nie jest kraj ani Gogola, ani Kafki, ani Mrożka, lecz zupełnie nowych jakości moralnych

i zupełnie nowych tematów. Już ani Marek Nowakowski do tego nie pasuje, ani Iredyński. Nie wiem, co to jest, ale wiem to jedno, że po raz pierwszy w życiu czuję się w swoim żywiole społecznym. Myślę, że poczuliby się tak samo dobrze Prus, Abramowski...”.

Także wczoraj Ewa i JMR dzwonili z Warszawy. Weseli, w różnym nastroju, pocieszali mnie przez telefon, żebym się nie martwił: wszystko będzie dobrze.

Więc tak jest teraz w Polsce. Jak będzie dalej? Poradzimy sobie, przetrwamy, czy zostaniemy oddani pod but, swój albo obcy? Ciemno i głucho będzie, czy jasno i gwarnie?

Tutaj coraz częściej mówi się o grożącym nawrocie zimnej wojny. Z rzeczy, jakie mogłyby się stać, niewiele jest gorszych. Gdyby Zachód odwrócił się od nas plecami, a nas odwrócono od Zachodu, żelazna kurtyna zaciągnęłaby się nie tylko między krajami, ale i wewnątrz ludzi. Kiedy w roku 1954 po ośmioletniej niebytności na Zachodzie znalazłem się w Amsterdamie, nie umiałem już się posługiwać słowami Europejczyków, ani oni moimi. Ja nie akceptowałem ich sposobu myślenia, a oni moich doświadczeń. Byliśmy ludźmi z odciętą połową świadomości, ludźmi okresu zimnej wojny. Pamiętam, jak stałem przed wystawą sklepu z przyrządami domowego użytku i nie potrafiłem odgadnąć do czego większość z nich służy.

Ale dzisiaj o zimnej wojnie mówi się tutaj jakby z cichą nadzieją. Czasy zimnej wojny były pomyślnym okresem dla Zachodu i dopiero otwarcie się na Wschód nadwyrężyło równowagę. Może więc wszystko powróci na swoje dawne miejsce i Europa, rozsądnie podzielona, znowu odpocznie przez dziesięć lat. Zapewne musiałaby to poprzedzić rosyjska interwencja militarna w Polsce. Nadal się o niej pisze w prasie.

Dziennikarze należą do gatunku ludzi, od których nie oczekuje się humanitarnego współczucia ani szczególnej wrażliwości sumienia. Ich zawodem jest informowanie. Niekiedy jednak krótka informacyjna notatka zawiera ładunek ekspresji, jakiego nie przekazałby opis literacki. Korespondent francuskiej gazety, rozważając perspektywę wkroczenia armii ZSSR do Polski, przeprowadził w Warszawie i Gdańsku rozmowy z przedstawicielami ruchu demokratycznego. Jeden z młodych działaczy oświadczył mu spokojnie, że nie czekałby na aresztowanie; w dniu, w którym czołgi radzieckie złamałyby opór kraju, popełni samobójstwo.

Ja przeczytałem tę notatkę ze ściśniętym sercem, ale dla nich, jeśli ją dostrzegli, była wydrukowaną informacją o stanie rzeczy

w kraju leżącym poza ich strefą — w kraju *strefy uzgodnionej*. W swoim czasie z niemiłym zdziwieniem przyjęli wiadomość, że człowiek z tego kraju został obrany papieżem. Jest bowiem tak, że to nie my dzisiaj mamy psychikę obłożonej twierdzy i nie my zaciągnęliśmy w sobie żelazną kurtynę — lecz oni. To że w Polsce powstaje dziś rzecz nowsza i ważniejsza od zachodnich syntez luksemburgo-marksizmu z anarcho-terroryzmem, czy samonaprawczych regulatorów zachodniej ekonomiki, taka myśl naruszyłaby ich strefę mentalną. Bo zarówno młodzi neo-marksisti, jak prezesi banków, jak gospodynie domowe oraz redaktorzy *Le Figaro* i *Frankfurter Allgemeine* nie lubią słuchać o eksperymentach na sowieckim polu strategicznym. To nie my od nich — to oni od nas się odwróca.

W dziale mięsnym jednego z największych tutejszych super-samów ciągnie się dwudziestometrowej długości oszklona lada-pojemnik. Za szkłem leżą zwały połów, szynki i combrów, krwistobrunatna martwa natura, skomponowana z mięsa jadalnych zwierząt, od świni do sarny. Sprzedawczyni w białych lekarskich kitlach stoją przy elektronicznych wagach. Pośrodku zaś na wierzchu szklanej lady wystawiono dużą fotografię w ramce, przedstawiającą żywego pana o miłej, dobrotliwie uśmiechniętej twarzy. W pierwszej chwili wziąłem go za prezydenta berlińskiego senatu, dopiero później odczytałem napis u góry zdjęcia: „Szef naszej masarni, mistrz rzeźnicki pan Koenig. Jeśli klienci mają specjalne życzenia, proszę się zwracać bezpośrednio do niego”.

marzec

W odpowiedzi na apel nowo powołanego premiera (czwartego, odkąd piszę „Miesiące”), który zwrócił się do społeczeństwa o 90 dni spokoju, postanowiłem odłożyć na bok bieżące sprawy polityczne, dopóki okoliczności na to pozwolą.

Śnieg pada. Klimat berliński jest zmienny. Cała zima w wahaniach między przymrozkami a przedwiośnią. Brak mi tu zdrowej suchości powietrza, często dają się nabierać na łagodną szarosć i wychodzę bez nakrycia głowy, po czym od Hohenzollerndammu dopada mnie katowski wiatr, wdziera się pod płaszcz i przetrząsa kieszenie; wieczorem czuję gorączkę. Tak było, kiedy w Ravenna Haus odwiedził mnie reżyser Domaradzki, aby porozmawiać o telewizyjnej przeróbce „Romantyczności”.

Rodzaj obecności Domaradzkiego w moim życiu jest zastanawiający. W Warszawie pojawiał się zazwyczaj w dniach, gdy miałem podgorączkę. Spędzaliśmy dwie godziny na rozmowie o przeróbce „Romantyczności”, potem Domaradzki zniknął na długi czas. Mijało parę miesięcy i telefonował rano proponując mi sympatycznym głosem kolejne spotkanie. Nic nie posuwało się naprzód, ale sprawa zaczęła nas łączyć, być może przez swą narastającą abstrakcyjność. Po wyjeździe do Berlina o Domaradzki, szczerze mówiąc, zapomniałem. A jednak będzie to chyba trwały wątek w mojej egzystencji, skoro znowu siedzę w fotelu z podgorączką, a na kanapce Domaradzki w czarnym golfie i ze sfalowaną czupryną uśmiecha się szeroko, opowiadając o swej podróży do Algieru. Opowiada niezwykle żywo i plastycznie. Kiedy mówi o pustynnych krajobrazach Sahary, bo i tam zawędrował, czuję niemal jak piasek zgrzyta mi w zębach. O „Romantyczności” mówiliśmy niewiele; wspomnieliśmy tylko, że Telewizja nie stawia więcej przeszkód co do mojej osoby i rzecz jest w pełni aktualna. Mamy więc do niej się zabrać w Warszawie po moim powrocie. Domaradzki zakomunikował mi o tym w sposób całkowicie swobodny, z naturalnością człowieka, który zna swoją siłę. A jest w nim jakaś siła. Psychofizyczna zapewne, tkwiąca choćby w jego zjawianiu się i znikaniu, w jego — mówię — talencie do powrotów. Spotkaliśmy się bowiem przypadkiem na wieczorze literackim w galerii DAAD. Obserwując ucho pana Bambote Makombo z Afryki Centralnej, siedzącego w krzesłach obok mnie, poczułem, że mój profil jest od dłuższej chwili przedmiotem czyjejs uprzejmej życzliwości. Odwróciłem się: w rzędzie za mną, trochę na prawo, kłaniał się reżyser Domaradzki.

Czas najwyższy wspomnieć o Polakach w Berlinie. To jest o tych, których najczęściej widuję. Oprócz pisarzy od lat tu zamieszkałych, jak Herbert i Wirpsza (Herbert wrócił w styczniu do Warszawy) snują się po tym mieście postacie takie jak ja, goście berlińskiej Akademii der Künste, zaproszeni na pobyty roczne lub półroczne. Do nich należy Wiktor Woroszyński, który zjechał tu w początku roku i sąsiaduje z nami przez ścianę w Ravenna Haus. Ale są też inni — muzycy, graficy, wynalazcy video-form; są dziewczyny, które powychodziły za mąż za cudzoziemców lub noszą się z tym zamiarem, są gościnne domy, jak Szackich w Grunewaldzie, gdzie spotykam artystów i naukowców zatrzymujących się w przejeździe z kraju czy do kraju. A ponadto są Polacy, o których wiem niewiele, rozmaitego autoramentu, płci i wieku. Polacy wędrowni i przelotni, zahaczeni o rodziny w Niemczech albo o polskie placówki rządowe, Polacy dorabia-

jący się lub koczujący. Czasami trudno odróżnić jednych od drugich i kiedy po wieczorze literackim podchodzi ktoś do mnie zagadując po polsku, nie zawsze mam pewność do jakiej kategorii go przydzielić. Profesor z Krakowa? Nie: wzięty dentysta z Dahlem. Garska zmizerowanej warszawskiej młodzieży założyła komunę na strychu dziewiętnastowiecznej kamienicy w Moabicie, nie wiadomo co ich tu przygnało — zapraszają do siebie, chcą dyskutować, rozmawiać. Kiedy indziej natykam się na osoby o dziwnym wyglądzie. Długowłosa astenik z kolczykiem w uchu, którego zaliczyłem w myśli do twórców awangardowych form w plastyce, przedstawia się jako były pracownik służby bezpieczeństwa w kraju. — Znam pana z Warszawy — wspomina — co prawda tylko z widzenia... — Widuje się tych ludzi na odczytach i przyjęciach, tworzą warstwę łączącą nas z cudzoziemcami, zmniejszają wyosobnienie.

Zresztą najbardziej wyosobniony jest zawsze pan Bambote Makombo, czarny poeta i eks-ambasador rządu Bokassy w Paryżu. Bardzo źle widziany przez obalonego dyktatora (źle widzianych obywateli Bokassa wrzucał do marmurowego basenu z krokodylami, który mieścił się w jego pałacu pod salą audiencyjną), pan Makombo przyjechał do Berlina i także zamieszkał w Ravenna Haus, naprzeciw nas, w apartamencie 204. Bywa regularnie na wszystkich imprezach literackich, aczkolwiek po niemiecku nie rozumie ani słowa. Grzecznie uśmiechnięty, przychodzi zawsze sam i wychodzi sam. Przeprasza po francusku. Po odczycie lub wieczorze autorskim, kiedy uczestnicy rozmawiają stojąc z kieliszkami i szklankami w ręku, do p. Makombo podchodzą zazwyczaj Polacy. Polacy mówią jeszcze po francusku, gorzej czy lepiej, ale mówią. Wielkie zadowolenie rozlało się na twarzy pana Makombo, gdy zapytałem go, jak mu się podoba w Berlinie i kiedy wraca do swojego kraju. Okazuje się jednak, że dawno już tam nie był, od ośmiu lat mieszka stale w Kanadzie. Groziło mu zapewne wrzucenie do basenu z krokodylami, w wielu sprawach bowiem miał inne poglądy niż dyktator.

Krokodyle... Przyszło mi na myśl, że w Europie tę okropną wizję mógłby wymyślić któryś z epigonów teatru absurdu, jako makabryczno-groteskową parabolę. W kraju pana Makombo europejskie parabole literackie są żywą codziennością. I kiedy mi opowiadał o swych francuskich esejach i wierszach, przez chwilę uległem wrażeniu, że świat nie jest duży i wypełnia go jednorodna substancja, a jego wewnętrzne kontrasty prowadzą się do różnych sposobów ukształtowania materiału: od sadystycznego naturalizmu po surrealistyczną poetykę alegorii. Kro-

kodyle pożerające ludzi i ludzie przemienieni w nosorożce są wszędzie, gdziekolwiek tylko wyższy stopień cywilizacji i kultury sprawia, że nie rzucają się od razu w oczy.

A dookoła: Niemcy. Myśl o krokodylach i nosorożcach uzyskuje tu dodatkowy wymiar. Bywają dni, gdy dłużej niż zwykle czekam w dzielnicowym supersamie na M. załatwiającej sprawunki. I wtedy przyglądam się, jak stare niemieckie małżeństwa toczą przed sobą wózki naładowane żywnością. Wieczny przebłysk zdumienia: przed czterdziestu laty ci sami mężczyźni i kobiety ryczeli „*Sieg heil!*” na cześć obłąkanego zaklinacza szczurów. Odnawiająca się zgroza. A jednocześnie wyrzut sumienia, że pamięć coraz bardziej się oddala, kurczy, stygnie i wkrótce przetrwają z niej tylko wykadrowane obrazki na ekranie. Ile jeszcze lat? Dziesięć, piętnaście? Myśl, że ostatni świadkowie i sprawcy uniosą ze sobą w zaświaty nie wytłumaczoną przeszłość, napełnia niepokojem. Jak nas przyjmą umarli, co odpowiemy zagazowanym? Nikt nie wie, czy w zaświatach dusze rozmawiają ze sobą, ale jest pewne, że przybędziemy tam mniej więcej równocześnie: my, niedoszłe ofiary, i oni, którzy nie zdążyli nas zabić. Teraz jeszcze potrącamy się w przejściu, zaopatrując się w masło, owoce i sery. Wydaje się niesamowite, że w samym zakończeniu coś nas połączyło.

Wczoraj o zmierzchu lunął deszcz, w mieszkaniu szybko pociemniało i zadzwonił telefon. — Tu monsieur Bambote Makombo. — Pan Makombo zatelefonował do mnie, ponieważ, jak wyznał, w Berlinie żyje osamotniony. Powiedział mi to wśród westchnień. Z pewnością o tej godzinie czuł potrzebę ludzi, chciał swoją samotność ogrzać rozmową w towarzystwie. Tego dnia ja również czułem się samotny. Ale w takich dniach nie pragnę ludzkiej obecności, wolę samotność przeżywać sam na sam ze sobą. Zazwyczaj kładę się z książką na tapczanie. Wypełniam te godziny dawnymi zdarzeniami, nieobecnymi twarzami, imaginacją, czasem przeszłym. Tak więc moja samotność nie rozprasza się dzięki ludziom przychodzącym z zewnątrz, lecz zaludnia się we mnie. I w końcu przestaje być samotnością, wewnętrzny ruch ożywia moje ciało leżące na wznak. Toteż nie zaprosiłem pana Makombo wieczorem do siebie. Umówiliśmy się na telefon, ma nas odwiedzić w przyszłym tygodniu. — Zapraszam pana na kawę — mówię — albo, jeśli pan woli, na herbatę. A może na kieliszek...? — Na kieliszeczek! na kieliszeczek! — śmieje się pan Makombo. Trochę rozweseliłem go jednak.

(Ostatnio, to jest przed panem Makombo, rozmawiałem

z Murzynem w zeszłym roku jesienią na Pradze, kiedy pobłądziłem i zapytałem z samochodu o drogę jakiegoś mężczyznę w cyklistówce, stojącego plecami do mnie, na chodniku, a ten odwrócił się ukazując mi hebanową twarz: — Jedź pan do Czterech Śpiących i zaraz pchaj się pan w lewo!).

Po moim wieczorze autorskim, który odbył się w galerii DAAD, dziennik *Tagesspiegel* zamieścił felieton tutejszej ceniowej literatki, starszej pani o poważnych wpływach w berlińskim życiu kulturalnym. Omówienie wieczoru nad wyraz życzliwe, ton ciepły, cytaty przytaczane ściśle. Z wyjątkiem jednego. Na wieczorze przeczytałem z „Miesięcy” notatkę o udzieleniej przeze mnie odpowiedzi wschodnio-niemieckiemu pisarzowi, który twierdził, że stalinizm i hitlerizm *das ist nicht dasselbe*. Moją odpowiedź przytoczyłem tu wcześniej. Brzmiała: „*Stalinismus und Hitlerismus das ist nicht dasselbe. Hitlerismus und Mussolinismus das ist auch nicht dasselbe. Aber Stalinismus, Hitlerismus und Mussolinismus zusammen das ist Faschismus*”. Cytując te słowa autorka sformułowała je następująco: „*Stalinismus oder Mussolinismus sind nicht dasselbe, jedoch alles zusammen das ist Faschismus*”. Z tekstu wypadł hitlerizm.

Co o tym myśleć: przestyszenie? roztargnienie? Nie sądzę.

Daję M. felieton z przekreślonym cytatem, po czym rozmowa o Niemcach. Jak się czuje naród, który przez trzydzieści sześć lat słyszy, że popełnił zbrodnię na ludzkości? Żadnych argumentów, nic na swoją obronę. Przez trzydzieści sześć lat oglądali zdjęcia przedstawiające wzgórze kości i komory gazowe, dowiadując się naocznie, że oni lub ich ojcowie byli mordercami. Pokazywano im filmy o wojnie, nakręcone w krajach, z którymi walczyli, filmy angielskie, rosyjskie i amerykańskie, gdzie Niemcy występują w rolach barbarzyńskich oprawców, a bohaterowie noszą mundury ich zwycięzców. Przez trzydzieści sześć lat nie mogą wypluć z siebie prawdy o tamtych dziesięciu latach, ponieważ jej nie rozumieją. A przy tym mają poczucie swojej ludzkiej normy, uważają się za synów dobrych ojców i obywateli, za naród o starej kulturze. Równocześnie jednak — i wiedzą o tym — dobrzy ojcowie i obywatele wykrzykiwali chórem paranoiczne hasła, wypełniając rozkazy obłąkańców i zamieniając swych bliźnich w szkielety. Żyją więc w owej podwójnej świadomości, kleją w sobie rozszczepioną tożsamość. Lecz przed ćwierć wieku narosła już w nich trzecia świadomość: wspinała zorganizowanej cywilizacji, którą osiągnęli własną pracą. Trzeci wymiar psychiki niemieckiej. A ponadto dochodzi jeszcze

czynnik psychologiczny czwarty, wykraczający poza ich samowiedzę. Ten mianowicie, że „przeciętny człowiek” (mówi się tutaj: „*der kleine Mann*”) ma wąskie rozeznanie w sferze etyki przekazywanej mu przez system polityczny i jeśli umie odróżnić dobro od zła w czynach prywatnych, to dużo trudniej przychodzi mu ocena moralna czynów państwa. Naruszenie etycznego dekalogu przez władzę uznane jest od wieków za jeden z jej oczywistych atrybutów; złu politycznemu może się przeciwstawić jedynie określony światopogląd. Tymczasem „zwyczajny” czy „przeciętny” człowiek rzadko miewa światopogląd wyraźnie określony.

Takie są — świadome bądź nieświadome — kształty współczesnej duszy niemieckiej, chybotającej się między pamięcią winy a przekonaniem o swej niewinności. Najkrócej można by to zamknąć w formule: „Jesteśmy narodem ludobójców złożonym z przyzwitoitych ludzi”. Paradoks nie do udźwignięcia. Dusza niemiecka szuka z niego wyjścia, chce zmniejszyć swą odpowiedzialność. Rozgląda się za partnerami w zbrodni, przysposabia ich sobie: Polaków, Rumunów, Łotyszów, Ukraińców... Napotyka na żywy rezonans. Liczne głosy w świecie, uznające dziś Polskę za kraj antysemitów, łączą się z głosami kwestionującymi istnienie krematoriów w niemieckich obozach śmierci. To zdumiewa, lecz da się wytłumaczyć. Antysemityzm jest do pojęcia, gdy nie przekracza ludzkiej miary; można go potępić, ale potępią się wówczas zjawisko wiadome, notowane w historii. Zagłada Żydów w latach wojny przekracza miarę ludzkich pojęć; ma cechy zbrodni metafizycznej — zapewne winę ponosi Szatan. Czy jednak dzieci Szatana wypadałoby przyjąć do Wspólnego Rynku?

Starsza pani, zniekształcając fragment mego tekstu, być może nie dokonała rozmyślnego przeinaczenia. Uległa tylko zbiorowej podświadomości, która pragnie zapomnieć o swoich związkach z diabłem.

„Nierzeczywistość” w wydaniach obcojęzycznych ukazała się jak dotąd we Francji, Szwecji, Anglii i Stanach Zjednoczonych. W Niemczech dotychczas się nie ukazała. Z wydawnictwem Deutsche Verlags-Anstalt sprawy od początku szły krzywo. Najpierw wydawca upierał się przy tytule „*In Polen oder nirgendwo*”, czemu się sprzeciwiłem. Potem zakwestionował jakoś przekład. Otrzymałem kilka niejasnych listów, w których wydawca twierdził z ubolewaniem, że nie istnieje praktyczna możliwość zaadiustowania przekładu, ani też znalezienia innego tłumacza. W końcu zerwał umowę. Wszystko to dało mi wiele do

myślenia. Wydawca, który przez kilka lat szuka tłumacza i odstępuje od umowy po wpłaceniu sumy za copyright... Czułem tu jakieś preteksty.

Teraz świta mi w głowie pewien domysł. W „Nierzeczywistości” dość często nawracam do diabelskich pierwiastków tkwiących w hitleryzmie, wojna i okupacja w mojej książce przedstawione są jako czas walki z uosobieniem wynaturzonego zła, z niemieckim Antychrystem. Więc tego się przestraszył i przed tym się cofnął mój wydawca...?

W trakcie tej rozmowy — o Niemcach, i o Rosjanach, i Polsce między nimi — rozmowy, która przeciągnęła się do późna wieczór, M. określiła swój trypunktowy program: w Polsce trzeba mieć małe mieszkanie, małe wymagania i mocne, ciepłe buty na grubej podeszwie.

Mija cztery miesiące odkąd wyjechałem z Warszawy. Pozostało jeszcze trzy. Przez cały ten okres żyję w cezurze, w antrakcie rzeczywistości i tego wrażenia nie mogę się pozbyć. Tryb dnia nie uległ większym zmianom — praca, lektury, rozmowy — a jednocześnie trwa poczucie wyrwania z prawdziwego czasu. Życie na niby. Pauza. I ćmiący niepokój połączony z moralnymi wyrzutami. Przypominają mi się węgry, kiedy po godzinie siedzenia na ławce w parku ogarniała mnie niechęć do siebie i rosnąca nuda, nuda grzechu. Z grupką kolegów zakrzykiwaliśmy ją dowcipami i płoszeniem wróbli na ścieżce, lecz każdy z nas w głębi duszy wiedział, że te godziny są nieprawdą, każdy czuł w sobie pustkę niezastudzonej wolności. A nazajutrz w szkole przekonywaliśmy się nie bez rozczarowania, że naszej nieobecności w ogóle nie zauważono, życie poza nami biegło dalej, nic nie straciliśmy wprawdzie, ale też nic nie zyskaliśmy. Gdzie byliśmy wczoraj? Nigdzie.

To berlińskie „nigdzie” obudowuję codziennym pisaniem. Wstaję i myję się przed 8-mą, przy herbacie słucham wiadomości radiowych, od 9 do 12 pracuję. Przez trzy godziny uzasadniam swoją całodzienną egzystencję, z wynikiem zawsze niepewnym: przeważnie udaje mi się napisać stroniczkę czy pół, nieraz jednak rezygnuję po pierwszym zdaniu i przez resztę dnia czuję się jak bankrut. Zdawałoby się, że materiał, jakim są „Miesiące”, nie powinien nastroić podobnych kryzysów, skoro samo życie go dostarcza. A jednak nie, dzieje się inaczej. Dość wcześniej zorientowałem się, że ta forma niesie ze sobą zupełnie inne komplikacje niż powieść. Przez to, że posuwa się niejako równocześnie z życiem, uzależnia się od niego i traci wolność fikcji. Często

muszę pisać o tym, czego w danym dniu pisać nie zamierzałem, nastąpiły bowiem fakty, których nie mogę pominąć. Rzeczywistość popędza i dystansuje tekst, trzeba się spieszyć, żeby ją dogonić. W notatkach pozostają odłożone na później tematy; nie wiadomo, czy się do nich wróci, są to szkice i zapiski, które potem odnajduję, ale już wygaszone, zetłałe. Niekiedy wpada się w narrację lub przewód myślowy, wyprzedzające czas pisania, rękopis musi być wtedy pod ręką nawet w nocy. Ale bywa i tak, że nie napisane jeszcze zdania atakują na ulicy, trzeba je donieść w głowie do domu. Powoduje to obawę przed parciem materiału i nie daje chwili spokoju. A któregoś dnia, bez widomej przyczyny, rzecz utyka w miejscu, mimo iż tematy są wypunktowane na kartce. Taką kartkę mam właśnie przed sobą:

- o Polakach: społeczeństwo najmniej przynikalne na totalitaryzm; nie lubią posłuszeństwa w ogóle, a zwłaszcza nie wytrzymują posłuszeństwa wobec bezsensu;
- lokatorzy domu na Nowomiejskiej 5;
- Gomułka, chłopski Wielopolski;
- o rozminięciu się z własnym talentem (albo „gatunkiem”);
- intelektualisci — inteligencja, dwie tradycje;
- wróżba polityczna na rok 2000.

To są notatki robocze, tematy do rozwinięcia. Na każdy z nich miałem ochotę wypowiedzieć się szerzej i sądziłem, że przyjdzie mi to bez trudności. Tak mi się zdawało jeszcze wczoraj wieczór. Tymczasem dziś rano siedzę wpatrując się w kartkę i widzę, że te zapiski przez noc oddzieliły się ode mnie, zobojętniały tak dalece, że na żaden z wynotowanych tematów nie mam chęci pisać. Ponadto zaś uświadamiam sobie, a raczej przypominam, że przed dwoma dniami minąłem na ulicy nieznaną kobietę, której wygląd mnie oszołomił, przeżyłem na jej widok chwilę olśnienia graniczącego z trwogą, a w godzinę później twarz i uśmiech tej kobiety skojarzyły mi się z myślą o śmierci. Bo stojąc przy półce z literackimi nowościami w księgarni na Uhlandstrasse, próbowałem sobie odtworzyć moment, gdy szła o kilka kroków przede mną, rozmawiając z towarzyszącą jej parą, chyba małżeństwem. Nosiła kurtkę z welnianym kołnierzem, niebieskie spodnie i pantofelki na wysokim obcasie, mocno schodzone. Idąc, lekko utykała. Trudno by powiedzieć, czy była to ułomność czy narciarska kontuzja, noga nie wydawała się krótsza ani zdeformowana. Zapewne to mnie uderzyło: szybki, zręczny chód w połączeniu z nieregularnością kroku i odcień jej włosów, rudych, związanych z tyłu aksamitką; opadały na plecy, o takim uczesaniu mówiło się dawniej „koński ogon”. Zatrzymali się

przed narożną apteką, rudowłosa kobieta żegnała swych przyjaciół: — *Bis morgen...* — Dopiero wtedy zobaczyłem jej twarz. Trudno mi ją opisać, pamiętam tylko matową biel cery, purpurowe wargi i za krótki nos. Dałem jej w myśli około 30 lat. Oczy miała niewielkie, jak z błękitnej emalii, pod cienko narysowanymi brwiami. Ten opis nic nie mówi. A jednak przystanąłem, żeby na nią patrzeć. I przez następną godzinę myślałem wyłącznie o niej, chcąc sobie wyjaśnić, dlaczego przeżyłem tak silne wrażenie, niemal wstrząs. Gdybym miał to wrażenie określić, powiedziałbym, że wydała mi się z n a j o m a, jakkolwiek byłem pewien, że nie spotkałem jej nigdy przedtem. Więc mogła to być znajomość z czasu zaprzeszczonego, pamięć we mnie zakodowana. Twarz podobna do białych antycznych rzeźb z odłuszczonymi nosami. Takie rzeźby widywałem w muzeach i stojąc przed nimi niejednokrotnie wyobrażałem sobie, że są zastygłą materializacją śmierci; może tak wyglądają dusze wędrujące przez wieczność. Od dawna, właściwie od początku śmierć jawiła mi się w białej kobiecej postaci i przeczuwałem w niej akt ostatecznego spełnienia. Po godzinie w księgarni nagle przyszła mi do głowy myśl, że najlepszym rodzajem śmierci byłby spazm w miłosnym uścisku z tą kobietą. Myśl niedorośla. Lecz podniecająca: gdybym był do niej podszedł i spytał, czy nie zechciałaby mi się ofiarować *bis morgen* w celu transcendencji, ponieważ urzekły mnie jej rysy podobne do —

Ale pytam: dlaczego ona? co sprawiło, że wśród tylu kobiet, przez lata mijanych na ulicach wielkich miast, akurat jej widok wzbudził we mnie metafizyczne pożądanie? Prawdopodobnie — nos. Niewykluczone, że poddała się kosmetycznej operacji. Stąd wrażenie podobieństwa do greckich rzeźb. Czy jednak tylko to, czy aby na pewno. Nie mam tej pewności.

Sobota. Myślę czytając fragment napisany wczoraj: wszystko to pachnie niemiecką secesją, nie przypadkiem w Berlinie robi się z człowieka modernista... Przeczytałem M. kilka ostatnich stron, była nimi zdziwiona. Potem rozmawialiśmy dość długo. Tłumaczyłem, usiłowałem nazwać rodzaj mojego lęku przed śmiercią, który prawdopodobnie sięga lat dzieciństwa. Zdaje się, że moje poczucie osamotnienia już wtedy płynęło z ciemnych źródeł — z podświadomej wiedzy o kresie. Przeczuwałem jakąś ogólną niedorzeczność, dotyczącą wszystkich i mnie, i stroniłem od ludzi, widząc w nich jak gdyby ofiary zarazy. Taki moment czy okres, jeżeli następuje wcześniej, rodzi chęć oddzielenia się, pierwszej odmowy udziału. Z czasem może się ona przekształcić w potrzebę kompozycji i uporządkowania bytu: skoro jest zakre-

ślony, niech będzie w swych granicach sensowny. Stąd pewnie się bierze — twierdzę — moje przywiązanie do proporcji i ładu. Nie tylko w tym, co piszę. Drobiazgi na stoliku układam zawsze według symetrii, która ma się przeciwstawić chaosowi. To nie jest pedanteria, to jest walka z bezładem. Powiedziałbym: z niechlujnymi cieniami nicości. W późniejszej fazie następuje rewizja, pragnie się nadać śmierci znaczenie porządkujące życie (napisałem kiedyś, że koniec nie wieńczy dzieła, ale je określa), jeszcze później natomiast włącza się czynnik wiary. Mam tu na myśli własne doświadczenia — doświadczenia wewnętrzne człowieka niereligijnego, który w końcu również łaknie pośmiertnego sensu, nadziei wykraczającej poza istnienie fizyczne i ziemskie, i w moim wypadku — znajduje je w myśli o niewidzialnym porządku łączącym żywych z umarłymi. A to już jest sfera wierzeń.

Ogółem biorąc, wszystko od początku jest przygotowywaniem się — poprzez nieświadomość, lęk i odrzucenie — jest zbieraniem manatków przed drogą. Ale bliskość końcowego punktu jest wciąż jeszcze życiem, i pełnym niespodzianek. Tu podaję przykład: kilka lat temu uprzytomniłem sobie, że przysuwająca się myśl o własnej śmierci czyni mi coraz bliższymi tych, co mnie przeżyją. Oni, ci młodszy, budzą we mnie szczególną czułość, właśnie dlatego, że zostaną i za jakiś czas będą jedynymi istotami na ziemi, które zachowają pamięć mojego wyglądu czy głosu. A może i dlatego, że za jakiś czas kolej przyjdzie na nich. Wrażliwsi przenikają we mnie te myśli. Przypominam sobie, jak po pogrzebie Janki S. przed pięciu laty Ewa mi powiedziała: — Patrzyłeś na nas i myślałeś, że tak samo będziemy stali przed twoją trumną. — Ale to jest myśl pełna sympatii, każdy ceni swoje *non omnis moriar*, a ja osobiście lubię tych, dla których potrwał nieco dłużej.

Po dwóch tygodniach spokojniejszych bieg wypadków w kraju znów nabral przyspieszenia. Radio i prasa podały wiadomość o zgromadzeniu na Uniwersytecie Warszawskim w rocznicę marca 68, to jest w trzynaście lat od wtargnięcia na dziedziniec uczelni partyjno-urzędniczego aktywu z pałkami w teczkach. Stałem wtedy na chodniku przed kościołem św. Krzyża, od jezdni odgradzał mnie kordon milicjantów w hełmach, a naprzeciw, z balkonu Instytutu Geografii grupa studentów skandowała: — De-mo-kra-cja! De-mo-kra-cja! — Była to zdaje się ostatnia grupa nie wygarnięta jeszcze przez obławę. Po trzynastu latach, w

niedzielę 8 marca na rocznicowym wiecu zebrało się kilka tysięcy młodzieży.

Równocześnie w Alejach Ujazdowskich odbyła się kontr-manifestacja. Poprzedził ją kolportaż antysemitycznych ulotek w stylu po latach nie zmienionym, tym samym, w jakim utrzymane były artykuły w ówczesnej prasie, a w osiem lat później, po założeniu KOR-u, anonimowy rozsyłane do działaczy i sympatyków opozycji. W Alejach demonstracja, łącznie z przypadkowymi widzami, ściągnęła kilkaset osób. Aktyw warszawski wystąpił tym razem pod nazwą *weterani* i uczcił pamięć ofiar *stalinowskiej kliki syjonistycznej*. Sens owej imprezy nie pozostawia wątpliwości: utožsamienie policyjnego terroru w okresie 1950-53 z ruchem wolnościowym lat obecnych i zasugerowanie, iż w obu wypadkach chodzi o żydowski spisek.

Rzecz szyta po prostaku, a mimo to łamiąca granice psychicznej wytrzymałości. Ale jest faktem. Jest faktem w skali światowej. Totalny nihilizm nie cofa się dziś przed najtrywialniejszym wypaczeniem prawdy i w porównaniu z nim teorie rasistowskie z pierwszej połowy stulecia wydają się mniej perfidne. Hitlerowcy głosili wprost, iż Żydów należy wytepić. Nowocześni antysemita twierdzą, że hitleryzm był inspirowany przez żydowską finansjerę. Tak więc prawdziwą odpowiedzialność za obozy zagłady ponosi syjonizm. Żydzi sfinansowali własną śmierć — to zdaje się domniemywać najnowsza wykładnia historyczna, z którą można się zetknąć w ideologii nie tylko nacjonalistycznego Islamu, lecz także europejskich ugrupowań skrajnych, z lewa i prawa. W Alejach Ujazdowskich zaadaptowano tę metodę do polskich okoliczności: syjonistyczna klika stalinowska, organizująca dziś związkowy i studencki ruch demokratyczny, finansuje kontrrewolucję w Polsce. W myśl logiki niniejszej ci spośród założycieli KOR-u, którzy siedzieli w stalinowskich więzieniach, uczestniczą od trzydziestu lat w realizacji planu żydowskiej mafii, wówczas jako więźniowie, dziś jako przeciwnicy metod policyjnych. Jednym z organizatorów wystąpienia w Alejach był reżyser P., ten sam, któremu perswadowano na zjeździe filmowców, by zamiast czekać na czołgi sowieckie wziął się do roboty. Posłuchał i wziął się.

O część wam, panowie weterani. To że antysemityzm jest w dzisiejszym świecie nadal rozpowszechniany, można politycznie wytłumaczyć propagandą zasilającą palestyński ruch narodowy i wymierzoną w państwo Izrael. Ale w Polsce... W Polsce antysemityzm spełnia usługi w innej sprawie. Polska za swój antysemityzm zawsze płaciła fatalną renomą na Zachodzie i jeśli

dzisiaj zależałoby komuś na skompromitowaniu rwących się do wolności Polaków, na splamieniu ich w oczach cywilizowanego świata, na ich zohydzeniu, izolacji, odcięciu od pomocy ekonomicznej Zachodu, ów ktoś postąpiłby najskuteczniej zakładając w Warszawie organizację antyżydowską. Wiedział o tym Paweł Jasienica. W swym wystąpieniu na zebraniu nadzwyczajnym ZLP, w przededniu marca 1968, zacytował antysemityczny wierszyk kolportowany wówczas na wyższych uczelniach. I ostrzegł: to stara metoda zniesławiania Polski, próbowano jej już w epoce rozbiorów... Zszedł z trybuny przeświadczony, iż wygłosił przemówienie nader umiarkowane, zgodne z wymogami taktycznego rozsądku; był nawet dumny z własnej powściągliwości i mówił o tym przyjaćiomom nie bez satysfakcji. W istocie zaś — czego nie przeczuwał — wygłosił oskarżenie najzuchwalsze, naraził się siłom najbardziej niebezpiecznym i zapłacił najciężej.

Jakież to siły? Zgadujcie, weterani.

19 marca ciężkie pobicie trzech działaczy *Solidarności* w Bydgoszczy przez milicję wezwaną na posiedzenie Wojewódzkiej Rady Narodowej.

24 marca. Zapowiedź strajku powszechnego.

m a j - c z e r w i e c

Przez kwiecień byliśmy we Francji, po powrocie zastałem w Ravenna Haus kilkanaście listów i depezę od Juliusza Żuławskiego z wiadomością, że 17 maja rozpoczyna się w Sztokholmie zorganizowane przez tamtejszy PEN-Club spotkanie pisarzy szwedzkich i polskich, na które jestem zaproszony. Wśród listów — jeden w kopercie z nadrukiem warszawskiego tygodnika *Literatura*.

Przed moim wyjazdem z Warszawy, w październiku zeszłego roku, odwiedziło mnie dwóch młodych krytyków z redakcji *Literatury*, proponując mi opublikowanie wybranych fragmentów „Miesiący”. W sumie obejmowałyby kilkadziesiąt stron książki, materiał na parę odcinków w kolejnych numerach tygodnika. Była to pierwsza propozycja złożona mi po latach przez redakcję literackiego pisma w kraju. Obaj krytycy, dwudziestoparoletni, zapaleni do swego pomysłu, zrobili na mnie wrażenie nadzwyczaj sympatyczne. Zapoznali mnie z projektowanym wyborem fragmentów. Zgodziłem się bez wahania, z jednym tylko warunkiem,

że w wybranych partiach tekstu nie będzie przeróbek ani skreśleń. Pożegnaliśmy się serdecznie, w parę dni później wyjechałem.

Po dwóch miesiącach, już w Berlinie, otrzymałem list od nich, zawiadamiający że redakcja *Literatury* zgadza się na druk: „Szanowny Panie, miło nam poinformować, że zapadła decyzja w sprawie druku Pańskich 'Miesiący'. Pięć odcinków ukaże się w pierwszych miesiącach 1981 roku. Pragnęlibyśmy, aby Pańskie utwory ukazywały się jak najczęściej na łamach *Literatury*. Z wyrazami szacunku”.

Nie bez wzruszenia przeczytałem ten list, nareszcie świadczący o jakichś zmianach na lepsze — jeśli nie o pozbyciu się, to przynajmniej o rozluźnieniu cenzuralnej obręczy. Raz tylko zaszemrało mi w głowie, czy aby ci mili chłopcy nie dali się przedwcześnie utwierdzić w pewności definitywnego załatwienia sprawy. Lecz przepędziłem tę myśl z niesmakiem, mój sceptycyzm rzucił na mnie złe światło; ileż razy sam czułem niechęć do pesymistów odzierających z wiary...

List, który doręczono mi po powrocie z Paryża, datowany był 16 kwietnia:

„Szanowny Panie! Przygotowaliśmy do druku — udostępnione nam przez Pana — maszynopisy Pańskiej książki 'Miesiące'. Mamy już za sobą wstępne operacje i chcielibyśmy — możliwie jak najszybciej — opublikować dwa odcinki, mianowicie 'Grudzień' i 'Listopad'. Ze względów od redakcji niezależnych — prosimy o zgodę na wprowadzenie do tekstu czterech drobnych zmian, według propozycji uwidocznionej w notatce. W oczekiwaniu na odpowiedź — pozostaję z szacunkiem. Jerzy Putrament”.

W kopercie znajdowała się osobna kartka z wyszczególnieniem postulowanych zmian. Przepisuję ją tutaj:

„GRUDZIEŃ

Jest: 'Nienawidzą rzeczy, wobec których są bezsilni, których nie mogą wyaresztować i unieszkodliwić'.

Propozycja: Nienawidzą rzeczy, wobec których są bezsilni, których nie mogą unieszkodliwić.

LISTOPAD

Jest: 'Staś twierdził, że kota otruł profesor uniwersytetu mieszkający w sąsiedztwie. — Kompletnie zaprzeczany Rosji — mówił patrząc na mnie z badawczą powagą'.

Propozycja: Staś twierdził, że kota otruł profesor uniwersytetu mieszkający w sąsiedztwie. — Kompletnie zaprzeczany — mówił patrząc na mnie z badawczą powagą.

Jest: 'Mam przed sobą 11 numer *Zapisu* z wydrukowanym stenogramem dyskusji' itd.

Propozycja: Mam przed sobą stenogram dyskusji — itd.

Jest: 'Nie mogłem przypuszczać, że ostatni raz spotkamy się w *Zapisie*. W tym samym numerze ukazała się pierwsza część moich miesięcy. Odpierając ataki członków komisji, Staś bronił się trochę nieporadnie...'

Propozycja: Nie mogłem przypuszczać, że spotkamy się ostatni raz. Odpierając ataki członków komisji, Staś bronił się trochę nieporadnie...”.

Odpisałem nazajutrz: „Szanowny Panie, z przykrością zawiadamiam, że nie mogę się zgodzić na proponowane przez Pana skreślenia we fragmentach 'Miesiący'. Gdybym je zaakceptował, byłoby to równoznaczne z przykładaniem ręki do złego stanu rzeczy, jaki przedstawiam właśnie w 'Miesiącach' oraz w poprzedniej mojej książce. Określiłem go nazwą 'nierzeczywistość'. Nie mogę przyjąć sugerowanych przez Pana poprawek, czyli innymi słowami wyrazić zgodę na prewencyjne cenzurowanie literatury. Pisze Pan: 'ze względów od redakcji niezależnych'. Jestem przekonany, że znacznie więcej od redakcji zależy, niż się zdaje, i że w Pana słowach już kryje się samocenzura. W moim przeświadczeniu przy pewnych staraniach redakcji tekst mógłby przejść bez zmian, a przynajmniej z zaznaczonymi miejscami opuszczeń. Myślę, że zrozumie Pan motywy, jakie mną kierują. Łączę wyrazy szacunku”.

Na pewno się nie dowiem, co myślał Putrament wysyłając do mnie swój list. Czy naprawdę sądził, że mógłbym przyjąć jego redakcyjne propozycje? czy też z góry wiedział, że odmówię? Jedno i drugie jest możliwe, ale bardziej prawdopodobne wydaje mi się drugie.

Po nadaniu odpowiedzi, kiedy wróciłem z poczty i raz jeszcze wziętem do ręki list naczelnego redaktora *Literatury*, wpadła mi w oko część zdania przedzielona myślnikami: „— udostępnione nam przez Pana — maszynopisy Pańskiej książki”. Maszynopisy? Jakie maszynopisy? Przecież nie udostępniłem żadnego maszynopisu, redakcja mogła tylko wykorzystać tekst opublikowany przez *Zapis* lub *NOW-ą*. A więc redaktor *Literatury* nie chciał nawet w liście wymienić owych nieoficjalnych źródeł. Strach

bierze przed taką ostrożnością. Albo... zjadłością. Co za człowiek. O kim jak o kim, ale o Putramencie nie dałoby się powiedzieć, że nigdy nie kończy wojny po tej samej stronie, po której zaczął, chyba że zdradził dwa razy. Po tej samej stronie zaczynał i kończy, w armii o takiej przewadze, że nie opłaci mu się ani razu zdradzić.

Jechałem do Paryża nie przez Belgię, lecz trasą nieco dłuższą, z noclegiem mniej więcej w połowie drogi, zaraz za Darmstadem — w miasteczku Pfungstadt. Mały, gruby właściciel gospody „Pod Jagnięciem” wprowadził nas na górę do pokoju urządzonego nowocześnie, z moketami i prysznicem za kotarką, po czym zaprosił na dół do sali jadalnej. Przy długim stole zagiętym w podkowę siedziało kilkadziesiąt osób, na oko licząc trzydzieści par małżeńskich między siedemdziesiątką a osiemdziesiątką. Niewątpliwy patrycjat miasta Pfungstadt, zbierający się raz w tygodniu, by wymienić miejscowe plotki nad kuflem piwa. Na ścianie z ciemną boazerią widniał dyplom oprawiony w ramkę: „Chór miasta Pfungstadt. Rok założenia 1883”.

Wskazano nam dwa miejsca przy końcu stołu, czekaliśmy na *Würstchen mit Kartoffelsalat* w spokojnym gwarze rozmów, otoczonym ciszą za oknami, ciszą niemieckiej prowincji, starszą niż chór miasta Pfungstadt. Zza drzwi do bocznej sali dochodziły głucho uderzenia, jak gdyby grzmoty, miarowe, przerywane. Kręgielnia? Zajrzałem tam. Kręgielnia z elektronicznymi przyrządami do obliczania wyników, dziewczyny i chłopcy w sportowych koszulkach wyrzucali kule.

Po sześciuset kilometrach prowadzenia samochodu byłem jeszcze w stanie odrętwiałego napięcia, wciąż miałem przed sobą asfalt podzielony białymi liniami, a za sobą napierające wycie potężnych, wielocylindrowych maszyn, które przeganiały na trasie moje R-5. Wypiłem piwo i ogarnęła mnie senność. Dopiero gdy kelnerka postawiła przede mną danie, ocknąłem się. Przy stole nadal było gwarno, ale na miejscach starsowieckich małżeństw siedziała już młodzież: chłopcy i dziewczyny z kręgielni. Przyszło mi na myśl, że pięćdziesiąt lat temu takie same kule wyrzucali ich dziadkowie, którzy przed chwilą wyszli z siwymi żonami pod rękę, a za lat pięćdziesiąt, kiedy ci chłopcy w sportowych koszulkach posiwieją, oni tak samo wyprowadzą pod rękę swoje zreumatyzowane towarzyski w niemodnych kapeluszach, by zrobić miejsce dla swych sprężystych wnuków. Wiecznotrwała mieszczańska tkanina niemieckiego życia. Poprzez monarchie i republiki, wojny, obozy śmierci i zelektronizowaną cywilizację

kolejne pokolenia celują kulami w kręgle, spijają pianę z piwa i śpiewają w miejskim chórze.

A my u końca stołu, oddzieleni od nich paroma krzesłami — dwie istoty z innej sfery praw i losów. Czułem tu intruzostwo swojej obecności i nienaturalność własnego człowieczeństwa. W tym naszym odstawianiu, a zarazem wmieszaniu się w ich codzienność, była jakaś niestosowność i smutny komizm. Patrzyłem na M. i ona na mnie. Wiedziałem dobrze, o czym myśli. O tym samym, zawsze o tym samym. Oboje przyzywaliśmy na ratunek imaginowaną polską wyższość, patetyczne, zużyte argumenty, które trzeba sobie trzy razy na dzień powtarzać dla pamięci, żeby nie zapomnieć, te nagie prawdy i perwersyjne mądrości, płynące z zagrożeń i braków, a rzekomo głębsze od duchowych przeżyć, ofiarowanych przez bezpieczeństwo i dosyt. Ile wysiłku, ile napinania się, po to by uzasadnić w sobie rację własnej egzystencji. Ach, jak mam tego dosyć. Kiedy wreszcie staniemy się podobni do nich, do normalnych, zwyczajnie istniejących obywateli miasteczek? Urodzić się w Pfungstadt oznacza w Polsce urodzić się w Jeziornie. A dodatkowo oznacza konieczność powiedzenia sobie, że stało się tak z woli boskiej, która innym pozwoliła urodzić się w Pfungstadt. Jak to sobie powiedzieć bez alkoholu, jak sprzedać intelektualnie, nie będąc pokręconym intelektualistą? Może jesteśmy więcej warci, ale na odwrót, głową w dół. Nasze moralne tożsamości i wiary, nasza wiedza o stotalizowanej kondycji, reprodukcją się samoistność naszych humanistycznych elit... Wśród aut zaparkowanych przed gospodą w Pfungstadt kilka miało pojemność niewiele mniejszą od M-3.

Gospodę „Pod Jagnięciem” opuściliśmy z samego rana, po wczesnym śniadaniu (ser i dżem, masło, miód, wszystko w pudełeczkach z folii — śniadanie kosmonautów, mówi M.). Milcząc jechaliśmy autostradą błyszczącą w zimnym słońcu, po obu stronach białe, oszronione zbocza. Pierwsza godzina jazdy zazwyczaj bywa przykra, mięśnie zeszywniały po śnie, niemiłe myśli. Przez dziesięć kilometrów tłukł mi się w głowie krzyk zarejestrowany na taśmie. Przed wyjazdem z Berlina radio nadało magnetofonowy zapis bydgoskiej prowokacji, kiedy milicja sprowadzona do sali WRN rzuciła się na działaczy „Solidarności”. Z początku było słychać pojedynczy męski głos, protestujący czy żądający czegoś; potem zamęt, stłumiona wrzawa i nagle w niej cienki zalekły okrzyk: „Co to?!...”. Przykryły go głucho szumy, przez chwilę dochodził tylko szurgot, z którego raptem wyrwało się nawoływanie: „Kobiety do środka!”. A później śpiew. Był to

raczej lament, piejące zawodzenie, pomieszane i nieskładne, chłopski krzyk wniebogłosy. Garstka stłoczonych mężczyzn bronią się zaintonowała hymn. W strachu fałszowali melodię. „Póki my-y-y...” i „nie zginę-ę-ęła...” brzmiało wołaniem o pomoc. Bici ludzie przekrzykiwali zgrozę, jeden przez drugiego, jak w pożarze. Później zdawało się, że słychać jeszcze „Rotę”. I znów ten wiejski lament. A na końcu jedno wyjęczone słowo, chyba przez kogoś leżącego, przyduszone do podłogi: „Ratunku!”.

M. zapytała, o czym myślę. Powiedziałem: — O kręgielni w Pfungstadt.

Od kilku dni prześwituje data wyjazdu, coraz częstsze rozmowy o powrocie. Został nam jeszcze miesiąc, z moim szwedzkim tygodniem w środku, po czym trzeba się będzie pakować, żegnać, kupić zapasy żywności. Z prasy krajowej i radia, z obrad sejmku wyłania się obraz spustoszenia. Polskę można dzisiaj przyrównać do mieszkania, w którym ustawiono bez sensu dużo ciężkich obiektów, na skutek czego podłoga się zarwała. Nici organizacyjno-ekonomicznej siatki, która utrzymywała kraj w jakiej takiej równowadze, pewnie od dawna były do ostatka napięte. Pamiętam moją rozmowę około roku 1964 z członkiem władz partyjnych, który zaprosił mnie na przechadzkę po Wale Miedzeszyńskim (nie lubił rozmawiać w pokoju ani w biurze). — Wiesław ma jedyną obsesję. W dzień i w nocy o tym myśli: jak wyżywić 30 milionów Polaków. To jego zmore.

Teraz odnosi się wrażenie, że nagle pękły wszystkie wiązania naraz. Więc kto to sprawił? Słychać: złodzieje i głupcy! Ale, wielkie nieba, skąd się wzięli? Partia, do której należałem, ma historyczne osiągnięcia. W sklepach żywnościowych jest tylko ocet i herbata, ogonki wystają godzinami po mięso, cukier i inne artykuły rozdzielane na kartki; po pieczywo, ażeby je dostać, schodzi się do spółdzielni parę razy na dzień. Często bywa, że brak papierosów i mydła, a dla dzieci — mleka w proszku, pacjenci nieraz umierają bez lekarstw. Oskarża się o to... kogo? Sekretarzy, premierów, ministrów. Władzę ludową, poprzednio rządzącą. Powołała ją partia. Mianowano komisję, która ustali odpowiedzialność poszczególnych dygnitarzy, specjalne instancje będą ich sądzić. Jakie, kto w nich zasiada: uczestnicy i wychowankowie dotychczasowego reżymu, współodpowiedzialni z sądzonymi. Kto i kiedy osądzi system nie podlegający kontroli, który — na oślep, wbrew protestom, zaprzepaszczać reformy lat 1944-46 — doprowadził do bezprzykładnej w Europie spo-

łecznej katastrofy, system nie przez społeczeństwo wybrany, niszczący życie jak nowotwór?

Eksportowano dziewczyny do południowych krajów na występy w nocnych lokalach. Opłacona podróż i paszport, praca bez dni wolnych od 10 wieczór do 4 rano, 9 dolarów za pół godziny z klientem. Rekrutacją i wysyłką trudniły się instytucje i przedsiębiorstwa państwowe jak „Pagart” czy „Estrada”, towaru dostarczały także Domy Kultury na prowincji. Żywy towar nie wiedział, co go czeka na miejscu dostawy; w udzielaniu pomocy konsulaty PRL były wstrzemięźliwe, albowiem państwo miało udział w nocnych zarobkach rodaczek. Jak oznajmiał Dziennik TV, należeliśmy wówczas do czołówki eksportowej świata.

Mówiło się *miękki totalizm*. A to był zropiały totalizm.

Kontrrewolucja, siły antysocjalistyczne... O siłach antysocjalistycznych nadal się pisze i przemawia z niezmiernie wysokich trybun. Z góry, ze szpiców partyjnych poszczękują twarde, metaliczne głosy. Czytałem jedno z takich przemówień i przypomniał mi się język przywódców Trzeciej Rzeszy. Zamaskowani wrogowie — spiski — intrzygi syjonizmu. Co słowo, uderzenie pałki.

Wszystko przed nami. Niewiadome i nieobliczalne. Rano budzę się, widzę M. śpiącą i myślę, czy z chorym sercem stać ją będzie na życie w Warszawie. Ile razy dziennie zdoła pokonać dwa i pół piętra stromych schodów, do mieszkania z kuchnią bez dopływu powietrza, czy starczy jej na to sił fizycznych. A mnie — na pisanie. Przez lata do pracy niezbędne były mi papierosy i kawa. Licząc od pierwszych napisanych stron, przez czterdzieści lat. W pewnych okresach umiałem się obejść bez wydawcy, ale bez kilku papierosów i filiżanki kawy nie mogłem. Więc teraz jak to będzie? Nie wiem. Tak czy inaczej, trzeba wracać. Do kraju, w którym wszystko może się stać, nie wyłączając rozruchów głodowych — jak rzekł krakowski intelektualistom członek politycznego kierownictwa. Trzeba wracać do życia. Berlin to była przerwa w życiu.

A nie wiem jeszcze kilku rzeczy. „Miesiące” ukazały się w paryskiej *Kulturze*, niedawno były czytane w odcinkach przez radio WE. Brzuchomówcy o dudniących głosach czy zaliczą mnie jedynie do wrogów socjalizmu, czy też do gorszych monstrów, do rewizjonistyczno-syjonistycznych agentów CIA? Nawet tego nie wiem. Przyglądając się M. śpiącej z rozchyłonymi wargami i masą szarych włosów rozspanych na zgiętym ramieniu, czuję chwilę winy. Mogła przecież wyjść za architekta, naukowca, za lekarza. Czy nasze gimnazjalne spotkanie naprawdę było szczęśli-

we? Tego również nie wiem. W rozmowach pozwalam sobie niekiedy na ryzykowny żarcik: „Wyszłaś za mnie, żeby ocalić mi życie, a ja ożeniłem się z tobą z wdzięczności”. Jesienią w sadzie emilińskim zaproponowała mi małżeństwo. Własowcy ujeżdżali wtedy po okolicznych wsiach, biorąc mężczyzn o podejrzanym wyglądzie. Zastanowiłem się: czy będzie rozsądnie? — Proszę cię o rękę — powiedziała.

Teraz, przed zbliżającym się powrotem znowu niepokoi się o mnie. Wybuchają sprzeczki, targi o datę. Chcę wracać jak najwcześniej, ona jednak pewnych dat się obawia. Lepiej je przeczekać, lipiec nie będzie bezpieczny. Na co odpowiadam, że niebezpieczny może być także wrzesień czy listopad. A tutaj zatracą mi się rzeczywisty obraz, stopniowo gubię wątki i po sześciu miesiącach nieobecności przestaję rozumieć, co się naprawdę dzieje w kraju. Przeczekać? Siebie samego można w końcu przeczekać. Przypominam ile mam lat. I w odpowiedzi słyszę, że lata mnie nie zmieniają, tak samo przecież uparłem się, żeby zostać w Warszawie przed Powstaniem. No, ale przeżyliśmy, mówię. Dowodzę, że instynkt dyktuje mi właściwy kierunek. We wrześniu 39 nie chciałem iść na wschód, teraz instynkt każe mi wracać do Warszawy.

Wiem zresztą, oboje wiemy, że nic nie wyniknie z naszych pojedynków. Wracam, rzecz postanowiona za nas przez życie. Chodzi tylko o to, że ktoś musi wziąć na siebie wybór dnia.

Jerzego Giedroycia, wysyłając mu fragment „Miesiący” o sprawach polsko-rosyjskich, poprosiłem w liście, aby go wydrukował dopiero po moim powrocie do kraju. Tłumaczyłem, że trudno mi przewidzieć, co zastanę, na jaki moment trafię. Będąc na miejscu gotów jestem przyjąć wszelkie złe konsekwencje; załamałbym się jednak, gdyby mi odebrano możliwość powrotu (a to się już zdarzało pisarzom). Na mój list przyszła odpowiedź z lekka ironiczna.

Rano przy śniadaniu, w trakcie kolejnej dyskusji z M., udało mi się na chwilę ją przekonać nieco literackim argumentem: skoro oboje, wszystko, od pierwszego spotkania, zawsze i wszystko przeżywaliśmy w tym mieście razem, jak gdyby nasze życie było pomyślane w ścisłym związku z losami tego miasta, byłoby niedorzecznością na końcu oczekiwać jakiegos losu poza nim. Kompozycyjną niedorzecznością. — Rozumiem — uśmiechnęła się — chodzi ci o kompozycję „Miesiący”.

(Rok temu pewien starszy kulturalny pan, mój bardzo dawny znajomy, opowiadał, że któregoś dnia, gdy w Alejach Ujazdow-

skich zobaczył idącego mu naprzeciw siwego, również eleganckiego pana z dogiem-arlekinem na smyczy, przystanął jak urzeczony, bo pamiętał go jeszcze z lat studenckich, mijali się w Alejach przed wojną i w czasie wojny, znając się tylko z widzenia, więc teraz po latach ujrzał w nim jakby piękną zjawę, jednego z ostatnich świadków swej warszawskiej młodości i, wzruszony, zapragnął przedstawić się, przypomnieć; zatrzymał się wyciągając dłoń z serdecznym uśmiechem, a wtedy dog-arlekin rzucił się na niego, powalił na ziemię i przegryzł mu ścięgno w rękę).

Tymczasem życie daje znaki. Nie to, że wiosna i Berlin okazał się pełen zieleni — woń kwitnących ogrodowych kasztanów na tyłach Ravenna Haus — lecz to, iż coraz częściej Warszawa nadaje mi sygnały. Pojawił się wczoraj inteligentny filmowiec od Wajdy z zespołu „X”, gdzie dwa scenariusze z moich tekstów zostały skierowane do produkcji. „Spokojne lata pod zaborem” i „Matka Królów”. Pierwszy wydrukowałem w 1978 jako nowelę w *Twórczości*, drugi napisał dziewięć lat temu młody reżyser, Janusz Zaorski, z mojej powieści, która miała jedyne wydanie w 57, zatrzymane częściowo w magazynach. Zaorski uparł się zrobić scenariusz. Wierzył. Chłodny z pozoru okularnik, pamiętam, jak siedział u mnie w fotelu, a ja przypartywałem mu się smutnym okiem, nieszczercze podtrzymując w nim nadzieję, że Wydział Kultury pozwoli mu nakreślić film o stalinowskim terrorze. Teraz mi pisze: „Drogi Panie Kazimierzu, nareszcie po dziewięciu latach zaakceptowano mój scenariusz według Pańskiej książki 'Matka Królów'. Cieszę się ogromnie i wszystkie znaki na 'niebie i filmie' wskazują, iż jesienią będę mógł przystąpić do zdjęć”.

Hm, jednak coś się kręci. A przed wyjazdem do Francji, w marcu jeszcze, dostałem list także od filmowca, Andrzeja Kotkowskiego, reżysera „Spokojnych lat”, których akcja toczy się w Krakowie epoki „Zielonego Balonika”. Także zespół „X”. A ten list trochę mnie zadziwił, gdyż jest w nim takie zdanie: „Wszystkim nam bardzo zależy na tym, by Pańskie nazwisko znowu pojawiło się w kulturze...”. Zdanie poruszające, bo prawdę mówiąc nie wiedziałem, że moje nazwisko znikło z kultury.

Coś więc drgnęło. Jak pociąg na szynach, co niepostrzeżenie ruszył, i za chwilę dworzec, peron, powiewające chusteczki przyjaciół zaczynają przesuwac się w tył. Operator filmowy z zespołu „X”, p. Edward Kłosiński, obiecał zabrać samochodem nasze rzeczy zimowe i list do Kijowskich, w którym zapowiadam

powrót w końcu maja. Co w Warszawie? Nastrój, wspaniały nastrój! Kawę można dostać za dolary, czasem też bywa w sklepach. Papierosy? mydło? Zdaje się, że są — zastanowił się p. Kłosiński — na ogół przynajmniej. Ale... Ale przede wszystkim atmosfera, ruch w ludziach i między ludźmi, solidarność, poczucie więzi społecznej. To wyrównuje braki i trudności, a w każdym razie pomaga je łżej znosić.

Podobną rozmowę — pięciogodzinną — odbyłem w lutym, kiedy przyjechali do Berlina reżyserzy Agnieszka Holland i Krzysztof Kieślowski. Filmowcy, szczególnie ci młodszy od Wajdy — bo to on utorował im drogę — zawsze mnie interesowali. Tym zwłaszcza że wiedzą, co i gdzie i jak się dzieje. Mają apetyt realistów, fotografują życie swoimi oczami. Wiecznie w rozjazdach, w koneksjach z „terenem”, i również z „górami”, umieją dowiadywać się, spostrzegać — w i d z i e ć. Ich anegdoty i obserwacje to najprawdziwsza literatura, i jakże współczesna. Jest dzisiaj tak, iż utalentowany chłopak, którego ciągnie do tworzenia fabuły, że taki młodzieniec, po to żeby zostać pisarzem, nie wstępuje koniecznie na polonistykę, albo — jak ja w swoim czasie — na prawo, tylko jedzie do Łodzi, do szkoły filmowej. W rękach go rwie do kamery, chce łapać prawdę soczewką. I to są dziś literaccy debiutanci, noweliści, realistyczni powieściopisarze, dochodzący do literatury inaczej, nową drogą. Kilkadziesiąt lat temu Reymont bodaj że z Sieroszewskim spacerując po Warszawie robili wspólne ćwiczenia na spostrzegawczość i pamięć szczegółu. Przystawali u skrzyżowania ulic, obaj przez minutę patrzyli przed siebie, po czym musieli się odwrócić plecami do obserwowanego widoku i każdy opowiadał, co zobaczył. Wygrywał ten, który dostrzegł najwięcej. Dziś robiliby to samo przy pomocy kamery filmowej. Filmowcy mają kamerę w żreńnicy i patrząc, mimo woli kadrują. To są ich warsztatowe notatki, bruliony. Nieomylnie rozpoznają, kiedy Wajda patrzy na coś, a kiedy widzi. Wzrok mu się wtenczas wyostrza, intensywnieje. Mówię potem: znowu mnie nie słuchał, tylko kadrował ujęcia.

Bo tak to jest obecnie, że literatura romansopisarska powstaje nie tylko z książek, czyli z fikcji napisanych i wydrukowanych, ale także z nakręconych fabuły, utrwalanych na błonach i taśmach. A też nie tylko z fabuły, lecz również z licznych gatunków i form, które dawniej do prozy literackiej z urzędu nie wchodziły: z biografii, reportażu, eseju, z zapisanych rozmów i wyznań. I z drehbuchów. Taka jest *nowa powieść*, rodząca się z przeróżnych aliażów, podobnie zresztą jak ta dawna, osiemnasto-

czy dziewiętnastowieczna, która powstawała z czego? z romansów rycerskich, listów salonowych i podróży, z awanturnych i filozoficznych opowiadań, z kroniki wypadków i tajemnic brukowych. Nie z eksperymentów: z życia.

W tych rozmowach z Polakami — berlińskich, paryskich — wiele spraw objawia się wstecz. Opisywano mi dni poprzedzające strajk generalny, zapowiadany na koniec marca, do którego tysiące ludzi przygotowywało się z radością i wesołym uniesieniem. Wspaniały nastrój. Powiedział ktoś: już szli, szli jak na powstanie... Podobno do zakładów i biur znoszono materace, wielkie fabryki miały zamienić się w twierdze. Gdy mówię: szczęście, że do strajku nie doszło — napotykam milczenie. Młoda kobieta, z którą rozmawiam, nie przeżyła powstania w Warszawie. Ja natomiast pamiętam dni poprzedzające wybuch, kiedy to mieszkania zamieniały się w twierdze. Znoszono broń. Wówczas także nastrój był wspaniały.

O wszystkim słyszeć i dowiadywać się z cudzych ust i w obcych miastach, wytwarzać sobie obraz lub sąd na odległość — to nie jest łatwe. W owym czasie przedłużały się manewry wojsk Paktu Warszawskiego, prasa zachodnia wznowiła alarm przed groźbą interwencji zbrojnej. W Paryżu, gdzie oczekiwano nas w Centre du Dialogue u księży Pallotynów, spędziłem kilka tygodni niemal wyłącznie na polskich rozmowach.

O 7-ej wieczór zjechałem na ulicę Surcouf.

Po ośmiogodzinnej trasie wjeżdżaliśmy do miasta, w którym od pierwszego pobytu w 1946 przemieszczałem ogółem kilka lat. Za każdym razem — nieodmiennie — moment wjazdu, zmieszania się z ruchem powoduje ten sam łagodny ból powrotu. Zawsze. Jednoczesne wrażenie czegoś odzyskanego i utraconego. Podobnych uczuć nie doświadczałem w innych miastach.

A osobliwe jest to, że takie uczucia Paryż wzbudził we mnie, kiedy wjeżdżałem do niego po raz pierwszy. Od razu, jakby w zetknięciu z powietrzem, myśl że w tym miejscu już kiedyś się było, myśl przeniknięta cierpką świadomością, że nigdy w nim się nie będzie naprawdę. Jesienią 46 jadąc z dworca taksówką rozpoznawałem ulice i gmachy, wykrzykiwałem ich nazwy. To były strony znajome, niemal na pamięć, strony z Balzaka, Micheleta, Flauberta. Mignęły połączone sztachety Ogrodu Luksemburskiego, za nimi wśród zieleni białe krzesła, kolorowe bluzki i jakieś stojące grupki uczniów. Taki był przecież początek „Fatszerzy” Gide’a i, zdaje się, wspomnień dziecięcych Anatola

France'a. Moich wspomnień. Jechałem ulicami pięknych dzielnic, przez rozdziały i tomy najważniejszych lektur, trasami „Szkoły uczuć” i „Nany”, po śladach Valjeana i Javerta, Rastignaca, Sorela, Charlusa... To był powrót.

Do Paryża nigdy nie przyjeżdża się pierwszy raz, zawsze się wraca. Właściwie byłem tutaj przed swoim urodzeniem, gdyż obraz miasta wyniosłem nie tylko z historii i powieści. Dobrze zapamiętałem z rodzinnych opowiadań, że mojemu ojcu w *café-chantant* strąciła cylinder końcem stopy dziewczyna występująca w kankanie. Do zdumienia słuchałem przy stole o tym, jak rodzice przez cały tydzień po przyjeździe nie mogli odnaleźć stryja mojej matki, sfrancuziałego wuja Żaka, zanim się okazało, że pomylili rue des Moines z rue des Moineaux. I tyleż razy przeżywałem zawstydzenie matki w Operze, kiedy mój ojciec zachrapał na „Aidzie”... A nawiasem mówiąc, w zegarku mego dziadka pod kopertą ukryty był wizerunek Napoleona III w czasie przeglądu wojsk. Na długo więc przed pierwszą bytnością miałem tu przygody i wspomnienia. Miałem w sobie pojęcie tego miasta słońca, układ gwiazdzistych placów i kręta linia Sekwany były mi od dawna znajome. Później dopiero zaczęły się stopniowo nawarstwiać pobyty rzeczywiste, z pierwszym hotelikiem na Monsieur-le-Prince, w Paryżu zbiedniałym jeszcze po wojnie i słabo oświetlonym, gdzie żywność dostawało się na kartki i skąd wywoziłem pamiątkę: nabytą przypadkiem w księgarni małą powieść nieznanego mi autora, „L'Étranger” par Albert Camus, która po kilkunastu latach ukazała się w Polsce przetłumaczona przez M. Dwukrotnie — bo pierwszy przekład zatrzymano w roku 1948, po czym jedyny egzemplarz zgubił się w wydawnictwie.

Przyjazdy były częste, wizyty parotygodniowe, czasem kilku-miesięczne, a nieraz przelotne, jak w 1956 po kongresie PEN-Clubu w Londynie, lub w 63 po festiwalu filmowym w Cannes. Potem długi pobyt w roku 1970, który — z przerwą warszawską — trwał do czerwca 1972. Poznawałem już miasto od wnętrza, pamięć wypełniała się konkretami. Mieszkanie na ósmym piętrze w dusznym *chambre de bonne*, jazdy zatłoczonym metrem na uniwersytet, pokój z bibelotami u starej rosyjskiej emigrantki, spotkania z Sartrem na Raspailu, cotygodniowe audycje w radio, niemiłe targi z wydawcami, obiady u Greka, domy polskie, domy francuskie. Wreszcie — sala ostrego dyżuru i korytarze szpitala Laënnec. Doprawdy nie byłem już turystą. A jednak przez cały czas, równoległe z codziennością trwał we mnie Paryż-ideogram, wyobrażenie miasta przedświadome i odziedziczone. Nieraz obja-

wiało mi się zniecka, u wylotu jakiejś uliczki, na skwerze przed kościołem Saint-Sulpice, albo w pręgach światła przeciekającego przez liście platanów, gdzieś na Lewym Brzegu. To samo wiecznie odnawiające się muśnięcie bólu: powrót i niepełna obecność.

Wiem, że mój przypadek nie jest wyjątkowy. Na pewno jeden z wielu, zwłaszcza w skali polskiej. Zresztą Paryż zaczął nawet Amerykanów, na Montparnassie powstała część ich literatury, i nie tylko amerykańskiej, i nie tylko literatury. Są to rzeczy zbyt dobrze wiadome, opisane. Niektóre kawiarnie, jeśli się zastanowić, kto w nich siedział, można by uznać za muzea; paryskie cmentarze to międzynarodowe akademie geniuszu. A Polska, udział Polaków w tym mieście jest ponad światową i europejską miarę. Imiona widniejące na Łuku Triumfalnym i w ścianie Luwru, duchy snujące się na Wyspie, w Montmorency i Père Lachaise... No, o tym również wiemy.

Byłoby naturalne, gdyby z biegiem lat i w trakcie częstego wzywania się w miasto chwila wjazdu, niegdyś tak dojmująca, utraciła swoją pierwotną ostrość. Czas powszedni niemal wszystko odczarowuje, więc i ta magia powinna wreszcie zniknąć. A tak nie jest. Paryż, moment jego otwarcia się, perspektywa pierwszego bulwaru czy mostu w niebieskawo świetlistym powietrzu, to uderzenie w serce. Znowu przeżyłem ów dreszcz przedświadomości skracając z Rond-Point w kierunku esplanady Inwalidów. Po zielonym, nieco chłopsko-mieszczkańskim Berlinie, który przecież w końcu polubiłem za jego wygodny, bezbłędnie funkcjonujący rytm, właściwie co tu porusza najsilniej, na czym polega olśnienie? Prawdopodobnie na idealnej równowadze między architekturą, przestrzenią i światłem. Zapewne. Na wycuciu formy i nasyceniu życiem w stopniu tak niesłychanie intensywnym, że nasuwa się myśl o spełnionej harmonii między człowiekiem a bytem. Być może też na fenomenie przenikających się płaszczyzn czasowych; odwieczność ze współczesnością styka się tu na każdym rogu, Paryż jest żywym palimpsestem, arcydziełem współistnienia epok... Tak, ale to brzmi abstrakcyjnie, a zachwyty jest nieledwie fizyczny. Wystarczy mi trotuar zastawiony stolikami, cienie gałęzi na asfalcie lub przypadkowy rzut oka na idących ludzi. Przechodnie mają tu wyraziste rysy doświadczonej rasy, w porównaniu z nimi głowy berlińczyków wyglądają jak ulepione niezgrabnie przez dziecko. A zatem — substancja, materia paryskiego życia. Opisać jej nie usiłuję, choćby z obawy, żeby nie wpaść w styl zakochanego cudzoziemca, a nie daj Boże w nadsekwąnsko-warszawski, z obowiązującym „Boul’

Mich'em" i „urokliwą kafejką”, co od lat przyprawia mnie o mdłości.

Wszystko jest opisane, wyśpiewane, mówię, ale trwa. W nocy po przyjeździe wyszliśmy na niedaleki spacer. Po lewej stronie widać było kontur mostu Aleksandra, dalej pomarańczową łunę nad Concorde, a z prawej jaśniejący w reflektorach masyw Inwalidów. Pochmurne, ciemnorudawe niebo lizały krótkie błyski. Uprzytomniłem sobie w sekundzie zmęczenia i ulgi, że stąd się wywodzimy i tutaj przygotowywano nasze myśli. Nigdy i nigdzie indziej nie stworzono dla nas lepszego świata, a ludzka małość i wielkość tutaj właśnie zbudowały sobie najwspanialszy pomnik. Tutaj, w tym znużonym, starym, znerwicowanym mieście. Ostrza nocnych rzezi — myślałem — i edykty tolerancji, tyranie, z których wytrysły fontanny dla ludu, gilotyny ścinające głowy racjonalistów i racjonalistyczni despoci, którzy zostawili po sobie kodeksy praw, i kurtyzany uprawiające poezję, i poeci, chłopci, episjerzy pochowani w rzędach wojennych grobów... Grzechy i cnoty Paryża. Gdzie, w jakim punkcie ziemi ludzkość obnażyła się z najswobodniejszą ostentacją prawdy, gdzie kształt Europy skamieniał w doskonałej rzeźbie, jak nie w tym zbiorowym sarkofagu, przechowującym zabalsamowane piękno czasu —

A teraz mam ochotę powtórzyć własne zdania napisane po jednym z dawnych pobytów w Paryżu:

„Znowu tu jestem i znów przeżywam to samo. Wmawiam sobie, że czuję się tu jak w starej rodzinnej bawialni, rozpoznaję znajome zapachy, mój wzrok nasycy się ową przybrudzoną szarością, wyblakłą czernią i zielenią: ach, te ażury balkonów, te splukane deszczem żebrowania okienic, napoleońskie falbany markiz i białe balustrady Pont-Neuf... proszę, jestem tu po raz czwarty czy czterotysięczny, w tym mieście odnajduję siebie... A to wszystko nieprawda. I czuję tę nieprawdę na każdym kroku, pocę się z tej nieprawdy, nogi mi od niej puchną. Zwalam się na krzeselko pierwszego z brzegu tarasu, żeby posiedzieć, zagapić się przed siebie i przez chwilę być sobą. Siedzę więc kwadransik i myślę. Potem nic nie nie myślę, siedzę, nucę pod nosem: 'Idzie żołnierz borem, lasem...' i zbliża się pierwsza. Więc znów trzeba się powlec, znów być paryżaninem i dalej udawać, że jest się u siebie w tym wielkim obcym mieście, gdzie nikt nie ma pojęcia, że myszy Popiela zjadły”.

Przed chwilą wiadomość o zamachu na życie Jana Pawła II. Pięć strzałów z tłumy. Trzy kule utkwiły w ciele Papieża. Stało

się to w Rzymie przed Bazyliką św. Piotra. Środa, trzynasty dzień maja.

Chcieli Go zabić.

17 maja, niedziela. Piszę w pociągu na trasie Berlin-Malmö-Sztokholm. Na razie sam w przedziale, wagon niemalże pusty, tylko grupka eleganckich, jasnowłosych Szwedów i ja. Czeka mnie dziesięć godzin jazdy na siedząco, a potem dziewięć leżących, z Malmö do Sztokholmu. W Berlinie na dworzec odwiózł mnie Wiktor Szacki. Od ośmiu lat po raz pierwszy M. zostaje beze mnie na dłużej niż kilka godzin. Myśl, że przez tydzień będą nas dzielić setki kilometrów, budzi obawę w niej i we mnie. Wyjeżdżam z pretensją do własnej słabości, która nie pozwoliła mi odmówić przyjazdu. Wczoraj nadrabiałem miną, a dziś od rana próbowałem sztucznie ożywić nastrój w czasie rozmowy przy śniadaniu („może nareszcie się dowiem, czy Ibsen był Szwedem, czy Norwegiem...”). Od środy, to jest od dnia zamachu w Rzymie, nie pisałem. Teraz wiadomości o zdrowiu Jana Pawła II pomyślniejsze. Na chwilę przed wyjazdem wysłuchałem komunikatu z Watykanu. Brzmiał pociesząco. Ale przeżyliśmy grozę.

Człowiek, który postanowił zamordować Papieża jest Turkiem, należy do międzynarodowej sieci terrorizmu oplatającej kulę ziemską. Świat jest dziś śledzony z ukrycia przez oko pająka. Kto kierował tym potępieniem, skąd brał pieniądze, dokumenty, gdzie zaopatrzył się w morderczą broń, piętnostrzałowy pistolet, jakim posługują się organizacje wykwalifikowanych zabójców, tego nie dowiemy się nigdy. I tego również, czy moment został wybrany świadomie. W Warszawie kona Prymas. Od wielu dni donoszą o tym agencje prasowe i radio. — Pan jest Polakiem — mówił przed moim wyjazdem znajomy dziennikarz francuski — panu musiało to przyjść do głowy. To, czym dzisiaj dla Polski stałaby się śmierć Papieża, wiadomość o jego zamordowaniu...

Ale tu myśl przylega do najohydniejszych podejrzeń, tutaj dopada nienawiść. W takich chwilach o wiele mądrzej byłoby odmówić modlitwę. Wobec nienawiści — ci, którzy nie chcą nienawidzić, jacy są bezsilni.

W chrześcijaństwie — tak mówiłem w którejś z paryskich rozmów — jest bezpieczeństwo dla człowieka, uchronienie go od iluzji czasu, jaką daje ruch dziejów. Czas wieczności nie ma logiki rozwoju. Nie stanowi procesu wydarzeń, konstrukcji postępującej. Czas chrześcijański, zawsze spełniony i zamknięty, jest

antydialektyczny. Modlitwa to ocalenie się pośrodku koła, czynność z gruntu inna niż akt rozumowy, który przebiega w czasie otwartym, historycznym. Czas żydowskich proroków był dramatem rozgrywającym się między narodem a Bogiem, czas galijskich rybaków był dążeniem człowieka do Boga. Kościół Powszechny stworzył czas wieczny, który nie jest ani dążeniem ani oczekiwaniem na Boga, lecz Bogiem samym, nieskończonością. Kościół umieścił w niej człowieka, aby go wyrwać z rozumowego czasu dziejów, unieść go z padółu.

W Paryżu na wieczorze autorskim w Centre du Dialogue czytałem czerwcowy fragment „Miesiący” o wizycie Jana Pawła II w Warszawie. Przyszło wiele osób, sala była pełna. Podpisywałem egzemplarze paryskiego wydania, świeżo przysłane z drukarni. Na stronie 159 zanotowany jest w książce moment, gdy Papież i Prymas modlą się u Grobu Nieznanego Żołnierza. W Centre du Dialogue przeczytałem krótki opis tej sceny. Papież i Prymas, klęczący wówczas obok siebie, dziś powaleni na wznak, obydwa na łożach boleści, jeden ciężko zraniony, drugi konający. Obydwa. Dzieło układane przez Stwórcę obfituje w gwałtowne skręty akcji, doprawdy nie można wytknąć Opatrzności niedowład w komponowaniu fabuły.

Przed wyjazdem zamierzałem dalej pisać o Paryżu. O spotkaniach w Paryżu, o Wielkanocy w Paryżu. Teraz jednak za oknem przedziału ciągnie się pruska równina. Niemcy. Niemcy Wschodnie. Wróciłem z wagonu restauracyjnego, gdzie do jedzenia nie było nic prócz kawałka tłustej zimnej kiełbasy z kromką czerstwego chleba. Można popić ciepłą lemoniadą lub piwem. Przy bufecie mężczyzna w nieświeżym białym kitlu wypisał mi rachunek. Na podłodze wałały się zeschnięte skórki kiełbasy.

Po przejechaniu muru — natychmiast — powraca tajemnicza brudu, splugawienia, odpadających tynków i nieuprzątniętych śmieci. Komunizm oszpecił Niemców. Już w Berlinie Zachodnim ich nieforemna cielesność zadziwiała przez kontrast z olśniewającymi produktami ich techniki (nigdzie indziej nie ma jaskrawszej różnicy między urodą auta i człowieka). Tutaj zewnętrznosc potęguje ich brzydotę. STRZEC I UMACNIAĆ NASZE PAŃSTWO SOCJALIZMU I POKOJU TO OBOWIĄZEK KAŻDEGO KOLEJARZA. I brudne podwórko, zagracone pudełkami po konserwach. A zaraz obok, na obłupanej ścianie: PORZĄDEK DYSCYPLINA BEZPIECZEŃSTWO. Pociąg rusza zostawiając puste twarze na peronie. Brzydota kapitulacji. Smutna i odrażająca. Wzdłuż torów, z siatkami, torbami i dziećmi, stoją synowie zwyciężonych nad Wołgą i Dnieprem.

Mur... Mam go już za sobą. Zasieki i oszklone wieżyczki strażnicze. Pas zabronowanej ziemi i czuwający patrol z wilczurami. Na moście żołnierze w czarnych pękatych butach i bufiasznych spodniach, mali, nieruchomi, jeden z lornetą przy oczach, wpatrywali się w sunący dołem pociąg. Berliński mur. Drugi mur między ludźmi zbudowany przez Niemców. Pierwszy oglądałem czterdzieści lat temu. Kiedy Niemcy stawiają mur, niełatwo udaje się przejść na drugą stronę. Niemcy umieją pedantycznie strzec wzniesionych przez siebie murów, *echt deutsche Spezialität, kann man sagen*. W 1941 M. przedostała się przez gmach Sądów. — Dziecko, co tutaj robisz — szepnęła do niej w tłumie na Lesznie nieznaną siwą pani — źle założyłaś opaskę, Żydzi noszą gwiazdę na prawym ramieniu. Lepiej wracaj do domu...

Celnik wschodniemiecki kazał mi otworzyć walizkę. Zainteresowała go teczka z papierami. Przejrzał je i wpadł mu w oko mój notatnik. Chwilę przebierał kartki. Przy ostatniej zatrzymał się nieco dłużej, jakby próbując ją odczytać. Po czym wzruszył ramionami, zwrócił mi teczkę i wyszedł.

Zaciekawiło mnie, co to była za notatka. Okazało się, że na ostatniej kartce zapisałem myśl niezjącego człowieka, który był mi bliski. W Paryżu dał mi ktoś do czytania krajowe czasopismo artystyczne; część numeru poświęcono pamięci Stanisława Zamecznika. Przeniosłem na kartkę parę zdań odnalezionych w jego zapiskach:

„Trzeba ciągle i zawsze, codziennie, rano i wieczorem, latem, zimą, w deszcz, w młodości, na starość i kiedy indziej, chodząc, stojąc, siedząc w kawiarni, na werandzie, w szkole, w pociągu, na schodach i gdzie indziej, wbrew samemu sobie, codziennie, ciągle i zawsze wszystko zaczynać od nowa. To męczące. Strasznie. Ale to jedno oddala nas od końca”.

Byłem pod wrażeniem tych zdań. Czytałem je z dziwnym uczuciem, jakby słuchając przyjaciela, który mówi do mnie po śmierci. Ich sens można by pojąć rozmaicie, zależnie od zakresu: w odniesieniu do pracy artystycznej, a też i do całego życia, do siebie. Pomyślałem, że w węższym sensie tę myśl na swoją miarę spełniam. Powiadam, w węższym, w pisarskim sensie. Bądź co bądź wiem, co to oznacza cofać się do początku, w moim pisaniu nieraz potrafiłem odrzucać siebie poznanego przez siebie i sięgać do nieznanego własnych rezerw. Tak, zaczynać od nowa. W pisaniu tak. A w życiu?

Nasze życie — myślę — było poddane innym próbom. Moje i jej, zawsze, ciągle, w młodości i na starość. Próbom doświad-

czającym nas z zewnątrz. Jak by je nazwać? Nazwy mogą być różne. Próby ideologii, polityki, historii... Byliśmy od początku w ich zasięgu, nawet wtenczas, gdy zdawało się, że jesteśmy tylko sobą i decydujemy sami o własnym losie. Nieprawda. Myliliśmy się. Zaczynaliśmy od nowa, dokonywaliśmy wyboru i nagle okazywało się, że stoimy zwróceniem twarzą do tej samej ściany. Zmieniał się tylko napis. Czuliśmy wstręt do *faszystmu*, mówiliśmy *socjalizm*. I po latach zagradzał nam drogę mur z wyrytymi hasłami nienawiści. Tej samej. Mieliśmy jedyny wybór: sprzedać albo zachować własną duszę. To nie my zaczęliśmy od nowa — od nowa zaczynała się ciemność wokół nas. W szkole, na ulicy, we wrześniu, w marcu i w deszcz. Ciągłe i zawsze, wbrew naszym nadziejom, przeciw naszemu istnieniu.

Spalony las. Wkrótce minie trzynaście lat od dnia, których wspominam, jak najsmutniejszy z moich snów. A nie przeżyłem go we śnie. Było suche lato, niedziela. Do południa nie wychodziliśmy z domu, zdawało się, że miasto jest martwe i wyjść nie ma po co. Ani jednego telefonu. Po marcu wszyscy byliśmy jak bez rąk. Przyjaciele rzadko się odzywali, nie chcąc się mieszać w nasze małżeńskie sprawy, w których także nie najlepiej się działo. Brnęliśmy przez złe dni, w nieszczęściu; straszyla nas zniszczona przeszłość. Wspólna letnia niedziela, nie mogliśmy jej spędzić we dwoje w czterech ścianach i milczeć cały dzień. Pojechaliśmy za miasto. Nie przypominam sobie dokładnie miejsca, w którym zatrzymałem samochód. Było cicho, pusto i gorąco, rozstawiłem dwa składane krzeselka. Siedzieliśmy teraz opalając się i milcząc jak gdyby we troje ze słońcem, więc było trochę inaczej, mniej ciężko. Po chwili jednak uderzyła mnie cisza i bezruch, w którym nie rozlegał się najłżejszy szelest. Spojrzałem pod słońce i zobaczyłem, że wokół nas sterczą osmolone, szerniałe kikuty, podobne do uschniętych rąk. Strach mnie ogarnął. — Odejdźmy stąd — powiedziałem szeptem — tutaj nie można zostać...

Spalony las. Siedzieliśmy w spalonym lesie.

Pisałem na początku „Miesiący”, że prawdziwe nieszczęścia są zawsze osobiste. Powinienem być zaraz obok dopisać następne zdanie: prawdziwe nieszczęścia są zawsze zbiorowe. Każde z tych dwóch zdań można by uznać za trafne, mimo że są sprzeczne ze sobą i jedno wydaje się kasować drugie. Ale często, może najczęściej bywa tak, iż dwa zdania, z których każde z osobna brzmi prawdziwie, a które wykluczają się wzajemnie, połączone razem tworzą myśl oddającą prawdę życia. Tak bywa z przysło-

wiami. „Kuj żelazo, póki gorące” i „co się odwlecze, to nie uciecze”...

Powiedzcie mi, kto jest bardziej nieszczęśliwy: ten, co umiera samotnie w łóżku na raka płuc, czy ten, który ginie z wycieńczenia razem z tysiącem innych za drutami? Ja na to pytanie nie umiem odpowiedzieć.

Daty naszych prawdziwych nieszczęść... tych, o których wiedzieliśmy, i tych, których sobie nie uświadomiliśmy. Można by z nich ułożyć kalendarz polityczny historii najnowszej. Symbole naszych zagrożeń: wyszczerbione miecze, pęki różg, trupie głowy, zębate krzyże, młoty, sierpy, półksiężycy i gwiazdy... Od początku byliśmy osaczani, zawsze na horyzoncie czuwały wieżyczki strażnicze. Do dzisiaj śledzi nas oko pająka.

Niedziela wieczór. Okazuje się, że kilkanaście lat temu zapisałem w notatkach: „Zagranica to jest takie miejsce, gdzie nigdy nie spotkam człowieka, który mógłby powiedzieć: 'Pamiętam pańskiego ojca'. Ze starością musi być podobnie”.

Dzisiaj znalazłem tę notatkę i przeczytałem ją M. Spodobała się jej.

Ale zdanie jest niezupełnie prawdziwe. Po wojnie właśnie za granicą często spotykałem ludzi, którzy pamiętali mego ojca. Nawet ostatnio w Sztokholmie zdarzyło mi się spotkać takiego człowieka: — Panie B., czy ja go pamiętam, ja go widzę żywego u „Lourse'a”! Wysoki, postawny, elegancka koszula z motylkiem, od razu było widać, że lubi kobiety!

Mój ojciec, a jestem tego pewien, nie zdawał sobie sprawy z działania sił, o jakich tutaj piszę; ani przez chwilę nie czuł ich udziału w naszym i jego losie. Był człowiekiem pełnym zalet i wad, lecz bez określonych przekonań — jak większość ludzi w owych niegłupich czasach. Ideologia? polityka? Nie miał światopoglądu i nie musiał go mieć. Przez pięćdziesiąt lat żył z satysfakcją oraz w przeświadczeniu, że prócz strat finansowych nic mu nie zagraża, a polityką zajmują się mężowie stanu, jak Piłsudski albo Clemenceau. Lubił żyć, zarabiać i wydawać. Śmiejąc się opowiadał mi, że w dniu Sarajewa wygrał dużą sumę w bakarata od mecenasa Piotra Kona. Światopogląd zastępowały mu wyobrażenia o krajach i narodach. Nawiasem mówiąc, cenił zarówno Francuzów, jak Niemców. Francuzów za inteligencję i szarm, Niemców za pracowitość. Rosjan lekceważył i jeszcze na pół roku przed śmiercią twierdził, że Armia Czerwona składa się z konduktorów tramwajowych na koniach. Być może w całym jego życiu ruchy bestii, które my wyczuwaliśmy od dzieciństwa,

istotnie nie miały większego znaczenia. Pająk przez długi czas śledził go z daleka. Dopadł go nagle, pod sam koniec, i błyskawicznie pożarł. Jestem dziś starszy o pięć lat od mojego ojca, kiedy umierał na Pawiaku.

Nadszedł dziś list od redakcji *Literatury* datowany 28 maja: „Szanowny Panie! Uprzejmie informuję, że w wyniku ponownych starań redakcji dwa odcinki Pańskiej książki („Grudzień”, „Listopad”) kierujemy do druku bez zmian. Przekazując tę wiadomość pozostaję z wyrazami poważania. Zastępca Redaktora Naczelnego — Jan Koprowski”.

Kraju ojczysty, zbliżasz się. Od powrotu ze Sztokholmu minął już tydzień, co ja mówię: dziesięć dni! O, miasto bardzo piękne. Masywne, zwarte, obfite w niebo i wodę, rozpięte nie na osiach wielkich trajektorii, lecz na starym, gęstym planie miejskim, chwilami kojarzyło mi się z przedwojennym Gdańskiem, chwilami z Amsterdamem, a kiedy indziej, o dziwo, z Leningradem, zwłaszcza z jego fragmentami najbardziej petersburskimi. Miasto, gdzie pod spodem czuje się skałę, a w centrum morze. Co krok bogactwo i dostojna solidność. W architekturze przebija jakiś surowy monumentalizm, niby ukryta obecność północnego zamku, a zarazem blask i rozmach nowej cywilizacji, z całą jej ostentacyjną urodą. Skałę, różowoszary granit, czuje się nad głową i pod stopami. Metro wykute w skałę. Na ścianach podziemnych stacji widnieją abstrakcyjne grafitti, a w bezszelestnych wagonach siedzą pasażerowie o twarzach udobruchanych Wikin-gów. Hodowla ludzi dała tu prawidłowe efekty fizyczne. Szczególnie pociągające kobiety, niemal wszystkie do siebie podobne, o jasnych ciałach.

Cóż to za kraj! Raptem osiem milionów, przeszłość nieubłaganych drapieżców, i w ciągu kilkudziesięciu lat — ochłonięcie, jakby przełom duchowy. Trzeźwość zamierzeń, rozumna praca, przyzwoita demokracja i postępowe reformy, nade wszystko zaś imponujący wysiłek cywilizacyjny. No i ten oficer napoleoński zaproszony na króla, bodaj że syn karczmara... Podobno odkąd stali się rozsądni, zaczęła wzrastać liczba samobójstw. Co prawda tłumaczą to niektórzy północnym klimatem: — Pan przyjechał w maju, piękny kraj, tylko od końca października ja tu jestem psychicznie zabity przez brak światła...

Więc po powrocie ze Sztokholmu kilka dni wertowałem krajową prasę (zebrało jej się sporo w domu) na przemian z ostatnio pisanymi kartkami „Miesiący”. I właśnie parę ostatnich kartek mnie zastanowiło. Myślę: gdybym miał inny zawód, względnie powołanie, czy mój życiorys nie byłby mniej naznaczony przez

epokę — czy aby sam nie wybrałem swoich utrapień stając się pisarzem. Bądź co bądź lekarz, konstruktor lub chemik mogli w tych latach uniknąć przynajmniej części rozterki i zagubień, jakich ja doświadczałem z bolesnością wzmagającą się od chwili postanowienia — albo zrozumienia — że literatura będzie moim życiowym kierunkiem. Może więc, powiadam, sam wziąłem sobie biedę na głowę? I to przez wolę pisania reagującego bezpośrednio na rzeczywistość, nie zaś uprawiania literatury poprzez formę, literatury awangardowej, parabolicznej i tak dalej.

Ale nieraz wyobrażam sobie, czym mógłbym się zajmować będąc takim samym człowiekiem, jakim jestem, tylko pozbawionym jednej umiejętności, chęci, ambicji, tylko tej jednej: literackiej.

Inżynier, muzyk, chemik, matematyk, fizyk, wszystko to po kolei odpada z racji braku uzdolnień w stopniu choćby minimalnym, załączkowym. Natura mi ich nie dała.

Więc kim: lekarzem? Ale gdybym raz postawił fałszywą diagnozę i źle leczył pacjenta, zamęczyłbym się moralnie, stracił na zawsze grunt. Nie byłbym w stanie dalej praktykować. A gdybym z lekarskiego obowiązku musiał żonę, ojca czy matkę pacjenta zawiadomić, że nie ma już nadziei, skłamałbym lub uciekł, no, stchórzył. Owszem, umiem wypowiadać słowa, które ranią, jednakże nie potrafiłbym wymówić słów, które przebijają serce. Widocznie jestem na to za słaby, a moja miłość własna nie zniósłaby świadomości, że ujawniłem swą bezradność w dziedzinie, jaką uprawiam. Odpada.

Nauczycielem? Brak mi cierpliwości. Zdobywam się na nią jedynie w pisaniu (a i to nie jest bezsporne), w życiu natomiast, w związkach z ludźmi, przedmiotami, czynnościami szybko popadam w nudę i zniecierpliwienie. Podstawą — nie tylko w stosunku do rzeczy i obowiązków, lecz również w stosunkach z ludźmi — jest staranność. Tu nie wolno sobie pozwalać na folgi i zrywanie wątków; lenistwo czy znudzenie są tutaj surowo wzbronione. A coś dopiero jeśli się ludzi uczy! W tym zawodzie staranność wymaga cierpliwości najwyższej próby, wypracowania w sobie organizacji duchowej odsuwającej egotyczne centrum na margines życia. Niecierpliwy pedagog, nauczyciel znudzony uczniami to — przemasz — świństwo. Tymczasem mnie w rzadkich na szczęście okresach, gdy trudniłem się udzielaniem lekcji, moi uczniowie wkrótce zaczynali drażnić, a samo uczenie, podobnie jak moje paryskie wykłady, trącić czymś śmiertelnie bezsensownym, jałowym. Na ogół nie wychodziło z tego nic

dobrego. Może z jednym wyjątkiem. Będąc korepetytorem małego debila, półniemowcy, zafascynowany jego pokorną tępotą, wyczyłem go na pamięć poematu „Książę” Zdzisława Kleszczyńskiego. W końcu, po półrocznej męczarni, wyrzykiwał go z siebie pocąc się i plując, z oczami w słup. Odtąd niczego już go nie nauczyłem.

Być naukowcem, historykiem? Odstrasza mnie pierwsza myśl o konieczności badania źródeł, archiwów. Powyższa umiejętność, którą tak podziwiam u mojego brata, jest mi niedostępna. Ilekroć muszę w związku z pisaniem tekstem sprawdzić cytaty lub datę, wolę je przytoczyć z pamięci, ryzykując nieścisłość, byle ich nie szukać w foliach czy tomach, bodaj na własnej półce. Przypominam sobie zdumienie JMRA, kiedy się dowiedział, że „Wariacje pocztowe” napisałem bez fiszek... A przy tym historia jest dla mnie zbyt uplątana w tajemnicę czasu, w zagadkową niejasność, jaką stanowi i tworzy wszelką przeszłość, bym mógł w tej domenie powściągnąć się od fantazjowania. Odpada.

Aktorem byłbym co najwyżej średnim, urzędnikiem godnym pożałowania. Człowiekiem interesu? W czasie okupacji, gdy pośredniczyłem w handlu obrazami, każdy zarobek napełniał mnie poczuciem winy zarówno wobec nabywcy, jak sprzedawcy. Byłbym też marnym działaczem politycznym, nie mam daru kierowania ludźmi i ambicji władzy.

Pozostaje więc... co? Pisanie.

Myślę, że nie ma o czym mówić. Wybrałem jedyny zawód, jaki potrafię wykonywać. I pewnie dlatego był jedynym możliwym, że pisarstwo obróciło mnie z punktu twarzą do epoki. Chciałem ją widzieć. Widziałem jej złowrogość. Nie przypadkiem zacząłem pisać w pierwszym roku wojny. Poczucie sprawiedliwości i wrażliwość na krzywdę wyniosłem z dwóch narodów prześladowanych. Czułem potrzebę oporu wobec ślepych sił rządzących ludzkim bytem, pragnąłem uporządkować — przynajmniej w sobie — chaos zrodzony z wściekłości i głupoty. Odnaleźć ład i uwierzyć w rozum. Słowem, moje utrapienia nie wynikają z faktu, iż zostałem pisarzem, lecz odwrotnie — zostałem pisarzem w wyniku moich utrapień.

Dokładnie dwadzieścia cztery lata temu, w początku czerwca, zapytał mnie pewien literat sowiecki (nazywał się Czakowski), o co właściwie chodziło Polakom w październiku 56. Użył przy tym słów „drobnomieszczański bunt”. Odpowiedziałem, że chodziło o prawo moralne. — No, to jest widzenie z perspektywy prowincji — zaśmiał się pobłaźliwie literacki przedstawiciel metropolii. — Judea była także prowincją — powiedziałem wtedy

— małą prowincją, która dała światu Stary i Nowy Testament. — Czakowski się skrzywił. Było to w Moskwie, w czasie wybieżki z M. „Orbisem” do ZSSR.

Berlin, 7 czerwca 1981. Do Włodzimierza Odojewskiego.

„Drogi Panie Włodzimierzu,
list ten jest w rodzaju pożegnalnym. Długo się nie odzywałem — przez kwiecień byłem w Paryżu, w maju na spotkaniu polsko-szwedzkim PEN-Clubu w Sztokholmie, a teraz powoli zbieramy się do powrotu. Do czego i na co wracamy, nie wiem. Może inni i gdzie indziej wiedzą, pewnie tak, bo wygląda, że postanowienia już zapadły. Ja nie wiem. Rozumie Pan, że jestem pełen ciężkich myśli. W Polsce sprawy nabrały cech ostatecznie groźnych, z daleka śmierdzi dynamitem. Po raz pierwszy od sierpnia 80 zaczynam się bać wybuchu.

Wracamy z silną trema, ale — wracamy. Skądinąd, równoległe z obawami i niewesołymi myślami przeżywam wielką ciekawość, i to historiozoficzną. Czy ma nastąpić kolejne *powtórzenie* narodowej tragedii, czy też po dwustu latach tym razem *będzie inaczej*? Podobno Targowica już jest, ma przywódców i działa z głową. Czyżby wszystko tak dokładnie mogło się wyreprodukować? Wątpię, i właściwie w tym wątpieniu jedyna nadzieja.

Prócz tego ciągnie mnie do kraju siła nawyku — może nałogu — oraz niezbyt głębokie przekonanie, że na coś tam mogę się przydać. A najprywatniej, to znaczy przy gołeniu (jak Dygat), myślę, że w jakiś sposób, którego nie da się przewidzieć, wszystko jeszcze może się przetarabanić i wytoczyć na równiejszą drogę.

Chciałbym Panu podziękować. Audycje Waszej rozgłośni były tu dla nas ważne. Po pierwsze jako stała informacja o tym, co dzieje się w Polsce. Słuchaliśmy was trzy razy dziennie przez 7 miesięcy — dopiero wtedy można ocenić całą doniosłość waszej roli. Ponadto wdzięczny jestem za transmisję „Nierzeczywistości” i „Miesiący”. To, że dwukrotnie wybór padł na moją prozę, ruszyło mnie mocno. Czy wie Pan, spotykałem w Berlinie i Sztokholmie młodych Polaków, studentów, którzy znają mnie wyłącznie jako autora tych dwóch książek. Słuchali audycji WE. O innych moich tomach w ogóle nie słyszeli. Więc dzięki Wam stałem się obiecującym debiutantem. Uczucie trochę dziwne, ale miłe.

Szkoda, że nie było okazji spotkać się i pogadać. Wierzę jednak, że jeśli do katastrofy nie dojdzie, to wkrótce zawitam

w Pańskie strony. Snujemy z żoną różne projekty podróżnicze i jest Pan nimi objęty...”.

Wyjechaliśmy wcześniej rano w ciepły letni deszczu.

lipiec

Piszę w Oborach.

Dwieście dwadzieścia trzy dni... Bundesallee, Ravenna Haus, Berlin i Niemcy zostały daleko za nami, w głębi przywidzenia, jakim dzisiaj wydaje mi się te siedem miesięcy. Berliński rękopis przewiozłem na grzbiecie między koszulą a spodniami. Celnik wschodniemiecki wybebeszył nasz przeładowany samochód. Musiałem dźwigać walizki i kłaść je na stół. Grzebał się w moich swetrach, długo kartkował paryskie wydanie „Miesiący” i kazał mi otworzyć maszynę do pisania, moją pięćdziesięcioletnią Olympię, którą w roku 1946 kupiłem za pieniądze wygrane w pokera. Oświadczyłem po niemiecku, że tak pedantycznej rewizji poddało mnie tylko Gestapo w czasie okupacji. Wtedy celnik udał się do budki i wezwał oficera. Przyszedł oficer, chudy, wysoki. Zarzucił mi, że obraziłem celnika NRD. Nikogo tu nie obrażam, mówię, stwierdzam tylko fakt, że ostatnio tak gruntownie rewidowało mnie Gestapo podczas wojny. Oficer przeglądał amerykańskie wydanie „Niereczywistości”, po czym wczytał się w przedmowę do niemieckiego tomu moich opowiadań. — *Sie sind ein Schriftsteller* — odezwał się w końcu — więc tym bardziej powinien pan zrozumieć, że ten człowiek stara się dobrze wykonywać swoje obowiązki. — I źle je wykonuje — odpowiadam — bo nie umie odróżnić pisarza od przemysłowca. — Oficer pokręcił głową, odszedł. Celnik zwrócił mi przekłute szpikulcem kartony z proszkiem samopiorącym i pomógł układać rzeczy w samochodzie.

Scenie tej przyglądali się z okienka polscy funkcjonariusze. — Niech państwo jadą — powiedział młody celnik z orzełkiem na czapce — życzę szerokiej drogi. — Spojrzał na mnie porozumiewawczo zwięzonymi oczami. W pół godziny później na skrzyżowaniu asfaltu z boczną drogą wjechał mi pod koła rowerzysta. Zahamowałem na setce i tylko szuter pobocza ustrzegł nas od przekoziółkowania. Rowerzysta przygarbił się i uciekł pedałując, a ja wrzasnąłem za nim: — Ty baranie! — Nie opuściłaś mnie, mowo ojczysta.

W zajeździe „Zerwikapur” było gorąco i pełno, miejsca przy

stolikach zajęła gwarna wycieczka z Poznania. Umyłem twarz i ręce w zabłoconej toalecie, na której sztyldzik obwieszczal koszt wstępu: 2 złote. Ręcznik mokry, z brudnymi smugami, pęknięta, zażółcona umywalka. Kiedy osuszałem ręce, uchylił drzwi szatniarz, starszy człowiek. Wsunął głowę pytając, czy nie mam przy sobie paru centów. Ktoś wołał na zewnątrz: — Panie Staszek, gdzie jest Puchalski, do cholery, nie ma go w szatni! — O mało nie odkrzyknąłem, że Puchalski tutaj i dostał pół marki. M. przy samochodzie rozmawiała z dziećmi. Zaparkowali się właśnie jacyś Duńczycy z targów, dzieci kręciły się między zagranicznymi wozami, prosząc o gumę do zucia i cukierki. Cudzoziemcy w okularach uśmiechali się z zakłopotaniem. Miałem pragnienie, otworzyłem puszkę coca-coli. Pijąc spostrzegłem, że wpatruje się we mnie pięcioletni chłopczyk, bosi, z konopiastą grzywką. Zostawiłem mu niedopitą puszkę. Chłopczyk uszczęśliwiony pobiegł chwalić się przed kolegami. Zrobiło mi się nieswojo. Cofając się i kręcąc kierownicą dosłyszałem, że chłopczyk do nas woła. Stał z puszką coca-coli przy piersi i wskazywał rączką: — Torebka! Proszę pani! Pani zostawiła torebkę! — Torebka z pieniędzmi leżała na ziemi. M. wysiadając położyła ją obok samochodu.

Do Warszawy dojechaliśmy przed zmierzchem, bez postoju. Było jeszcze jasno, kiedy wnosiłem rzeczy przez podwórze. Na ławeczce siedziała dozorczyńca. — To państwo wrócili. Po co? Przecież tu nie ma co jeść.

Od wielu tygodni z Warszawy przychodziły listy: „przygotujcie się na powrót do zupełnie innego kraju, zmiana niewiarygodna i smutna”.

Przygotowałem się, a mimo to pierwszy widok nazajutrz po przyjeździe był poruszający. Miasto pod ciepłym, przyćmionym niebem, na chodnikach pełno śpieszących się ludzi, ulice otwarte na przestrzał. Marszałkowską widać było od Ogrodu Saskiego niemal na całej długości do Placu Zbawiciela. A więc ubyto tramwajów. Na wysepkach przystanków stały cierpliwie stłoczone masy oczekujących, tramwaje prawie nie chodziły, przez co szeroka arteria MDM ukazywała się w dalekiej, zadziwiająco czytej i nagiej perspektywie. Pierwsza myśl: to jest większe niż Berlin. I jest w tym monumentalność. Ale jaka — trochę niesamowita, niczym majak wielkomińskiej stolicy, z którą stała się rzecz trudna do zrozumienia. Rozległe, długie jezdnie, obrzeżone wyschniętą zielenią drzewek, a pod domami, bardziej odsłoniętymi, niby widzialniejszymi niż kiedykolwiek przedtem, pod

ścianami tych domów przycupnięte ogonki, wypustki zastygłej materii. Z odległości przypomina to chorobową narośl oblepiającą mur od dołu, tak jak niektóre złe krzewy obrastają korę od podnóża drzew. Ogony przylgnięte do ścian, skłębione wewnątrz, potrójne, poczwórne, tu i ówdzie zahaczały się ze sobą końcami, jeden ogon stykał się z drugim, czekającym przed sąsiednim sklepem, i gdy stoją tak odwrócone plecami do siebie, dzieli je niekiedy parę kroków. Mijając skrzyżowanie z Żurawią czy Hożą, dostrzegłem na prawo w głębi spęczniałe grono ludzi, napierające do wejścia sklepu, chyba przy rogu Poznańskiej; już wylewał się brzegiem na asfalt. Przy czym wszędzie dużo przechodniów, ruch, pośpiech. Opalone dziewczyny w letnich sukienkach, mężczyźni w kraciastych koszulach, wyjący samochód Pogotowia. Tu i ówdzie w widocznych miejscach polityczne napisy, wyciągnięte ręcznie niezmywalną farbą, i plakaty z hasłami, niektóre na wpół oddarte.

Z czymś mi się to kojarzy. Na pewno z czymś przeżyтым i gnębiąco znanym. — To jakby obleżone miasto — mówi M. — tylko nie słychać bombardowania. — Chyba tak. Może nie tyle podobieństwo, co raczej obudzenie pamięci, luźne fragmenty obrazów z września 39 i sierpnia 44. Ogonki po wodę przywarte do ścian... opustoszałe sklepy... ręcznie wypisane klepsydry... jezdnie obnażone do szyn. A na chodnikach zaaferowany ruch, pośpieszna wędrówka.

Drugiego dnia na Starym Mieście zobaczyłem dwa potężne ogony — niemal sami mężczyźni — groźnie zbite w zaciekłym milczeniu, straszliwe. Po papierosy i wódkę. Dwa ogonopotwory spętane czekaniem. Co jakiś czas wybuchał w nich krzyk. Słyszę zewsząd: nic nie ma. Jeszcze w maju były mydełka i ocet, teraz nic. Jak to nic, pytam, jeśli sklepy otwarte? Otwarte i puste, nie ma nic. Kościoły pełne, a sklepy puste. Nowy etap socjalistycznego rozwoju, etap handlu zamiennego: za mydło papierosy, za papierosy wódka, a za wódkę mydło. Cukier, mąka, kasza, mięso i masło na kartki. O, długie godziny. Dzieci także stoją w ogonkach. Zaklepują sobie miejsce, po czym biegną obok na podwórze bawić się w piłkę i berka. Telewizja przeprowadziła wywiad z siedmioletnią dziewczynką. — Proszę pana, jest kłopot z czekoladą. Jedna tabliczka na miesiąc to bardzo mało, wypada mniej niż ząbek dziennie. — Rodzą się nieznanne słowa, kobiety wysiadujące od świtu na parapetach sklepowych zwią się „parapetowy”. Bohaterskie kobiety, prawnuczki w prostej linii romantycznych Matek Polek, które opiewał Wieszc. Naród za-

cisnął zęby, miliony ludzi odnajdują w sobie złoza nadludzkiej cierpliwości, wytrzymałość na codzienną udrękę nie ma granic. Znowu wyrabia się w Polakach kultura wytrwania. Dowcipy nadal krążą. „Kiedy wreszcie wejdą — wzdycha na estradzie studentik-monologista — kiedy wreszcie wejdą — sala drętwieje, zamiera — w nasze trudne położenie ci, co nas tak urządzili?”. Francuzi, Austriacy, Szwajcarzy, uczestnicy światowego kongresu architektów, opuszczając Warszawę po zakończeniu obrad mówili: najspokojniejsze miasto świata...

W trzy dni później, bodaj u wylotu Królewskiej, oboje nagle wydajemy okrzyk. Wezbranie tych ulic życiem, rojność i naturalna sypekność tłumowi, jakaś nonszalancko fałująca ruchliwość, wyzwalana we wszystkich kierunkach. Wielkie, żywe, wspaniałe miasto. I znowu Berlin jawi się wstecz prowincjonalnie ze swymi bukolicznymi willami, parkami, jeziorami, secesją. Ach, Berlin...

Duch we mnie tutaj lepszy. Przylgnięcie do rzeczywistości absolutne, całkowite. Po siedmiu miesiącach wsadzono mnie z powrotem we własne buty. Ale to nie nastąpiło od razu.

Brakowało mi dwustu klatek taśmy, miałem luki w sekwencjach. Przed naszym wyjazdem dało się w sklepach kupić wszystko lub prawie wszystko, co niezbędne; ogonki zdarzały się często, lecz nie stanowiły przymusowej reguły, raz w tygodniu jeździliśmy na Siekierki do madame Ch. po wołowinę; pamiętam tylko, że w żadnym sklepie papierniczym nie mogłem już dostać kopert większego formatu. Teraz po powrocie głowię się, w jaki sposób doszło do tego ogołocenia i czym się tutaj żyje. Duchem? W ciągu siedmiu miesięcy ubywało towarów, teraz mówi się o głodzie. Ale tłum na ulicach zdaje się nie przyjmować tego do wiadomości. Tłum zalewa ulice, gromadzi się w kościołach, śpiewa „My chcemy Boga” i „Żeby Polska była Polską”, a na letnich koszulkach nosi przypięte ironiczne znaki: „PK — pełzający kontrewolucjonista”. Ten sam tłum, o którym przed sześciu laty pisałem, że brak mu wiary, gdyż owładnęła nim żądza materialnej pragmy, że zobojętniał na idee wolności i sprawiedliwości. Wszystko tak niespodziewane i zastanawiające. — Robotnik z krucyfiksem — oznajmia M. — nie o tym marzyłam. Ja jestem inteligentką nie praktykującą religijnie.

Siódmego dnia przyjechaliśmy z Obór, by zwrócić paszporty i ruszyć kilka zaległych spraw. Spędziłem noc w Warszawie. Przed świtem zbudził mnie sen, którego nie pamiętam. Zza otwartego okna dochodził z dołu szurgot naderwanej rynny. Było jeszcze ciemno, w stronie Rynku rozlegał się cichy skowyt, pewnie jakiś zgłodniały pies szukał resztek w koszach ze śmieciami.

Czułem chłód idący od okna i dotyk świeżej pościeli. Leżałem z otwartymi oczami, wpuszczając w siebie ożywczy prąd, natarcie obrazów i myśli. Przyjmowałem je z wdzięcznością, zdając sobie sprawę, że przeżywam chwile szczęścia. Te nagłe i rzadkie, przychodzące jak zwykle bez rozumowej przyczyny. W ciemności dostrzegałem niewyraźnie bielejące drzwi, ale widziałem też mnóstwo twarzy i postaci, słyszałem własne i cudze zdania. I prowadziłem rozmowy. Nie tylko ze sobą, także z innymi ludźmi. Ciągnąłem niedokończone, urwane niegdyś dialogi i wpadały mi na myśl trafne odpowiedzi. Tej nocy byłem doprawdy na wysokim poziomie. Czułem w sobie taką moc wewnętrzną, że gdyby te godziny mogły trwać przez następne dni czy miesiące, zdołałbym na pewno dokonać rzeczy niesłychanych. Ale dlaczego zdarzyło mi się to siódmego dnia po powrocie, tego nie wiem. Co w ogóle wiemy o sobie, o życiu odnawiającym się w naszej krwi tak nieoczekiwanie. Czy jest w nas jakiś mądry i nieodgadniony żywioł, becziesna substancja, genialnie przed nami ukryta?

Zasnąłem rano przy szorstkich odgłosach miotły pana Pawlaka, który czyścił chodnik pod naszymi oknami. Obudziłem się późno. Ręce i nogi drżały mi jak po orgii. Jednakże dopiero od tej nocy zaczęły się we mnie wypełniać puste klatki, a po dziesięciu dniach byłem już tak na swoim miejscu, jakbym przesiedział tutaj cały czas i nigdzie nie wyjeżdżał.

W Berlinie czytałem niemal wyłącznie codzienną prasę, rzadko tygodniki i przez siedem miesięcy tylko parę książek. Nie był to czas spokojnych lektur. Teraz wstecz uświadamiam sobie, że żyłem w bezustannym napięciu. Komunikaty radiowe, alarmujące nagłówki w dziennikach, mapa Europy, demonstrowana tak złowroźnie w niemieckiej telewizji, wszystko razem stopniowo natężyło lęk. Czułem niepokój, ukradkiem rosnący w tym komfortowym bytowaniu, które porównywałem do życia w rozrzedzonym powietrzu. Mówiłem: „Zauberberg”, sanatorium w górach... W owym rozrzedzeniu za szklaną taflą myśli się wciąż o jednym. Niezmienna i wszechobecna myśl. Odpycha się ją i zagłusza, lecz tylko ona jest rzeczywistością. Cała reszta stanowi przyjęty konwenans, rytuał złożony z pozorów normalnej egzystencji, ale pod nią trwa oczekiwanie. Wszystko się kończy z chwilą powrotu „w dolinę”.

Więc jestem „w dolinie”. Skurcz puścił, przestałem się bać. Czytam nowele Bunina, „Zwierzyniec” Apollinaire’a, tom żywotów modernistek polskich i książkę o Sarze Bernhardt. Wczoraj

skończyłem dwustronicowy esej JMR-a („Wielki Książę, z daniem rozważań o istocie i przymiotach ducha polskiego”), a w wolnych chwilach odrabiam zapóźnienia w lekturze krajowych pism. Szeleszczę w łóżku *Polityką, Sztandarem Młodych, Literaturą. I Solidarnością*. Właśnie w jednym z zaległych numerów *Solidarności* natknąłem się na reportaż Jana Walca o wypadkach w Otwocku, gdzie rozwścieczony tłum chciał spalić żywcem rudego milicjanta, i może by go spalił, gdyby w ostatniej chwili nie przemówił do ludzi wytelefonowany z Warszawy młody człowiek w skórzanej kurteczce, który swoje przemówienie rozpoczął od słów: — Nazywam się Adam Michnik, jestem siła antysocjalistyczna.

Otwoccy milicjanci rozdziawili usta. Znali nazwisko Michnika z instrukcji Komendy i Prokuratury. Od lat wleczony był po komisariatach, napadany i bity w klatkach schodowych, wypychany siłą do milicyjnych samochodów, przesłuchiwany i rewidowany. Perswadowano mu na śledztwie: „Panie Adamie, co pan z tego ma?”. Teraz milicjanci wytrzeszczają oczy usiłując zrozumieć dowcipny paradoks życiowy, który sprawił, że Adam Michnik przyjechał do Otwocka, by wybawić od linczu ich kolegę, zbyt chętnie używającego pałki. Pijany, wyjęty tłum umilkł po pierwszych słowach mówcy. W godzinę później zaczął się rozchodzić. Komendant posterunku podszedł do Michnika z wyciągniętą ręką: — Jeśli pan przyjmie moje podziękowanie... — Pan Michnik nie odmówił, pozwolił uścisnąć sobie dłoń.

Przyjazdy Adama Michnika na ogół są niespodziewane. Pięć lat temu przyjechał w ulewny deszcz do Kazimierza. Zająkując się i odrzucając w tył głowę wyszarpnął zza przemoczonej kurtki zmięty arkusik papieru. Był to lipiec 1976. Po wypadkach w Ursusie i Radomiu, gdy zetknął się w sali sądowej z rodzinami skazanych robotników, Michnik był wstrząśnięty. — Trze...eba im pomóc. I to już za...araz. — Przysięgał, że wie, co mówi, bo sam siedział z wyroku i pamięta, czym dla uwięzionego człowieka jest każdy znak pomocy z zewnątrz. Przywiózł naszkicowany projekt apelu do zachodnich intelektualistów, tekst należało zredagować i podpisać. Po godzinie, rozpromieniony, odjechał do Warszawy w niesłabnącym ulewnym deszczu, by zbierać dalsze podpisy. W kilka dni później apel nadało kilka zagranicznych radiostacji, po czym ukazał się w paryskim *Nouvel Observateur*. Podpisów było trzynaście, oddźwięk na Zachodzie błyskawiczny. Minął rok, skazani robotnicy wyszli już na wolność i znowu spędziliśmy lato w Kazimierzu, gdy nasza gospodyni zwierzyła się M., że w ów lipcowy deszcz po odejździe pana Michnika

złożyło jej wieczorną wizytę dwóch nieznajomych w cywilu, wy-
pytując o nas i o naszych gości z Warszawy. Nie pamiętam,
gdzie wtedy po roku był Michnik — w areszcie czy w domu.
Zatrzymywano go tak często, że w końcu po każdej dłuższej
nieobecności dzwoniłem do przyjaciół, aby się dowiedzieć, gdzie
jest Adam: na Mazurach czy na Mokotowie? Wkrótce zjawił
się u mnie na Nowomiejskiej, czasem potargany, kiedy indziej
równieśno wystrzyżony.

W café „Parana” dżokeje i trenerzy wyścigowi pytali Marka
Nowakowskiego: — Panie Marku, powiedz pan, kto to jest ten
Michnik, co go zapudłowali, i o co mu naprawdę chodzi? —
W owym *naprawdę* zawiera się niemało treści. Także funkcyj-
nariusze Komendy Stołecznej pytając: *co pan z tego ma* —
wyrazili myśl społecznie powszechniejszą. Ideologom politycz-
nym zawdzięczamy podejrzliwość w stosunku do słów, to dobrze,
lecz równocześnie wpoili w ogół nieufność do wyższych pobudek
działania, do wszelkiej społecznej bezinteresowności, a to jest
mniej dobrze, to już znacznie gorzej. I rzecz nie dotyczy jedynie
dżokejów lub funkcjonariuszy Bezpieczeństwa. O i n n e m o -
t y w y podejrzewało Michnika wiele osób z mojego środo-
wiska. Ze szczerym współczuciem klepano mnie po ramieniu,
kiedy zapewniałem, że Michnik walczy o sprawiedliwość i wol-
ność. Zresztą on sam dobrze wiedział, co o nim mówią, i nieraz
określał tych ludzi jednosylabowym epitetem, którego użył kilka-
krotnie w swoim otwockim przemówieniu i którego pisownia
jest sporna.

Do głowy by mi nie przyszło kreślić tu sylwetkę Adama
Michnika (on najbardziej by się tym zdumiał), zastanawia mnie
natomiast pewna rewelacja, której nie przeczuwałem. W ciągu
lat godziłem się ze świadomością, że idea walki o sprawiedliwość
czy wolność jest ponad stan dzisiejszej masy społecznej i budzi
w niej odruch samoobronny. Przypuszczalnie tak było. Tak
było, a zarazem było inaczej. W ciągu jednego letniego miesiąca
z masy ludzkiej buchnęło niepowstrzymane pragnienie wolności
i nagle się okazało, że o sprawiedliwość gotów jest walczyć co
drugi człowiek. Jeszcze tak niedawno milczeli, któż nie pamięta
lasu rąk podnoszących się w przykładowym głosowaniu. Trzy lata
temu uśmiechano się tłumacząc mi, że ze stu podpisów pod
protestem w sprawie Konstytucji odpadłoby dziewięćdziesiąt,
gdyby rząd zastosował ostrzejsze represje. „To wszystko nie jest
poważne...”. I może nie wszystko było poważne. Teraz wszakże
staje się jasne, iż pod jednym względem było poważne, poważ-
niejsze aniżeli sądziliśmy. Nie wiedzieliśmy i nie wiemy nadal,

ile natura ludzka jest zdolna sama przed sobą ukryć, na ile za-
przec się sama siebie. Być może każda zbiorowość, jeśli umie-
jętnie tresować ją batem, względnie batem i cukrem, wyrzeknie
się każdej prawdy. Ale w głębi zbiorowej pamięci będzie prze-
chowywać się ślad, niewyraźny odblask ideału. Myślę, że ze
wszystkiego, co się wydarzyło i co się okazało, to jest najpo-
ważniejsze.

Piętnasty dzień. Odmówiłem dziś obejrzenia dziennika TV,
a od wczoraj nie czytam gazet.

Komisja partyjna powołana do zbadania nadużyć skompromi-
towanego kierownictwa partii i rządu — działa. Przesłano do
Rady Państwa wniosek o pozbawienie członków byłej ekipy rzą-
dzącej nadanych im odznaczeń państwowych. W tym momencie
człowiek obdarzony zmysłem logicznego kojarzenia musi po-
myśleć: czy orderów pozbawi się jedynie tych, którzy je sobie
przypięli, czy także innych, którzy z ich rąk je otrzymali. Co
będzie z wielką wstęgą *Virtuti Militari* nadaną przywódcy ZSSR,
czy Rada Państwa poprosi o jej odesłanie?

Powinienem być ciekaw, jak sprawy dalej się potoczą, pisa-
łem w liście do Odojewskiego o doznawanej przeze mnie cieka-
wości. Tymczasem nie jestem ciekaw, a to, co widzę i słyszę,
podchodzi mi pod gardło. Wszędzie odrasta fałsz, w atmosferze
wisi taka dwuznaczność i nieczystość, taka obłuda, że chce się
stąd uciekać, schować w jakimś zapomnianym kącie świata.
Wczoraj przeczytałem artykuł wstępny w piśmie uchodzącym za
organ liberalnego centrum, artykuł napisany przez zwolennika
reform. Autor zachwala dzieło Odnowy, czym prędzej jednak
ostrzega przed niebezpieczeństwem: zbyt daleko posunięta de-
mokracja grozi osłabieniem państwa. Czytam te słowa w kraju,
w którym myśl o demokratycznych wyborach powszechnych jest
nierealną mrzonką i gdzie dzieci wiedzą, z czyjej strony państwu
grozi osłabienie. Wszystko zamalowane ochronną farbą, ukryte
w obywatelskich frazach, a w każdym zdaniu wyczuwalne drze-
nie rąk i nóg. Niezmienne twarze w telewizji, te same nazwiska
w tygodnikach. Spreparowane przeglądy prasy zagranicznej, krę-
tackie reportaże z kraju i bystrzy felietoniści, węszący już nowe
powiewy. Ach, ci felietoniści tygodniowi... Jeden z nich, osiwiwały
młodzianek, który przed dwoma laty produkował się w telewi-
zyjnym monologu z papugą na ramieniu, pisze dziś o „potrzebie
bezinteresownego piękna”, o tym że mężczy nas głupstwo: „Za-
równo głupstwo antysemickie, jak i filosemickie, odnowowe i
twardogłowe, egalitarystyczne i woluntarystyczne...”. I czytam

dalej, że wszystko zależy od tego, jaką będziemy mieli sztukę, jak zachowują się artyści, którzy — twierdzi felietonista — zachowują się okropnie: „Większość z nich wzięła sobie za punkt honoru, aby zdyszani biec za wypadkami, multiplikować ich odgłos, powielać to, co niesie gazeta, zebranie, dialog w kolejce po papierosy”. Słowem — powiada tygodniowy nauczyciel ludu — bezinteresowne piękno, sztuka, która winna przeżywać teatr życia, nie będąc wobec niego służalcza, może się stoczyć z powrotem w soc-realizm. Oto prawdziwe zagrożenie. Reszta jest męczącym głupstwem, od którego lepiej trzymać się z daleka, głupstwem antysemitycznym czy filosemickim, mniejsza z tym.

Nie wiem, gdzie dzisiaj są filosemicy w Polsce i co robią. Wiadomo mi jednak, że w ciągu paru miesięcy zaroilo się w kraju od druków i stowarzyszeń głoszących hasła żywcem wzięte ze *Stürmera*. W dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, na papierze, którego brak, piętnuje się Żydów, których nie ma. Tak wzmacnia się państwo.

Trzydzieści pięć lat temu wybuchł w Kielcach pogrom inspirowany przez policję. Ta sama ręka przygotowała mord kilkudziesięciu Żydów w 1946 i w pięć lat później egzekucje oficerów. W Kielcach trupy były żydowskie. W Paryżu dziennikarze znów mieli o czym pisać: *un pogrom polonais*. We wrześniu tegoż roku jechałem do Francji pociągiem zatłoczonym rodzinami żydowskimi uciekającymi z Polski. W Paryżu założono punkt emigracyjny, wśród oczekujących brzmiał polski język. Po sześciu tygodniach wracaliśmy pustym wagonem do Warszawy i M. zapytała, czy jestem pewien, że jedziemy w dobrym kierunku. Wtedy wzruszyłem ramionami; dziś mógłbym na to odpowiedzieć: Polska jest dla mnie czymś koniecznym, dlatego wracam. Pięknie. Ale dzisiaj, po kolejnym powrocie, znajduję w anonimowej broszurze moje imię i nazwisko wymienione wśród członków tajnej grupy syjonistycznej, której celem jest niszczenie polskiego narodu. Zbyt łatwo odgadnąć, kto lepi to łajno i za czyje pieniądze. Zastanawiam się tylko, czy tak już będzie do śmierci.

Wprawdzie istnieje druga strona. Prawda, że w myślach jest o co się oprzeć. Świadomość, że dziesięć milionów ludzi zdołało się zorganizować, ma własne pisma, działa w zakładach pracy i uczelniach, że nadużycia i kłamstwa można ujawniać, a gnoić bezkarnie ludzi nie można, taka świadomość polepsza samopoczucie. Nie umiem się dotychczas rozeznać w wewnętrznych podziałach i utasowaniach, nie zorientowałem się jeszcze i nie będę się starał zorientować. Religijna obrzędowość, katolicyzm tego ruchu, parcie ku nabożeństwu i procesjom — to nie może

być mi najbliższe, ale jest zrozumiałe. Nie dano im nic dla ducha. Kościół — mądry — umiał wyciągnąć z tego wnioski; ofiarował ludziom to, czego ich pozbawiono. Tam, gdzie nie ma społecznej nadziei, religia staje się siłą ziemską, ciałem socjalnym. Inaczej nie mogło się stać.

Pozostawiono nam — jak dotąd — niemałą satysfakcję z faktów politycznie i organizacyjnie dokonanych, a przy tym rodzaj wzmocnionej kondycji narodu, który się nie poddał. To jest sprawa natury psychologicznej. Jednakże psychologia zbiorowa przekształca się z czasem w wartość realną i wchodzi do rachunku historii na równi z reformami i wywalczonymi prawami. Bez względu na wszelkie przyszłe ewentualności — to się opłaca. I też bez względu na wszystko, co w naszych oczach dzieje się źle albo śmiesznie, albo bezwstydnie.

Wyjątkowa zdatność do autoparodii, przerabiania wzniosłości na groteskę. Karykaturalność polskiej formy, o której tyle przede mną pisano, że nie wypada powtarzać. To jest niestety prawda widzialna gołym okiem i robimy wszystko, by nikomu na świecie nie dać się w tym przegonić. Nie będę o tym pisał i nie chce mi się śmiać.

Po przyjeździe z Berlina, taszcząc walizki na górę, spostrzegłem opieczetowane drzwi na pierwszym piętrze. Kwaterunek zalepił je dwoma paskami białego papieru ze stemplem. O śmierci Janusza Minkiewicza dowiedziałem się jeszcze w Berlinie z listu Julii: „Odszedł tak dyskretnie, jak żył ostatnio”. Opróżniając mieszkanie znalazłem wśród książek na regałach maszynopis „Miesiący”. Kiedyś w obawie przed rewizją poprosiłem, aby go przechował. Po Stasiu Dygacie kolejna śmierć, której nie przyjąłem do wiadomości. Pożegnaliśmy się w październiku, gdy wyjeżdżał do Stanów. Myśle: wyprowadził się, został w Nowym Jorku. Sąsiadowaliśmy w tym domu przez dwadzieścia pięć lat. Urodził się dwa lata przede mną i należał do nielicznych moich rówieśników, z którymi się przyjaźniłem. Tak chyba jest, że w młodości lepiej przyjaźnić się ze starszymi i od nich się uczyć, a po czterdziestce z dużo młodszymi od siebie, także aby się od nich uczyć.

Trzeciego dnia schodząc zerwałem papierowe pieczęcie.

Przeoglądam berlińską część „Miesiący”. Ta sama pociecha, co zwykle: zrobiłem tyle, ile mogłem. W trakcie lektury zabawiło mnie parę ukrytych w tekście „zawdzięczeń”. Od dawna to praktykuję, ilekroć daję się urzec czyjemuś piarstwu. Rodzaj szczepionki. Ażeby się uodpornić na cudzy styl i zarazem dys-

kretnie się uścić, podrabiam ton i składnię kilku zdań ściśle według wzoru. Nader pożyteczne ćwiczenia. Nazywam je „zawdzięczeniami”, bo prawie zawsze coś mi z nich pozostaje. Choćby odświeżona interpunkcja.

Muchy tną przed burzą. Wieczorem długa rozmowa na tarasie w Oborach. Ktoś mówi: — To anormalny kraj. — Odpowiadam, że jest akurat odwrotnie: normalny między dwoma anormalnymi.

Polscy filmowcy jechali kiedyś taksówką w Havanie. Było to wkrótce po objęciu władzy przez Fidela Castro, niewiele jeszcze na Kubie wiedziano o bratnich krajach europejskich. Filmowcy rozmawiali ze sobą w czasie jazdy i ciemnoskóry taksówkarz zapytał, w jakim języku mówią. Wyjaśnili mu, że są z Polski. — Polonia? — zdziwił się kierowca — a gdzie to leży? — Między Niemcami a Rosją — odpowiedział jeden z reżyserów. — Santa Maria! — zawołał Kubańczyk puszczając kierownicę — jak wy możecie tam żyć! — Złapał się za głowę.

Kubańczyk zareagował prawidłowo. Tymczasem Zachód dał sobie wkleić w mózg obiegowe wyobrażenia o Polakach, zakorzenione w Europie co najmniej od końca XIX wieku. Teraz zwłaszcza, gdy weszliśmy na pierwsze kolumny gazet, co drugi dziennikarz ma za honor być ekspertem od spraw polskich. Jakby przetłumaczyć francuskie *lieu commun*? Utarte pojęcie, banal... może lepiej: klisza myślowa? Wiedza o Polsce na Zachodzie składa się z kilku *lieux communs*: Polacy nie chcą pracować, są zanar-chizowani, politycznie nieodpowiedzialni, gotowi rzucić na kartę cały swój byt w imię nacjonalistycznych haseł...

Polska w międzywojennym dwudziestolecu była średnim europejskim państwem. Z ziem trzech zaborów stworzyła jednolitą administrację, uchwaliła demokratyczną konstytucję, odparła najazd z zewnątrz i przetrwała światowy kryzys gospodarczy. Wszystko to osiągnęła bez ekonomicznej pomocy Zachodu. W latach trzydziestych była krajem militarnie i gospodarczo słabym, dopiero w ostatnim pięcioleciu zaczęła rozbudowywać swój przemysł i unowocześniać armię. Dzisiaj o takich krajach mówi się, że wchodzą na drogę cywilizacyjnego rozwoju. Między rokiem 1918 a 1939 nic nie świadczyło o nieźrównoważeniu polskiego społeczeństwa. Narzuca się myśl przeciwna. W epoce dyktatury Polska odrzuciła przeszczep obu sąsiednich ustrojów — zarówno hitleryzmu, jak i komunizmu; nie miała na sumieniu masowych eksterminacji ani przesiedleń; do wybuchu wojny

istniały w Drugiej Rzeczypospolitej partie opozycyjne i niezależne związki pracownicze. Była ta Polska krajem w Europie nie przodującym, ale organicznie normalnym i w swej społecznej wielkości odpornym na totalitarne szaleństwa. Słonimski w jednej ze swych przedwojennych komedii nazwał Polskę „sanatorium dla ludzi zmęczonych faszyzmem”. Przypominam sobie, że po strajkach chłopskich, na trzy lata przed wojną, ludzie trzeźwo myślący nie mieli wątpliwości co do przyszłego obrotu wydarzeń. Rządy w kraju prędzej czy później musiało przejąć chrześcijańsko-demokratyczne centrum wraz z częścią lewicy i umiarkowanym skrzydłem endecji. (Co jest znamienne: że dziś, po pół wieku, rezultat wolnych wyborów do sejmu byłby zapewne podobny...). W tym samym czasie za wschodnią i zachodnią granicą wystąpiły symptomy obłędu.

Właściwie po dziś dzień nie mamy nowego poglądu na historię Polski. Złoty wiek... wojny kozackie i szwedzkie... *liberum veto*... rozbiory... powstania. Układa się ten sam obraz postępującej choroby, rozpadającego się ciała, które gniło od dawna. Lecz można by rozumować inaczej. Bo skąd pewność, że dzieje nowożytnej Europy były objawem zdrowia, a ustrój Polski tworem chorobliwym. Może odwrotnie? Niewykluczone, iż Rzeczpospolita szlachecka miała zdrowszy organizm niż ówczesne monarchie absolutne. Bądź co bądź w ciągu trzystu lat ten organizm — zanim dojrzał do reform — funkcjonował bez większych zaburzeń, wykazując stabilność swych gospodarczych i społecznych struktur, podczas gdy Europą wstrząsały bunt chłopie, wyroki Inkwizycji, wojny dynastyczne, religijne, stu- i trzydziestoletnie. Kto wie, może właśnie Europa była chora? może cała z wyjątkiem Polski? Nie wiadomo, jak wyglądałaby historia świata, gdyby w XVII wieku Francja, Rosja, Prusy i cesarstwo Habsburgów przekształciły się w konstytucyjne monarchie, a w Polsce nastąpiły konieczne reformy. Stało się inaczej. Ale czy najlepiej? Wiek Dwudziesty ze swymi obozami śmierci i stu milionami trupów nie wydaje się być dobrym świadectwem normalności procesu rozwojowego Europy. I wcale nie byłoby od rzeczy widzieć ów proces jako dzieje choroby. Choroby duchowej, którą w największym stopniu dotknięte zostały Niemcy i Rosja, a w minimalnym Polska.

Historyczne „gdybania” są niezłym zajęciem w dniach, gdy stoi się w ogonku po paczkę zapalek. Teraźniejszość jest mało krzepiąca. — W zeszłym tygodniu — mówi znajoma starsza pani — trzy razy płakałam z powodów państwowych.

W niedzielę pierwszy raz od przyjazdu zobaczyłem człowieka

rozpaczającego z powodów nie państwowych. Ma dziewięć lat. Wieczorem obejrzał zakończenie „Buddenbrooków” w telewizji i przeraziła go śmierć biednego Hanna. Rozpaczął pod krzakiem, zaciskając pięści na kierownicy roweru: — Jak ja umrę, to co ja zrobię?... gdzie ja będę? — Dorosli uśmiechali się: — Dlaczego płaczesz, każdy musi umrzeć — i to niezbyt taktowne pocieszenie uświadomiło mu pełnię grozy. Ryknął wniebogłosy. Byłem po jego stronie. Nareszcie ktoś do głębi wstrząśnięty samą istotą niesprawiedliwości, przyrodniczym okrucieństwem bytu. Później widziałem, jak szedł ze zwieszoną głową, wlokąc swój rowerek i łkając: — Gdzie ja będę...? co ja zrobię?... — Dorosli stali z niewyraźnymi minami. Każdy z nich od lat zadawał sobie to pytanie i teraz odczuł powagę chwili: ktoś zadał je sobie po raz pierwszy.

Zasnąłem po obiedzie przy oknie szeroko otwartym na klomb. Byliśmy w Warszawie. M. poszła do fryzjera, a ja czekałem na jej powrót w mieszkaniu niepodobnym do naszego. Zamiast okna łączyła je z niebem rozległa arkada w murze, przez którą wchodziły do pokoju wiewiórki i kosy. Karmiłem je siedząc na podłodze. Przeszła obok mnie młoda kobieta z obnażonymi plecami, bosa i owinięta białym kąpielowym prześcieradłem. Włosy miała mokre, odgarnięte do tyłu. Przechodząc nie zwróciła na mnie uwagi, lecz było jasne, że mnie dostrzegła. Poczulem skrzepowanie i w tej samej chwili uprzytomniłem sobie, że śnię. Ależ tak, zasnąłem na nudnym filmie w kinie „Wars”, gdzie postanowiłem spędzić czas do powrotu M. Nagle się budzę z głową opartą o ramię siedzącej obok mnie uperfumowanej staruszki i przepaszając ją budzę się powtórnie, ale tym razem naprawdę, bo M. weszła do pokoju mówiąc, że na zjeździe Partii wybrano nowe biuro polityczne. Z otwartego okna po deszczu napływał zapach wilgotnej trawy. Dość długo nie potrafiłem uporządkować tego snu i przypominałem sobie coraz to nowe szczegóły: czerstwe ciasto, jakim karmiłem ptaki na podłodze, wonny koronkowy szal mojej sąsiadki w kinie. Wiewiórki były nie większe od myszy polnych i miały srebrne kitki, a o kobiecie w kąpielowym prześcieradle wiedziałem, że jest Rosjanką (z opowiadania Bunina, które czytałem poprzedniego dnia).

Przed kolacją szedłem aleją w parku. W moim śnie było coś kojącego, dobrze się godził ze starymi drzewami i szmerem ściekających kropli. Poczulem raptowną sympatię do natury, do jej przemian i spokojnego trwania. Przyszło mi na myśl, że najmądrzej byłoby żyć w dużym rodzinnym domu, pełnym dzieci,

ciotek i zwierząt, wśród rozmów i wspólnych posiłków przy stole. Może takie domy istnieją jeszcze na amerykańskim Południu, w Europie już prawie ich nie ma. Życie niesie ze sobą śmierć i z czasem zniknie ten park, a na jego miejscu powstanie coś innego, czego nie umiem sobie wyobrazić. Nie martwi mnie to jednak, bo śmierć przynosi ze sobą życie. Przypomniało mi się piękne starożytne zdanie, że śmierć jest bratem snu. Po polsku brzmiałoby lepiej: siostrą snu.

sierpień

W Warszawie pod koniec lipca zanotowałem trzy rodzaje pogłosek, trzy wróżby na przyszłość.

Pierwsza: błyskawiczna akcja wojskowo-policyjna. Rząd ogłasza stan wyjątkowy, następuje aresztowanie 70 tysięcy ludzi w ciągu jednej nocy przez specjalnie wyszkolone oddziały Bezpieczeństwa. Fama opatruje tę akcję nazwą „operacja namiotowa” (nie wiem dlaczego) i głosi, że grupy specjalne są już skoszarowane w Warszawie.

Prognoza druga przewiduje stopniową infiltrację i wykruszanie niezależnego ruchu związkowego przy równoczesnym piętreniu się trudności gospodarczych. A więc — coraz mniej towarów na rynku, coraz więcej napięć politycznych, konflikty i rozłamy wewnątrz opozycji, zmęczenie społeczeństwa. W końcu ludność zapragnie spokoju i porządku. Pałka zatriumfuje i wszystko wróci na swoje miejsce.

Trzecia przepowiednia jest optymistyczna. Wydarzenia w Polsce określa jako „najdłuższe z powstań narodowych”, które doprowadzi do trwałych zmian. Reforma modelu społeczno-politycznego przeniknie do innych krajów bloku, także Związek Radziecki stanie przed koniecznością reform. Na drodze tych przeobrażeń Polska wkroczy w Trzecią Niepodległość.

Jest do pomyślenia, że powyższe trzy wróżby nie wykluczają się nawzajem i każda z nich może się spełnić w swoim czasie.

Stałem 20 minut po chleb i zdążyłem kupić połowę ostatniego bochenka. Po benzynę czekałem półtorej godziny w długim rzędzie samochodów. W obu wypadkach ogon posuwał się sprawnie. Uderzające zdyscyplinowanie, ani jednej kłótni. Rano M. wróciła ze sklepu ożywiona, mówi: — Dostałam rogaliki, dziś była bardzo ciekawa kolejka. — Przed wyjazdem do Sopotu obejrzałem „Człowieka z żelaza” Wajdy. Czytam monografię Friedenthala o Goethem i Orioux o Wolterze. Przywożem też

„Pustelnię Parmeńską”, której pierwszy tom znalazłem po powrocie z Berlina wśród książek na stoliku przy tapczanie. Widocznie pani Helena, która mieszkała u nas przez zimę, wzięła go z mojej półki, zafrapowana pobożnie brzmiącym tytułem.

Przybyło generałów w rządzie. W kraju pochody i demonstracje protestacyjne przeciw zmniejszeniu przydziałów żywności na kartki. Po marszu czterdziestu tysięcy robotnic przez śródmieście Łodzi zorganizowano samochodową manifestację w Warszawie. Wielka kawalkada pojazdów od dwóch dni tarasuje Marszałkowską między placem Dzierżyńskiego a Rondem. Zapowiedziano dalsze strajki. Izolować się w myśleniu i pisaniu od tego, co się dzieje, jest niemiernie trudno. Wypadki dnia stały się życiem wewnętrznym.

Równocześnie obserwuję zwięźnięcie się sfery prywatności. Wszystko — sprawy codzienne, dom, życie osobiste i tematy rozmów — jest wchłonięte przez nurt faktów zbiorowych. Dzieje się jeden dramat, jedna akcja, nie ma miejsca na indywidualne przeżycia. Nawet samobójstwa muszą mieć tło publiczne. W Konstancinie na drzewie powiesił się znany lekarz, przyczyną był podobno nieuleczalny nowotwór. Nie daje się temu wiary; na krótko przedtem powiesiło się dwóch byłych ministrów, przeważa więc opinia o „zamieszaniu w aferę”. Wszystko, ze śmiercią i urodzeniem włącznie, jest rekwirowane przez temat społeczno-narodowy. Urodzić się to także wejść w temat: braku witamin dla niemowląt.

Wczoraj przy obiedzie pan S. opowiadał o swojej rodzinie i przedwojennym życiu w prowincjonalnym mieście. Jego ojciec był dyrektorem gimnazjum w Jasle. Polska prowincja ze swymi zasobami tradycji i kultury nie zawsze była partykularzem. Różnicowanie postaci i typów, rodowody inteligentkie, niekiedy sięgające Oświecenia, skromna dostojność obyczajów tworzyły pożywe ośrodki życia. Słuchałem tego jak bajki.

Prowincja polska... Po wojnie mieszkał jeszcze w Jędrzejowie zegarmistrz i astronom Przykowski, który rubrykę *pocho-dzenie społeczne* wypełniał w ankiecie: „inteligencja pracująca od XVI wieku”. Dawne życie prowincjonalne, życie przeżywane powolniej, dokładniej i prawdziwiej niż w stolicach. Na prowincji żyło się bliżej naturalnego losu niż historii. Historia dochodziła z oddalenia albo zwałała się nagle jak plaga. Grecja była prowincjonalna, Włochy quattro- i cinquecenta były prowincjonalne. Artyści żyli i pracowali w małych państwach-miastach. Goethe spędził pięćdziesiąt sześć lat w Weimarze, którego społeczeństwo można było ogarnąć wzrokiem z okna. Mówi się: pro-

wincjonalne kompleksy. Więcej kompleksów przysparzają dzisiejsze giganty urbanistyczne, w których zatracą się samoistność jednostki. To w nich rodzi się kompleks anonimowości i urzeczowienia. Mówmy lepiej: kompleksy metropolii, kompleksy stolic. Większość ludzi wewnętrznie wolnych, z jakimi się zetknąłem, pochodziło z prowincji. Mieli — nie umiem tego inaczej określić — osobowość utwierdzoną przez miasteczko. Na prowincji każdy wiedział, że jest i kim jest. Nie darmo Stendhal tęsknił za włoską prowincją, gdzie przeżył swoje najszcześniejsze lata. „Widziałem tyle słońca!”. W liście podkreślił to zdanie. Zapewne chodziło mu nie tylko o słońce.

„15 maja roku 1796 generał Bonaparte wszedł do Mediolanu na czele młodej armii, która świeżo przebyła most Lodi i pokazała światu, że po tylu wiekach Cezar i Aleksander zdobyli następcę”.

„Cudy odwagi i geniuszu, których świadkiem były Włochy, rozbudziły w ciągu kilku miesięcy uśpiony lud; jeszcze na tydzień przed przybyciem Francuzów mediolańczycy widzieli w nich jedynie zgraję bandytów, pierzchających przed wojskami Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości; tak przynajmniej głosiła trzy razy na tydzień miejscowa gazeta, świstek drukowany na brudnym papierze”.

„W średnich wiekach mediolańczycy byli dzielni jak Francuzi z czasu Rewolucji i osiągnęli tyle, że cesarze niemieccy zrównali z ziemią ich miasto. Od czasu jak się stali wiernymi poddanymi, głównym ich zajęciem było drukować sonety na różowych jedwabnych chusteczkach, z okazji małżeństwa córek jakiejś szlachetnej lub zamożnej rodziny. W parę lat po tej wielkiej epoce swego życia młoda dziewczyna brała sobie służkę: niekiedy nazwisko takiego galanta, wybranego przez rodzinę męża, widniało na honorowym miejscu w kontrakcie ślubnym”.

„Cóż za przeskok od tego leniwego życia do gwałtownych wzruszeń, jakie dało niespodziane przybycie armii francuskiej! 15 maja roku 1796 cały naród spozstrzegł, iż wszystko, co dotąd czcił, było nad wyraz śmieszne, nieraz wstrętne. Wymarsz ostatniego austriackiego pułku zaznaczył upadek dawnych pojęć: narażanie życia stało się rzeczą modną. Zrozumiano, iż aby być szczęśliwym po wiekach obłudy i gnuśności, trzeba ukochać coś mocno i umieć w potrzebie stawić życie na kartę. W atmosferze będącej spuścizną zazdrosnego despotyzmu Karola V i Franciszka II Lombardowie żyli w mrokach głębokiej nocy; teraz obalili swoje bożyszczka i znaleźli się w potokach światła”.

Przepsałem tu pierwszą stronę „Pustelni Parmeńskiej”.

W podobnym stylu ekspozycja ciągnie się przez dalsze pięć stron, zanim rozpocznie się właściwa akcja powieści. Pierwotnie tych stron wprowadzających było pięćdziesiąt cztery. Stendhal skrócił je do pięciu po przeczytaniu artykułu Balzaka o „Pustelni”, ogłoszonego w *Revue Parisienne*. Balzak zachwycił się powieścią, wytknął jednak rozwlekłość początkowych stron. Autor „Pustelni Parmeńskiej” odpowiedział mu długim listem, który trzykrotnie redagował. W pierwszej z trzech wersji (najlepszej) pisał: „Byłem bardzo zaskoczony artykułem, jaki Pan zechciał poświęcić *Pustelni*. Dziękuję bardziej za rady niż za pochwały. Zdjęła pana nadmierna litość dla sieroty porzuconego na ulicy. Nie przypuszczałem, że będę czytany przed rokiem 1880. Żeby być czymś, trzeba by zdobyć rękę panny Bertin (która napisała muzykę do słów pana Wiktora Hugo). Dostałem pismo wczoraj wieczorem i dziś rano zmniejszyłem do czterech czy pięciu pierwsze pięćdziesiąt cztery strony pierwszego tomu *Pustelni*”.

Napisał, że był zaskoczony. Był wstrząśnięty. W liście zawarł sporo osobistych wyznań, a wśród nich słynne zwierzenie, iż pisząc *Pustelnię* codziennie rano czytał kilka stron kodeksu cywilnego — żeby nabrać tonu. Wyznania są powściągane autoironią, lecz zarazem napęczniałe wdzięcznością i triumfem. Mocno się ów list różnił od poprzedniego, w którym Stendhal anonsował Balzakowi wysyłkę egzemplarza *Pustelni*. Tamten brzmiał dość nonszalancko: „Mój odźwierny, przez którego chciałem posłać panu *Pustelnię* jako królowi powieściopisarzy obecnego stulecia, nie chce iść na ulicę Cassini nr 1. Twierdzi, że nie rozumie tego, co mu tłumaczę: „w okolicy Obserwatorium, a tam trzeba pytać”, bo tak mi powiedziano. Niekiedy jednak bywa pan w kraju chrześcijańskim, proszę więc mi podać jakiś poczciwy adres, na przykład u księgarza (powie pan, że pewnie chce panu dociąć). Albo niech pan przyśle kogo po tę powieść na ulicę Godot-de-Mauroy nr 30 (Hotel Godot-de-Mauroy)”.

Dom na ulicy Cassini nr 1 widziałem będąc w Paryżu przed trzema miesiącami. Stendhal miał rację: w okolicy Obserwatorium, a tam trzeba pytać. Jechaliśmy do Bogdanów Paczowskich, którzy niedawno przeprowadzili się z Mediolanu do Paryża, na ulicę Cassini 7. Pokazali mi budynek po przeciwnej stronie, za ogrodowym murem z bramą wjazdową. — Podobno tutaj mieszkał Balzak.

Nie wiedziałem wtedy, że w Warszawie znajdę na moim stoliku „Pustelnię Parmeńską”. Sięgnąłem do niej po powrocie z Berlina i ogarnęło mnie zdumienie. Tak zacząć powieść... od

daty historycznej! Niesłychane. Dzisiaj o autorze, który w pierwszym zdaniu wyłożyłby się z czymś podobnie trywialnym, krytyka powiedziałaaby: ordynus albo głupiec. Dzisiejsza krytyka literacka nie lubi konkretnego w ogóle, a już wprost nie znosi konkretnego historycznego. Proza, opowiadanie, powieść, zgoda, ale niech się dzieją w czasowym i przestrzennym nigdzie, lub przynajmniej w nieistniejącej monarchii habsburskiej. Wtedy będą ambitne. Historia jest skompromitowana, to „mieszanina błędów i gwałtu”, która nie nadaje się na materiał artystyczny. Żadnych stosunków. Zostawmy je politykom i dziennikarzom.

W końcu i to można zrozumieć. Historię w naszych czasach odczuwa się jako rodzaj nieszczęścia. Widzi się w niej bądź demoniczne wynaturzenie, bądź płaskie świństwo. Pisałem kiedyś o generacji „przebitej historią”, mając na myśli również siebie. Mówmy śmiało: to my sami przebiliśmy się historią, upatrując w niej postęp, czyli spełnianie się naszych pragnień. Okazało się, że za podpis pod tym kontraktem trzeba płacić po latach. Ta karczma Rzym się nazywa.

Dobrze, ale dlaczego początkowe kartki *Pustelni* czytałem z takim zachwytem, skąd się bierze ów dreszcz podziwu, i to od razu przy pierwszych słowach: „15 maja roku 1796 generał Bonaparte wszedł do Mediolanu na czele młodej armii, która świeżo przebyła most Lodi...”. Co za rytm! Bębny dźwięczą w tym zdaniu. A tu nie idzie tylko o rytm. Budzi się nostalgia za literaturą i epoką, kiedy historia mogła być przygodą. Jakież to były zadziwiające czasy. Wdać się w dziejową awanturę, nawąchać się krwi, polityki i prochu, zjeździć w siodle połowę Europy, a później zsiąść, odskoczyć, by spędzić resztę życia w spokojnym miasteczku. I tam móc się nad tym zastanawiać, pisać. Bez wstydu, że w materię artystyczną kładzie się wulgarne konkret — fakty, miejscowości i daty. W roku 1840 Stendhal pisał z Civitavecchia do panny Eugonii de Montijo, przyszłej cesarzowej Francji: „Ja osobiście dziękuję Bogu za to, że wszedł z pistoletami starannie nabitymi i podsypawszy prochu na panewkę do Berlina, 26 października 1806. Na to wejście Napoleon przywdział galowy mundur generała dywizji. Chyba jedyny raz widziałem go, właśnie wtedy, w takiej gali. Jechał na dwadzieścia kroków przed żołnierzami. Milczący tłum znajdował się ledwo o dwa kroki od jego konia. Z każdego okna można go było zabić strzałem z fuzji”.

Ileż fascynacji i dumy w tym wspomnieniu. Tak się pisze o swojej wielkiej przygodzie albo młodzieńczej miłości. W życiu

Stendhala jedno z drugim szczęśliwie się połączyło: kochał Napoleona. Co prawda twierdził, że kochał również dwie czy trzy kobiety. Zapewne tak mu się wydawało, gdyż właśnie tych dwóch czy trzech nie potrafił zdobyć. O Napoleonie pisał: człowiek, którego kochałem. W ustach ironisty ma to silną wymowę.

Przygody z historią. Przygoda Cervantesa, przygoda Stendhala, śmiertelna przygoda Byrona. A jak my? co z nami? Czy aby nie na odwrót? W dwa lata po tym, jak Stendhal widział go w Berlinie, Napoleon przekonywał Goethego, że polityka jest losem. Antycypował nasze losy. Grecka tragedia przeznaczenia zeszła ze sceny świata, nowoczesnym fatum staną się polityka i historia, one będą siłą tragiczną. Podejrzanie, że to nas wybrano na obiekt dla przygód tych nienasyconych potworów, że są to ich przygody z nami i jesteśmy tylko zabawkami dziejów, narzuca się z rosnącym prawdopodobieństwem.

Myślę: więc jak to... całe życie? Nie mogę się pozbyć uczucia, że zostałem ograny i nadal daję się ogrywać. Chciałbym wysiąść, odpocząć. Gdzie? Na jakiejś prowincji, w cichym, dostojnym mieście. Ale pytam, jak to zrobić, gdzie je znaleźć — w sobie? W sobie wybudować prowincjonalne miasteczko, żyć poza zgiełkiem słów i faktów, odгородzić się, nie słuchać radia, czytać, przygotowywać się...

I zdychać z nudów. „Zdycham z nudów — donosił w liście z włoskiego miasteczka — a nikt nie wyrządził mi krzywdy, co pogarsza stan rzeczy”.

Wieczorem z salki telewizyjnej słycać: *katastrofa gospodarcza*. W południe do mola przybija statek-wodolot i dobywa się z niego baryton radiowego komentarza: *katastrofa gospodarcza*. Rano budzi mnie tranzystorowy odbiornik włączony przez M.: *katastrofa gospodarcza*. To samo w nagłówkach gazet. To samo w przemówieniach premierów, posłów, szefów partii. U wejścia na molo przez całą szerokość chodnika pod nogami biegnie napis: „Dzisiaj ryby — jutro my”. Wyławiano owrzodzone węgorze. Plaże puste, tablice ostrzegają przed kąpielą i leżeniem na piasku. Poprzedni rząd dopuścił do skażenia wód zatoki. Katastrofa ekologiczna. Katastrofa ekologiczna, katastrofa gospodarcza, katastrofa społeczna. Obecny rząd ostrzega przed katastrofą narodową. Wczoraj widziałem, jak z salki telewizyjnej wybiegł osiemdziesięcioletni Mieczysław Fogg: — Koszmar! Nie mogę tego słuchać! — Spikerzy przemawiają na przemian w dwóch tonacjach: albo obywatelskie gdakanie, albo poli-

cyjne warczenie. Zmienia im się nie tylko głos, ale i wyraz twarzy; po płaczącym zatroskaniu następuje oficerski szcęk-ścisk. *Przekaziory* — tak nazwał Marek Nowakowski środki masowego przekazu, i to jest dobra nazwa — dzielnie wkroczyły w nowy etap walki z wyklętym ludem ziemi.

W południe molo jest pełne opalających się kobiet i mężczyzn. Wieczorem opaleni ludzie słuchają przed telewizorami o całkowitym załamaniu się rynku i dowiadują się, że w zimie zabraknie węgla. Nazajutrz biegają po zakupy. Sklepy są puste. Nie można kupić ani jednego ciastka, ani jednego jabłka. Można kupić lusterko w rzeźbionej ramce. — To wpędza w nerwice — mówi M. — kobiety czują odwieczną potrzebę kupowania, dla nich pusty sklep ma w sobie coś z zaświatów, sprawunki zawsze łączyły je z życiem. Teraz sklepy straszą jak groby. Kupiłam lusterko.

Katastrofa nie jest jeszcze całkowitą realnością. Jest obecna w słowach i myślach, unosi się w powietrzu między spacerowiczami. Nie ma scen zbiorowej rozpaczki, promenujący tłum na oko wydaje się beztroski. Ubyło tylko cudzoziemców z Zachodu, niewiele widać zagranicznych aut. Raj dla Arabów, których wszędzie pełno, nawet Turcy z zachodniego Berlina podjeżdżają używanymi limuzynami przed Grand Hotel. Na ogół jest dość wesoło, dewizowe panienki nie mają powodów do narzekania. Wiele zjawisk nadal wywołuje osłupienie zachodnich korespondentów. W Warszawie filmowali samochodową barykadę na Rondzie, protestującą przeciw brakom żywności. Porządku strzegła dobrze zorganizowana straż robotnicza „Solidarności”. Pojazdy obrzucano kwiatami, demonstracji towarzyszyły występy artystów wśród oklasków ludzi zebranych na jezdni i chodnikach. „Polsce grozi głód” — donosili zagraniczni korespondenci, pytając w komentarzach: „Czy Polacy w każdej sytuacji śmieją się i klaszczą?”. Powaga i zabawa, w których Goethe widział podwójny fundament życia (dalej czytam monografię Friedenthala), ich wzajemne stosunki u Polaków widocznie są bardziej złożone niż gdziekolwiek indziej.

Rząd znalazł się w nieznanym sobie położeniu. Lud, który przedtem był nazwą, teraz wychodzi na ulice. Przez trzydzieści lat chlubiono się, że wszedł do śródmieścia. Co innego wejść do śródmieścia, a co innego wyjść na ulicę. Rząd wie, że z chwilą ogłoszenia wolnych wyborów przestałby istnieć z dnia na dzień, i to także nie dodaje mu ducha. Mówi: produkcja spada — wasza wina, pchacie kraj do ogólnonarodowej katastrofy. Mówi to po dziesięciu latach pchania do katastrofy przez rząd. Spadek

produkcji jest fatalnym świadectwem dla każdego rządu; oznacza złą gospodarke i brak społecznego zaufania. W odczuciu ludności obecny rząd jest przedłużeniem władzy, która doprowadziła do ekonomicznej ruiny. Pod takim rządem pracuje się źle. Wyjścia byłyby dwa: albo dokonać szybkich i głębokich reform, albo odejść. Żadne z tych wyjść nie jest prawdopodobne, gdyż rządy nie są skłonne do popełniania samobójstw. Oznajmia się więc: sytuacja patowa. W najgorszych momentach znajduje się nowe określenia, by udowodnić, że jest się człowiekiem wykształconym.

W Polakach, wbrew pozorom, jest dużo zdrowego rozsądku. Ludność rozumie sytuację polityczną kraju i jego dobrasąsiedzką zawisłość. Nikt nie spodziewa się od władzy decyzji ponad jej stan. Rząd budziłby mniejszą niechęć, gdyby mniej kłamał i przemawiał ustami ludzi mniej skompromitowanych. Tymczasem zwraca się do społeczeństwa za pośrednictwem sprawozdawców TV, posiwiających bądź wyłuskiujących w długoletniej służbie. Ci sami komentatorzy, którzy w roku 1968 oświadczyli dzień w dzień, że głównym wrogiem Polski jest syjonizm, którzy w 1972 zapowiedzieli erę dobrobytu, a w 1976 szczyli na aresztowanych robotników, dziś oskarżają z furją „Solidarność” o szkodenie narodowi i państwu. Dołączyli do nich felietoniści tygodniowi, niedawni zagońcycy Drugiej Polski. Widząc to i słysząc przytomny człowiek myśli: rząd nie chce być lojalny, oszukuje dalej i tymi samymi ustami; jeśli nie jest zdolny mówić prawdę, niechże przynajmniej nie oczernia, niech zmieni metody i styl; skoro zabrakło papierosów i mięsa, śmiało może zabraknąć propagandy.

Na okładce zachodniego tygodnika niedźwiedź w okularach i w czapce z czerwoną gwiazdą wskazuje kosmatą łapą Polskę na mapie Europy, mruczając ze zdziwieniem: „No wiecie, co za kraj...”. — Przed ośmiu miesiącami ten sam tygodnik zamieścił na okładce sowiecki czołg rozjeżdżający białego orła. Dzisiaj redakcja publikuje artykuł ilustrowany mapami: obszar Polski krajany w ciągu dwustu lat, malejące terytorium, które stopniowo zanikało, by znów na jakiś czas się pojawić, po czym znowu zniknąć, etc. „Naród, którego nie można złamać” — brzmią podtytuły w innych tygodnikach — „wieczny, niepokonany duch rebelii”. Korespondenci głowią się, co zrobi niedźwiedź z tym dziwnym krajem.

Co zrobi niedźwiedź? Nie wiadomo. Skąd można wiedzieć, co zrobi niedźwiedź. Może sam niedźwiedź tego nie wie. Również dla niedźwiedzia okoliczności są nieoczekiwane. Rząd czuje się przez to jeszcze bardziej niepewny i woła z wszystkich tub, strasząc i grożąc. Z radia i telewizji krzyczy głos ilu... stu, dwustu,

pięciuset tysięcy? Słucha go ile: dziesięć, piętnaście, dwadzieścia milionów?

„Solidarność” w miastach ma dziesięć milionów członków. „Solidarność” na wsi — trzy i pół miliona. Nawet jeśli trzeba będzie pewną liczbę odjąć, pozostaną miliony zorganizowanych uczestników ruchu, którzy wiedzą, iż rząd jest zbyt niedołężny lub ma za mało dobrej woli, by przeprowadzić demokratyczne reformy, a jednocześnie wiedzą, że niedźwiedź rozłożył przed sobą mapę Europy i przygląda się Polsce.

W tę podwójną świadomość bije propaganda. Wszystkie argumenty są uruchomione, z telewizorów słychać o konfrontacji, rozlewie krwi, utracie niepodległości. Publiczność siedzi jak pod ogniem z okopów. W telewizji strzela jedna strona, oficerkowie na ekranie przekazują meldunki i rozkazy. Publiczność coraz mniej rozumie z tego, co się dzieje, i zaczyna się bać. Taki jest cel operacji: zrobić ze społeczeństwa publiczność, która się boi i nie rozumie, o co chodzi (ostatnio weszło w obieg powiedzenie „co jest grane”).

Oglądając „Człowieka z żelaza”, film Wajdy, przeżywałem mocne wzruszenia wraz z całą salą kina „Skarpa”. Znaczący sztuki grymaszą: Wajda doskoczył do tematu, pokazał obrazki o heroicznych robotnikach, to jest soc-realizm *à rebours*. Specjaliści od ambitnej sztuki drżą ze strachu, by nie wystawić się na zarzut prowincjonalizmu, i właśnie w tym są prowincjonalni. Wajdzie udało się rzecz bardzo ambitna: spoił dokument z warstwą fabularną. Zdjęcia dokonane w grudniu 1970 wrosły w materię filmu, sekwencje ukazujące czołgi na ulicach i bicie zatrzymanego człowieka pałką przez milicjanta stały się wydarzeniami narracji. Trudno tu odróżnić autentyk od fikcji. Nowatorstwo polega niekiedy na prostym ruchu: sięga się ręką po fakt. Każdy mógł wykonać ten ruch, lecz ktoś go wykonał. Ktoś zrobił powieść z notatki w kronice wypadków i ktoś stworzył obraz bitwy z migawkę dostrzeżonych przez zaplątanego w nią cywila. Przeważnie nie widzi się w tym nowatorstwa, bo ruch jest zbyt prosty. Po „Człowieku z żelaza” obejrzałem francuski film „Hiroshima moja miłość”, okrzyczany w swoim czasie jako nowatorski. Dwadzieścia lat temu nudziłem się na jego premierze, teraz wyszedłem po kwadransie. Nowatorstwo było w nim postanowione; dziś został śmieszny artystowski kryg i zła literatura. Ten film nadal uważa się wśród znawców za datę w rozwoju kina. Na znawców nie ma rady.

Bohaterowie „Człowieka z żelaza” obecnie są ekspertami, członkami komitetów „Solidarność”, zasiadają w prezydiach ze-

brań i uczestniczą w rozmowach z rządem. Rok od sierpnia do sierpnia był długi. Aktorzy filmu mieszają się z ich odpowiednikami w życiu, role z postaciami rzeczywistymi. Niektóre z nich znam osobiście. Po zakończeniu seansu wystarczy wyjść z kina, aby przeżywać dalszy ciąg filmu. Jak się potoczy akcja do następnego sierpnia? Nie jestem ekspertem. Gdyby mnie zapytano w przeddzień rozmów z rządem, którą postawę uważam za słuszną z dwóch czy trzech możliwych do przyjęcia, nie umiałbym odpowiedzieć. Podejmowanie decyzji w sprawach kraju — sama myśl o tym jest ciężka. Pięć lat temu obawiałem się aresztowań działaczy opozycji, rok temu zbombardowania stoczni. A teraz? Odpowiedzialności. Nie tej, którą ja miałbym podjąć. Ich odpowiedzialności. Tej, która na nich ciąży i którą oni muszą podejmować.

Na ulicy Monte Cassino spotkałem pana S. Zbliżając się ku mnie z miną człowieka uszczęśliwionego, a zarazem pełną dobroduszej zaradności, oznajmił, że przed chwilą, po pięciu kwadransach stania w ogonku, kupił nici w sklepie z pasmanterią. Przed sklepem papierniczym czekał godzinę, ale bezowocnie, nie było już ani jednej rolki. Wracając spostrzegł ogonek do pasmanterii i zapytał ludzi, po co stoją. Po nici. Wracał jak triumfator.

Lubię pana S. właśnie za jego wyraz twarzy pełen dobroduszej zaradności. Gdzie się ów wyraz kryje? Zapewne w spojrzeniu i układzie ust. Ale co to znaczy, że twarzy nadają wyraz oczy i usta, w jaki sposób go nadają, w czym tkwi ów sposób, trudno to wyjaśnić. W przeciwległym rogu jadalni siedzi pan P., którego wyraz twarzy jest inny. Określiłbym go jako podejrzliwą nienawiść. Prawdopodobnie wyraża ją także spojrzenie i rysunek ust, nie potrafiłbym jednak stwierdzić, co w ustach i oczach tych dwóch ludzi sprawia, że maluje się w nich tak odmienny charakter. Linia warg, fałdy powiek, osadzenie gałek ocznych? Przypuszczalnie i to.

Ale czy tylko. Nie jestem pewien. Widuje się ludzi, którzy w twarzy mają wypisaną pychę, trwożliwość lub łagodność. Spotyka się kobiety o twarzach pociągających słodyczą, albo inne — o przenikniętych zawiścią. Nie umiałbym wskazać fizycznych szczegółów, które decydują o różnicach w wyrazie tych twarzy, w ich treści moralnej. Zastanawiające, że ludzie nawet przez chwilę nie są zdolni do nadania sobie wyrazu twarzy, jaki u innych ludzi jest bezwiedny, stały i obecny jakby od urodzenia.

Człowiek tchórzliwy nie zdoła przybrać wyrazu dumy. Nie pomoże żadna imitacja, to się nie udaje. Widocznie wyraz twarzy polega na promieniowaniu i bierze się z nieuchwytnych źródeł wewnętrznych. Nie z anatomii, lecz z głębi anatomii. Ale co jest w głębi anatomii?

Pan S. jeździł w okolice Kartuz i spędził dzień w domku nad jeziorem u zaprzyjaźnionej pani architekt, która w zeszłym tygodniu wróciła z podróży do Francji. Przed wyjazdem pozamykała wszystkie zamki, w domu nikt nie został. Wkrótce po jej wyjeździe z sąsiednich domków zaczęły ginąć cenne przedmioty. Ktoś zawiadomił milicję, jednakże sprawcy nie ujęto. W ciągu dwóch tygodni w willach nad jeziorem nadal znikają srebrne naczynia i tranzystorowe odbiorniki. Wszczęto śledztwo. Milicja postanowiła sprawdzić, czy willa pani architekt nie została pod jej nieobecność obrabowana doszczętnie. Gdy wkroczone do wnętrza, w sypialni na tapczanie spał nieznamomy młody człowiek w piżamie pani domu. Pokoje były czyściutko sprzątnięte, naczynia zmyte. Przy śpiącym znaleziono elegancką walizkę, a w niej kolekcję przedmiotów dobranych ze smakiem i znajomością rzeczy. Mieszkanie pani architekt było nietknięte, unosił się w nim zapach francuskiej wody kolońskiej. Nic nie ubyło, tylko w lodówce zmniejszył się zapas żywności. Przelotny lokator wykazał kulturę osobistą; dbał o czystość i estetykę wnętrza. Po zatrzymaniu odmówił ujawnienia swych danych personalnych; oświadczył, że jest studentem. Przewieziono go na posterunek milicji w Kartuzach. Pan S. wysłuchał tej opowieści przy brydzu. Jeden z partnerów, urzędnik prokuratury, potwierdził jej autentyczność. Pan S. zapytał go o przypuszczalny wyrok, ile lat grozi sprawcy. Na co prokurator odparł niechętnie, że śledztwo zostało umorzone. — Ale jakie tam umorzone — śmieje się pan S. — później się dowiedziałem, że uciekł im następnego dnia.

Kroniko wypadków, wieczna autorko fabuł...

Wczoraj podczas spaceru, kiedy powiedziałem, że w całym życiu najbardziej lubię kobiety i psy, dr L. się obraziła.

W sobotę po południu w towarzystwie pięciu osób zegnaliśmy na dworcu kogoś, kto wyjeżdżał do Warszawy. Zanim pociąg ruszył, zorientowałem się, że skład towarzystwa, jego genealogię i związki między poszczególnymi osobami są niecodzienne i skomplikowane.

Prócz M. i mnie były trzy kobiety i dwóch mężczyzn. Oznaczam numerami: kobiety 1, 2 i 3; mężczyźni 1 i 2. Mężczyzna nr 1 jest mężem kobiety nr 2. Mężczyzna nr 2 ma osiem lat. Kobieta nr 1 jest z urodzenia w połowie Chinką, w połowie Rosjanką, z przynależności Polką. Jej mąż (nieobecny) jest Polakiem. Jej poprzedni mąż (nieobecny) jest także Polakiem, bratem kobiety nr 2. Kobieta nr 3 w czasie wojny została adoptowana na Litwie przez matkę kobiety nr 2. Ośmioletni mężczyzna nr 2 jest Koreańczykiem adoptowanym w Paryżu przez małżeństwo — kobietę nr 2 i mężczyznę nr 1 — Polaków, obywateli francuskich. Uważa się za Polaka, wszyscy troje mieszkają we Francji. Kobieta nr 1 ma ze swym poprzednim mężem córkę (nieobecna), która jest pół-Polką, ćwierć-Chinką, ćwierć-Rosjanką i została wychowana przez matkę kobiety nr 2. Jeśli więc dołączyć M. i mnie, uwzględniając rodzinne korzenie M., otrzymamy mieszanekę chińsko-rosyjsko-litewsko-niemiecko-francusko-żydowsko-koreańsko-polską.

Można by tu dorzucić uboczną okoliczność. Mały, skośnooki mężczyzna nr 2 był w złym humorze, ponieważ o tej godzinie lubi grać w szachy z 82-letnim panem, towarzyszem życia owdowiątej i niedawno zmarłej matki kobiety nr 2, stale zamieszkałym w Sopocie. Rozmawiają ze sobą po francusku.

Z dworca poszliśmy we dwoje na kawę do „Złotego Ula”. Przypominam sobie, że sześć lat temu, kiedy byliśmy w Sopocie razem z Otwinowskimi, Stefan lubił godzinami siedzieć w „Złotym Ulu”, przy stoliku pod ścianą w drugiej salce. Przyglądał się, obserwował twarze. W tym okresie nie był już tak rozmowny jak dawniej, słuch mu się przytępił. Patrzył, stał się wzrokiem. Myślę, że pod koniec życia całą swoją wrażliwość powierzył oczom. Kiedy siedział w „Złotym Ulu” przyglądając się milcząco ludziom przy sąsiednich stolikach, miał w spojrzeniu wyraz mądrej i smutnej uwagi. Było mi przykro; pamiętałem jego namiętną konwersację w czasie okupacyjnych wódek na Słonecznej i powojennych na Krupniczej. Teraz usiłując dosłyszeć, co mówię, nachylał ku mnie głowę lewą stroną i uśmiechał się z zażenowaną ciekawością, jakby przepaszając. Dopiero na dwa tygodnie przed drugim zawałem powiedział do Ewy po powrocie z teatru: — Wiesz, ja znowu słyszę. Rozumiałem każdą kwestię. — Przyjechaliśmy do Krakowa w dzień po jego śmierci. M. zamieszkała u Ewy na Krupniczej. Spędziła noc na tapczanie Stefana, obok tykał nakręcony przez niego kieszonkowy zegarek i leżała otwarta książka, którą czytał poprzedniego dnia. M. bała się zasnąć. Sypiał na tym tapczanie przez trzydzieści lat, co

wieczór przez trzydzieści lat nakręcał zegarek. Gdyby nic się nie stało, również tego wieczoru nakręciłby zegarek i położyłby się z książką na tapczanie. Dla M. było niewątpliwe, że Stefan tej nocy przyjdzie... Pytam: — Nie zasnęłaś? — W końcu obróciłam się na drugi bok i pomyślałam: no to trudno, niech przyjdzie.

„Masza umarła i leży na stole. Czy zobaczę Maszę?”. Jedyne dwa zdania w całej twórczości autora, które potrafię zacytować z pamięci. A nie jest pewne, czy one wchodzi do jego twórczości, bo zdaje mi się, że napisał je w liście. Zresztą, to nieistotne. Słowa pamiętne, jedna z kilku myśli przeżywanych przez wszystkich i jakby oczekujących na chwilę, kiedy zostaną tak prosto wyrażone. Nie bez racji każdy uważa je za swoją własność, gdyż są to zdania przygotowane przez świadomość powszechną. Człowiek, śmierć i Bóg. Tu jeszcze mowa o stole. Stół unaocznia przerwana codzienność i zapewne dlatego te siedem słów uzyskuje metafizyczną realność: człowiek zabrany przez Boga leży na stole, przy którym wczoraj jadł.

Mój stryjeczny dziadek, nauczyciel gimnazjalny, u którego ojciec mieszkał chodząc do szkoły w Warszawie, był wielkim dziwakiem i po trosze filozofem. Nie używał słowa Bóg. Mówił: Beta. Według niego świat ziemski jest doświadczeniem czynionym przez istotę wyższą. Wyższą, ale nie najwyższą. Beta może się mylić, popełnia błędy, eksperymentuje i sprawdza. Byłoby nonsensem modlić się do Bety, prosić o ocalenie czy pomoc, albowiem ludzie są tylko materiałem laboratoryjnym, poddawanym próbom niejako naukowym. Pozostaje uznać ich konieczność i milczeć, czekając na przejście do innego świata, czyli w dalszą fazę doświadczeń, prowadzonych — jak twierdził stryj ojca — przez Gammę. Czy owe wyższe istoty stanowią doskonałą szereg i czy u szczytu czuwa istota najwyższa, tego niestety mój ojciec nie pamiętał.

Niniejsza koncepcja wszechświata nie daje odpowiedzi na pytanie „czy zobaczę Maszę?”. Lecz siedząc w „Złotym Ulu” i pijąc gorzką kawę (w lokalu nie podają już cukru) przyłapałem się na tym, że usiłuję znaleźć choćby ułamkową pociechę właśnie w tej koncepcji. Być może wszystko, co teraz się dzieje, jest częścią eksperymentu dokonywanego przez Betę. Czujemy się jak chorzy; z kimkolwiek rozmawiamy każdy dotknięty jest tą samą chorobą, o czym wiemy i co nam każe o chorobie bez przerwy rozmawiać. Ale jeśli to jest konieczne doświadczenie, jeśli spowodowanie owego chorobliwego stadium jest warunkiem

eksperymentu, okolicznością nieodzowną, bez której nic nie pounie się naprzód? Może tak się przechodzi do następnej fazy.

Ale... „czy zobaczą Maszę?”. Koniec końców wszystko sprrowadza się do tego pytania, do lęku przed nicością. Stefan bodaj od dzieciństwa żył w stałym poczuciu zagrożenia śmiercią, był nim nacechowany jak stygmatyk. Do mnie cienie nicości dobrały się po trzydziestym roku życia, nagle, jednego dnia, czym byłem tak zaskoczony, że poszedłem zaraz do lekarza-psychiatry, który mi pomógł. Samo pójście do lekarza jest dobrowolną czynnością i nawiązaniem kontaktu, a to w depresji zawsze na trochę pomaga. Później nauczyłem się leczyć najmniej szkodliwym z narkotyków — pracą. Trzeba by jednak dodać, że tabletką łagodnego środka nasennego zażyta w gorszym okresie, raz na kiedyś, powoduje we mnie nazajutrz ruch skojarzeń, sprzyjający pisaniu; coś się przetyka i otwiera, potem obchodzę się już bez tabletki. Można sobie na to pozwolić w moim wieku. Młodszym polecam doskonalenie się moralne. — Miałem straszny sen, śnił mi się mój charakter — powiedziałem kiedyś do M. Takie wyznania nie zawsze brzmią humorystycznie i niewykluczone, że ujawniają prawdziwe źródło nerwic.

To są kłopoty indywidualne, osobiste. Każdy dorosły człowiek musi sobie z nimi radzić, jakoś się ułożyć ze swoim przysłym niebytem. Teraz jednak widzę — po raz pierwszy — zjawisko innej kategorii: zbiorowy lęk przed kresem zbiorowego życia. Wszyscy zaczęli się bać. Od pewnego czasu zmyry dręczą podświadomość społeczną, to ogół boi się dziś myśli o grożącej pustce. Pierwszy raz w życiu odczuwam strach przed niebytem w wymiarze ponadosobistym i w skali narodu. Wczoraj rząd ogłosił wycofanie kilkudziesięciu pociągów z ruchu kolejowego oraz zawiadomił o spadku produkcji w niektórych gałęziach przemysłu do 50%. Po komunikacie w salce telewizyjnej zaległa śmiertelna cisza, wszyscy poczuli trwogę zbiorowego umierania. Gdy w chwilę później zakomunikowano o pomyślnych żniwach tegorocznych, ze wszystkich piersi dobyło się westchnienie nadziei. Jakaś fabryka wyprodukowała sześćdziesiąt tysięcy kos dla rolników zamiast brakujących maszyn. Kosy! Nareszcie coś świta. Kosy, sierpy, cepy. Wydobywać z ziemi żywność własnoręcznie, po dawnemu, może to pewniejsze niż udział w światowej czołówce produkcji stali. — Na zimę — radził mi dalekowzroczny Tadeusz Konwicki — powinieneś wynaleźć sobie jakąś wioskę, w chałupach są jeszcze piece, w których pali się drzewem...

Kiedy do sklepu sportowego przywieziono rowery, ogon rzucił się i wyłamał drzwi. Pobito dwie sprzedawczynie, wyr-

wano komuś z rąk listę kolejności, a jakaś kobieta podarła ją i zjadła. My jeszcze nie wylamujemy drzwi. W niedzielę u Janków Brunerów musiałem się powściągnąć na widok domowych herbatników i konfitur. Zdaje się, że po raz pierwszy od wojny nie jadam do syta. Znajomy scenograf, którego spotkaliśmy w „Złotym Ulu”, poczęstował mnie amerykańskim papierosem. Wziąłem, podziękowałem i spostrzegłem w jego oczach ukradkowy błysk zdenerwowania. Trzeba uważać, wykasowywać machinalne gesty i nawyki. Nie powinienem był przyjąć tego papierosa.

Idąc brzegiem plaży zbliżamy się do starszego mężczyzny z wyżełkiem na smyczy. Wyżełek przed chwilą został napadnięty przez rosnącego teriera i drzy niemo, ze smętną refleksją w żółtym oku. Jego pan, tęgi, o czerwonej twarzy, z wyglądu solidny, zwraca się do M., która czule uspokaja wyżełka. Mówi pokazując w uśmiechu sztuczne zęby, że następnym razem on się z terierem rozprawi po swojemu. — Z jednym kundlem zrobiłem już porządek. Też go przewrócił i pogryzł. No to wziąłem drąga, co leżał obok łodzi, i zatłukłem na śmierć. — Panie! — krzyknęła M. — pan zwariował! — Co?... co?... — zabalgotało mu w gardle. M. zbladła ze złości: — Pan tego nie zrobił, ale nawet zmysłać takie brednie to świństwo!

w r z e s i e ń

Teraz wymienię w punktach złe duchy nawiedzające mnie we wrześniu.

Myśl o rozlewie krwi i aresztowaniach. Możliwość dalszej egzystencji staje się wówczas niewyobrażalna. Taka myśl odbiera sens wszelkim zajęciom i projektom, a przede wszystkim pisaniu. Patrę wtedy na moje tomy, od „Miasta niepokonanego” do „Miesiący”, jak na zamknięte koło. Obie te książki łączy coś ze sobą, koło wiedziało, gdzie się zamknąć. Więc strach, że to już koniec, i ulga, że już nie trzeba będzie pisać. A w ciągu dnia przeważa stan umysłowego bezwładu, który JMR bardzo dobrze kiedyś określił: „Widzę: słup. Myślę: słup”.

Odpowiedzialność. Za najgorsze, co może się stać, będę odpowiedzialny, ponieważ doprowadzi do tego ustrój polityczny, który w swoim czasie zaakceptowałem. Tę wiedzę noszę w sobie od dwudziestu kilku lat. I nie jest najważniejsze, czy potrafiłbym

wyjaśnić psychologiczne motywy ówczesnej mojej postawy, a nawet to, czy chcę je wyjaśniać. Ważne jest, że odpowiedzialności za tamte lata nie można z siebie zrzucić i że późniejsze postępowanie nie uwalnia od niej. Odrzuca się tylko uproszczone interpretacje i nieprawdziwe osądzenia, ale błędu usunąć się nie da, jego cień pada wstecz, na przeszłość, i z jego cieniem się żyje. Przewiduję, że zło tamtych lat będzie występować w świadomości ogółu coraz ostrzej, jako źródło i początek istniejącego zła. Wówczas cień będzie się wydłużał.

Zmory uliczne. Kiedy się pisze o narastających trudnościach rynkowych, mało widać za tymi słowami. A wiążą się z nimi sceny i obrazy. W mojej dzielnicy łatwiej jest dostrzec niż gdzie indziej, tu nie ma aut, uliczki są wąskie. Teraz wypęzło na nie wszystko, co niedożęte i chore. Widuję kobiety ledwie posuwające opuchłymi nogami i zrezygnowanych starców o wylękłych oczach. Wiele postaci bezradnych, jakby wywleczonych z łóżek. Czasem tym obrazom nieszczęścia przygrywa uliczna orkiestra, pięciu mężczyzn z fioletowymi nosami. Wczoraj, kiedy na Piwnej grali „Tango Milonga”, środkiem sunął w kapciach, wsparty na metalowych kulach, półsparaliżowany siwy człowiek w girlandzie dziesięciu rolek papieru higienicznego, przewieszonej przez szyję. Oddalał się powoli od rozgadanego ogonka przed sklepem papierniczym. Ogonki wybebeszyły dzielnicę, obnażyły wnętrzości domów. Jest jeszcze ciepło, ale za dwa miesiące spadnie śnieg. Po południu przez Świętojańską biegną z gwizdami i wyciem tabuny wiejskich hipisów o długich, strąkowatych włosach i czołach przepasanych brudnymi wstążkami. Najbardziej żal mi starych ludzi, między innymi siebie. Zwłaszcza nocą wyłania się myśl, że to się dzieje na obłąkanej gwieździe, podczas gdy niedaleko na innych planetach trwa normalne życie.

Przyszłość. Było rzeczą naturalną i właściwą mieć przed sobą zarys najbliższej przyszłości, móc ją z grubsza określić i żyć z jej naszkicowanym wyobrażeniem. To jest rzecz, powiadam, zwyczajna i każdemu należna. Teraz przestała obowiązywać. Wszelka myśl na przyszłość skręca się od razu w znak zapytania. A nie jest to pytańnik sygnalizujący przyrodzoną niepewność losu, lecz znak stanu zawieszenia przed groźącą możliwością, wiadomą i straszną. W rezultacie ów mały wymiar czasu przyszłego, z jakim przywykliśmy istnieć, wydaje się luksusem maharadży. Nie mogę pomyśleć, że w styczniu skończę książkę, albo że na Boże Narodzenie wyjadę do Konstancina, ponieważ to brzmi zuchwale, można się za bardzo rozpędzić. Pilnuję się więc, wyznaczam sobie bliskie terminy, na przykład: „w czwartek po-

jadę na bazar”. W tym redukowaniu perspektyw i skróceniu mety jest coś z przesądu. Chodzimy podszyci dubeltową śmiertelnością, z jedną datą podyktowaną przez naturę, z drugą zapowiadaną podobno na grudzień czy październik (zanim skończę książkę).

Zdawałoby się, że w takich okresach powinny się zacieśniać stosunki między ludźmi. Otóż bywa różnie. Często zamykam się na całe dni i kiedy dzwoni telefon, nie sięgam po słuchawkę. Odcinam się od ludzi nie dlatego, że tyle mnie od nich dzieli, lecz przeciwnie, że za wiele mnie z nimi łączy. Co słyszać? Wiem: to samo, co u mnie. Nadmierne podobieństwo kondycji zmniejsza wzajemną ciekawość. Później nadchodzi opamiętanie, zaczynam raz za razem wykręcać numery przyjaciół i nie zastaję ich w domu. Nazajutrz pada deszcz, widzę mokry dach i myślę: mokry dach. Takie dni są beznadziejnie stracone, najgłupiej. Wciąż powraca niespokojna refleksja, że jest możliwy wysiłek pokonania w sobie kilku marnych przeszkód, aby żyć z ludźmi, dla ludzi. W ciągu doby przesuwają mi się przez głowę wiele osób z różnych lat i miejsc, i wtedy, w urojonych spotkaniach, łączy mnie z nimi przejmująca bliskość. Nie wiem, jak Sąd Ostateczny ustosunkuje się do faktu, że sferą mojej miłości bliźniego jest moja wyobraźnia.

Sprawa wieku. Kiedy ojciec wiosną 1940 wsiadał do dorożki na Krakowskim po wyjściu od „Lourse'a” (zapamiętałem taki moment), nie wyglądał jeszcze na swoje lata. Trzymał się bardzo prosto i chodził sprężystym krokiem. Był w dobrej formie. Gdyby nie aresztowanie, mógł przetrwać wojnę podobnie jak ja. W więzieniu jego organizm wytrzymał niecałe pięć miesięcy. Dzisiaj przypuszczalnie mnie także nie byłoby stać fizycznie na tę późną próbę. Sprawa wieku.

Wyjazdy. W Klubie opowiadano przy obiedzie o scenach, jakie się rozgrywały przed konsulem niemieckim na Saskiej Kępie. Czekają całą noc, aby złożyć podanie o wizę do Republiki Federalnej. W tłumie oblegającym budynek przeważają młodzi ludzie, numery na listach kolejności dochodzą do czterocyfrowych. W biurach lotniczych bilety na linie zagraniczne zostały wykupione z góry na wiele miesięcy. W ciągu sześciu tygodni wprowadzono już czwarty samolot krajowych linii lotniczych do Berlina Zachodniego, gdzie porywacze zwracają się o azyl. Podobno w tym roku wyemigrowało około 200 tysięcy osób. Wyjazdy przybierają charakter ucieczki i mimo woli nasuwa się myśl o ludziach opuszczających Polskę w roku 1939 i 1945. I w 1968. Powiększa się na świecie diaspora polska. Co

jakiś czas trzeba się stąd wymykać, jak z potrzasku, przed strachem i beznadziejnością. Onegdaj, wracając z garażu, wyprzedziłem po ciemku dwóch młodych ludzi o długich sylwetkach. Usłyszałem fragment rozmowy, a właściwie monologu: — Nie, stary, ja już na pewno wiem, że się stąd wyrwę. Trzeba mi tylko trochę czasu. Zrozum, ja za miesiąc kończę dwadzieścia sześć lat i mam tu zainwestowane sprawy. Powiem ci, mnie się tutaj nawet podobało. Miałem niezłych kumpli i dziewczyny, jedną, drugą. Obie mnie kochały. Ja też w pewnym sensie. Chodziło się w góry, pływało na jeziorach. Było całkiem fajnie. W końcu bezrobotny także nie jestem. Więc kapujesz, stary, ja nie mogę tego zerwać po chamsku, jednym szarpnięciem, ja muszę to rozsypać...

Mam chwilami wrażenie, że terazniejszość pisze dalszy rozdział „Wariacji pocztowych”: ci, co dziś wyjeżdżają, przysła wkrótce listy z Kanady czy Nowej Zelandii, do tych, którzy zostali. Jeszcze jedna polska ucieczka. Z moich wrześnieowych koszmarów ten jest bodaj najcięższy do zniesienia.

Zapamiętany sen: w hotelu „Europejskim” uduśiłem kulawego Goebbelsa, który przyjechał incognito do Warszawy w niejasno ustalonym czasie, niby przed wojną i jakby po wojnie. Zawiniętego w płaszcz nieprzemakalny wrzuciliśmy go z M. do Wisły, a potem wracaliśmy przez las. Mówiłem idąc: że też wszystko musimy załatwić razem!

Dziwiłiśmy się, że jesteśmy tacy spokojni, mimo iż jutro z pewnością po nas przyjdą. M. powiedziała: bo w to się do końca nie wierzy...

październik

Ażeby obraz nie był jednostronny, powinienem wspomnieć, że kina i kawiarnie są pełne, do modnych fryzjerów damskich nie jest łatwo się dostać, a w Ogrodzie Saskim spacerujący ludzie karmią nad stawem dzikie kaczkę. Ostatnie dni września były piękne. W ciepłe sobotnie wieczory przed restaurację „Rycerską” zajeżdżały Mercedesy z kwiatami na maskach, u wejścia akordeoniści witali marszem weselnym Mendelssohna wysiadające pary nowożeńców (białe welony i muszki). Całe miasto wykonuje magiczne zabiegi w celu utrzymania życia. Wszystko ma być tak, jak było, jak gdyby nic się nie stało i nic złego nie mogło się stać. Czasami wydaje się, że chodzi o samą formę,

o zewnętrzny kształt życia. Być może publiczność zapełniałaby kina nawet gdyby nie wyświetlano w nich filmów, spacerowicze nad stawem wykonywałyby gesty podobne do rzucania okrucichów, a ślubne pary zajeżdżałyby przed nieistniejące restauracje. Wszystko tu sprawia wrażenie czegoś pośredniego między umową o przetrzymanie a walką o ciągłość bytu. I jest w tym nostalgia, tęsknota za zwyczajną ludzką codziennością. Do tego miasta trzydzieści sześć lat temu ludzie wracali pieszo, aby zamieszkać w domach, których już nie było.

Czytam trzeci tom „Dziejów Polski” Szujskiego i „Gravity’s Rainbow” Thomasa Pynchona. Najchętniej udałbym, że mam gorączkę, i położyłbym się do łóżka z „Trzema Muszkieterami”. Tak się robiło w szkolnych czasach. Teraz zdawałoby się to bardziej usprawiedliwione, choćby z tytułu wysługi lat, a właśnie teraz pozwolić sobie na to nie wypada. Wszystko na opak.

Ale w numerze *Krytyki* przeczytałem interesującą rozmowę, przeprowadzoną przez redakcję z francuskim intelektualistą Jacques Julliardem. Omawiając stosunek lewicy intelektualnej do marksizmu Julliard powiedział: „Ustroje totalitarne tak długo cieszą się sympatią i uznaniem intelektualistów, jak długo starcza im (tj. ustrojom) tupetu, aby największe idiotyzmy pokryć pewnością siebie. Wraz z pierwszymi oznakami zwątpienia w siebie — np. przemówienie Chruszczowa — znika cała niezachwiana pewność intelektualistów. Droga Sartre’a jest tutaj znamienna i symboliczna”.

Niezachwiana pewność intelektualistów... W sprawach politycznych czy intelektualności w ogóle mają jakąś pewność? Lepiej byłoby powiedzieć, iż jest to pewność chwiejna i w gruncie rzeczy kryjąca głęboką niepewność. Niezachwianą pewność mają politycy. Dla intelektualistów najważniejsze są raczej nie-polityczne i tym tłumaczy się szok, jakiego doznali po przemówieniu Chruszczowa. O czynach dokonanych przez pierwsze socjalistyczne państwo świata dowiedzieli się z ust najbardziej kompetentnych: od jednego ze sprawców. W referacie Chruszczowa nie było oznak zwątpienia; w trybie demaskującym zostały w nim podane do wiadomości fakty, w które lewicowi intelektualiści na Zachodzie przez długie lata nie chcieli wierzyć, uważając je za wymysł prawicy. Na XX Zjeździe potwierdziło je moskiewskie biuro polityczne. Intelektualiści stanęli przed wyborem: albo nadal widzieć w ZSSR pierwszy kraj socjalizmu, albo uznać, że idea socjalistycznej sprawiedliwości została w nim zaprzepaszczone. Byłaby jeszcze trzecia możliwość: wyrzec się socjalizmu jako rzeczywistości i pogodzić się z tym, że jego wartość tkwi w uto-

pijnym micie. Podobne wybory i samookreślenia były dokonywane przez intelektualistów w następnych latach (nie tylko na Zachodzie).

Politycy nie stracili tupetu ani pewności siebie. Co zresztą jest zrozumiałe, wiedzą bowiem, iż polityka ma niewiele wspólnego z urzeczywistnianiem mitów, a rozpowszechniona wiara, że biurokratyczno-polityczne państwo spełni moralnie ideały ludzkości, jest żartem historii, wziętym na serio przez poetów. Tak dalece na serio, że póki było możliwe przeczyli istnieniu obozów koncentracyjnych w ZSSR i łamaniu prawa w innych krajach bloku. „Zbyt wiele mam do czynienia z ludźmi niewinnymi, którzy kłzczą o swej niewinności, abym mógł się zajmować winnymi, którzy uznali swoją winę” — pisał po wyrokach śmierci w Pradze poeta Eluard, którego czystości duchowej nie poddawano w wątpliwość.

Tłumaczyć to oportunizmem lub strachem byłoby powierzchowne. Czyżby oportunizm i strach nie pozwalały w czasie wojny Anglikom i Amerykanom uwierzyć w hitlerowskie obozy śmierci mimo przedstawianych dowodów? Prawdopodobnie moment przełomu nadchodzi nie wtedy dopiero, gdy totalitaryzm zwątpi w siebie (jeśli w ogóle umie wątpić), lecz poprzez wcześniej zbiorowy proces psychologicznej komunikacji. W pewnej chwili następuje jednoczesne skryształowanie się nowej świadomości. Referat Chruszczowa był wstrząsem dla wielu ludzi nie dlatego, że zburzył ich niezachwianą pewność, lecz przez to, że wyzwolił ich tłumioną niepewność. Obawy i skrupuły, trzymane dotychczas pod dnem sumienia, zostały wypchnięte na wierzch przez fakty zbrodni i liczby ofiar. Szok był natury moralnej.

Politycy reagują inaczej. W marcu 1956 miałem sposobność obserwować z bliska ich reakcje. Byłem w Krynicy, w sanatorium Ministerstwa Zdrowia, gdy z Warszawy przyjechało kilku członków Komitetu Centralnego z tekstem referatu Chruszczowa, rozdanym na plenum. Tekst był w języku rosyjskim, nie przełożono go jeszcze na polski. W sali jadalnej niektórzy działacze partyni, słabiej znający rosyjski, prosili swych towarzyszy o dokładne przetłumaczenie fragmentów, widocznie brzmiących na oko zbyt niewiarygodnie. Widziałem, jak sztywnieli. Później dochodziły mnie strzępy rozmów i wymieniane uwagi. Przypatrując się tym ludziom miałem jednak pewność, że zgrozę wzbudziły w nich nie zbrodnicze fakty, lecz wyłącznie fakt ich ujawnienia. Miałem pewność, że gdyby nazajutrz obalono Chruszczowa i uznano jego referat za wyuzdaną próbę oszkalowania Kraju Rad, ci sami działacze natychmiast odzyskaliby spokój ducha, jakkolwiek zbrodnie

pozostałyby zbrodniami. Zwątpienie ogarnęło ich na krótko — i nie w siebie, i nie pod wpływem moralnego wstrząsu. Zwątpili, czy mechanizm systemu nadal funkcjonuje. Póki funkcjonuje, można dialektycznie uzasadnić każdą zbrodnię.

W szkicu „Notatki do Sartre’a” pisałem w roku 1958: „Był pierwszym z urzeczonych. Pierwszym z tych, którzy zadrżeli na myśl, że najwyższe sprawdziany wartości mogą być zawarte w historii”. Pisząc to nie znałem go jeszcze osobiście. Rok wcześniej w miesięczniku *Les Temps Modernes*, redagowanym przez Sartre’a, ukazała się moja „Obrona Grenady” w numerze poświęconym polskiemu Październikowi. Sartre zamieścił później w całości „Matkę Królów”. Kiedy dowiedział się, że wydrukowałem o nim esej, polecił go przełożyć na francuski. Przeczytał go i powiedział do tłumaczki: — Zdaje się, że pisząc o mnie Brandys myślał o sobie.

Miał chyba sporo racji. W moim szkicu czuło się atmosferę „Kuźnicy”, dla której marksizm był kluczem do formuły postępu. W historii — pisanej z wielkiej litery — autorzy „Kuźnicy” szukali uzasadnień dla swoich opcji ideowych. Mało kto dziś dostrzeże, jak często i chętnie „Kuźnica” powoływała się na tradycje Jakobinów, unaoczniając w ten sposób konieczną linię procesu dziejowego od zburzenia Bastylli do szturm na Pałac Zimowy. Pamiętam z owego czasu twierdzenie Ważyka, że Związek Sowiecki jest na etapie chłopskiego bonapartyzmu. Tego się nie pisało, ale tak się mówiło. Zapatrzeniem w historię autorzy Kuźnicy byli dotknięci w większym stopniu niż Sartre, który od intelektualistów żądał nade wszystko podjęcia odpowiedzialności za rzeczywistość. Inna rzecz, czy w pełni zdawał sobie z niej sprawę. Albo: na ile ukrywał ją sam przed sobą.

Jestem pewien, że pragnieniem Sartre’a było utrzymywanie osobistych stosunków ze Stalinem, i myślę, że starał się o to. Dlaczegoż by nie? Był Wolterem swojej epoki. Stalin mógł go fascynować nie mniej niż caryca Katarzyna encyklopedystów. Dawno minął już snobizm na oświecone głowy panujące. Dyktator-ideolog w chłopskich butach był dla zachodnioeuropejskich myślicieli postacią znacznie ciekawszą. Sartre musiał słyszeć liczne relacje i anegdoty o Stalinie. Choćby tę, którą opowiadał Erenburg. Pewnego razu Stalin wezwał na Kreml grupę luminarzy sowieckiej literatury i oznajmił im: — Można pisać albo jak Szekspir, albo jak Czechow. Ja, gdybym był pisarzem, pisałbym tak jak Szekspir. A wam radzę, żebyście pisali jak Czechow. — Relacja ta, niewątpliwie autentyczna, z pewnością zachwycała Sartre’a. Intelektualiści lubią podziwiać kaprysy wschodnich sa-

trapów, zwłaszcza gdy są wyrafinowane. Przypuszczam, że Sartre widział w Stalinie partnera do dyskusji i wyobrażał sobie, że mogliby się wspólnie zastanawiać nad kształtem socjalistycznej kultury. A poza tym... Rosja. Sympatia paryskich filozofów dla Rosji ma źródła dawniejsze niż Entente Cordiale. Sięga do oświeceniowego mitu Prostaczka, istoty naiwnej i w sposób naturalny dobrej. Takim Prostaczkiem był rosyjski olbrzym, a później dwustumilionowe sowieckie stworzenie, edukowane przez marksistów w robotniczych czapkach. Jakiż filozof oparłby się pokusie udzielania wskazówek i rad. Oceniając postępowanie filozofów, nie wiemy, co się im śniło.

Po jakiejś rozmowie zadedykował mi tom „Dróg wolności”: „*A Casimir Brandys dont les œuvres ont été pour moi la révélation de ce que pouvait être la littérature socialiste — avec beaucoup d'envie, d'estime et d'amitié*”.

To były lata sześćdziesiąte. Przecież wtedy — on, ze swoją przenikliwą inteligencją, musiał już rozumieć, że „*la littérature socialiste*” w ogóle nie istniała, że jest tylko zestawem słownym nie oznaczającym nic rzeczywistego.

Po śmierci Stalina i XX Zjeździe odbył podróż do ZSSR i czynił starania, by nawiązać kontakt osobisty z Chruszczowem. Chruszczow go nie przyjął.

Dawna notatka, sporządzona chyba ze dwadzieścia lat temu, pewnie w trakcie pracy nad książką. Znalazłem ją między kartkami zeszytu.

„Wszelkie środki osiągnięcia równowagi między własną sytuacją a koniecznością jej wytrzymania do końca przynoszą zaszczyt człowiekowi. Godność jest jednym z tych środków. Jest sposobem ukrywania złej prawdy z przyczyn, które uznało się za nadrzędne w stosunku do siebie samego. Tając prawdziwy stan rzeczy, zachowujemy się zgodnie z hipotezą roboczą wyznaczającą cel rzeczywistości. Godność jest to poniekąd samopoczucie sprzyjające uczestniczeniu w fabule, ambitna skłonność do interpretacji faktów jako scen kompozycji”.

Łatwiej mi było tak myśleć dwadzieścia lat temu niż dzisiaj.

Czwartek. Przyływ euforycznej żywotności po nocy z połową tabletki reladormu i połową valium. Wystarczy tak mała dawka, abym czuł nazajutrz radosne przywiązanie do życia. Wydzwaniam po znajomych, pytam czy wszystko dobrze i jak sobie dają radę, pocieszam z dużą siłą przekonywania. To jest

szczerze. Czują w moim głosie wewnętrzne pokrycie i ciepło. Są poruszeni, wdzięczni. Więc jednak żyje we mnie źródło, tabletki niczego nie wydobędą z próżni. W podobnej, ale chyba silniejszej euforii Staś D. wsiadł kiedyś w pociąg i pojechał do Koszalina, tylko po to, żeby powiedzieć swojej dawnej znajomej, starszej pani, że przed wojną ją kochał. Ochłonął w drodze. Wysiadł i nocą wrócił do Warszawy, gdzie zdążył jeszcze zastać otwartą knajpę w „Spatifie” i natychmiast się upił. Euforii po środkach nasennych doznawał także nieszczęśnik, który w napadzie furii zasztyletował żonę, skazano go na wiele lat. W więzieniu napisał powieść autobiograficzną, której fragment czytałem. Pisał, że środek nasenny brał za dnia, pewnego razu zażył go na czczo w pociągu, w toalecie. Po powrocie do przedziału miał taką siłę psychiczną, że oczarował pasażerów, nikt nie mógł mu się oprzeć — podbijał serca.

Wczoraj na Marszałkowskiej zobaczyłem wsiadającą do tramwaju dentystkę, która półtora roku temu usuwała mi zęby. Erotyczne skojarzenia do dzisiaj. Kiedy rwała mi zęby, poczułem jej fizyczną bliskość, wparła się we mnie biodrem. Po ekstrakcji, już okaleczony, ale pełen ulgi i tkliwości, najchętniej zaraz położyłbym się z nią do łóżka. Jeszcze jeden przyczynek do tajemniczych stosunków między ofiarą a katem.

Zarysowują się projekty wyjazdu na zimę w związku z zaproszeniem do Nowego Jorku. Daleka podróż, stawiam opór. Sprzeczka z M., która mówi, że właśnie dla takich nieoczekiwanych zdarzeń warto żyć. Na co odpowiadam: — Warto żyć tylko dlatego, że człowiek się urodził, nie ma innych powodów. — Umilkła. Wieczorem przy herbacie zapytała, czy naprawdę tak myślę.

Poniedziałek. Trzy godziny po ciemku w kolejce do stacji benzynowej w Alei Sobieskiego. Przede mną o pięć samochodów Ch. we Fiacie, dawny kolega z uniwersytetu. Siedzi u mnie w wozie, rozmawiamy paląc kartkowe papierosy. Za każdym razem gdy kolejka przesuwa się naprzód, Ch. wyskakuje, biegnie i pcha swojego Fiata. Potem wraca i znowu siada obok mnie. Twierdzi, że wojskowej interwencji sowieckiej nie będzie, inaczej postanowiono. W główne łącza administracji państwowej wstawieni są ludzie do szczególnych poruczeń, którzy, gdziekolwiek reforma zaczyna działać i gdy tylko w jakimś miejscu rzecz posunie się naprzód, mają za zadanie to miejsce rozsrubować. Faceci nie do ruszenia, mówi Ch., w aparat państwowy wbudowany jest aparat sabotażu. Zapewnia, iż jedna z takich osobis-

tości zajmuje kierownicze stanowisko w jego instytucji (resort komunikacji). Po czym rozmowa o Wałęsie. Ch. patrzy trzeźwo: „Solidarność” bez Wałęsy rozpadłaby się od razu. Sam Wałęsa (Ch. mówi o nim „Lechu”) to indywidualność o dyktatorskich ambicjach, prymitywna, ale z instynktem realisty. Nie chce słu-chać inteligentów, dąży teraz do przetrzymania na chłopski rozum, do przycupnięcia przed kolejnym skokiem. Mówię, że według mnie Wałęsa nadal ucieleśnia ducha ulicy i jest bohaterem ogon-ków. Charakteryzuję go: coś z króla i coś z ćwieczka, a z tymi wąsami, jak namalowanymi, przypomina postać z ludowej szopki. Później rozmawiamy o wojnie, o okupacji, że można było ją prze-trwać tylko dzięki wierze w sprawiedliwy koniec, a dziś tej wiary nie ma. Ludzie najczęściej znoszą strach przed przyszłością, która jawi się bezkształtnie jak mrok. Przy pompach benzynowych pra-cownicy w niebieskich kombinezonach wykonują milcząco zauto-matyzowane gesty robotów, oczy jakby ślepe, bez spojrzenia. Nazajutrz rano taka myśl: że głębokie nieszczęście lub jakiś ból dużej miary, nie one wprawiają mnie w grozę — bo w nich się często na wpół zasypia — przeraża mnie dopiero prześwitująca za nimi konieczność pójścia na pocztę, wypełnienia formularza, i te małe smory dolepione do prawdziwej kłęski jeża włos. Czło-wiek w nieszczęściu drętwieje, zamienia się w słup soli. I słup soli ma wypełnić formularz na pocztę!

Idąc Miodową spotkałem Barbarę Hoff w męskiej marynarce i spodniach, z ślicznie ostrzyżoną głową i nerwowo smutnymi oczami humorysty, w czym przypomina mi Olgę S., którą nazy-wam „zropaczoną komiczką”.

Wtorek. Rozpuszcza się pogłoski o grożącej rewizji zachod-nich granic Polski. Znaczy to ni mniej, ni więcej: jeśli się nie uspokoić, pozwolimy Niemcom odgryźć waszą prawą rękę... Wczoraj do północy siedzieli u nas Wajdowie. Andrzej w swojej najlepszej formie, rasowy konik w stajni talentów. Wspaniała otwartość, rycerskość szczodra i lekkomyślna. Wszystkie preten-sje jego zazdrosnych przyjaciół wydają się małoduszne. Nie mówiąc o wrogach: jest zniechęcony przez cały partyjny ciem-nogród. Za parę dni leci do USA po doktorat *honoris causa* uniwersytetu w Waszyngtonie i oboje z Krystyną zaśmiewają się z tego. Trochę go zmartwiłem informacją o Napoleonie, że zame-chał otoczenie potworną gadatliwością i był monologistą na miarę Hitlera. Wajda podziwia Napoleona. Opuszczając mieszkanie po kolejnym rozwodzie zabiera ze sobą tom jego rozkazów i małą walizeczkę. Opowiedział kilkanaście historyjek, z każdej można by zrobić pełnometrażowy film. Rozrzutność człowieka obdaro-

wanego, przeciwieństwo tych, co mało mówią, żeby akumulator się nie rozładował.

Z homilii księdza Tischnera na zjeździe „Solidarności” w Gdańsku: „Patrzcie na przeszłość Rzeczypospolitej! Gdzieś u jej zaczątków ogromne pęknięcia. Król zabija biskupa krakowskiego. Kto tu ma rację? Jedni mówią tak, inni inaczej. Młode ciało narodu u początków rozkładu. Mijają jednak wieki, a Rzeczpos-polita rośnie i — przyznaje się do obydwa. Król pozostaje — mimo wszystko — kimś z Polski. I biskup jest kimś z Polski. Pozostają w historii jako dwa wielkie znaki ostrzeżenia. Rzeczpospolita rośnie, pokonuje rozdarcie. Znow mija czas. Pogra-niczne wojny z Litwą, Leje się krew. Ktoś szuka zwycięstwa. Ktoś chce zemsty. Przychodzi czas królowej Jadwigi. Unia z Litwą. Rzeczpospolita rośnie, pokonując uczucie zemsty, nie-przyjaźnie, pęknięcia, rozdarcia. Nie chodzi o to, że ciało rosło. Ciało rosło dlatego, że duch rósł. Potem przychodzili ludzie różni. Było osadnictwo niemieckie, byli Ukraińcy, byli Rusini, Żydzi, Arianie, protestanci, było wielu innych. Każde pęknięcie było pobudzeniem do wzrostu. Rzeczpospolita była większa. Dziś pochylamy się nad pęknięciami, które przechodzą przez nas. Szarpia nam nerwy, nie dają spać. Brakuje światła, znow ktoś nie rozumie naszej drogi. Sami jesteśmy popekani. Trzeba, żebyśmy wyjechali stąd z powiększonymi duszami. Kto ma jeszcze jakiegoś upiora w duchu, niechże go wygna. Trzeba powiększyć dusze”.

Piątek. Finał wątku Domaradzkiego? Rano telefon. Pełny, zdrowy głos: — Dzień dobry! Tu Jurek Domaradzki! — Od jego ostatniego pojawienia się i zniknięcia minęło pół roku. Do-maradzki zawiadamia mnie, że scenariusz „Romantyczności” jest gotów. Właśnie go skończył, telewizja asygnuje sumę przewi-dzianą na produkcję — szlaban wreszcie się podniósł. Umawia-my się, że egzemplarz scenariusza zostawi mi w Klubie. Naza-jutrz odbieram go w szatni, po południu czytam i w nocy posta-nawiam błagać Domaradzkiego, żeby się wycofał, dał spokój — sobie, mnie, Słowackiemu — aczkolwiek muszę przyznać, że adap-tację zrobił jak lepiej nie można. Ale tkanina opowiadania jest taka, że nie da jej się przełożyć na kadry filmowe, podobnie jak snu nie da się zanieść do intraligatora, żeby go oprawił. W przy-szłym tygodniu mu to powiem. Oby tylko sprawa wróciła do punktu zerowego. Oddam pieniądze. — Wieczorem po zakupy z M. Cała dzielnica prawie wygaszona, w mętnym półmroku biegają rozkrzyczane wycieczki szkolne, ciągnięte przez nauczyciel-

ki, nie wiem skąd i dokąd. Potrąceni, wpadamy do opustoszałej spółdzielni, gdzie wśród gołych półek także pływa mrok. Tam widzę stojącą z torbą znajomą rzeźbiarkę, jakże piękną niegdyś w Kazimierzu na werandzie u Berensa, a która teraz zwraca się do nas z uśmiechem dzielnie ironicznym, mówiąc, iż wróciła z zagranicy widocznie po to, aby oglądać upadek Polski, i że jej mąż w zeszłym tygodniu złamał sobie kręgosłup. Prędko do domu.

Poniedziałek. Znowu słonecznie i ciepło. W niedzielę z JMRami w Ogrodzie Botanicznym, gdzie na ławce w górnej alejce spostrzegam dwóch chłopców z mojej klasy. Jeden siwiejący, z brzuszkami, drugi wychudły, z ogromnymi brwiami. Siedzą w słońcu, nachyleni ku sobie. Dwa tygodnie temu, gdy zebrała się garść niedobitków w budynku gimnazjalnym koło Zboru, od razu mnie przeraził ten chudzielec. Po resekcji żołądka jakby nic z niego nie zostało prócz brwi, nastroszonych i czarnych. Tamten z brzuszkami niewiele się wtedy odzywał, przez cały czas oglądał maturalny album. Wyszedłem wcześniej, zostawiając ich w starym nauczycielskim pokoju, obwieszonym pamiątkowymi fotografiami. Przyrzekłem sobie, że zatelefonuję do zoperowanego biedaka, pojedziemy za miasto na spacer, w szkole lubiłem go bardzo. I przez dwa tygodnie nie zatelefonowałem. Ale zatelefonowałem do niego tamten z brzuszkami, siwy i milczący, który wtedy trzymał się na uboczu. W Ogrodzie Botanicznym siedział teraz przy nim na ławce, opiekuńczo nachylony, udzielając mu pociechy. Ktoś inny spełniał moje dobre zamiary. Nie wiem nawet, czy mnie zauważyli.

Słuchałem fragmentu „Miesiący”, przeczytanego doskonale przez Voigta w III programie radiowym. O Gombrowiczu i pierwszym pobycie w Berlinie, z opublikowanego tomu „Miesiący”. Wrażenie jakby mundur cenzury nagle puścił w szwach. „Miesiące” wyszły w NOW-iej i w Maisons-Laffitte, radio Wolnej Europy transmitowało je w odcinkach, co jeszcze nie tak dawno znaczyło śmierć cywilną dla autora. Dziś najspokojniej czyta się „Miesiące” w Polskim Radiu, opatrując je wyssaną z palca wzmianką, że książkę przygotowuje do druku Państwowy Instytut Wydawniczy. Może chodzi o stwarzanie złudzeń prawdziwej odnowy, albo też są wśród radiowców odważni sympatycy, którzy przepychają ryzykowne teksty. Słuchając tego, co napisałem o Gombrowiczu, wpadam na odkrycie, czemu krytycy są nim tak urzeczeni. I myślę: bo poznali w nim swojego. Wielbią go jak nikogo, chociaż traktował ich źle („Słuchajcie, hipopotamy!”).

Ależ tak, to był krytyk. W swoim piśarstwie podsuwał im pod nos gotowe tematy do intelektualnych analiz. Dlatego piszą o nim z takim apetytem. Także w jego stosunku do literatury są cechy typowe dla krytyków. Patrzy na nią, jak oni, i weszły za tym samym, co oni. Za problemami! Pisząc gdzieś o Genecie twierdzi, że autor poruszył co najmniej jedenaście problemów, których nie ma u Prousta. Pewnie! Proustowi nie śniło się poruszanie problemów. Ale Genet nie napisał ani jednej strony takiej, jak opis pierwszego spotkania barona Charlusa z Jupienem. Filozofio, postanowiono, że masz wyręczać talent... Niedawno mądry Adam Z., którego lubię, przekonywał mnie, że Tomasz Mann wyrażał jedynie to, o czym wiedziano w jego epoce, nie był filozoficznie odkrywcy. Czy wiedziano także, jak madame Chauchat wchodzi do jadalni trzaskając drzwiami? Gombrowicz nie tworzył wyrazistych scen ani niezapomnianych postaci, tylko figury i linie myślowe. Ważne, niezwykle. Chciałoby się powiedzieć, że nie był utalentowanym pisarzem — że był czymś mniej i czymś więcej. Wiedział jednak, czego nie potrafi. Nie miał kreacyjnej wyobraźni literackiej, był myślicielem — krytykiem, który genialnie zastąpił artystę. I tak jeszcze jedną swoją słabość przerobił na siłę. Wspaniały Gombro. — Wymagałoby to rozwinięcia. Podobnie resztą jak przedtem stroniczka o Sartrze, który przy swoich małościach był potężnym wyrazi-cielem epoki środka wieku. Właściwie nie piszę już, tylko zapisuję. Nie stać mnie, w tym co nas osacza, na podjęcie większego tematu. W mieszkaniu zimno. M. ma coraz więcej kłopotów w zdobywaniu żywności. Kolejki sześciogodzinne, niektóre ustawiają się o 5-ej rano. Jeśli się sprawdzą posępne wróżby na zimę, będziemy gettem w środku Europy. Przybywa analogii: tam były także restauracje, kabarety i utrzymywanie pozorów normalnego życia wśród biedy i rozpacz, w potrzasku. Na obiadach w Klubie zauważam przejawy strachu, również takie, które budzą niesmak. J. wczoraj zaczął oskarżać „Solidarność” o szantażowanie narodu i rządu. Błady jak papier, ręce mu się trzęsły. Mówię: przecież to jest opór narodowy, patrz szerzej, nie dostrzegasz wielkich wymiarów. Gdzieś chyba był, z kimś rozmawiał i dał się przerazić. Kobiety potrafią uroczo obracać swoje zmęczenie w cierpki warszawski żart. Kiedy na obiad niespodziewanie przyszedł Marian i oświadczył, że mimo wszystko dzieje się rzecz wspaniała, żona Tadeusza Konwickiego wykrzyknęła: — Wspaniała! Zeby ją tylko wytrzymać. — Jeśli nachodzą mnie skojarzenia z gettem, to mam także na myśli głębsze pokrewieństwo historii Żydów i Polaków. Mała, uparta Judea

ze swoim Bogiem, co tak okrutnie ją doświadczał, zwariowany naród, który nie uklęknął przed Supermocarstwem. Niestety zostało przyspieszone przez gromady wyrostków, obrzucających kamieniami rzymskie kohorty u bram miejskich.

Sroda. Dwaj polscy pianiści, Tomaszewski i Kisielewski (syn Stefana), występujący w NRD, przybyli na swój koncert z przypiętymi znaczkami „Solidarności”. Organizatorzy zażądali od nich, aby odpięli znaczki. Pianiści odmówili, koncert się nie odbył. — Słyszę, że Piotr Słonimski nie otrzymał wizy wjazdowej do Polski. Od roku jest przewodniczącym Solidarité France-Pologne, rozwinął we Francji szeroką akcję składkową na rzecz „Solidarności”. Do kraju przyjeżdżał rokrocznie, by wyjednać w ministerstwie zezwolenia na staże naukowe dla młodych biologów, których ściągał do swego laboratorium w Gif. Nie wpuścili go. Ostatnio widziałem go w kwietniu na wielkanocnym śniadaniu, z Kołakowskimi, Wiktorem Woroszylskim, Jarosławskimi i innymi z kraju i z dalekiego świata, opętanymi Polską w Warszawie, Oksfordzie, Bremie czy gdzieś w Sydney. Nazywam takich *les anormaliens*. Ofiarowałem wtedy Krzywickim „Miesiące” z dedykacją, wspominając w niej lata wspólnie przeżyte w *Ecole Anormale Supérieure* polskich doświadczeń, z których wyrosł mi. Z wielkanocnego śniadania w Gif został mi w pamięci Leszek Kołakowski, przezroczyście — kosteczki i uśmiech — a tak silnie promieniujący, że pod cieniutką skórą widać niemal było inteligencję ducha. Po dwunastoletnim niewidzeniu spotkaliśmy się wówczas u Piotrów w Gif.

W Klubie obiady bezmięsne, a od jutra ma nie być także drobiu. Przedstawiciel rządu w komisji mieszanej do spraw żywności nazywa się Indyk. W Warszawie przerwano budowę dwóch nowoczesnych wieżowców, w całym kraju wiele fabryk stoi unieruchomionych. W Łodzi pojawiły się nalepki. „Budowali Drugą Polskę — zbudowali Trzeci Świat”. Szybujemy ku afrykańskimi poziomom. Rozmyślając o bankructwie imprezy gierkowskiej, uprzytamniam sobie, że Stanisław August z potężnym mitomanem Tyzenhauzem postanowili uprzemysłowić kraj i spędzali na Litwie chłopów do nowo założonych fabryk. Wkrótce fabryki zamknięto, po jakimś czasie zostały gołe mury wśród borów litewskich.

Czwartek. G., niezły aktor, spotkany na Długiej opowiadał o swojej przygodzie z grupą chuliganów, którzy idąc za nim lżyli go ohydnymi wyzwiskami, a jeden go kopnął. Ulica była prawie

bezludna. G. widząc, co się święci, przystanął i — jak zapewnia — nieoczekiwanie dla siebie samego powiedział: — Panowie, zostawcie mnie w spokoju, dziś rano umarł mi synek. — Chuligani odeszli. G. jest bezdzietny. — Piszę w samochodzie przed szpitalem Akademii Medycznej na Nowogrodzkiej. Wychodzą młode lekarki, później gromadka pielęgniarek z jakiegoś kursu. Wszystkie ubrane z gustem i wesołe, niektóre uderzająco ładne. Jaka nieświadoma dzielność w tym zadbanie i fasonie zewnętrznym. Przypominają mi się kobiety z lat wojennych, ich oczy lekceważące grozę, uśmiechnięte. Patrząc na nie, myślę o ptakach, o ile byłoby nudniej, gdyby ich zabrakło. Czekam już blisko godzinę. M. na badaniu kontrolnym serca, mają jej przyczepić zagraniczny aparacik, rejestrujący skurcze dodatkowe. Fascynuje ją ten nowy cud techniki medycznej. Jadąc była niespokojnie ozywiona i zżymała się, kiedy wąpiłem, czy aparacik będzie równie cudowny dla jej nerwów. Od rana były kłótnie. Marny ze mnie psycholog, po co odezwałem się nieopatrznie, że wysiłki związane z zakupami odwracają jej uwagę od arytmii serca i że dzięki nim jest mniej wpatrzona w swój organizm. Wielki krzyk protestu! — W kawiarni SARPU widzę parę znajomych osób, sam przy stoliku siedzi... kto? Docent, a naprawdę zawiedziony artysta, wściekłość w ustach, które wessała do środka jego namiętna twarz, bezustannie chce kogoś obrazić, udaje mu się to czasami, na ogół jednak nie, bo ci, których chce obrazić, obchodzą z daleka jego stolik, toteż najczęściej siedzi sam, jak puma czyhająca w zaroślach. Na obiedzie filmowcy mówią, że od pewnego czasu zaczęło jednak ubywać widzów w kinach. Zmęczenie, uciążliwości komunikacyjne i stałe napięcie, trzymające przy telewizji i radiu, powodują, że kino przestaje się mieścić w psychologicznym układzie dnia. Mimo to na „Annie i wilkach” Saury po brzegi wypełniona sala. Film reżysersko znakomity, lecz zarazem jakby pozbawiony instynktu rzeczywistości, pokazuje degenerację mieszczaństwa. O nie, tego mam po uszy. Nie widzą, że już nie mieszczaństwo im zagraża, ale fanatyczny populizm, ale podziemne armie, kierowane przez mafie policyjne różnych małych i wielkich totalizmów. Bynajmniej nie mieszczańskich. Będą coraz bezlitośniej antyburżuazyjni i dadzą się wystrzelać jak kaczki przez Turków, Kubańczyków, Basków czy szaleńców. W związku z tym refleksje nad zasięgiem oddziaływania Sartre'a. Ukształtował nie tylko styl paryskich piwnic artystycznych. Był także patronem intelektualnym murzyńskich studentów z Quartier Latin, którzy obecnie są ministrami w państwach afrykańskich, jego pisma wywarły głęboki wpływ na Che

Guevarę, a jego inspiracji, mimowolnych zapewne, można się dogrzebać w dzisiejszym terroryzmie. Kiedy odwiedził w więzieniu przywódców grupy podziemnej Baader-Meinhoff, pewien znajomy młody Niemiec powiedział: — Był im to winien.

Sobota. Z felietonu Dedala w *Twórczości*. O pierwszych powojennych latach i podziałach mówi tak: „...dzieliliśmy się na tych, co nie wyobrażali sobie w ogóle życia w tzw. nowej rzeczywistości i sądzili, że albo to wszystko skończy się nowym, powszechnym kataklizmem, albo oni sami muszą zginąć, oraz na tych, co z kolei nie umieli sobie wyobrazić polskiego życia nadal takim, jakie ukształtowało się w ciągu wieków, i sądzili, że trzeba w nim zmienić wszystko, strukturę gospodarki i gleby, kształt społecznej budowy, krajobraz wsi i miast, styl kultury, kierunek rozwoju, związki z innymi kulturami, język, obyczaj, kodeks moralny. (...) Jak ten podział przebiegał? Ani wedle klasowych granic, ani wedle pokoleń, ani wedle światopoglądów (bo wszystkie zostały zafalszowane), i w ogóle nie wedle racji, nie wedle argumentów, lecz wedle instynktów i wedle charakterów. I to wcale nie znaczy, że ludzie o gorszych charakterach poparli zaraz „nową rzeczywistość i znaleźli sobie w niej szybko miejsce dla siebie, a ci o lepszych trwali w oporze. Albo, że głupszy poleciał za hasłami propagandy, a mądrzejsi potrafili się oprzeć. Nie, wcale nie. Przeciwnie, we wszystkich środowiskach ludzie wyróżniający się inteligencją, żywością, chłonnością optywali za nowością, bo ich pociągała, i instynktownie szukali pola do działania i popisu. Stanowili mniejszość, ale mniejszość aktywną w takiej mniej więcej proporcji, w jakiej zwykle środowiska i grupy społeczne dzielą się na ludzi aktywnych i... czekających. I oto dokonał się w całym społeczeństwie głęboki podział na mniejszość, która miała wyartykułowany światopogląd, reprezentację polityczną, pole do działania, szanse awansów i sukcesów, oraz na bezsilną większość, która nie miała nic”.

Przytoczone słowa tym więcej się liczą, że Dedal nie ma osobistych powodów, aby głosić tę niezbyt znaną część prawdy.

Dzisiaj podziały są już inne, wielki, główny podział oddziela społeczeństwo od władzy. A w samym społeczeństwie? W społeczeństwie, jak w każdym, dzieją się rzeczy dobre i złe. Wyraźniej i dotkliwiej zarysowuje się stary podział między wsią a miastem. Osobliwa jest chłopska miłość ojczyzny, która pozwala obojętnie patrzeć na udręczoną brakami żywności ludność miejską. Słychać, że na wsi jest wszystko. Wszystko się sprzedaje, ale tylko swoim, między sobą. Prerażone osły w prasie i telewizji

ryczą o konieczności wywożenia na wieś dzieci i starców przed zbliżającą się zimą. Na wieś! Kto się nimi zaopiekuje, kto będzie ich karmił, i za ile? Nie apoteozujemy *narodu*, tkwią w nim także uczucia i siły ciemne. W odbudowanej warszawskiej synagodze wybito kamieniami szyby w oknach. Konwicki, który robi tam sceny do swojego filmu, wrócił błądy: — Ludzie mieszkają obok i nikt nie przeszkodził. Jak to? Naród, który jest dumny z papieża Polaka i chce być z Panem Bogiem na ty, przecież to zobowiązuje... — Ktoś jeszcze mówi, że podobno nastrojom antysemitycznym daje do siebie przystęp również „Solidarność”. W zestawieniu z widocznymi dla mnie powinowactwami losu Polaków i Żydów nabiera to szczególnej niesamowitości. Wychodzi się z takich rozmów na podciętych nogach.

Słowa i uczynki, zarażanie się nimi. Człowiek niejednokrotnie waha się między poczuciem zła a uzasadnieniem się poprzez innych. Jak naturalnie i jak często jest miarodajne dla niego postępowanie innych ludzi. Co nie oznacza, że jest amoralny, to znaczy tylko, że jego normą moralną staje się pewna ilość osób, które postępują tak a nie inaczej. Kiedy nie możemy zrozumieć własnego postępowania w przeszłości, wytłumaczenie okazuje się nieraz zdumiewająco proste: bo tak robili inni. Mogłem to obserwować zarówno w postępowaniu wielu mężczyzn z kobietami, jak w sprawach zawodowych albo politycznych.

Poniedziałek. Wczoraj po południu u JMRów. Później odwieźliśmy Ewę do teatru. Wieczorem w dzienniku TV wiadomość o zmianie na stanowisku pierwszego sekretarza partii. W uchwale plenarnej zapowiedź ostrej walki z „Solidarnością”. Znowu pachnie stanem wyjątkowym. Na sekretarza wybrano premiera i ministra Obrony Narodowej, gen. Jaruzelskiego, który od strajków sierpniowych występuje w czarnych okularach.

Wtorek. Na Świętojeńskiej rozmowa z sąsiadem z garażu. Siwiewący pan, zamszowa kurtka, samochód Volvo i letni dom nad Pilicą. Mówi do mnie cicho: — Ja już nic nie rozumiem. Zmieniają się premierzy, sekretarze, a ja ciągle jem placki ziemniaczane. — Na co, ponieważ znowu rozmyślał o królu Popielu zjedzonym przez myszy (a pod tą legendą kryje się niewątpliwie jakaś ekonomiczna ruina), odpowiadam, że dzieje tego kraju zaczęły się od gospodarczego idiotyzmu, od katastrofy wywołanej przez czyjąś pychę i brak wyobraźni: pewnie więc od czasu do czasu tak się tutaj zdarza. W rozmowach z ludźmi dość trudno znaleźć właściwy ton. Chcę uniknąć pogrzebowego biadania, ale też nie mam ochoty sprawiać wrażenia człowieka, który postano-

wił być optymistą. Stąd ciągle strojenie głosu na spokojną godność, pozbawioną złudzeń, ale nie nadziei i humoru. Byłe nie straszyć ludzi swoimi upadkami ducha. — Czytam „Dzienniki” Claudela ze zmiennymi uczuciami. Nigdy nie lubiłem jego sztuk, ileż tam nadęcia i hałasów słownych. W „Dziennikach” widać jak mało się kontrolował, nawet w obrębie kilku zdań. Na przykład: „André Gide wyobraża sobie, że jest prosty, ponieważ jest płaski, że jest klasyczny, ponieważ jest anemiczny. To księżyc nad przytułkiem dla żebraków”. Powinien był skończyć na „ponieważ jest płaski”, reszta to sztuczne doładowanie frazy, zwłaszcza ów księżyc nad przytułkiem. Jego katolickie głębie są mocno podejrzane, a nieraz bywa mimowolnie zabawny w swym kolekcjonowaniu nawróconych: „Nawrócenie się Idy Rubinstein. Szaleję z radości”. I gdzieś dalej: „Ciekawy list od Romaina Rollanda. (...) Coś mi się widzi, że chce się nawrócić”. A zaraz obok pycha i sporo nienawiści. Komiczna furia na członków Akademii, kiedy nie przyjęli go do grona nieśmiertelnych. Nie-sympatyczny starzec kazał dla siebie i dla wnuka zbudować grobowiec z napisem: „Tu leży Paul Claudel i jego nasienie”. Równocześnie jednak potrafi zapisać myśl świadczącą o niepospolitości. „Biblia. Łatwo sztydzić z egzegetów usiłujących pogodzić ją z rozmaitymi koncepcjami i odkryciami jakich dostarcza nam nauka o wszechświecie. Istnieje zawsze coś, co nie pasuje. Biblia nie godzi się ze wszechświatem Darwina czy Einsteina. Ale nie pasowała także do wszechświata Hammurabiego. A gdyby to ona w końcu mówiła prawdę?”. Przy tym dużo praktycznej zaradności w sprawach pieniężnych. Nabywa posiadłość z zamkiem, po czym notuje: „Kupiliśmy byczka”. Chwilami robi na mnie wrażenie dyrektora fundacji kościelnej, który wziął się za literaturę. 30 września 1938 zanotował: „Rankiem wiadomość o Układzie Czterech w Monachium. Co za ulga! *Deo gratias!*” — W trakcie lektury dywagacje o pustkach w dzisiejszej literaturze francuskiej. Od wielu lat nie mają ani jednego prawdziwie wybitnego pisarza. Podobnie w filmie. Zabrakło im wielkich doświadczeń zbiorowych, sięgających głęboko do wnętrza. Ostatnim takim doświadczeniem była dla nich wojna 1914-1918 i po tej jatce starczyło im krwi jeszcze na ćwierć wieku. Druga światowa już ich tak nie przeorała. Również później nie doznali wstrząsów całego społecznego organizmu, jakimi dla Polaków były wojna i komunizm, a dla Amerykanów sprawa muryńska i Wietnam. Coś się przesuwają w Europie. Być może takie kraje jak Polska, Jugosławia, Hiszpania, Węgry, które — każdy na swój sposób, ale silnie — przeżyły faszyzm i komunizm,

staną się dla Europy nowym centrum doświadczeń. Dzisiaj w Polsce, wśród skurczów i w rozpaczliwej szarpaninie, może się rodzić przyszłe formy społecznego współżycia, które będą kiedyś potrzebne Zachodowi.

Sroda. Załatwianie formalności wizowych w konsulacie amerykańskim. — Około 4-ej po południu, w drodze do kina na film Truffaut'a „Miłość Adeli H.”, zagarnął nas tłum pędzący w stronę przystanku autobusowego. W Miodową i z Miodowej samochody w godzinie szczytu skręcały na wysokich, ryczących obrotach, ludzie biegli wśród kłębow spalin, przemykając się przez ciasne odległości między autami z tupotem i krzykiem. Słychać było śmiechy. Od kościołów po drugiej stronie ruch także spływał ku autobusom. Można by sądzić, że ogromne zbiorowe wycieczki w pośpiechu wyruszają za miasto. W matowym powietrzu wszystko rysowało się ostro, ulica roiła się od małych sylwetek, wykonujących jednakowe, jakby wspólne poruszenia. Wrażenie mimo to nie deprymujące — wartkiej, inteligentnej żywotności i powiązania ze sobą, w mijanych twarzach błyski wysiłku albo śmiechu. Nieprawdopodobna wola życia. Po filmie, w drodze powrotnej, już zmieniony obraz. Ulice prawie ciemne, wilgotna jezdnia odbija światła niewyraźne i ćmiące, w których ludzkie spojrzenia prześlizgują się z tajemniczą dwuznacznością. Na placu pod kolumną stoi nieruchomy rząd postaci oczekujących na taksówkę i kręcą się samotni przechodnie. W tym wyciszeniu i zwolnieniu jest coś niejasnego, w ciemnościach kryją się jakieś niewidzialne związki i przytulna osobliwość. Chodnikiem toczą się na ukos dwaj pijackowie, brzuchaci, w rozpiętych paletkach, słyszę urywek dialogu: — A charakter to kiedy miałeś? — Nie męcz, Zdzisiu, ja nie pamiętam... — Ci nie mają tajemnic.

Staruszka, której pomogłem zejść na pocztę z pierwszego piętra po kręconych schodach, mówi uśmiechając się do mnie: — Jestem stara. Miałam kiedyś siostrę i narzeczonego, ale to było przede mną.

Czwartek. W końcu września, przed drugą turą zjazdu „Solidarności”, podpisałem apel uczonych, pisarzy i publicystów do społeczeństwa. Apel wzywał rząd, partię i „Solidarność” do społecznego porozumienia. Grupa osób zebrana w redakcji *Więzi* przez kilka godzin opracowywała projekt tekstu — zdanie po zdaniu, części zdań i poszczególne słowa. Późnym wieczorem dzwoni Y. zawiadamiając mnie, że po namyśle uznał jednak odezwę za zbyt kompromisową i wycofuje swój podpis. Ja nie

— bo uważałem, że przyda się kilka chłodnych kropel na wrzątek. Niedawno jeszcze apele i protesty były znacznie ostrzejsze, lecz podpisywało się je na własne ryzyko, narażając tylko siebie. Dzisiaj chodzi o bezpieczeństwo milionów ludzi. Wkrótce doszły mnie opinie, że apel nie uzyskał zamierzonego znaczenia. Ale podpisując taką zbiorową odezwę nigdy się nie wie, jakie ona uzyska znaczenie. Apel nie wziął się z niczych urojeń. Doszło mnie teraz z kilku stron, że na wielu członków „Solidarności” ma wpływ ugrupowanie wysuwające hasła orężnej walki o niepodległość. Szaleństwo. Parę lat temu mówiono, iż jest to grupa półfikcyjna (jak u mnie w „Rondzie”), licząca najwyżej trzydziestu członków, z czego połowę stanowili jakoby agenci Bezpieczeństwa. Lecz jak się okazuje, jej działalność nie była mitem, istnieje, rozwija się. Znajdą się sposoby, aby podsycać to szaleństwo. Jednym ze sposobów na pewno było oświadczenie rzecznika prasowego rządu, który oskarżył „Solidarność” o stosowanie totalitarnych metod. Widziałem, z jaką wściekłością nazajutrz komentowali tę wypowiedź przechodnie na ulicach. Zastanawiam się, czy świadomie po to rzuca się takie słowa, żeby ręka sięgnęła po kamień.

Piątek. W konsulacie amerykańskim po odbiór wiz. Chłopak, pewnie siedemnastoletni, o rumianej twarzy z jasnym puszkciem, ustępuje mi miejsca: — Ja mogę postać. — Siadam po krótkich ceregielach. Formalności nie zabierają dużo czasu. Wcześniej dostaje się karteczkę z datą, w oznaczonym dniu zgłasza się przewidziana liczba petentów. Urzędniczki pracują sprawnie. Nie ma tłoku i jest zupełnie cicho, w przeciwieństwie do konsulatu zachodnioniemieckiego, gdzie zdenerwowany tłum czeka na ulicy oblegając budynek, do którego cerber wpuszcza co jakiś czas garstkę osób. Po południu odwiedziły pani Wandy, która dawniej przychodziła sprzątać, a teraz odwiedza nas z przyjaciółmi i w drobnych interesach. Przyszła z dwoma bukietami, papier przemókł na deszczu. Sądzić, że tzw. prości ludzie niewiele się różnią między sobą i mają ograniczone życie uczuciowe, to jeden z objawów pospolitości. M. mówi o pani Wandzie: „Emma Bovary, która się rujnuje nie przez kochanków, tylko dla rodziny”. Pani Wanda uwielbia swoje siostry i braci, zaciąga pożyczki, aby im pomagać, opowiada z przejęciem o ich licznych kłopotach i wniecznie załatwia ich sprawy. Zachowuje przy tym prostotę i pełną delikatności elegancję. Często przychodzi z kwiatami. Tym razem dowiadujemy się o nieszczęściu. Dwa miesiące temu umarł synek jednej z sióstr, dziewięcioletni chłopczyk.

Pani Wanda płacząc opowiada o jego pogrzebie. Po czym śpiesznie się żegna, musi jechać na cmentarz. Zostawia kwiaty dla M., drugą wiązanek zabiera ze sobą. Od dwóch miesięcy codziennie odwiedza grób siostrzeńca.

Zapowiedzi nowych strajków po zajściach w Katowicach i Wrocławiu, gdzie milicja rozpendzała tłum. Przykład błędnego koła: zła polityka rządu przyczynia się do ruiny kraju — protestem przeciw temu są strajki — strajki powiększają ruinę kraju. Jak wyjść z tego koła? W wielu regionach wystąpiły konflikty między administracją a robotnikami, coraz więcej napięć i zaognionych sytuacji, nad którymi zarówno rząd, jak kierownictwo „Solidarności” zdają się nie panować. W ostatnich dniach często słyszę określenia, jakich dotychczas w moim środowisku nie formułowano: „gnicie tkanki społecznej”, „położenie bez wyjścia”, „zbiorowe samobójstwo narodu”... Ktoś też powiedział: Polska jest pierwszym krajem, w którym komunizm pękł, dlatego że Polacy są społeczeństwem najmniej niewolniczym. — Gazety i telewizja zalewają potokami gadaniny. Pewien minister zalecił uszczelnianie okien słomą i mchem w celu utrzymania ciepła w domach, po dzienniku wieczornym TV wygłaszają obywatelskie pogadanki docenci o psychopatycznych fizjonomiach. Niektórzy dziennikarze specjalizują się w podawaniu wiadomości o rosnącym zdziczeniu społeczeństwa. Od kilku dni nęka mnie jedno z takich zdarzeń. Na ulicy w śródmieściu Poznania spokojny przechodzień został skopany i zakatowany na śmierć w obecności żony i dwojga małych dzieci. Zlinczowała go grupa młodych ludzi, zbrodni przyglądał się spory tłumek widzów. Nikt nie próbował go bronić. Co jakiś czas widzę całą tę scenę. Rozważając możliwe sposoby uratowania nieszczęśliwca (co bym zrobił, gdybym był się tam znalazł?) dochodzę do wniosku, że mógł go uratować jeden człowiek, u którego odruch udzielenia pomocy zadziałałby wcześniej niż odruch samozachowawczy. Być może nie udałooby mu się zapobiec linczowi, ale mogło się udać. I nawet gdyby przyplacił to własnym życiem, coś by jednak ocalił, jakąś resztkę pojęcia o ludzkiej solidarności. W przygodnym zbiegowisku nie było takiego człowieka. Albo było ich więcej, tylko nie odważyli się na porozumienie między sobą: to zawsze najtrudniejsze. Myśl, że kogoś można zamordować na oczach przypatrujących się świadków, jest haniebna i trudna do zniesienia. Pięćdziesiąt lat temu szansa ratunku byłaby większa. Policja mniej się zajmowała sprawami politycznymi, za to lepiej strzegła porządku. Ponadto w takich razach prawie zawsze znajdował się ktoś społecznie odpowiedzialny, nauczyciel, lekarz,

prawnik, reprezentujący postawę obywatelską, ktoś kto umiał właściwie postąpić. Nie mówiąc o tym, że wtedy jeszcze dość powszechnie odczuwany był nakaz etyczny obrony słabszego. Dzisiaj głębiej tkwi w ludziach przekonanie, że słabszy musi przegrać. Daje o sobie znać oswojenie z horrorem. Jesteśmy codziennymi widzami okropności — egzekucji, morderstw, zamachów terrorystycznych — i pijąc herbatę przed telewizorem oglądamy masakry bezbronných, ciała w płonących samochodach, ofiary tajfunów i trzęsień ziemi. Dawniej o takich faktach czytano w gazetach, druk stwarzał dystans oraz wrażenie abstrakcji. Telewizja i film wykasowują abstrakcyjność, przytępiając zarazem wrażliwość. W rezultacie widok masakrowanego człowieka na ulicy przestaje być wstrząsem, ogląda się scenę, tak jakby rozgrywała się na ekranie. — Cóż my zresztą wiemy o milczeniu tłumu, który się przygląda czyjejs męce. W gruncie rzeczy zachował się podobnie, jak zachowywały się całe społeczeństwa przez dziesiątki lat. W obliczu totalnej przemocy ludzkość nie wymyśliła nic bezpieczniejszego niż obserwacja i milczenie. Człowiek ma wówczas do wyboru tylko wyjścia psychologiczne, przemoc stwarza rozliczne kombinacje postaw przybranych, masek, sposobów gry i zakłamań. Droga do wynaturzeń i perwersji. Godząc się na przemoc można udawać etykę i racjonalizm. Również cynizm. Występuje też szczególny rodzaj „zakłamania za karę”. Za karę dla tych, co wciąż jeszcze wierzą w sprawiedliwość. Twierdzi się wtedy, iż życie pod przemocą nie jest bezwzględnie złe ani pozbawione sensu, złe i bezsensowne natomiast są wszelkie próby odzyskania wolności. Znam takich ludzi, gotowi są zdusić poduszką własny i cudzy głos protestu. Strach rozpościera bogate wachlarze, złożone z barw ochronnych i narysowanych figur. — Piotr mówił mi kiedyś, że prehistoryczne potwory, rozmaite przedpotopowe ichtio- i brontozaury, nie doceniły lub nie dostrzegły małych gryzoniów, uwijających się na ziemi między ich łapami. Zlekceważyły je. Potwory wyginęły, gryzoniki przetrwały. Ulegając kolejnym mutacjom wytworzyły gatunek *homo sapiens*. Zawdzięczamy więc istnienie tolerancji wielkich płazów. Kogo z kolei my lekceważymy: może komary? albo muchy? Za miliony lat potomkowie owadów będą odtwarzać na planszach nasze przeraźliwe kształty dwunożnych ssaków, kręgowców. Czy odkryją w nich złowrogi i wzniosły znak, że każdy z tych potworów wiedział, iż musi umrzeć?

Poniedziałek. Wczoraj w południe z zapowiedzianą wizytą

u mnie reżyser Janusz Zaorski w towarzystwie aktorów, którzy objęli główne role w filmie „Matka Królów”. Zapasiewicz: przenikliwość i siła wzroku, wyrazisty w chłodno akcentowanym poczuciu własnej wartości i świadomie nie uwodzicielski. Bardzo inteligentny, myśli jasno i sprawnie, i dużo spostrzega, może więcej niż mi się wydaje. Rzadki typ aktora, który mógłby być pisarzem i naukowcem, ale dobrze zrobił, że został aktorem. W czasie rozmowy wspomniałem jego ojca, także Zbigniewa, przywódcę Legionu Młodych, do którego należałem w gimnazjum. Pamiętam jakiś bal studencki i Zapasiewicz w otoczeniu wpatrzonych w niego młodych ludzi. Zapamiętałem go dobrze. Miał zycżliwe oczy i łagodny, trochę nieśmiały uśmiech. Było to na krótko przed rozłamem, po którym zbliżył się do PPS. Znałem niewielu ludzi cieszących się tak powszechnym szacunkiem i sympatią. Opowiadałem o tym jego synowi, który siedzi w fotelu naprzeciw mnie. Słucha z uwagą, po czym mówi, że o ojcu zachował wspomnienia bardzo mgliste. Miał chyba kilka lat w chwili jego śmierci. Pierwszy raz zdarzyło mi się rozmawiać z człowiekiem, którego ojca lepiej pamiętam niż on. W trakcie obgadywania spraw scenariuszowych przekartkował dwie książki, służące mi za podstawki pod filiżankę z kawą i ułożone na stojaku z pismami obok fotela. Odzywał się za każdym razem mądrze i z trafnym rozeznanie. Wyszedł wcześniej.

A *propos* obywatelskich postaw. W kronice wydarzeń na Litwie w latach 1857-1865, spisanej przez Jakuba Gieysztorą, co i raz napotykam znajome nazwiska, należące do tamtejszych obywateli i działaczy społecznych. Od razu na pierwszych stronach występują: Orzeszko, Witkiewicz, Kosko, Łapicki, Piłsudski, Zelwercowicz, Sołtan, Puzyna, Jeleński, Giedroyc, Czapski. Patriotyczne ziemiaństwo, powiązane między sobą stosunkami i powinowactwami (w języku marksistowskim: interesami klasowymi). Tworzyli klany rodzinno-sąsiedzkie, zbierali się na bankietach, ślubach, zjazdach i tajnych spotkaniach. Żyli w zlepionych warstwicach, jak łososie. Dziś ludzie o tych samych nazwiskach żyją w rozproszeniu, zarówno na emigracji, jak i tutaj w kraju. Mocno daje się we znaki brak odpowiednika tej obywatelskiej warstwy, z jej inteligenckim dziedzictwem, umiejętnościami organizacyjnymi i poczuciem odpowiedzialności. Obok nazwisk szlacheckich figuruje, rzecz jasna, działacz patriotyczny na Kowieńszczyźnie nazwiskiem Szapiro. — Ci przynajmniej gospodarowali, nie było im w głowie daleko podróżować, najwyżej parę razy na rok do stolicy. Był kiedyś taki kuplet warszawski: „Nie ma, nie ma jak dziedzice. Zasiał żyto i pszenice i wyrusza

do stolicy. Tam mu fryzjer goli lice, wąsy pomaduje w szpice. On wychodzi na ulicę”. Czuję treść przed tą daleką podróżą za ocean, która ma uchronić M. od stania w kolejkach na mrozie. Czy aby się nie przeliczymy z siłami. Pamiętam, co dr Preibisz mówił o naszym znajomym, który nabawił się zawału serca wskutek stresów i wysiłków podczas zagranicznej podróży. — W tym wieku — zauważył — trzeba już... — i wykonał charakterystyczny gest: ręka jak gdyby oparta o niewidzialną poręcz i kilkakrotny lekki ruch dłoni do tyłu, ruch przepuszczania czy odgarniania za siebie. Po czym wyjechał do Stanów Zjednoczonych i pewnie go tam zobaczą.

A propos policji. Znajomy lokator z sąsiedniej ulicy ostrzegł mnie, że w naszym domu czynny jest podsłuch, przypuszczalnie w jednej z piwnic. Zapewne instalacja działa od kilku lat i ma na celu nagrywanie prowadzonych u mnie rozmów. Wiadomość mnie nie zaskoczyła. Podejrzenia nasuwały mi się już dawniej, postanowiłem jednak wypędzić je z głowy. W moim mieszkaniu rozmawia się często o sprawach politycznych, jak w każdym domu, i o wielu innych. Pamiętać bezustannie, że wszystkie rozmowy są nagrywane na taśmę, stosować w nich autocenzurę — nie miałyby sensu. Zachowywaliśmy się więc jakby o niczym nie wiedząc i z czasem przestałem o tym myśleć. Ale teraz, kiedy mój domysł zdaje się potwierdzać, myślę na nowo. Nie to, żebym się obawiał konsekwencji wypowiedzianych słów, lub zdemaskowania konspiracyjnych tajemnic, bo ich nie ma — tylko chwilami miewam uczucie wyłączenia ze sfery domowej intymności. Okazuje się, że nasza codzienność, cała, od rana do wieczora, ta najmniej ubrana, szlafrokowa, że nasze okrzyki i klótnie o zgubiony klucz albo o stosunek do życia, że wszystkie było zarejestrowane, przesłuchane i umieszczone w kartotece. Dziwne i głupie uczucie. Wpada mi do głowy, że przesłuchanie tych taśm stałoby się dla mnie samego rewelacją: ile mógłbym dowiedzieć się o sobie z takich nagrań! Biografowie współczesnych ludzi sięgną kiedyś do policyjnych szuflad i znajdą tam skarby. Dawne archiwa biur śledczych, pisemne raporty szpiclów, listy i pamiętniki to nędzne okruchy w porównaniu z obrazem człowieka, jaki się wyłoni z jego słów, westchnień, krzyków i marmotań, z uprzejmych rozmów i samotnych przekleństw, nagrywanych w ciągu tygodni i lat na taśmę. Jego niekonsekwencje i kompleksy, egoizm, o którym nie miał pojęcia, przeleżą zarejestrowane w przegródkach. Szczęśliwi będą przyszli biografowie.

Wtorek. Dzień moich urodzin. Rano telefonował Marian

z życzeniami. Mówił, że hydraulik, który naprawiał piecyk w łazience, pytał, kiedy ukaże się jego książka „Miesiące”, czytana niedawno przez radio. Często nas mylą. Gdy wydałem już „Dżokera” a mój brat Marian opublikował fragment o Samosierze, zadzwonił do mnie jakiś czytelnik pytając, czy jestem autorem powieści o Koziętulskim pod tytułem „Dżokej”. Od lat przekazujemy sobie te omyłki. — W południe jeszcze parę telefonów z życzeniami. Dowiaduję się, że wczoraj w radiowej kronice kulturalnej mówił o mnie Matuszewski, jako o „pisarzu kontrowersyjnym”. Mam podobno gorących zwolenników i ostrych antagonistów. Ano, chwała Bogu. Właściwie to samo można było powiedzieć o Słowackim. Tyle że dzisiaj „pisarz kontrowersyjny” to nalepka, którą się przykleja z ostrożności, aby zbytnio się nie zaangażować. 6 : 5 — nie wiem tylko, czy na moją korzyść. — Zabawna nowa proza (*Twórczość* nr 8), tytuł: „Apogeum”, styl na witkacowski pograniczu wygłupu z pryncypialnością, autor: Józef Łoziński. W tymże zeszycie *Twórczości* esej Jana Kotta pod tytułem wziętym z aforyzmów Kafki: „Klatka szuka ptaka”. Gdzie się podział dawny Kott, ze swoją dowcipną inteligencją i racjonalizmem boyowskim, Kott piszący nigdyś z taką werwą o balzakowskich i szekspirowskich konkretnych, strzelający co chwila przebojowymi sformułowaniami? Teraz pisze o Kafce. Rozważa symbolikę Kabały, cytuje komentarze do Psalmów i parable mistrzów Zen. Błądzi po metafizycznych labiryntach istoty Bytu i uniwersalnej Prawdy. Mądre, dociekliwe, świetnie napisane, ale... Co mu się stało? Tak jakby wyrwał sobie język i założył go w odwrotną stronę. Mówi teraz trudniej i smutniej. Dopiero na końcu strzał: „Pewnego dnia, pewnego ranka nie dostaniemy śniadania. Dwaj nieznanymi wejda do naszego pokoju. Pewnego dnia, pewnego ranka obudzimy się w naszym własnym łóżku zamienieni w potwornego robaka. Jesteśmy aresztowani, mamy raka. (...) Klatka znalazła ptaka. Telefon jeszcze dzwoni, lecz po drugiej stronie już się nikt nie odzywa”. To znowu dawny Janek Kott. — Przed wieczorem około 5-ej Domaradzki. Powiedziałem mu wszystko, co myślę: że nie da się „Romantyczności” przerobić na film i lepiej póki czas się wycofać. Słuchał z niewinnym zdumieniem, a kiedy skończyłem, przysiągł mi, że się mylę. Film będzie piękny, trzeba tylko dopisać kilka stroniczek narracji wiążącej obraz. Przekonał mnie. Jest w tym Domaradzki jakaś optymistyczna moc, której ulegam. Porozumieliśmy się całkowicie i dalsza część rozmowy upłynęła na roztrząsaniu szczegółów obsady aktorskiej. Przed wyjściem zawiadomił mnie, że znika na miesiąc: wyjeżdża

(w okolicy Sahary) do swojej matki, lekarki; pojawi się znowu w końcu listopada. Mam napisać tę brakującą narrację. Zdaje się, że siła Domaradzkiego polega na absolutnej naturalności, która wśród małych pól, jakie nas otaczają, skazuje go na egzystencję nierozpoznaną. Będą o nim mówić, że się doskonale zamaskował.

Sroda. W mieszkaniach grzeją już kaloryfery. Całe śródmieście przeniknięte słodką wonią butwiejących liści, zapach idzie z dołu od chodników. Od góry wątle słońce na przemian z lekkiem, ciepłym deszczem. W taką pogodę odbył się jednogodzinny powszechny strajk ostrzegawczy. O 12-ej stanęły autobusy i tramwaje. Na licznych budynkach wywieszono flagi narodowe i sztandary „Solidarności”. Gdzieś tam transparenty z napisem STRAJK. Sporo zamkniętych lokali, kiosków i unieruchomionych taksówek. Miasto patrolują samochody milicji. Naróżniki u skrzyżowania Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi gęsto oblepione ludźmi, wpatrzonymi w płaskie, opustoszałe rondo, jak w arenę, na której za chwilę coś się zacznie dziać. Wszędzie dużo stojących osób na chodnikach. Na placu Zamkowym rząd pustych taksówek, zwróconych maskami do kolumny Zygmunta. Koło 1-ej przed zamkniętą cukiernią „Europejską” ogonek czekał na zakończenie strajku, podczas gdy za szybą drzwi wejściowych czuwało trzech młodych ludzi z białoczerwonymi opaskami. Wymieniano uśmiechy przez szybę. Punktualnie o 1-ej wszystko spokojnie ruszyło.

Czwartek. O 3-ej miał przyjść pan Pawlak, dozorca, z młotkiem i gwoździkami. Postanowiliśmy przenieść turecki dywanik z podłogi w większym pokoju, gdzie się niszczył, na ścianę w pokoju M. Godzina minęła, schodzę do kiosku i spostrzegam pana Pawlaka w szoferskiej czapce, siedzącego nieruchomo na ławeczce przed wejściem od strony podwórza. Pytam, dlaczego nie przyszedł. Wtedy pan Pawlak nagle czerwienieje, kieruje na mnie swoje grube szkła i podnosi się z ławki wyciągając ręce nieco dziwnym ruchem. — Proszę pana, ja nie mogę... Ja nie widzę gwoździa! Niech pan spojrzy na moje szkła. Wzroku już prawie nie mam. Przykładowo, jak pan tu idzie obok ławki, to ja pana rozpoznaję po chodzie. Lekarze chcą mnie operować, ale się boję... — Patrzę że bliska w jego wzmocnione szkła, widzę dwie małe soczewki podobne do pęcherzyków rtęci, i dopiero teraz rozumiem, dlaczego pan Pawlak, kiedy go mijam na ulicy,

nie mówi dzień dobry. Dał mi słoik z gwoździkami. Wbiłem je domowym młotkiem i razem z M. zawiesiliśmy dywan.

Dalej słoneczna pogoda i zapach gnijących liści na Krakowskim. I.W., spotkana po dwóch latach niewidzenia, znowu mi opowiadała o jakimś niedawno poznanym bezradnym studencie, dwa razy młodszym od niej, którym zaopiekowała się z czysto macierzyńskiej tkliwości. Sprawdza mi się, że człowiek nie zdradza się tym, co powiedział, lecz tym, że powiedział to drugi raz. — Tuż obok na Rynku, w Instytucie Historii PAN, odbywa się sesja badawczo-literacka, poświęcona polskiej literaturze współczesnej, nie publikowanej przez oficjalne wydawnictwa w kraju. Dostałem zaproszenie, ale nie poszedłem, tak jak przy całym współczuciu dla głuchych nie poszedłbym na ich koncert. Wśród tych badaczy literatury są nieraz mili ludzie, którzy w zetknięciu z żywym utworem literackim niemal z reguły zamieniają się w intelektualne monstra. W dodatku zniechęcił mnie niewydarzony tytuł: „Literatura źle obecna”. W programie jedy-nym interesującym dla mnie punktem był referat Tomasza Burka: „Zapomniana literatura polskiego października”, a to z pewnością będę miał okazję gdzieś przeczytać. Jutro ktoś ma mówić o „Miesiącach”. Dziwię się, że nie jestem ciekaw co o mnie powiedzą i jak ocenią. Od lat nic mi to nie daje, nic zupełnie, i pewnie dlatego tak mało obchodzi. Wiecznie to samo wrażenie, że pisząc o mnie, źle czy dobrze, mówią o jakimś innym autorze, który nawet nie czytał moich książek. Do krytyków najlepiej mieć taki stosunek jak pewien wróbel do ornitologów: „Pogadamy, kiedy nauczą się fruwać”.

Piątek. Każdy rząd jest zastępcą Pana Boga na ziemi. Wcale nie łatwo nienawidzić Boga jako sprawcy ludzkich nieszczęść, dużo łatwiej zamiast Niego nienawidzić rządu. Jest tak w wielu nieźle urządzonych krajach i to jest zdrowe, bo człowiek nie chce oskarżać siebie, lecz kogoś o własne kłęski. Dlatego dobry rząd powinien być zły. Nie tak dalece, by wszystko psuć i wywoływać bunty, na tyle jednak, żeby obywatel czuł się lepszy od niego i mógł go obarczać winą za swój los. Zastępstwo Pana Boga na ziemi niejednokrotnie pełnią również Żydzi. Wszędzie istnieją ludzie, którzy dotychczas im nie wybaczyli. Nie wybaczyli Żydom swoich cierpień zrzędzonych przez Boga. Być może jest to wina samych Żydów. Mają z Bogiem tajemnicze porachunki, z Bogiem, który rzekomo ich wybrał. Są przy tym najmniej zakłamanymi i najmniej skłonni do złudzeń, a jednocześnie raz na zawsze wstrząśnięci niesprawiedliwością. Najdrastyczniej repre-

zentu ją ludzkość, dlatego tak boleśnie rażą w oczy. Mówię oczywiście o najlepszych. Ale pośród Żydów nienawidzi się właśnie najlepszych. Niewiele by dało poniżyć niższość, to wyższość trzeba podeptać. Zastanawiają mnie chwile, kiedy odczuwam dumę, że noszę w sobie ułamek doświadczeń tego narodu. „Nie jest pewne, czy mam do niej prawo. Żydzi dobrze znający się na tym, co oznacza być Żydem, twierdzą, że ja nim nie jestem.

Po obiedzie był u mnie Marian, w niezłej formie, mimo dokuczającej astmy. Rozmawialiśmy długo o wszystkim. W wielu sprawach zorientowany jest lepiej ode mnie, ma częstsze kontakty z ludźmi. Po jego wyjściu rozważałem o kilku momentach w życiu, kiedy wypadło mi ustalić swój stosunek do zorganizowanej grupy politycznej i gdy pragnąłem się z nią zidentyfikować — dlaczego zawsze kończyło się niepowodzeniem. Prawdopodobnie dlatego, że jest wtedy konieczne wyłączenie swych indywidualnych cech i motywów postępowania na rzecz niejasnej zewnętrznej woli, której nie sposób w siebie wchłonąć i której zazwyczaj nie rozumie się w pełni. Przeważnie było tak, że zostawałem w tyle albo z boku, widząc jak sprawa oddziela się ode mnie. Czułem, że nie nadążę za nią. Wstrzymywało mnie kilka pojęć czy wyobrażeń, o których nie wiedziałem, że są dla mnie tak ważne. Chodziło zwykle o respektowanie czyichś odmiennych poglądów, o lojalność wobec uczciwych intencji przeciwnika, bądź odrzucenie zbyt ostrych metod walki. Nie potrafiłbym wówczas moich skrupułów dokładnie sformułować, odgadywałem jednak, że tej zorganizowanej grupy nie wiążą prawa, które są dla mnie oczywiste, i że w razie potrzeby byłaby gotowa je obejść lub złamać. A co najosobliwsze: że istnieje rodzaj przyzwolenia, cichy konsensus, odciążający grupę od przestrzegania tych praw. Dość wcześnie pojąłem, że dodając słowo *p o l i t y c z n y* łągodzi się znaczenie czynów społecznie zakazanych, takich jak szantaż, kłamstwo czy przemoc. W najdalszej zaś perspektywie prześwitywała rzecz budząca we mnie najsilniejszy opór: wyrok śmierci. Opatrując te słowa dodatkiem „polityczny” i zastępując je nieraz epitetem „zlikwidowanie wroga”, zmniejsza się ich okropność. I to w istocie przekreśla już wszelką możliwość utożsamienia się. Sfera otwierająca człowiekowi przestrzeń skutecznych środków działania, o przedstawionych znakach dodatnich i ujemnych, jest tak zwodnicza, że nigdy nie będzie za wcześniej z niej uciec. O tak, wystarczy usunąć jeden szczebelek w drabinie do nieba, aby ją całą zawalić i stracić się w otchłań piekielną...

Deszcz. Różne sprawy do załatwienia w mieście. Pół godziny

czekałem na Pięknej, gdzie M. robiono analizę krwi, i potem godzinę przed pracownią rentgenologiczną na Waryńskiego, gdzie prześwietlano jej klatkę piersiową. M. zaniepokojona i poważna, ma mi za złe, że nucę przez nos arie z „Don Juana”. Oświadczam, że jestem dobrej myśli co do wyników badań, czym prowokuję gwałtowny atak, zarzuca mi się obojętność i egoizm. Po odprowadzeniu samochodu, wracając pod parasolem z garażu spotykam małżeństwo Ł-czów. Przez kwadrans chodzimy od pomnika Kilińskiego do mostku przy Domku Kata i z powrotem. Bardzo przejęci sytuacją w kraju, mówią z podnieceniem: — Ależ ten K. to zupełna szuja, zawsze taki sam, od lat na wszystkich etapach powtarza swoje łajdactwa! — I zaraz potem: — Jak można ufać typom w rodzaju S., którzy z dnia na dzień stali się bojownikami o wolność! — Ja na to: — No, albo-albo. Do jednych mamy pretensję o to, że się zmienili, a do innych, że się nie zmienili. Trzeba się zdecydować na jedno z dwojga. — Śmieją się: — Ale obaj zamienili mieszkanie na willę! — Ł-czowie są młodzi i ładni, pobrali się kilka lat temu. Twierdzą, że cztery razy w ciągu roku dla odpoczynku nie rozmawiają ze sobą przez tydzień. Mówią o tym: suche wczasy.

Sobota. Jeszcze o moralności politycznej, to jest o amoralności. O tym, że nawet nie należąc do żadnej organizacji ani partii jest się bezustannie w sytuacjach politycznych. Powietrze jest polityczne. Współczesny człowiek rzadziej określa się czynkami wobec pojęć i wartości, częściej słowami w stosunku do ludzi i faktów. Miarą człowieczeństwa staje się wówczas opinia na dzisiaj, czyli to, jak skomentują nas inni. W tym uzależnieniu od cudzych oczu i ust zatracają się najprostsze cnoty; w końcu nie wiadomo, gdzie jest prawda, miłosierdzie i odwaga. Etyka coraz częściej ma cechy specjalistyczne. Uczeni, zaszczepiający sobie zarazki w celach badawczych, ryzykują życiem dla uchronienia ludzkości od raka. Pilot płonącego samolotu, zamiast się ratować skacząc ze spadochronem, ginie wraz z pasażerami, których chciał ocalić. Człowiek jest dziś wierny wartościom, jeżeli wie do czego służą. Nie jest pewny, czy ma bronić honoru lub prawdy, skoro zależą od zmiennych okoliczności i przekonań — nie wie bowiem wówczas, do czego one służą. We współczesnym świecie, w którym nie ma wielu znaków odradzania się etyki chrześcijańskiej, jeśli koniecznie pragnie się być optymistą, trzeba uwierzyć, że przyszedł humanizm zostanie wyłoniony przez cywilizację techniczno-naukową i że będzie to humanizm profesjonalistów, oparty na zawodowych cnotach. — A dla naszych

telewizyjnych Smerdiakowów, którzy doszli do wniosku, że wszystko jest dozwolone, ponieważ nie ma Boga, najstraszniejsza byłaby wiadomość, że amerykańscy fizycy i biologowie przeprowadzili naukowy dowód istnienia pośmiertnej nagrody i kary. Ha, widzę ich pobladłe twarze, kiedy się dowiadują, że za grzechy idzie się do piekła! Czy jednak „dowód piekła” stałby się panaceum ludzkości? Nie: zawsze pozostaną głupcy, którzy szerzą zło nieświadomie, bo nie umieją go rozpoznać. Źródłem niesprawiedliwości jest równie często idiotyzm, jak podłość, sprzymierzone ze sobą w sposób naturalny, a rozumny, uczciwy człowiek zazwyczaj nie wie o tym, że większość swych niepowodzeń zawdzięcza w tej samej mierze nikczemnikom, co głupcom: z obu stron wykręcają mu ręce.

Telewizja i radio transmitowały magnetofonowe nagranie: relację z wystąpienia Mariana Jurczyka w fabryce mebli w Trzebiatowie. Jurczyk jest przewodniczącym szczecińskiego regionu „Solidarności”, był przywódcą sierpniowego strajku w stoczni szczecińskiej. Według przekazanego nagrania głos Jurczyka mówił na wiecu w Trzebiatowie, że ludzie rządzący Polską są zdrajcami narodu i agenturą moskiewską. Głos mówił również, że dla przykładu trzeba będzie stawiać szubienice. Powiedział też, że trzy czwarte kierownictwa partii to Żydzi o zmienionych nazwiskach.

Niewiele słyszałem przedtem o Marianie Jurczyku. Pamiętam jednak, że na zjeździe „Solidarności” w Gdańsku, gdy wybierano przewodniczącego Krajowej Komisji Porozumiewawczej, otrzymał drugie miejsce po Wałęsie, ponad dwieście głosów. Jeśli nagranie jego wypowiedzi nie zostało sfałszowane — czego wykluczyć nie można — to teraz wiem przynajmniej, co tkwi w mózgu Jurczyka. Człowiek wstaje rano, je śniadanie i nagle słyszy wiadomość, która mu uświadamia, kto mógł zostać przewodniczącym dziesięciomilionowej organizacji, decydującej o przyszłości kraju.

Nie ufają inteligentom. Nie zdają sobie sprawy z tego, że demokracja nie ostatecznie się bez umyślowego przewodnictwa inteligencji. Przydałoby im się postudiować dzieje polskich walk o niepodległość i wolność. Jeśli tak dalej pójdzie, będą ogromnym ciałem bez głowy i ruszą za jakimś nowym Szelą upomnieć się o swoje krzywdy.

Uciekam od tych straszedeł w lektury, jak zawsze. Wzięłem z biblioteki „Głosy Marrakeszu” Canettiego, chcąc się zorientować, o czym i jak pisze tegoroczny laureat Nobla. Na stronie 160 czytam taką notatkę: „Nadzy mężczyźni na smyczy bogato

przyodziających kobiet: mężczyźni pokojowi niby pekińczyki”. Co mi to przypomina... Sięgam po mój stary brulion z zapiskami i po chwili kartkowania odnajduję zanotowaną kiedyś obserwację: „Czterdziestoletnie, piękne i najmodniejsze wprowadzają do kawiarni swych młodzieńskich kochanków o pyskach złotych spanieli”. Telewizyjni dziennikarze nazwaliby to „ciekawostką”. Słówko-plaga, ulubione od kilku lat pięściętko sprawozdawców w środkach masowego przekazu. Z masochistyczną boleścią śledzę ich słowotwory widząc, jak zmienia się i brzydnie nasz język w tej nakręconej paplaninie. Zanika stopniowanie przymiotników. Nie mówią „szerszy” czy „jaśniejszy”, tylko „bardziej jasny” i „bardziej szeroki”. Po czasownikach rządzących drugim przypadkiem niemal z reguły następuje czwarty. Mówią „bronić ojczyznę”, „dotrzymać obietnicę”, „przestrzegać przepisów” (w swoich przekładach Boy pisał jeszcze: „pożyczył książek panu Mounier”). Mógłbym wymienić około stu podobnych niechlujstw językowych. Przepraszam, dziś mówi się: „około sto”.

Wciąż deszcz, deszcz... Mokre chodniki i dachy. Przed sklepami ogonki spowite w nieprzemakalne celofany. Koty znów chcą pić mleko. Zabrakło niektórych środków chemicznych, wskutek czego smak mleka się polepszył. Przemysł musiał zrezygnować z produkcji spożywczych trucizn, koty odetchnęły z ulgą, że ludzie odzyskali rozum.

Drugi tom „Miesiący” powinienem skończyć w ciągu stycznia, więc pewnie za granicą. Co potem? Od dawna myślę o politycznej noweli pod tytułem „Twarz owalna” i zacząłbym mniej więcej tak: „Ponieważ mam skromne potrzeby osobiste, nie zmieniam żon i nie noszę przy sobie pieniędzy, wiele osób uważa mnie za świętego człowieka. Tak, odpowiadam, jestem święty, bo to wypada najtaniej”. Narratorem byłby mężczyzna trzydziestoparoletni, którego żywcem pochowano. Rzecz jednak nie zakończyłaby się tragicznie. Nazajutrz po swoim pogrzebie wraca do porzuconej wbrew jego uczuciu żony, bo w grobie przypadkowo rozwiązał zagadkę ich nieszczęśliwego pożycia.

Nie wiem, czy za parę miesięcy będę miał dość energii, aby na nowo zasiąść do pisania. Trudno także przewidzieć, jak się ułożą okoliczności w kraju, od nich przecież zależy tryb życia i warunki pracy. I nawet to, czy będę miał czas na pisanie. W zeszłym tygodniu M. wróciła z zakupów po czterech godzinach. Tego dnia dokuczał przenikliwy wiatr. Przyniosła w torbie plastikowej trochę sera, pieczywo, jajka i sałatę. Od rana pracowałem w swoim pokoju, miałem też do przepisanego kilka

stronic i bębniąc na maszynie straciłem poczucie czasu. Weszła, usiadła w płaszczu na tapczanie i rozplakała się. Tak załamanej nie widziałem jej ani razu od dnia, kiedy ją wiozłem do szpitala. Mówiła płacząc, że nie ma już sił i nie chce ginąć w taki marny sposób. Usiadłem przy niej i objąłem ją. Dałem słowo honoru, że będę jej pomagał w zakupach i jeśli zajdzie potrzeba, odłożę pisanie na inny, lepszy okres. Wtedy uspokoiła się. Poprawiając rozluźnioną chustkę zaczęła mi tłumaczyć, że nie o to chodzi. — Jeszcze by brakowało, żebyś przestał pracować. Nie. To przez ten wiatr. — Po obiedzie załatwiłem resztę sprawunków i przyniosłem gazety. Wzięła do czytania *Życie Literackie*. W numerze był wywiad udzielony przez rzecznika prasowego rządu, który oświadczył przedstawicielowi redakcji, że czterokrotnie nie przyjeżdża do partii, że nie lubi, gdy ktoś jest tylko dziwką lub tylko maniakiem pracy, oraz że Stanisław August miał słuszne powody, aby przystąpić do Targowicy. Weszła do pokoju śmiejąc się i pokazała mi te zdania.

listopad

Ostatnie tygodnie przed wyjazdem, deszcze i strajki, komunikaty o śniegach na Podhalu, rano w pokoju jest ciemno. Budzę się z gniotącą myślą o wyjeździe i leżę czekając aż staromiejski zegar wybiję wpół do ósmej. Przez tę godzinę po obudzeniu zaplanowana podróż wydaje się bezsens: dwoje niemłodych ludzi ma w zimowy dzień lecieć dziewięć godzin w powietrzu i przelecieć przez Atlantyk po to, by wylądować w ogromnym, niezrozumiałym i groźnym mieście, pozostawiając za sobą własne ślady, wydeptane od lat na jedynym w świecie kawałku dobrze znajomej ziemi. Zazwyczaj o tej porze roku rezerwowaliśmy pokój na Boże Narodzenie w Oborach. Teraz nie wiadomo jak długo starczy tam węgla po świętach i czy w styczniu dom w ogóle będzie czynny. Ponadto nie jest pewne, czy udałoby mi się zdobyć benzynę na dojazdy do Warszawy. Przed stacjami samochody ustawiają się nocą, na zatankowanie czeka się nieraz dwie doby. Podobno w grudniu trudności będą jeszcze większe.

Wstaję przed wybicciem siódmej, po kąpieli bezsens się rozprasza. Zabieram się do małych, automatycznych zajęć, od których zwykle rozpoczynam dzień. Przesunąłem pisanie o godzinie wstecz, dzięki czemu zyskuję trochę czasu, aby pomagać M. w zakupach. Nie zawsze się udaje. Przedwczoraj trzy razy cho-

dziłem po świeże rogaliki. Dwa razy jeszcze ich nie było, za trzecim razem już nie było i w rezultacie przyniosłem czerstwy chleb. Starszy mężczyzna, stojący z drucianym koszykiem przed półką, spojrzął na mnie: — Niech pan powie, jak oni to zrobili? Ta sama ziemia, ta sama Polska... Trudno zrozumieć. — Kobiety w ogonkach posługują się językiem o wiele dosadniejszym. Zaobserwowałem ostatnio typ kobiety między czterdziestką a sześćdziesiątką, krępej i grubonogiej, w wełnianej czapce albo włochatym berecie, typ babko-żono-matki o męskim głosie i zażarcie atakującym spojrzeniu. Od rana stoją na chodnikach w pobliżu sklepów spożywczych. Ilekroć przed sklep zajeżdża furgon aprowizacyjny, gromada takich kobiet biegnie za nim, sadząc ciężko przez jezdnię z rozpostartymi rękami: żeby utrzymać równowagę i po to, by nie dopuścić innych do pierwszego miejsca w kolejce. Gdy okazuje się, że furgon przyjechał po opróżnione pojemniki, kobiety zaczynają przeklinać. Inne śmieją się z nich, szydzą. Wybuch zamieszanie, w kłótni od razu przechodzą na ty. Szczególną nienawiść budzą w nich mężczyźni z dziećmi na ręku, których przepuszcza się poza kolejką. Wołają, że dzieci są wynajęte, i krzyczą z tyłu ochryplymi basami: — Niepodobne! Niepodobne! Pożyczyl od sąsiadów! — Jedna z nich, gęsto ubrwiona pod rogatym biretem z amarantowej włóczki, gdy rzuciłem na chodnik niedopalonego papierosa, wbiła we mnie oczy z jadowitą wyższością. Podniosła go, ostentacyjnie wypinając zad, i zgasiła w koszu ze śmieciami. Nie odezwałem się, udając, że nie widzę, ale czułem na sobie jej nieubłagany wzrok. Przyszło mi na myśl, że gdyby wieszali, siedziałyby od świtu przed miejscem straceń, robiąc na drutach i użerając się z sąsiadkami. *Tricoteusa* w włóczkowej frygijce.

Wśród tych kobiet w ogonkach stoją chudzi, siwi panowie, zazwyczaj milczący i nieco skrępowani. Są to renciści-inteligenci. Niektórzy mają jeszcze wspomnienia z pierwszej wojny światowej, były to lata ich dzieciństwa, bądź wczesnej młodości. Widuję też kilku zdymisjonowanych ministrów rządu Polski Ludowej, a nawet dawnego członka biura politycznego. Jest nim zgarbiony mężczyzna w miękkiej czapce z daszkiem; spotykam go często w kolejce po sery, przychodzi zawsze z wypchaną czarną teczką. Raz zauważyłem, jak ustawił się za wysokim klientem o lasce, którego znam z widzenia, oficerem Armii Krajowej, jednym z wywiezionych na proces do Moskwy. Chciałoby się powiedzieć, że kolejni przed sklepami tworzą niekiedy alegoryczne żywe obrazy, ucieleśniające kilka pokoleń i epok oraz różne formacje socjalne. Przed tygodniem na Bonifraterskiej w ogonku

po kurczaki spostrzegłem znajomą panią, której przodka w prostej linii po mieczu wieszano dwa wieki temu na Rynku Staromiejskim. Tuż za nią posuwały się żony starych murarzy, przodowników pracy, odznaczonych orderami za odbudowę Starego Miasta po wojnie. Kwatery w naszej dzielnicy przydzielano rozmaitym ludziom, wynagradzając w kolejnych okresach zasługi i krzywdy. Ogonki po żywność dokonały idealnego zrównania: byli ministrowie, dowódcy wypuszczeni z więzień, prawnuczki hetmanów i żony robotników mają dziś tę samą szansę nabycia kurczaka.

Zdarza mi się nieraz spotkać kogoś, kto stojąc w pewnej odległości od kolejki i jakby wahając się, czy stanąć w niej, czy też zrezygnować, umyka na mój widok. O, to są ci, co jeszcze się wstydzą... Humanisci, artystyczne dusze. Zbliżam się z siatką, dyskretnie odwracamy głowy, aby nie stwarzać okazji do powitań, i przyspieszamy kroku udając, że nic nas nie łączy z ogonkiem po masło, lub przechodzimy na drugą stronę ulicy, pozorując bibliofilskie zainteresowanie witryną księgarni. Niech Bóg nam to wybaczy.

Młoda kobieta, śliczna żona reżysera filmowego, przyszła wczoraj do Klubu na obiad z poszarzałą, umęczoną twarzą po półtoragodzinnej przeprawie komunikacją miejską z Mokotowa. Przyjaciele zaprosili ją do Niemiec Zachodnich, spędzi tam dzień dni. Powiedziała: — Przez dziesięć dni chcę pożyć jak biały człowiek.

W środę rano zbudził mnie śpiew „Pierwszej Brygady”. Spałem do 8-ej (w nocy zmieniło się ciśnienie, zażyłem tabletkę reladormu) i wśród resztek snu wdarło mi się w uszy szybkie, marszowe „Na stos rzuciliśmy swój życia los, na-stos-na-stos!”. Przewracałem się z boku na bok, sądząc, że śni mi się jakaś dawna akademia szkolna. Po chwili jednak dotarły do mnie słowa komentatora Polskiego Radia: — Mija sześćdziesiąt trzy lata od dnia przyjazdu Józefa Piłsudskiego do Warszawy po uwolnieniu z twierdzy magdeburgskiej. Na Dworcu Wiedeńskim witały go tłumy patriotycznej ludności... — M. weszła do pokoju: — Słyszysz? — Pierwszy raz w życiu nie powiedziała ani słowa, gdy zapaliłem na czczo papierosa. Nagranie było archiwalne, śpiew brzmiał w ochoczym, przyspieszonym rytmie, jakby trochę chłopięco, po skautowsku. Znowu przypomniał mi się listopadowy dzień rewii na Placu Saskim, gdy siwy człowiek witał z trybuny gestem dłoni w białej rękawiczce galopujące fanfary pułku szwoleżerów. Nie pamiętam, czy grali wtedy „Pierwszą Bry-

gadę”, ale chyba tak. Otóż jest pewne, że ta piosenka strzelecka, którą pod koniec rządów sanacji znieawdziła co najmniej połowa ludności, dzisiaj stała się hymnem. Po „Mazurku Dąbrowskiego” i „Boże coś Polskę” trzecim hymnem narodowym. Pomyślałem, że jednak Dziadek postawił na swoim. Zresztą przez całe życie zwyciężał, on jeden, w przegranej partii.

Na tym samym placu we śróde w południe oficjalne delegacje składały wieńce u Grobu Nieznanego Żołnierza. Wieczorem od Krakowskiego Przedmieścia gęste pochody z biało-czerwonymi sztandarami ciągnęły po ciemku do Katedry na rocznicową mszę. Szliśmy bocznymi ulicami do Teatru Narodowego i zdążyliśmy dopaść szatni w ostatniej chwili przed dzwonkiem. Spektakl powstał z montażu tekstów literackich i publicystycznych: od Frycza Modrzewskiego poprzez Skargę, Kościuszkę, Mochnackiego, Fredrę, Norwida aż do Dygata. W przedstawieniu znalazły się rzeczy mało znane, artykuły i fragmenty pism takich osobistości historycznych, jak ksiądz Stanisław Konarski, poseł-socjalista Niedziałkowski, sanacyjny minister pułkownik Pieracki (uwagi o samorządzie) oraz Wincenty Witos. Wyobraziłem sobie Stasia zerkającego na mnie, czy widzę w jakim towarzystwie bywa... Wśród duchów narodowych, z Kościuszką i Skargą! Sala była pełna. Siadając w krzesłach rzuciłem wzrokiem za siebie i spostrzegłem wiele ładnie uczesanych kobiet, które tego dnia wprost z ogonków musiały jeszcze pobiec do fryzjera. Sporo twarzy od dawna niewidzianych, znajomi sprzed lat, koleżanka gimnazjalna M. z córką-geologiem, w przygasających światłach kilka spojrzeń i profil czyjeś głowy, jakby nagle zarysowany szkic wspomnienia. I ulga: więc i ten jest, został, a ja już sądziłem, że także umarł lub wyjechał. Przedstawienie zamykał monolog wzięty z „Pism, mów i rozkazów”. Aktor w szaroniebieskim mundurze i czapce strzeleckiej z orzełkiem (zapomnieli o skórzanym rzemyku nad daszkiem!), stojąc w zarzuconym na ramiona płaszczu z wysokim lisim kołnierzem, sam w półmroku sceny, wsparty oburącz na szabli, recytował ustęp z pamiętnym zdaniem o pieczęci Rządu Narodowego z roku 1863.

Żona reżysera, która nie wyjechała jeszcze do zachodnich Niemiec, przyszła na premierę z pięknie ufryzowaną rudawą głową i w białym kostiumie, z którego wychylał się obcisły kołnierzyk bluzki z ciemnoniliową krawatką. Tego wieczoru — jeśli mnie oko nie zawiodło — miała kąci powiek lekko przedłużone tuszem w podobnym ciemnoniliowym odcieniu.

Wychodząc z teatru zauważyłem wystawione w foyer portrety autorów, których teksty złożyły się na spektakl. Były to fotogra-

ficzne powiększenia. Duże zdjęcie Dygata widniało bodaj obok fotografii Witosa. Na monumentalnym wizerunku Staś miał taki sam wyraz w oczach, z jakim powtarzał mi kiedyś słowa kierownika domu kultury w Wałbrzychu, zapowiadającego jego występ autorski: „Obecnie zabierze głos literat z Warszawy, syn ludu pracującego towarzysza Stanisława Dygaś!”. Teraz z portretu Staś patrzył na mnie znacząco, z porozumiewawczą autoironią, jakby chcąc mruknąć: i co kolega na to? Zdawało się, że czekał aż wyjdę, aby zobaczyć moją minę. Przystanąłem, roześmiałem się i ścisnęło mnie w gardle. Pewien autor, którego obaj czciliśmy, napisał półtora wieku temu: „Mogę być wzruszony do łez jedynie po efekcie komicznym”.

Trzy lata temu opisywałem uroczystość 60-lecia odzyskania Niepodległości w przeddzień 11 listopada na zebraniu klubu PEN w Warszawie, kiedy to profesor Kieniewicz rozczarował audytorium spragnione narodowego cudu. Dziś po trzech latach zdawałoby się, że cud się ziścił. Rocznicę listopadową, zatajaną w corocznym milczeniu, rząd postanowił dostrzec: wysłano delegację z wieńcami, radio nadało ciepłe pogadanki. Gazety zamieściły wiadomość o nazwaniu nowej Trasy Toruńskiej imieniem Armii Krajowej. Sprawozdawcy telewizyjni, z trudem opanowując wzruszenie, poinformowali o konkursie na pomnik Powstańców Warszawy, który stanie zapewne przed Pałacem Rzeczypospolitej, w dawnym miejscu zejścia do kanałów. Przemilczano tylko manifestacje spontaniczne, jak wieczorny marsz tysięcy ludzi z Katedry. Słyszę, że stocznia remontowa w Gdyni uchwaliła nazwać się imieniem Józefa Piłsudskiego. W Krakowie ogromny pochód ze sztandarami skierował się na Wawel, garstka starców w legionowych maciejówkach stała na baczność u trumny w krypcie Srebrnych Dzwonów. Gdyby przed trzema laty publiczność zebrana w PEN Klubie mogła zobaczyć te obrazy niedalekiej przyszłości, wszyscy padliby sobie w objęcia. Nie byłoby wątpliwości, że cud się dokonał.

Otóż dokonał się i trwa. Ma nieprawdopodobieństwo cudu i ołowiany ciężar prawdy. Stał się rzeczywistością, zdumiewającą samym faktem swego zaistnienia, a jednocześnie chorobliwie pogmatwaną i niespełnioną do końca. Jak sen. Myślę o tych męczących, gorączkowych snach, kiedy przeżywa się uniesienia na przemian z grozą i chodzi się po gzymsach na zawrotnej wysokości, prawie dosięgając nieba, zarazem jednak czując nagość i lęk, że lada chwila można runąć w dół. W takich snach mylą się czasy. Podobnie jak nam teraz. Okupacyjna bieda, wygaszone

miasto i nagle śni się, że z radia płynie śpiew Pierwszej Brygady... Na murze drukowana odezwa ze staroświeckim orłem w koronie, rok 1920, ale nie, to plakat rasistowski z hasłami Falangi, który we śnie podszywa się pod demokrację... W kościołach brzmią chorały z Powstań, młodzież grottgerowska, brodata, rok 1863, nie, sen, za rogiem stoi nowoczesny samochód policyjny z radarem... Wszystko pokłębione, nadzieja ze strachem, legenda z jawą, przesuwają się dziwaczne widziadła. Niektóre epizody cechuje dreszczowy surrealizm, istna groteskowość snów — choćby tych jedenastu więźniów w Rzeszowskim, którzy ogłosili strajk protestacyjny na czterdziestometrowym kominie ciepłowni. Siedzą już na nim trzy dni, domagając się rozmów z rządem, będą pertraktować z komina. Nie, to się mogło tylko przyśnić. A ponad kominami, sztandarami, lasami, w obłokach nad Ojczyzną unosi się Matka Boska, jak niegdyś nad polem Grunwaldu... Grunwaldu? Co ja mówię! Dzisiaj „Grunwald” jest stowarzyszeniem komunistów-narodowców, popieranym przez Moskwę i Berlin Wschodni. Czy to także się przyśniło? Komu? Nam.

Cud mara...

Dzieje się to w mieście, do którego pół wieku temu przyjechałem jako piętnastoletni uczeń i po którym przez rok włóczyłem się urzeczony miejscami jego legend, światłami ulic i twarzami kobiet, pełnymi zagadek odurzających tajemniczością jeszcze nie zaznanych grzechów. To było na owe czasy romantyczne. Później wstąpiłem na studia, w ciężką lekcję osamotnienia, z której wyszedłem jako melancholik z dyplomem, zupełnie niepotrzebnym — wprost w wojnę. Na szczęście, zanim się to stało, przyszło drugie oczarowanie, przypadek, czyjaś twarz dostrzeżona za błyszczącą szybą włoskiej gelaterii, kiedy wracałem do domu z rakieta tenisową przez Nowy Świat, chyba wczesną jesienią. Tak: miłość. Jedno ze słów, których ludzkość nie potrafiła zmienić. Tym razem okazała się wierna swoim najstarszym pierwowzorom, a więc: czysta, liryczna i wieczna. Na całe życie — jeśli życie liczyć od dnia przyjazdu do tego miasta. W sumie okrąglę pięćdziesiąt lat. Również w tym mieście zacząłem pisać, co wydaje mi się drugą fazą mojego ocalenia, trwającą do dzisiaj. Wszystko w tym mieście. Ale co mnie zadziwia: nie tylko to „wszystko”, nie to, że doświadczyłem pełnego losu w tym jednym mieście, w którym ukształtowało się moje obecne człowieczeństwo, lecz to, że sprawa wcale nie ma zamiaru się skończyć, wręcz przeciwnie, jak gdyby podejmuje nowe wątki, a miasto, od którego już nic nie oczekiwałem, tak rzeczywiste i odarte z zagadek,

miasto znane na przestrzał, którego urodę od brzydoty dawno przestałem odróżniać — nagle znów mnie urzekło czymś niepojętym i nieprawdopodobnym. Rozglądam się, przystaję. I myślę: sen, nie sen? Osobliwe uczucie. Tak jakbym z powrotem był uczniem, który przyjechał tu odkrywać fantastyczność życia. Boże mój, ile razy mamy zaczynać od nowa...

Cud liczy piętnaście miesięcy i — o tym już wiemy — nie należy do rzędu irracjonalnych przeistoczeń ani nagłych uzdrowień. Nie mnoży chleba i nie poraża ogniem winowajców. Jest cudem szarym i przyziemnym, męczy gadatliwą poczwarnością. A jednak jest cudem.

Od piętnastu miesięcy obnaża się wnętrze narodu, jego ława społeczna, psychiczna, umysłowa, która przez trzydzieści pięć lat stanowiła niewiadomą — można ją było najwyżej odgadywać. Teraz oto treść się objawia, przekonujemy się, co jest w środku. Czym się okaże ta ława? Albo inaczej: czym okazałaby się, gdyby mogła nadać sobie własny, samoistny kształt.

W „Nierzeczywistości” twierdziłem, że w dzisiejszej Polsce trwa na wpół ukryty, ale wciąż żywotny układ światopoglądów i postaw ideowych, który można by uznać za przedłużenie sił politycznych w Polsce przedwojennej. Bez trudu da się dziś rozróżnić typy mentalności, na przykład endeckiej, socjaldemokratycznej, komunistycznej czy konserwatywnej, i nawet z grubszą określić, kto przed wojną byłby sympatykiem chrześcijańskiego centrum, a kto lewicy chłopskiej, lub przeciwnie — dyktatury wojskowej; kto byłby za ONR-em, kto za demokracją, a kto by współpracował z każdym rządzącym reżymem. „Tylko że dzisiaj — pisałem — ten układ istnieje jak gdyby pod klapą administracyjną, pod niwelującą pokrywą systemu. Wszyscy są sprasowani, jednowymiarowi, indywidualne poglądy nie mogą się ujawnić, głosi się jeden program dla wszystkich i za wszystkich”.

Dziś to już brzmi historycznie. Kłapa została podważona, wywaliło ją ciśnienie wewnętrzne. Od czasu gdy pisałem „Nierzeczywistość”, powstał KOR i ROPCiO, później DiP, KPN i także „Grunwald”. W „Solidarność” — podobnie jak czterdzieści lat temu w Armię Krajową — wlały się nurty rozmaitych ugrupowań i dążeń, częstokroć o sprzecznych orientacjach. Dzieje się więc rzecz ważna i trudna, której natura jest głęboko pokomplikowana — płodna i zarazem bolesna, jak każda męka porodu. W skurczach, krzykach i parciach formuje się nowy organizm,

przyszłe ciało społeczne. Można chwilami dostrzec zarysowujący się krwiobieg i poszczególne członki. Wszystko jeszcze plazmowate, mętne, ale w owym zespalanu się i łączeniu widać już ruchy podziału.

Mówimy: opozycja i rząd, „Solidarność” i Partia. Mówimy także: linia porozumienia i linia skrajna. Dla powierzchownych obserwatorów podział przebiega między narodem jako całością a władzą jako jednością. Co bystrzejsi jednak patrzą głębiej, widzą po obu stronach wewnętrzne konflikty i stany zapalne. I również zbieżności. W ciągu mojego dość długiego życia napatrzyłem się wielu politycznym rozłamom i dzisiaj mam pewność, że istotne różnice nie dzielą ludzi zależnie od takich lub innych programów działania, ani według haseł czy taktyk. Prawdę mówiąc, zawsze dostrzegałem w życiu dwie siły i dwa typy ludzi im poddanych. Pierwszą nazwałbym energią indywidualnej wolnej świadomości, drugą — napędem uwarunkowań zbiorowych. To nie brzmi oryginalnie, jednakże lepszych określeń nie znajduję. W „Nierzeczywistości” miałem być może raczej twierdząc, że konsystencja polityczna współczesnej Polski jest dalszym ciągiem przedwojennych ugrupowań i tendencji. Pewnie tak jest. Ale ja dzisiaj — a ściślej przez lata, które do dzisiaj upłynęły — nauczyłem się widzieć inne podziały między ludźmi, niż tylko polityczne i światopoglądowe, i byłoby dla mnie niedorzeczne dzielić ich według nazw, które sobie przybrali, czy słów, jakie wypowiadają — słów lewicowych albo prawicowych, marksistowskich czy też katolickich. Oni zapewne w swoim poczuciu tak się dzielą i wierzą w to; przy czym słowa, hasła i programy wydają im się najważniejsze. Mnie jednak stokroć ważniejszy od czyichś poglądów wydaje się jego stosunek do poglądów wyrażanych przez kogoś innego. Ktoś może być idealistą, ktoś inny materialistą. W porządku, niech się obydwaj za takich uważają i niech się kłócą ze sobą. Lecz jeśli materialista mówi, że trzeba idealistę powiesić, albo gdy idealista krzyczy, by wieszać materialistów — wówczas obaj są dla mnie tacy sami.

Pisałem w „Nierzeczywistości”, że nic nie napędza mnie tak silnym lękiem, jak Polska głupia i ciemna. Takiej Polski, nienawidzącej, nietolerancyjnej, zawsze się bałem. Teraz wyrastają znowu, jak spod ziemi, stare upiory szowinizmu i fanatycznej ksenofobii. Przechowały się pod skorupą, w lawie. Trudniej niż kiedykolwiek bronić się przed nimi, są bowiem w tyglu walki pomieszane z tym, co najlepsze. W ogóle trudniej niż kiedykolwiek poddać dzisiaj polską rzeczywistość rozumowej analizie.

Ilekcję próbuję się nad nią zastanowić, ustalić jakiś sąd lub prawdę, każdy sens od razu rozpada się w myśleniu. Można jednak umacniać się pewnością, że czas nada kształt rzeczom. Po latach wszystko się wyjaśni — w kulturze. Kultura ma wyższą mądrość niż historia: potrafi nie tylko interpretować fakty, przyznaje rangę wartościom. Nietolerancja, głupota i ciemność nieraz zalewały polską rzeczywistość, ale kultury narodowej nie tworzyły nigdy. W tym jej wielkość.

Czwartek. Wiele spraw na mieście, związanych z podróżą. Mgła i śnieg, ulice brudnożółte, śliska jazda. W 9 numerze *Twórczości* wśród wierszy Adama Ważyka jeden króciutki, zatytułowany „Odpowiedź na ankietę”. Brzmi tak: „Nie czytuje powieści / powieści są nieczytelne / Wszystkie zmyślenia zobojętniały / pisarze odchodzą / pozostają po nich tylko pamiętniki / na wpół zmyślane”. Ocho, to jest wyrok. Ważyk, świetny poeta, eseista i mędrzec literacki, niejednokrotnie w przeszłości ferował wyroki, których dzisiaj już by nie podtrzymał. Ja bym się mocno zastanowił nad tym, czy powieści istotnie stały się nieczytelne i czy po pisarzach zostaną tylko pamiętniki. Może to być złudzenie krótkiego dystansu, sugestią formy, jaką dzisiaj chętnie przybiera proza literacka. Wszystkie zmyślenia zobojętniały? Szybko powiedziane. A jeśli zmyślenia zmieniły jedynie swoje sposoby i środki, jeśli pisarze odchodząc zostawiają nadal powieści, tak, powieści, tylko o przesuniętej perspektywie narracji, powieści z autorem w miejscu bohatera? *Cher Maître*, psychologiczne *Ja* w literaturze staje się źródłem dzisiejszych fabuł, nowymi bohaterami są czucie i myślenie autora, to one tworzą współczesne pogranicze fikcji i prawdy. Tak komponujemy dziś nasze powieści. Można by to nazwać wymierzaniem sprawiedliwości niewidzialnemu światu, który jest w nas. Co nie oznacza śmierci powieści, lecz jej dalsze życie. Ja osobiście dochochuję wierności starym powieściom, lubię te baje-olbrzymy, składam im hołdy jak przodkom. Czym bylibyśmy bez nich?

Kiedyś w odpowiedzi na jakąś literacką ankietę napisałem, że dawniej pomysł nowej powieści kształtował mi się z postaci bohatera, on był Adamem utworu, węże i anioły przychodziły później. Dzisiaj jest inaczej: zaczyna się od nagłego zgęszczenia jakichś treści wewnętrznych, węże i anioły są pierwsze. Mówiłem wczoraj o tych sprawach, i o innych, do studentów strajkujących od dwóch tygodni w gmachu Uniwersytetu Warszawskiego. Strajk objął uczelnie w całym kraju, studenci protestują przeciw narzuceniu rektora w Wyższej Szkole Inżynierskiej w

Radomiu. W sali polonistyki UW zebrało się około stu osób. Wiele pytań dotyczących „Niereczywistości” i „Miesiący”, a także innych moich książek. Stojąca pod ścianą dziewczyna — śmiała, mądre oczy — wypowiada ciekawe uwagi o „czytaniu wprost” i „czytaniu wgląd”. W trakcie rozmowy powtórzyłem mój pogląd na istotę powieści: że jest bajką dla dorosłych, odwieczną *fable* o losie człowieka. Wspomniałem o moim najwcześniejszym przeżyciu fabularnym, gdy w dzieciństwie usłyszałem od babki wierszyk: „W bramie dziad wyciąga rękę, pies rozerwał mu sukienkę...”. Później z takim samym wzruszeniem reagowałem na „Nędzników” i „Ludzi bezdomnych”. Jądrzem tego przeżycia jest przejście się ludzką niedolą i w gruncie rzeczy podobnie przeżywa się lektury Kafki. To nie Javert ściga Józefa K., lecz groza zaszyfrowana w istnieniu; rozszerza się krąg udręki, ale bajka pozostaje opowieścią o sensie i bezsensie życia. Rozmowa dwugodzinna, ściśle literacka. Po zakończeniu jeden z organizatorów wyprowadził mnie po ciemku na Oboźną, boczną bramą obstawioną przez studentów z białoczerwonymi opaskami. Wysoki, ładny chłopak, mówi inteligentnie, z rozważnym taktem. Wypytujac mnie o różne sprawy zaszedł ze mną aż na Stare Miasto. Kiedy zaniekpokoilem się, czy nie odpowiadac mnie przezcgrzeczność, wyjaśnił, że chciałyby obejrzec ulicę, na której mieszkam. — Pan opisał te miejsca w „Miesiącach”... — Dwa dni przedtem był obecny na moim spotkaniu ze strajkującą młodzieżą Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, gdzie dyskusja wykroczyła poza tematy literackie. Trzy godziny. Wyczułem w niektórych pytaniach akcenty niepokoju: o realność zwycięstwa, o szanse na przyszłość bliską i dalszą. Któryś z dyskutantów użył epitetu „inteligencka słabość”. Powiedział, że być może w odczuwanych wątpliwościach i obawach przebijają nieraz ta inteligencka słabość. Na miłość boską, kto to im włożył do głowy, że słowo *inteligentki* ma pejoratywne znaczenie i wypada je mówić trochę lekceważaco: „inteligentkie rozterki”, „inteligentkie obciążenia”... Toż to Rosja, to zalatuje słowianofilską chłopomanią! Inteligencja polska — słowa te oznaczają energię moralno-umysłową, źródło polskich sił żywotnych w ciągu dwustu lat naszych ubiegłych dziejów. Czym byłaby dziś Polska gdyby nie inteligenckie dzieło Oświecenia, inteligencka wyobraźnia romantyczna i prace społeczne intelektualistów epoki pozytywizmu — Polska bez inteligentów w Legionach i w niepodległościowym ruchu socjalistycznym, chłopskim, oświatowym, spółdzielczym, bez intelektualistów w KOR-ze i Latającym Uniwersytecie... Opamiętania. Nie: pamięci.

Przez trzy godziny — kilkudziesięciu studentów w ławkach ustawionych amfiteatralnie, ja przy stoliku w dole — starałem się ich upewnić, że realne szanse istnieją. Czekają nas ciężkie lata, wszystkie możliwości, dobre i złe, są otwarte, a również takie, których wyobrazić sobie ani przewidzieć się nie da, z naszej wąskiej perspektywy nieobliczalne. Mówiłem jeszcze, że byłoby największym błędem hipnotyzować się polskimi analogiami wieku rozbiorów i wieku powstań. W ciągu tych dwóch stuleci inne narody wydobywały się spod ucisku imperiów — Amerykanie, Grecy, Włosi, Belgowie — a nigdzie i nigdy nie zostało powiedziane, że właśnie na Polsce ma ciążyć wyrok daremności i klęski. Twierdziłem też, że to, co się dokonało po Sierpniu — co się już dokonało — jest i pozostanie w historii Europy paniętną walką, stoczoną o zbiorową duszę i prawa, i że cokolwiek nastąpi, nikt nam tego duchowego posiadania nie zdoła odebrać. Wówczas przemówił bystry, wygadany blondynek w okularach, siedzący w górnej ławce: — Ja rozumiem. To oznacza, że są wartości, za które należy płacić najwyższą cenę, bez względu na konsekwencje, włącznie z ofiarą życia... — Wtedy zamilkłem. W sali zrobiło się cicho. — Nie — odpowiedziałem — pan mnie źle zrozumiał. Nie jestem zwolennikiem samozniszczenia. — Tylko tyle potrafiłem odpowiedzieć. Moment nie był lekki, poczułem nagle próżnię w myślach. A wtenczas oni jakby się nade mną zlitowali i ktoś zapytał, jak pojmuję rolę współczesnego pisarza. No więc próżnia zaczęła się wypełniać. Wyjaśniłem, że słowo „rola” najchętniej bym skreślił i zastąpił innym: „sprawa”. Literatura jest dla mnie sprawą pisarza ze sobą, czymś w rodzaju dopracowywania się prawdy własnego człowieczeństwa, czy osobowości — wyborem siebie samego spośród wielu, jakimi mogliśmy się stać. I zdaje się, że na tym się skończyło. Później zaprosili mnie do stołówki na herbatę, wniesiono talerze z kanapkami, przysiadły się dwie miłe dziewczyny i rozmawialiśmy o teatrze.

Ale w nocy myślałem o tym blondynku, jak powinienem był mu odpowiedzieć, i... nie wiem. Skinać głową: „tak, z ofiarą życia włącznie, bez względu na konsekwencje” — byłoby czymś niegodnym. Pamiętam fragment rozmowy Miłosza z Watem w „Moim wieku” o *autodafé* polskich powstań, kiedy najcięższe brzemie odpowiedzialności w końcu zwalano na dzieci. Na dzieci z karabinami w rękę. Nie rozwinąłem mojej odpowiedzi, była zbyt krótka. Na pewno oczekiwali ode mnie więcej. Stokroć lepiej byłoby przyznać się do własnej niepewności, odpowiedzieć: nie wiem, albo — wiem tyle co wy. To nie oznacza, że straciłem

nadzieję. Ale nie umiem jej określić, wyartykułować. Widzę ją przed sobą, rozległą i niejasną, przeczuwam długie lata pracy — pracy charakteru i rozumu, która będzie walką, wysiłkiem, zmęczeniem. Dziś możemy przegrać, ale nie możemy przegrać na zawsze. Są już zapewne gotowe plany naszego zniszczenia, lecz niepodobna przewidzieć tajemnego planu innych, nie objawionych jeszcze żywiołów i zrządzeń, ukrytych w naturze świata, w przyszłości. Plany zniszczenia mogą się o nie rozbić. Musimy stawiać na dobro przeciw złu, ale grać mądrze i cierpliwie. Taką walkę naród czasami wygrywa w ciągu dwóch, trzech pokoleń (w Indiach, które obwieściły światu, czym jest potęga biernego oporu, rozstrzygnęło pokolenie Gandhiego i Nehru). Walka taka polega na ogromnej, długotrwałej pracy umysłu i woli. To jest walka o siebie. Nie tylko o wolność. Sami się w niej przeobrażamy. To jest ciężka praca tworzenia nowego kształtu polskości.

Piątek. Nagłe odwrócenie sytuacji, gdy rano przed śniadaniem M. mówi: — Nie pojedę tak daleko. To obłąd. — Prosi, żebym zarezerwował pokój na styczeń w Konstancinie. Zgadzam się, telefonuję do ZAIKS-u. Mamy jeszcze siedem dni do terminu wykupienia biletów lotniczych. Wieczorem o 11-ej próbuję się połączyć z Nowym Jorkiem. Po pół godzinie odzywa się centrala międzynarodowa. Telefonistka nie przyjmuje zamówienia, rozmowy z Nowym Jorkiem zamawia się poczawszy od godziny zero. O godzinie zero kręcę numer centrali i po kwadransie mówi do mnie automat: „Proszę-czekać-na-zgłoszenie-się-telefonistki!”. Przez dwie godziny, do 2-ej w nocy, odzywał się do mnie ten niesamowity głos. Zасыпаłem ze słuchawką przy uchu, budziłem się, usiłowałem czytać, potem śniło mi się, że jestem w górach, i znowu się budziłem. „Proszę-czekać-na-zgłoszenie-się-telefonistki!”. — W rozpaczę rzucam słuchawkę. Po chwili jednak decyduję się na ostatnią próbę. Znowu wykręcę numer i nagle po trzecim sygnale odzywa się, jest! Znudzony kobiecy głos, ale nareszcie żywy, informuje mnie, że połączenie z Nowym Jorkiem otrzymam za tydzień. Dobrze. Podaję numer. Będę czekał przez tydzień.

Więc nie jedziemy do Nowego Jorku. Pojedziemy w styczniu do Konstancina, a w lutym może do Obór. M. jest zamyślona, w domu więcej ciszy, wieczorami czytam Faulknera, rano pracuję nad dalszym ciągiem „Miesiący”. Drugi tom chciałem zakończyć odlotem do Nowego Jorku. Dziwna książka, której akcji nie mogę planować. Rozwija się sama, z dnia na dzień mnie zaska-

kuje i właściwie tylko uczestniczę w fabule, nie mając pojęcia, jak się dalej potoczy. Teraz jestem ciekaw zakończenia.

W *Kurierze Polskim* wywiad z profesorem Geremkiem. Uderzyły mnie w nim słowa *Rzeczpospolita Samorządna*. Pięknie brzmiące. Jak gdyby naprawiały inne, tylekroć nadużyte określenie: „Polska nierządem stoi” — fałszywe, bo oparte na błędzie pisowni. W rzeczywistości znaczyło, że Polska nie rządem stoi, ale prawem. W związku z tym niewesołe refleksje o stanie rzeczy dzisiejszym, tak zdumiewającym i niewiarygodnym. W latach pokoju, bez wojny, w uprzemysłowionym rolniczym kraju dokonano spustoszeń na miarę zniszczeń wojennych. Oskarża się o to poszczególnych ludzi. Z pewnością są odpowiedzialni. Jednakże główną winę ponosi system, ustroj niszczący życie. Przypomina mi się rozmowa z młodym działaczem KOR-u: — Zwykło się sądzić, że społeczeństwo wytwarza z siebie władzę. W ustrojach totalitarnych jest odwrotnie: to władza tworzy społeczeństwo. Aby tego dokonać, musi zniszczyć wszystko, co przedtem było w nim żywe, autentyczne. Ale nowo wyprodukowane społeczeństwo kiedyś zniszczy władzę, która je stworzyła.

Niedziela. W „Światłości w sierpniu”, którą czytam znowu po kilkunastu latach, znajduję niekiedy takie fragmenty: „Wydaje mu się, że słyszy w tej muzyce żądanie i chęć poświęcenia bóstwu tego, co jutro będą musieli uczynić. Wydaje mu się, że ostatni tydzień przeleciał jak fala powodzi, tydzień nadchodzący podobny jest do otchłani, a oni, zawieszani na krawędzi wodospadu, wydają z siebie jeden połączony, groźny okrzyk, nie będący usprawiedliwieniem się, ale poprzedzającym upadek salutem pożegnalnym, kierowanym nie ku jakemukolwiek bogu, lecz ku znajdującemu się w zasięgu ich głosów i głosów dwu pozostałych kościołów, zamkniętemu w pustej celi człowiekowi, którego także ukrzyżują, wzniośszy mu krzyż”.

I tak dalej... Puszkin napisałby ołówkiem na marginesie: „Łże”. To znaczy: dęte, nieprawdziwe. A w tej samej książce jedna z postaci mówi: „Sądzę, że nie być złym to najłatwiejsza na świecie rzecz dla leniwego człowieka”. Wspaniałe zdanie. W całej powieści pełno znakomych, przejmujących stronic obok nieznośnie rozgadanych, istnych trzęsawisk stylistycznych. Jakim sposobem utwór od tego się nie zawala i pozostaje arcydziełem? Dzięki dwóm rzeczom. Faulkner jest „geniuszem z dziurami” (jak u nas Żeromski), ale zawsze — poprzez opisowe rozlewiska i dywagacyjną kołowacizną myśli — pewną ręką trzyma konstrukcję fabularną, nie spuszcza jej z oka, kompozycja jest zawsze,

czasami na chwilę przed rozpadem, zamknięta. Tu nie ma dziur. Akcja „Światłości w sierpniu” rozpoczyna się pieszą wędrówką ciężarnej kobiety po tropach mężczyzny, który ją uwiódł, ojca drugiego przed siebie, ale z urodzonym już dzieckiem i z innym mężczyzną, który nie jest ojcem — tamten się nigdy nie odnajdzie. Spośród kłębiących się, poplątanych ze sobą wątków siedmiu losów wypływa w finale spokojne largo odwiecznej paradoksalności życia. Lecz nie to jeszcze czyni powieść wielką. Jej prawdziwa siła bierze się z głębin dramatu amerykańskiego — czarnej krwi pomieszanej z białą, to są węże i anioły powieści, i w tym geniusz Faulknera, że jego gniew i rozpacz podnoszą ów amerykański dramat na stopień ogólnoludzki, nadając mu wymiar zmagania człowieka z Szatanem. To doprawdy wielki, namiętnie cierpiący pisarz. Rozumiem studenta z Yale, który opowiadał, że będąc raz w Nowym Jorku zobaczył na 5 Avenue drobnego, zamyszonego mężczyznę o siwych, krótko przystrzyżonych włosach, oglądającego wystawę księgarni Scribnera. „Chciałem podejść, uklęknąć i pocałować go w rękę”. O, nie wszystkie zmyślenia zobojeźniały...

(Powinowactwa z Żeromskim są zastanawiające nie tylko w neoromantycznym rozkielznaniu stylu i nawet nie tylko przez natężenie moralno-społecznego przeżycia, lecz nade wszystko w osobliwych zbieżnościach faktów narracyjnych „Azylu” i „Dzikich palm” z „Ludźmi bezdomnymi” oraz „Dziejami grzechu”; takie podobieństwa nie mogą być przypadkowe, napomykałem o nich w jednej z moich książek, i podejrzewam, że Faulkner od jakichś Polaków, czy Polki, musiał niejedno o Żeromskim wiedzieć i że ktoś mu te powieści streszczał: miłość bezrobotnego lekarza zabita przez zło społeczne, polscy chłopcy eksploatowani w kopalni, fatalne dzieje upadku panny z dobrej rodziny w łapach amerykańskiego Pochronia, dzikie palmy i rozdartą sosną — trochę za wiele tych podobieństw jak na zwykłe koincydencje fabularne).

Wtorek. Wymusza się na sobie racjonalne nadzieje i optymistyczne myśli, ale pod spodem drga ciemne przecucie. Coraz więcej punktów zapalnych. W całym kraju trwają strajki studenckie. W Oficerskiej Szkole Pożarniczej strajk okupacyjny złamano od razu, siłą, przy użyciu oddziałów szturmowych milicji. Operacja z ziemi i powietrza (helikopter) przebiegła sprawnie, obserwował ją wzburzony tłum. Wygląda mi to na próbę cwi-

czebną przed ogniową premierą. Mam wrażenie, że generał który po Sierpniu włożył czarne okulary, wkrótce je zdejmie.

Nadal sporo rozmów, spotkań z ludźmi, jeden nieodmienny temat, jak magnes, ściąga do siebie wszystko. Rano dalej posuwam „Miesiące”. M. powiedziała: — Jeżeli czuję taką ulgę po decyzji, to znaczy, że nie powinniśmy byli wyjeżdżać. — Oczywiście — mówię — masz rację. — I myślę: ale jak zakończyć drugi tom „Miesiący”? Opisać fikcyjny start i odlot, fikcyjne stewardessy, a potem jakiś monolog wewnętrzny w samolocie unoszącym się nad warstwą chmur — tak jakby to się działo naprawdę — i dopiero na końcu jedno zdanie, że mogło tak być, ale nie było, bo zostaliśmy w Warszawie...? Dość nowoczesne zakończenie.

Spostrzegłem, że jest smutna i chyba oczekuje moich sprzeciwów, wątpliwości. Przyjrzała mi się jakoś bokiem, no i wtedy mam pewność: boi się lotu nad oceanem i chce na mnie przetrząść decyzję.

Dni markowanego spokoju w domu i podsycanego zaognienia w kraju. Do czwartku ani słowa o wyjeździe, oboje unikamy rozmów. Są zresztą inne tematy. W sejmie rząd ma wnieść projekt uchwały o stanie wyjątkowym. „Solidarność” ogłosiła stan gotowości do strajku powszechnego. Nie widać ze strony władzy żadnych chęci porozumienia się ze społeczeństwem. Studenci kontynuują strajk okupacyjny, telewizja dalej straszy i kłamie. Zagadkowa postać ów premier-sekretarz w mundurze generała. Za czarnymi okularami co się kryje: Polska czy Rosja? Marzyciele szepczą: Wallenrod. Sceptycy podsuwają historycznie bliższe personalia. Realści milczą.

Brama Uniwersytetu i narożniki Placu Zamkowego oblepione plakatami. W miejsce zdartych nakleja się nowe, wczytują się w nie grupy przechodniów.

W ciągu kilku dni czytałem drukarskie odbitki „Ronda”, nadesłane mi po czterech latach z wydawnictwa. Powieść, niby staroświecka, ma lekko ironiczny ton „antybohaterski”, w stosunku do obecnych nastrojów pod włos. Tym lepiej. Jak zabrzmiał, kiedy się ukáže, za rok lub dwa, tego nie wiem. I czy się w ogóle ukáže. Podobnie z filmem według „Matki Królów”, kręconym już przez Zaorskiego, który właśnie przyniósł mi egzemplarz scenariusza, żebym uzupełnił brakujące dialogi. Oskarżenie komunizmu jest w nim ciężkie, wątpię, czy go puszczą do kin, a spokojny optymizm Zaorskiego znowu napełnia mnie współczuciem.

Spotkanie po piętnastu latach. Jan Kott przyleciał z Nowego Jorku na Kongres Kultury. Był już w Warszawie latem i przeleżał dwa tygodnie w szpitalu z zawałem serca. Tom esejów o Szekspirze przyniósł mu sławę międzynarodową i katedrę na uniwersytecie w Stony Brook. Niedawno zaskoczył mnie jego szkic o Kafce, a tu raptem widzę Janka Kotta prawie niezmiennego od czasu, kiedy poznaliśmy się w „Kuzni Młodych”. Tak samo roztargniony i pełen intelektualnych pomysłów, które wykrzykuje głosem sztubaka w okresie mutacji. A przy tym zauroczony Polską: twierdzi, że tylko w Warszawie czuje się szczęśliwy. Ledwie wyratowany z zawału, wsiadł w samolot i przyfrunął na kongres.

Postanowiłem nie myśleć o zakończeniu „Miesiący”. Wyniknie z okoliczności, napisze się samo — ja tylko będę notował. W czwartek wieczorem czekam na połączenie z Nowym Jorkiem i otrzymuję je punktualnie o godzinie 22-ej. Kiedy zgłasza się centrala, M. stoi o parę kroków ode mnie. Spogląda na aparat, ale nie wyciąga ręki. Podnosząc słuchawkę, czuję na sobie jej wzrok, słyszę wezwanie telefonistki, a potem szumy i terkot. Wreszcie odzywa się Nowy Jork. Patrząc na M. i mówię powoli, z pauzami: — Obawiamy się, czy nasz przyjazd nie sprawi kłopotu. — Spokojnie, spokojnie — śmieją się zza oceanu. Wciąż patrząc na M. ciągnę dalej: — Przypuszczalny termin 4 grudnia, ale... — Wyjedźmy na lotnisko — słyhać daleki głos po drugiej stronie. Teraz M. patrzy na mnie. Wiem, że mogłaby mi przerwać, odebrać słuchawkę. Odczekuję chwilę. Po czym mówię: — Więc 4 grudnia o 15.55 czasu amerykańskiego. Do zobaczenia. — Szumy i terkot, rozmowa skończona.

Nazajutrz pojechaliśmy na Waryńskiego wykupić bilety zabukowane w biurze LOT-u. M. jeszcze pełna wahań, w ostatniej chwili próbowała przełożyć termin na styczeń, żeby przez święta być w Warszawie. Poinformowano nas jednak, że to niemożliwe, wszystkie miejsca w samolotach zajęte są do kwietnia. Lecimy za tydzień, bilety powrotne mamy ważne na trzy miesiące, paszporty — do roku 1984.

Idąc do domu minąłem na Freta parę bezsilnych starych ludzi, posuwających się do sklepu z drobiem, przed którym zebrał się długi, stłoczony ogon. Co kilka kroków przystawali, wtedy mężczyzna odstawiał torbę na chodnik, przekładał laskę do lewej ręki, a prawą podtrzymywał kobietę zgietą w pałąk i chwiejącą

się na cienkich, wyschłych nogach. Nie mieli sił iść dalej. Ale kiedy podszedłem chcąc im pomóc, przelękli się i zaczęli mnie zapewniać, że nic im nie trzeba, jak gdyby tłumacząc się przede mną z chwilowego zmęczenia. Przeprosiłem i odszedłem. Zostali na chodniku, podpierając się nawzajem, zahaczeni o siebie w rozpaczliwym uścisku tonących. Kiedy obejrzałem się, mężczyzna próbował unieść torbę z ziemi.

Skoro wiadomo, że tak jest, i jeśli nazywamy to starością, nie pytając, dlaczego tak jest; jeśli godzimy się z cierpieniem dzieci i starców, niewytłumaczonym i niezawinionym, jeśli żyjemy nie oczekując nikąd wyjaśnienia naszej niepewności i nie mając nadziei na żadną odpowiedź — wówczas uzasadnione jest zwątpienie w sprawiedliwość Boga. Ilekroć słyszę z ust ludzi wierzących słowa o sprawiedliwości Bożej, a również gdy czytam te słowa napisane przez intelektualistę, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ich obraz Boga jest naiwny; jedni i drudzy widzą Go jako osobę sądzącą z niebios ludzkie czyny według ludzkich pojęć o sprawiedliwości. Mnie wystarczy pamięć o milionach umarłych i pomordowanych, by wiedzieć, że Bóg istnieje i nie jest sprawiedliwy. Ale skoro istnieje nie będąc sprawiedliwym, my musimy być sprawiedliwi. Nie umiem wytłumaczyć sobie tej pewności, wiem jednak, że gdzieś — gdzie indziej — ona się potwierdzi. I to jest także moja pewność.

Nowy Jork, 13 grudnia 1981.

Wiadomość o ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce. Wszystkie połączenia odcięte.

ORBIS BOOKS

£ 6.00